

Pryzmat Literacki

WYWIADY

[Edward Balcerzan] Z Koła Młodych do Metafory 125

[Andrzej Lam] Przemijająca epoka poetów 134

[Marek Kazana] Saksafonista jazzowy „z przypiętym kciukiem”, który był „pisany” 146

REFLEKSJE

Maria Jarek
Książki z kolekcji, domowa biblioteka 155

Aneta Gawron
O ulotności chwili, słów i materii 168

Karol Czejka
Jak wspomnieć nam szczęście z pisarzy? 171

Wiktoria Orłowska
Sprawdziamy z Janem Kochanowskiego 182

Leszek Dembek
Czy przynosi się błysk poezji...? 185

...inteligencję? 19

Zygmunt Duczyński

POEZJA EKSPERYMENTALNA

ISSN 2719-6895

5/2024

Szczecin



Pryzmat
Literacki

2024

Pryzmat Literacki nr 5/ 2024

Wydawca:

Związek Literatów Polskich Oddział w Szczecinie
al. Wojska Polskiego 90
70-482 Szczecin

ISSN 2719-6895

Redakcja:

Leszek Dembek (redaktor naczelny), *Danuta Sepuco* (sekretarz redakcji)

Grafika na okładce:

Dawid Czajkowski

Redakcja zastrzega sobie prawo do dokonywania zmian w tekstach zamówionych.
Niezamówionych artykułów nie drukujemy.

Kontakt:

kontakt@zlp.szczecin.pl

Druk:

printshop.szczecin.pl

Rocznik „Pryzmat Literacki” współfinansowany przez

Danutę i Janusza Słowików

oraz **Stowarzyszenie Rozwoju i Edukacji „Lider”**



Z dystansu czasu ...

„Być otwartym, to znaczy ciekawym świata, zdolnym do zmiany własnych poglądów, jeżeli fakty świadczą na korzyść innych. Nie ma to nic wspólnego z konformizmem, lecz jest wewnętrzną gościnnością dla każdej innej, ważnej, sprawdzonej z życiem racji”.

„Zasada odwagi – bardzo istotna w życiu i twórczości. Pisanie jest próbą zmierzenia się ze światem, z otoczeniem, a to, że się myśli niezależnie, jest pewnym aktem odwagi”.

Zbigniew Herbert
/„Czym byłby świat...
rozmowa ze Zbigniewem Herbertem”
„Wiadomości” (Wrocław) 1972, nr 20/

Pięć lat to właściwa, dobra perspektywa, aby spojrzeć na „Pryzmat Literacki” z różnych perspektyw. W środowisku literackim od zawsze pojawiał się mocny imperatyw, aby istniało pismo, które będzie nas reprezentowało w szeroko rozumianym tego słowa znaczeniu. I powstała wizja, jakby od razu, naturalnie, że musi ono łączyć przeszłość z teraźniejszością, zważywszy na fakt, że wielu z nas wywodziło się z tego dawnego środowiska, wymienię chociażby nestora szczecińskiej sceny literackiej, Janusza Krzywińskiego, współtwórcę słynnej „Metafory”, czy Eugeniusza Daszkowskiego, który jeszcze trzy lata temu żegłował z nami na falach morskiej literatury.

Zatem odkrywamy, przypominamy nazwiska z historii, a na jej literackim firmamencie przywołujemy takie postacie powojennego, szczecińskiego życia literackiego, jak: Tymoteusz Karpowicz, Witold Wirpsza, Nina Rydzewska, Konstanty I. Gałczyński, czy Tadeusz Różewicz, który także w tym czasie przyżegłował w te strony. Ale także twórców mniej znanych, jak: Eugenia Karczewska, Jolanta Frydrykiewicz, Bogdan Jemielita..., o których już piszemy i będziemy dalej podążać tym eksploratorskim kursem.

Tej idei towarzyszy seria „Wznowienia”, na stronach której dajemy kolejną odsłonę tamtej, podkreślam wartościowej literatury. W archiwach nadal znajdują się książki, które jeszcze nie ujrzały światła dziennego.

Stało się też jasne, aby na łamach tego periodyku rozbrzmiewała dawna i współcześnie tworzona poezja i proza. Nasze łamy są otwarte też na twórców spoza naszego kręgu, gdyż nasze miasto, podobnie jak wiele innych, to różnorodne środowisko

literackie. Na stronach rocznika można również odnaleźć twórców z innych regionów kraju.

Nie chcieliśmy się koncentrować tylko na samej prozie i poezji, wyszliśmy poza ten obszar. Wraz z Danką Sepuco, sekretarzem Redakcji, docieramy do twórców, kreujących tożsamość tego, jakże ważnego i wrażliwego miejsca na zachodnich rubieżach Polski. W „Pryzmacie...” znajdują się zatem portrety pisarzy, wywiady, jak z prof. Andrzejem Lamem i prof. Edwardem Balcerzanem. Ale nie tylko z pisarzami. W drugim numerze rocznika przypomnieliśmy Tadeusza Eysymonta, wyjątkowego artystę malarza, który zapoczątkował współpracę literacko-plastyczną z grupą poetycką „Metafora”. W „Pryzmacie”, który oddajemy w Państwa ręce, spotkacie się z Markiem Kazaną, wybitnym muzykiem jazzowym i Teatrem Kana z jego charyzmatycznym dyrektorem artystycznym, Zygmuntem Duczyńskim. Wspólnie z Kaną świętujemy w tym roku nasze ważne daty, my piątą edycję wydania „Pryzmatu”, taki nasz mały jubileusz, a Teatr Kana 45 lat działalności. To niezwykle, mistyczne miejsce z jego twórcą i zespołem opisała Marta Poniatowska w artykule „Piąty wymiar – scenopisanie w Teatrze Kana”*.

Tej wyjątkowej postaci nie sposób zapomnieć, a szczególnie, gdy znało się Zygmunta osobiście. Mogę tylko żałować, że nie udało mi się wtedy napisać scenariusza o pewnej, nietypowej sytuacji w instytucji zamkniętej, którą chciał sam Mistrz wyreżyserować. Ale za to udało mi się namówić Go, aby sztuka teatralna pt. „J.P. odkrywa Amerykę”, na podstawie tekstu Dario Fo, zaistniała w żołnierskiej świetlicy. Została wystawiona i na pewno była intrygująca... ale to wątek na osobny temat. I zawsze z Jego nazwiskiem będzie mi się przypominała Sarah Kane, której książkę „Zbombardowani” mi polecił. Przeczytałem ją jednym tchem, tak jak „Moskwa-Pietuszki”, wchłonęła mnie bez reszty.

Jak w poprzednich edycjach, proponujemy: teksty refleksyjne, eseje, felietony, nowości wydawnicze serii:akcent. I tu muszę się zatrzymać: seria:akcent to jeden z ważnych, naszych, związkowych fundamentów, który opiera się już na blisko stu wydanych książkach, a jego niestrudzoną kreatorką jest Róża Czerniawska-Karcz.

Rocznik jest także miejscem dla debiutów i przestrzenią wypowiedzi młodego pokolenia, o czym mogą świadczyć teksty uczniów ze szkół podstawowych i średnich,

* Marta Poniatowska, absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. W latach 1995-2006 współpracowała z Zygmuntem Duczyńskim, jako sekretarz literacki Teatru Kana. Autorka opracowań i artykułów o tematyce teatralnej i kulturalnej, które publikowała m.in. w czasopiśmie: „Pogranicza”, „Przegląd Uniwersytecki”, „Didaskalia”, „Baborak”, „Refleksje”, „nietak!t”. Współautorka książki Głos czasu. Teatr Kana 25 lat, autorka książki Droga Bramy, za: www.kana.art.pl/o-nas/marta-poniatowska,61.

emanujące „czystym” spojrzeniem, jak tegoroczne, a w tym opis „NOCY POETÓW” w Reczu – tekst o ważnym znaczeniu życia literackiego dla twórców jeszcze przed debiutem książkowym.

Staramy się eksponować cenną twórczość, która pochodzi z najdalszych zakątków naszego regionu. Wymaga to czasami uporczywych i wnikliwych poszukiwań, aby mogła wypłynąć na szersze wody literatury. Ważne są też dla nas jeszcze nigdzie niepublikowane, historyczne teksty literackie, dotyczące Szczecina i Pomorza Zachodniego. Miało to już miejsce w artykule Mariana Kalemby „Proweniencja francuskich śladów piśmienniczych w Szczecinie”.

Nasz periodyk to także płaszczyzna dla poezji eksperymentalnej, forum wymiany poglądów i spostrzeżeń, prezentowania postaw wobec polifonii poezji (nasz pionierski eksperyment), sztucznej inteligencji.

Tematyka jest dosyć różnorodna, ale staramy się zasadniczo płynąć na wybranym, szczecińskim i zachodniopomorskim, literackim azymucie, nie wolni od mgły i sztormów.

Ważnym elementem rocznika jest jego szata graficzna – strona tytułowa i obrazy dopełniające teksty oraz druk Wydawnictwa „Hogben”, sprzyjające lekturze.

A plany na przyszłość... To stałe budowanie tekstów, swego rodzaju tworzenie słownych witraży, przez które patrząc odnajduje się niezgłębione bogactwo świata widzialnego i tego, czego nie można dostrzec okiem.

Koncepcja, cierpliwość, nieustanne poszukiwania autorów tekstów jeszcze „nieodkrytych”, a nade wszystko determinacja, aby takie pismo istniało i miało rację bytu, to chyba, a raczej na pewno, nasza dewiza.

Miejmy nadzieję, że wytrwamy jak najdłużej na tym naszym, literackim żaglowcu, wokół którego częsty szkwał zanim wpłynie do słonecznego portu, aby rozwijać każdego roku swoje niepowtarzalne, papierowe żagle, łopoczące na wietrze wolności.



Leszek Dembek
Prezes ZLP O. Szczecin

Spis treści

HISTORIA I TERAŹNIEJSZOŚĆ

Marian Kalemba

**Wskazówki dla poszukiwaczy francuskich śladów piśmienniczych
związanych ze Szczecinem 13**

Marek Rudnicki

Intrygująca historia rodu Paderewskich 25

PORTRETY

Marta Poniatońska

Piąty wymiar – scenopisanie w Teatrze Kana 43

Andrzej Dzierżanowski

O Bursewiczu 90

Ryszard Markow

**Stanisław Rakowski,
dziennikarz, działacz sportowy i kulturalny 93**

Andrzej Androchowicz

Piotr Zieliński, wyrobnik niepokorny 108

WYWIADY

[Edward Balcerzan] Z Koła Młodych do Metafory	125
[Andrzej Lam] Przemijająca epoka poetów	134
[Marek Kazana] Saksofonista jazzowy „z przypadku”, który był mu „pisany”	146

REFLEKSJE

<i>Maria Jaremek</i>	
Książki z mojej, domowej biblioteki	155
<i>Aneta Gawriłow</i>	
O ulotności chwil, słów i materii	168
<i>Karol Czejarek</i>	
Jak wspominam szczecińskich pisarzy?	171
<i>Wiktoria Orecka – kl. 8b Szkoła Podstawowa nr 56 w Szczecinie</i>	
Sprawdzian z Jana Kochanowskiego	182

POEZJA EKSPERYMENTALNA

<i>Leszek Dembek</i>	
Kiedy unosi się błysk poezji...?	185
<i>Maksymilian Barski</i>	
Jak interpretować poezję pisaną przez sztuczną inteligencję? Kody kulturowe i język poetycki.	192
<i>Gabriela Raczkowska</i>	
Czy to nie człowiek stworzył maszynę?	201

<i>Małgorzata Hrycaj</i> „Między Weną a Sztuczną Inteligencją”	208
---	-----

ESEJ

<i>Krystyna Rodzewicz</i> Inżynierka	214
---	-----

FELIETON

<i>Marek Słomski</i> Powrót do źródeł, czyli książka ratunkiem dla kultury.	218
---	-----

DRAMAT

<i>Ewa Grabowska</i> „Była... Dziewiąta” komedia kryminalna.	223
--	-----

PROZA

Danuta Romana Słowik.	227
Marek Rudnicki	238

POEZJA

Monika Miłoś	244
Małgorzata Hrycaj	248
Emilia Mehmedow	251

RECENZJA

<i>Wojciech Kral</i> Odrzania Zbigniewa Rokity – dygresje po lekturze	255
---	-----

POETYCKIE IMPRESJE I INTERPRETACJE

<i>Wojciech Czaplewski</i> Gra w pamięć i zobowiązanie	260
<i>Anna Jakubczak</i> Zrodzona z fal	267

NOWOŚCI WYDAWNICZE

<i>Róża Czerniawska-Karcz</i> Wydawnictwa serii:akcent	270
--	-----

Debiuty

<i>Mirostław Strojny</i> Per aspera ad astra	287
<i>Aleksandra Kozłowska</i> Muzy Bocellego	290

MINIATURY LITERACKIE

<i>Małgorzata Nowak-Żukiel</i> Pierwsza gwiazda	292
---	-----

<i>Tomasz Rzeszutek</i> (szakal przemyka...)	296
---	-----

WYDARZENIA

<i>Emilia Mehmedov,</i> XIV Noc Poetów z pierwszej ręki	304
--	-----

<i>Edyta Rauhut</i> Poezja i muzyka w Willi Lentza	308
---	-----

<i>Monika Miłosz</i> Otwarcie Galerii Młodych	312
--	-----

Galeria PRYZMATU	315
------------------	-----

HISTORIA I TERAŻNIEJSZOŚĆ

Marian Kalemba

Wskazówki dla poszukiwaczy francuskich śladów piśmienniczych związanych ze Szczecinem

Wstęp

Ubiegłoroczna publikacja dotycząca francuskich śladów piśmienniczych związanych ze Szczecinem¹ była omówieniem materiałów, na które natrafiłem przypadkowo, przy okazji badań historycznych dotyczących napoleońskiej okupacji tego miasta. Przypomnę, że były to materiały nigdy dotąd niepublikowane w polskich opracowaniach lub były cytowane tylko fragmentarycznie.

Obecnie, dzięki inspirującym rozmowom z Prezesem szczecińskiego oddziału ZLP, powstał pomysł rozwinięcia i uporządkowania tematu.

Aby usystematyzować poszukiwania, wytypowałem okresy historyczne, w których prawdopodobieństwo odnalezienia francuskich śladów piśmienniczych jest szczególnie wysokie. Obejmują one:

- okres funkcjonowania francuskiej gminy hugenockiej (1721-1859),
- pobyt w szczecińskiej twierdzy jeńców wojennych w latach 1794-1795,
- napoleońską okupację Szczecina w latach 1806-1813,

¹ Kalemba Marian: *Proweniencja francuskich śladów piśmienniczych w Szczecinie*. „Przysław Literacki” 4/2024, s. 13-38.

- ulokowanie w Szczecinie żołnierzy francuskich wziętych do niewoli w latach 1870-1871,
- obecność w Szczecinie francuskich jeńców w czasie I i II wojny światowej,
- ewentualne relacje lub wspomnienia personelu dyplomatycznego pracującego w Szczecinie.

Francuska gmina hugenocka (1721-1859)²

Piśmiennicze pozostałości z czasów, gdy utworzona w Szczecinie francuska gmina kalwińska zachowywała wyraźną odrębność kulturową, omówiłem w ubiegłorocznej edycji „Pryzmatu Literackiego”³. Jako podstawowy dorobek piśmienniczy tego okresu należy uznać korespondencję⁴ prowadzoną ze Szczecina przez pastora Jacquesa de Perard (1713-1766) oraz Sophie Tilebein (1771-1854) z czołowymi intelektualistami ówczesnej Europy.

Pobyty w szczecińskiej twierdzy jeńców wojennych w latach 1794-1795

Jak dotąd wzmianki o obozie jenieckim zorganizowanym na terenie Fortu Prusy⁵ dla francuskich żołnierzy, wziętych do niewoli w czasie wojny toczącej przez koalicję państw europejskich z rewolucyjną Francją⁶, napotkałem wyłącznie w pruskich (niemieckich) publikacjach historycznych. Francuzi

2 Na potrzeby niniejszej publikacji, jako granice czasowe odrębności kulturowej gminy przyjęto rok przybycia pierwszych osadników francuskich do Szczecina oraz rok, w którym księgi parafialne zaczęto prowadzić w języku niemieckim. Nieco wcześniej, około roku 1853, wygasła działalność salonu artystycznego pani Tilebein.

3 Kalembe M.: *Proweniencja ...*, op. cit., s. 16-17, 31.

4 Altenburg Otto: *Die Tilebeins und ihr Kreis. Stettiner Bürgerkultur im 18. und 19. Jahrhundert, vornehmlich in der Goethezeit*. Verl.: Saunier. Stettin 1937, s. 147-166.

5 Fort Prusy był wydzieloną częścią szczecińskiej twierdzy. Fortyfikacja ta nie istnieje od końca drugiej połowy XIX w.; dziś jest to teren pomiędzy Aleją Piastów oraz ulicami Narutowicza, Kusocińskiego i Dąbrowskiego.

6 Początkowo król pruski i jego otoczenie potraktowali wybuch rewolucji w 1789 r. z życzliwym zainteresowaniem. Wynikało to z kalkulacji politycznej, że wydarzenia w Paryżu osłabią Francję. Jednak w 1792 r., gdy rewolucyjna Francja wypowiedziała wojnę Austrii, Prusy jako sojusznik austriackiego cesarza również przystąpiły do działań militarnych. Brak sukcesów na polach bitew skłonił Prusy do zawarcia separatystycznego pokoju z Francją w 1795 r. [Clark Christopher: *Prusy, powstanie i upadek, 1600 - 1947*. Wyd. Bellona. Warszawa 2009, s. 265 - 272.]

przebywali tam około ośmiu miesięcy. Jest mało prawdopodobne, aby żaden z tych jeńców nie sięgnął po pióro oraz papier i nie spisał swoich wspomnień – bądź to w czasie pobytu w Szczecinie, bądź też już po powrocie do kraju. Ale nawet jeśli te zapiski zachowały się, być może pozostały wyłącznie w rękopisach. Przełom XVIII i XIX wieku był bardzo burzliwym okresem w historii Francji. Wydarzenia epoki napoleońskiej mogły sprawić, że szybko zapomniano o szczecińskim epizodzie w życiorysach garstki ludzi.

Wobec braku (jak na razie) francuskojęzycznych śladów piśmienniczych o tych wydarzeniach, wspomnę o informacji, jaką o francuskich jeńcach zawarł w swoich „Listach ze Szczecina” J.J. Sell⁷. W opisie Fortu Prusy można znaleźć następującą relację: *...a gdy od jesieni 1794 r. do wiosny 1795 r. przetrzymywano tu kilkuset jeńców francuskich, mieszkańcy mieli pewne dodatkowe dochody z zaopatrywania więźniów, bowiem niektórzy, majątniejsi, posiadali trochę gotówki. Inni jeńcy starali się zarobić coś na wiele sposobów, np. ucząc francuskiego i szermierki albo poprzez wszelkiego rodzaju rzemieślnicze prace, do których byli wynajmowani przez mieszkańców. Również rozrywki organizowane przez Francuzów, ich zabawne gry i ćwiczenia wojskowe, przyciągały do Fortu wielu szczecinian, a w niedziele dziewczęta i kobiety pędziły tam tłumnie, aby tańczyć w karczmach, a także – z Francuzami. Kreski w końcowej części tekstu zostały umieszczone przez autora „Listów”, który w ten sposób dokonał autocenzury swojego opisu.*

Ten sam autor wspomina o jeszcze jednym osadzonym w Forcie Prusy, francuskim więźniu – markizie de Crequy, który: *...spędził tutaj kilka lat na żądanie francuskiego dworu królewskiego, dopóki Francuski Konwent Narodowy⁸ nie przywrócił mu wolności.⁹* Niestety, jak dotąd, nie udało mi się ustalić, czym ów markiz tak bardzo naraził się Ludwikowi XVI, iż musiał uciekać z Francji i że nawet, gdy był poza krajem, dosięgła go karząca ręka władcy. Nie wiadomo także, czy napisał coś o Szczecinie, siedząc tak długo w tutejszym więzieniu. Aby ułatwić poszukiwania ewentualnych pamiętników markiza, ustaliłem dokładniejsze informacje o nim. W monumentalnym słowniku szlachty francuskiej¹⁰ ród de Crequy jest wykazany jako rodzina o średniowiecznym rodowodzie, wywodząca się z regionu Artois. Członkowie rodu osiedlili się później w Pikardii i kilku

7 Sell Johann Jacob: *Briefe über Stettin und die umliegende Gegend auf einer Reise dahin im Sommer 1797 geschrieben*. Verl. Maurer. Berlin 1800, s. 96-97.

8 Konwent Narodowy (Convention Nationale) był zgromadzeniem prawodawczym z okresu rewolucji francuskiej, obradującym od 21 września 1792 roku do 26 października 1795 roku.

9 Sell J.J.: *Briefe ...*, op. cit., s. 96.

10 Aubert de La Chenaye-Desbois François-Alexandre, Badier Jacques: *Dictionnaire de la Noblesse. Tome sixième*. Éd.: Schlesinger. Paris 1865, s. 464-490.

innych regionach Francji, jednak do drugiej połowy XVIII wieku dożyli już tylko nieliczni potomkowie. Cytowany powyżej słownik podaje, że markiz Charles-Marie de Crequy-Hemont¹¹ od 1761 r. był wysokiej rangi dowódcą w armii francuskiej (m.in. w Królewskim Regimentzie Dragonów). Jednak źródło to nie wspomina o późniejszych emigracyjno-więziennych perypetiach tego oficera. Może trzeba przeszukać dokładnie szczecińskie gazety z końcowych lat XVIII wieku, aby ustalić powody uwięzienia markiza albo (i to byłoby najlepsze) odnaleźć jego pamiętniki.

Okupacja napoleońska Szczecina w latach 1806-1813

Ślady piśmiennicze z okresu napoleońskiego zaprezentowałem we wspomnianej, ubiegłorocznej publikacji¹². Te informacje chciałbym obecnie uzupełnić o napoleońską korespondencję wojskową dotyczącą Szczecina, a szczególnie te jej fragmenty, które mówią o losach pojedynczych ludzi, rzuconych w tryby maszyny wojennej przetaczającej się przez Europę.

W czasie wojen napoleońskich nie było innych możliwości technicznych przekazywania rozkazów i meldunków jak tylko forma pisemna wysyłana przez kurierów. Jeśli posłańcowi udało się dotrzeć do adresata, wówczas wszystkie te większe i mniejsze skrawki i arkusze papieru były starannie gromadzone w sztabach jednostek wojskowych, aby mogły trafić do archiwów. Po wielu latach zbiory zostały uporządkowane, opracowane i wydane drukiem przez francuskich historyków.

Spośród dokumentów dotyczących bezpośrednio Szczecina, na potrzeby niniejszego opracowania dwa można uznać za szczególnie interesujące. Pierwszy został napisany w momencie bezpośrednio poprzedzającym zdobycie Szczecina w październiku 1806 roku. Drugi powstał w 1813 r. w okresie, gdy armia napoleońska przygotowywała się do obrony miasta.

O spektakularnym zajęciu przez sześciuset huzarów potężnej, szczecińskiej twierdzy obsadzonej pięcioletnią załogą napisano już bardzo wiele. Tak więc z jednej strony mamy barwne opisy¹³ daleko odbiegające od

11 Markiz Charles-Marie de Crequy-Hemont urodził się w 1738 r. i zmarł bezpotomnie w roku 1801 [wg: Aubert de La Chenaye-Desbois: *Dictionnaire* ..., op. cit., t. 6, s. 484 oraz Chisholm Hugh: *Crequy*. Encyclopaedia Britannica. Vol. 7. (ed. 1911). Cambridge University Press, s. 410-411.

12 Kalemka M.: *Proweniencja* ..., op. cit., s. 19-37.

13 Dupont Marcel: *Les Grandes Vies aventureuses. Le général Lasalle*. Édité: Berger-Levrault, Paris 1929. [Wydanie polskie: (tłum. B. Wieniawa -Długoszowski): *Generał Lasalle*. Wyd.: Księgarnia F.

rzeczywistego przebiegu wydarzeń, tworzące piękną legendę brawurowego fortelu zaplanowanego przez generała Lasalle'a¹⁴, skutecznie zrealizowanego przez jego podkomendnych. Ale mamy też rzetelne opracowania historyczne¹⁵ oparte na dokumentach, prezentujące ogromny sukces generała, polegający na opanowaniu w nienaruszonym stanie mostów przez bagnistą deltę Odry oraz bardzo silnej twierdzy mającej bronić tej strategicznej przeprawy i to w taki sposób, że nie poległ żaden z jego huzarów. Odcięło to także drogę ucieczki na wschód licznym oddziałom pruskim i zostały one wzięte do niewoli. We francuskich archiwach wojskowych zachował się krótki meldunek skierowany przez generała Lasalle'a do marszałka Murata¹⁶ w dniu poprzedzającym zdobycie Szczecina. Oto treść tej korespondencji¹⁷:

Löcknitz, 29 octobre 1806, 10 heures et demie du matin.

Ma brigade est à Löcknitz et placée faisant face à la route de Pasewalk. Plusieurs parlementaires sont allés recevoir la colonne commandée par M. le colonel Poser. J'ai envoyé une reconnaissance sur Stettin.

Lasalle

Hoesicka. Warszawa 1931.]. Arlet Piotr: *Lasalle, Blücher, Grandeau... Szczecin w okresie wojen napoleońskich*. Zeszyty szczecińskie, t. 15, Szczecin 2006, s. 13-15. Czejarek Roman: *Sekrety Szczecina. Część 2*. Dom Wydawniczy Księży Młyn. Łódź 2015, s. 120-124. Domalski Cezary: *Napoleoński Szczecin 1806-1813*. Wydawnictwo Walkowska / JEŻ. Szczecin 2009, s. 18-19 i 21. Kotla Ryszard: *Bastiony, forty, bunkry... Historia umocnień obronnych Szczecina*. Zeszyty szczecińskie, t. 2. Szczecin 2001, s. 25-26. Uffindell Andrew: *Great Generals of the Napoleonic Wars and their Battles 1805-1815*. Publ.: Spellmout. Kent 2003. Wydanie polskie (tłum. Norbert Radomski): *Wielcy generałowie wojen napoleońskich oraz ich bitwy 1805-1815*. Dom Wydawniczy Rebis. Poznań 2007, s. 120.

14 Antoine Charles Louis de Lasalle (1775-1809), słynny generał armii napoleońskiej, dowodzący oddziałami kawalerii. Poległ w zwycięskiej dla Napoleona bitwie pod Wagram, prowadząc do ataku pułk kirasjerów. Szczegóły życiorysu generała w: Six Georges: *Dictionnaire biographique des généraux et amiraux français de la Revolution et de l'Empire (1792-1814)*. Édit.:G.Saffroy. Paris 1934, t. 2, s. 64-65.

15 Granier Herman: *Die Kapitulation von Stettin 1806 und der Staatsminister von Ingersleben*. Baltische Studien N.F. Bd. IV. 1900, s. 1-15. Höpfner Eduard v.: *Der Krieg von 1806-1807. Ein Beitrag zur Geschichte der Preußischen Armee nach Quellen des Kriegs-Archivs. Erster Theil. Der Feldzug von 1806. Zweiter Band*. Verl.: Schropp & Comp. Berlin 1850, s. 213.

16 Marszałek Francji Joachim Murat (1767-1815) sprawujący w armii napoleońskiej naczelne dowództwo nad oddziałami kawalerii. Szczegóły życiorysu w: Six G., *Dictionnaire ...*, op. cit., t. II, s. 242-244.

17 *Löcknitz, 29 października 1806, godzina 10.30 rano. Moja brygada jest w Löcknitz i stacjonuje przy drodze do Pasewalku. Kilku parlamentariuszy wysłałem na spotkanie kolumny dowodzonej przez pułkownika Posera. Wysłałem zwiad w stronę Szczecina*. Tłumaczenie: M. Kalemba. Wymieniony w meldunku pułkownik Poser był oficerem armii pruskiej, dowodzącym dużym zgrupowaniem kawalerii, który negocjował warunki poddania się bez walki oddziałowi generała Lasalle'a. Francuski tekst meldunku pochodzi z: Foucart Paul: *La Cavalerie pendant la campagne de Prusse (7 octobre-7 novembre 1806), d'après les archives de la guerre*. Édit.: Libraire Militaire Berger-Levrault & Cie. Paris 1880, s. 207.

Lektura tych trzech, zwięzłych zdań przenosi nas na chwilę w przeszłość i czyni nas świadkami historycznej decyzji, która uczyniła Szczecin na sześć lat francuskim.

Drugi, dłuższy dokument, jest jednym z kilkunastu listów wysłanych w lutym 1813 r. ze Szczecina przez marszałka Davout'a¹⁸, podczas trwającej kilka dni inspekcji twierdzy Szczecin. Po zakończonej klęską wyprawie na Moskwę, wojska napoleońskie wycofywały się nie tylko z terytorium Księstwa Warszawskiego, ale opuszczały również część ziem niemieckich sięgających aż do rzeki Łaby. W rękach francuskich pozostały tylko niektóre twierdze. Były to: Zamość, Modlin, Toruń, Gdańsk, Kostrzyn, Głogów, Magdeburg i oczywiście Szczecin. Marszałek Davout zlustrował w Szczecinie stan przygotowań do obrony, sprawdził oddziały mające utworzyć załogę twierdzy oraz ocenił dowódców. Listy wysyłane do Eugeniusza de Beauharnais oraz generała Duroca są dowodem rozterek, jakich doznawał w czasie pracy ten niewątpliwie najzdolniejszy z napoleońskich marszałków.

Oto fragment jednego z listów (według francuskiego opracowania¹⁹ historycznego):

[str. 480] ... *J'ai appris ici que c'était le général Grandeau qui était gouverneur de Stettin. Ce général a servi sous mes ordres depuis neuf à dix ans; il n'a peut-être pas toutes les qualités requises pour le commandement de cette place importante, dont la sûreté serait compromise à la première circonstance.*

...*Tu dowiedziałem się, że to generał Grandeau został mianowany gubernatorem Szczecina. Ten generał służył pod moim dowództwem przez dziewięć czy dziesięć lat; chyba nie posiada on wszystkich cech wymaganych do dowodzenia tym ważnym miejscem, którego bezpieczeństwo może być zagrożone już w najbliższym czasie.* [tłumaczenie M. Kalemba]

Niestety rezerwy kadrowe francuskiej armii, po przegranej kampanii moskiewskiej, były na wyczerpaniu. Wątpliwości zgłaszane przez marszałka wobec kwalifikacji generała Grandeau nie spowodowały zmiany na stanowisku gubernatora Szczecina.

18 Louis Nicolas Davout (1770–1823) – marszałek Francji w okresie wojen napoleońskich. Szczegóły życiorysu w: Six G.: *Dictionnaire...*, op. cit., t. I, s. 296–297.

19 Mazade Charles: *Correspondance du Maréchal Davout Prince d'Eckmuhl ses commandements, son ministere 1801-1815. Tome troisième*. Édit.: Librairie E. Plon, Nourrit et Cie. Paris 1885, s. 480, 498–505.

Ślady wojny 1870-1871 w pamiętnikarstwie i literaturze francuskiej dotyczącej Szczecina

Ponad pół wieku po wojnach napoleońskich, w latach 1870-1871, francuscy żołnierze ponownie znaleźli się w Szczecinie. Tym razem nie w roli zdobywców, ale jako jeńcy wojenni. Udało mi się odszukać cztery pamiętnikarskie relacje z tego przymusowego pobytu Francuzów w naszym mieście. Dwie z nich ukazały się we Francji drukiem²⁰ w drugiej połowie XIX wieku, a obecnie są dostępne dzięki cyfryzacji zasobów Francuskiej Biblioteki Narodowej (www.gallica). Swego czasu bardziej znane były wspomnienia Camille'a Habert de Ginesteta, które we Francji doczekały kilku wznowień. Pamiętnik zawdzięczał swoją popularność barwnym opisom jenieckich losów autora. Opowieść zawiera między innymi relację z buntu jeńców oraz przedstawia ucieczkę z obozu.

Zapewne popularność książki pana de Ginesteta spowodowała, że na początku XX wieku środowisko szczecińskich historyków zwróciło na nią uwagę, a jeden z nich, Otto Altenburg, wszczął na łamach naukowego czasopisma „Baltische Studien”²¹ ostrą polemikę z francuskim autorem. Zdaniem Altenburga, Habert de Ginestet przedstawia nieprawdziwie dramatyczny obraz życia w obozach jenieckich usytuowanych w Szczecinie. Niemiecki historyk próbuje podważyć wiarygodność pamiętnikarskiej relacji francuskiego szeregowego żołnierza i dla porównania cytuje zapiski innego jeńca. Jednak nie jest to poprawnie przeprowadzone zestawienie, bowiem odnaleziony przez Altenburga pamiętnik został napisany przez oficera. Tymczasem wszystkie inne źródła informacji²² wyraźnie podkreślają zdecydowane różnice między warunkami internowania oficerów a szeregowych żołnierzy. Nie wdając się w rozstrzygnięcie kto ma rację w tym sporze, chcę tu podkreślić, że Otto Altenburg przyczynił się do odkrycia jeszcze jednego francuskiego śladu piśmienniczego związane go ze Szczecinem²³.

20 Bruchon Ph.: *Neuf mois de captivité en Poméranie, octobre 1870 – juillet 1871: souvenirs d'un Chalonnois*. Édit.: L. Drevet. Corbeil 1886. Habert de Ginestet Camille: *Souvenirs d'un prisonnier de guerre en Allemagne 1870-1871*. Édit. E. Flammarion. Paris 1898.

21 Altenburg Otto: *Französische Kriegsgefangene 1870/71 in Stettin (Aus dem Tagebuch eines französischen Offiziers)*. Balt. Stud. N.F. 23 (1920), s. 147–166.

22 Berghaus Heinrich: *Geschichte der Stadt Stettin, der Hauptstadt von Pommern. II Band*. Verl.: Riemschneider. Berlin und Wriezen a/O. 1876, s. 838-867. Laurent Charles-Marie: *De Paris a Dantzig. Récit d'un Prisonnier*. Édit.: A. Lemerre. Paris 1871. Strub J.: *Rapport sur les prisonniers de guerre français internes à Mayence du mois d'Août 1870 au 24 juillet 1871 avec la liste complète des décès*. Ta ostatnia publikacja dostępna jest wyłącznie poprzez link internetowy na www.gallica (bnf.fr).

23 „Pół roku w Szczecinie 1870/71. (Pamiętnik jeńca wojennego w Niemczech)” – utwór nieznanego z nazwiska francuskiego oficera, przetłumaczony fragmentarycznie na niemiecki przez Waltera

Czwarty z wyżej wymienionych pamiętników nigdy nie został wydany drukiem, nawet we Francji. Pozostaje jak dotąd wyłącznie w formie manuskryptu²⁴, którego autorem jest Auguste Champiot, sierżant 71. pułku piechoty. Podoficer ten był internowany jako jeńiec wojenny w obozach leżących na terenie dzisiejszego Szczecina, początkowo w Krzekowie (Kreckow), następnie w Fortcie Prusy (Fort Preußen)²⁵, a później w Dąbiu (Alt Damm). Manuskrypt liczący 72 strony zawiera wspomnienia i dokumenty napisane w niewoli w Szczecinie. Opis pobytu w Szczecinie zajmuje strony od 48. do 57. Podobnie jak w innych pamiętnikach, przedstawione są trudne warunki życia jeńców, którzy cierpieli z powodu zimna, złego odżywienia i licznych chorób powodujących wysoką śmiertelność. Moją uwagę zwrócił wpis na stronie 55., o ufundowaniu ze składek jeńców pomnika na cmentarzu w Dąbiu, gdzie zostali pochowani ich kole-dzy. Mimo panującego niedostatku, udało się zebrać kwotę 73 talarów (odpowiednik 273,5 ówczesnych franków). Natomiast na 64. stronie manuskryptu autor zapisał treść inskrypcji umieszczonych na trzech ściankach pomnika.

Wojskowy cmentarz w Dąbiu, gdzie pochowano jeńców wojennych z wojny 1870-1871, a później z pierwszej wojny światowej, przetrwał do początku lat siedemdziesiątych XX wieku²⁶. Niestety, inwestycja przemysłowa na tym terenie doprowadziła do całkowitej likwidacji nekropolii. Ale może dzięki zapiskom sierżanta Champiota uda się odtworzyć chociaż ten niewielki obelisk i ustawić go w okolicy dawnego cmentarza.

Na koniec tej części artykułu jeszcze jedno „odkrycie”, dotyczące twórczości inspirowanej wojną francusko-pruską 1870-1871. Siedem lat po zakończeniu tego konfliktu zbrojnego, w Paryżu, ukazała się powieść o losach francuskiego żołnierza, który trafił do obozu jenieckiego w Szczecinie²⁷. Jest to zapewne jedyny romans napisany kiedykolwiek w języku francuskim, którego akcja toczy się w naszym mieście. Opis wydarzeń, zarówno tych wojennych, jak i związanych z pobytym w niewoli, prowadzony jest w żartobliwym tonie, dalekim od patetycznego języka, w jakim napisane są cytowane powyżej pamiętniki. Główny bohater powieści Lucien Delbrouz szybko zdobywa sympatię czytelników, choć autor często w sposób nieco ironiczny przedstawia jego

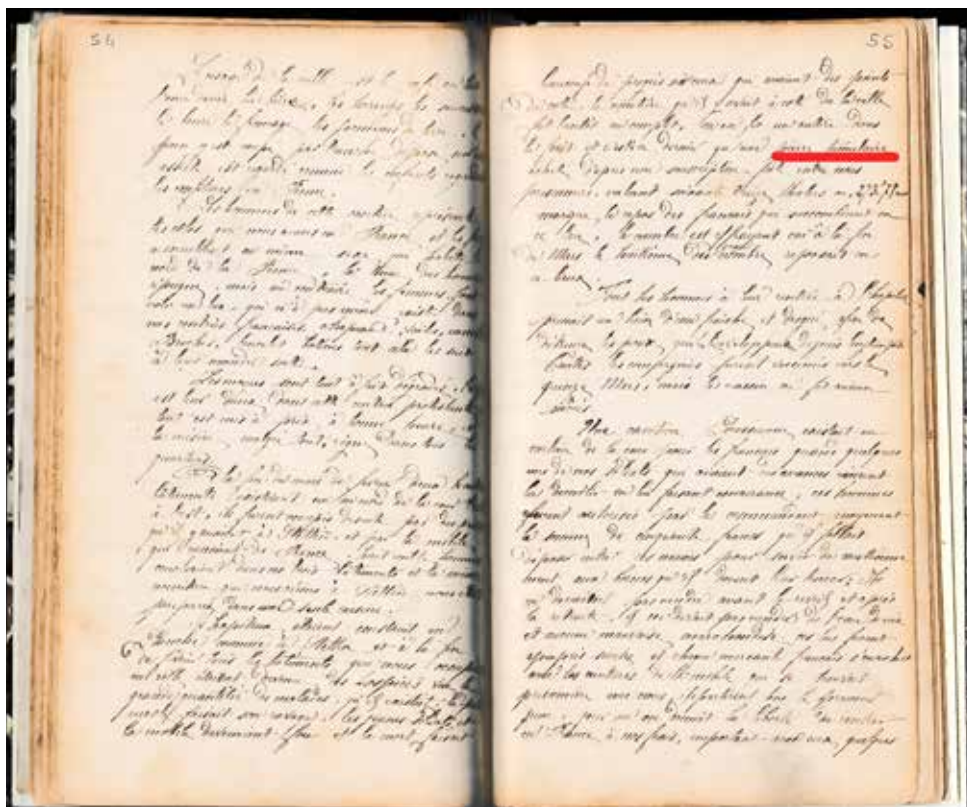
Paapa. Informacja o istnieniu pamiętnika pochodzi z wyżej wymienionej publikacji Otto Altenburga.

24 Champiot Auguste: *Campagne et captivité, 1870 et 1871*. Manuskrypt został przekazany Agencji konsularnej Francji w Szczecinie w październiku 2018 r. Obecnie kopia dokumentu została, za zgodą rodziny autora, udostępniona przez konsula honorowego Republiki Francuskiej w Szczecinie, Pierre'a-Frédérিকা Webera, na potrzeby niniejszej publikacji.

25 Fort Prusy – patrz przypis nr 5.

26 Frankiewicz Bogdan: *Szczecińskie cmentarze. Stettiner Friedhöfe*. Wyd.: TPS. Szczecin 2003, s. 65.

27 Laurent Charles: *L'amour en Prusse*. Édité.: A. Ghio. Paris 1878.



Auguste Champiot – fragment manuskryptu

poczynania. Natomiast na próżno szukać na kartach książki dokładniejszych opisów Szczecina, są one bardzo ogólnikowe, a autor w żadnym fragmencie powieści nie wymienia pełnej nazwy miasta, w którym toczy się akcja. Określając miejsce pobytu głównego bohatera pisze tak: *Il fut interné à S..., grande ville de Prusse, située sur l'Oder, dans le voisinage du Danemark.*²⁸

Przypuszczam, że powieść jest oparta na osobistych doświadczeniach autora, ale niezwiązanych ze Szczecinem, bowiem Charles Laurent, który także trafił do pruskiej niewoli w latach 1870-1871, znalazł się w obozie jenieckim w Gdańsku. Zanim napisał powieść, opublikował po powrocie z niewoli swoje wspomnienia²⁹. Oba utwory są dostępne na www.gallica.

²⁸ Został internowany w S..., dużym mieście w Prusach, położonym nad Odrą, w sąsiedztwie Danii. [Laurent Ch.: *L'amour ...*, op. cit., s. 11.]

²⁹ Laurent Charles-Marie: *De Paris a Dantzig. Récit d'un Prisonnier*. Édité: A. Lemerre. Paris 1871.

Obecność w Szczecinie francuskich jeńców w czasie I i II wojny światowej

W czasie I i II wojny światowej na obszarze całego Pomorza Zachodniego Niemcy zorganizowali wiele obozów dla wziętych do niewoli oficerów i żołnierzy francuskich. Niektóre pozostawione przez nich ślady piśmiennicze zostały już odnalezione, inne czekają z pewnością na odkrycie przez wnikliwych badaczy.

W kwartalniku „Przegląd Zachodniopomorski”, wydawanym przez Uniwersytet Szczeciński, ukazała się przed piętnastu laty recenzja³⁰ książki wydrukowanej w Stanach Zjednoczonych w roku 1943. Amerykańskie wydawnictwo E. P. Dutton opublikowało wówczas przetłumaczone na język angielski wspomnienia francuskiego jeńca wojennego Jeana Hélióna, który od marca 1941 roku przebywał w obozie pracy przymusowej, zlokalizowanym w Szczecinie na statku „Nordenham”. Statek był zacumowany na nabrzeżu przylegającym do terenu, którego dzisiejszy adres to ul. Gdańska 36/38 (obszar dawnej Stoczni Remontowej Parnica). Francuzowi udało się uciec z obozu, przedostać do Marsylii i w październiku 1942 roku odpłynąć statkiem do USA. Nowe wydania tej ciekawie napisanej książki są dostępne w Internecie. Ale na początek zachęcam, aby zapoznać się z treścią cytowanej powyżej recenzji.

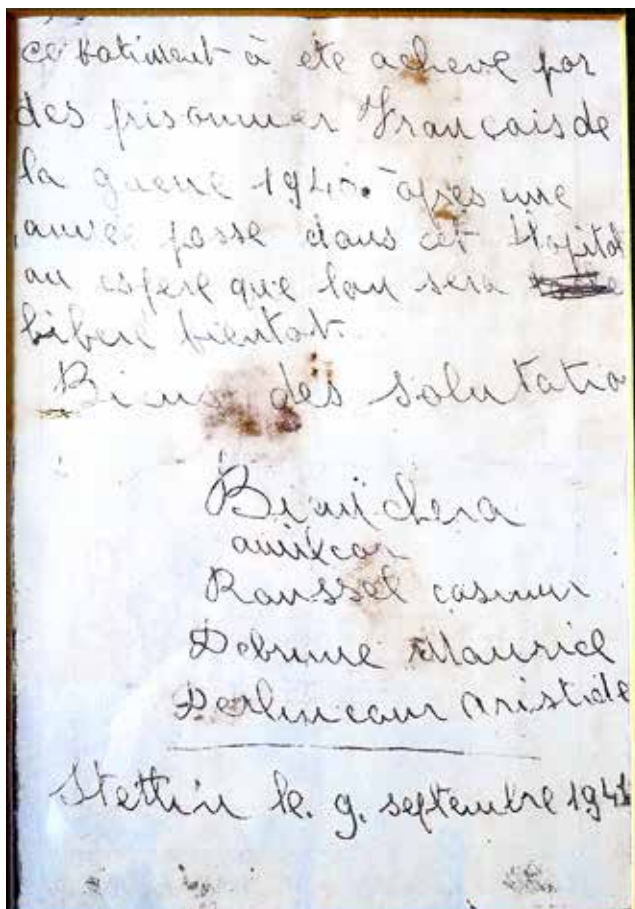
Na inny, niewielki, ale wzruszający ślad piśmienniczy z okresu II wojny światowej natrafiłem przypadkowo w Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym nr 1³¹ w Szczecinie. Przed wielu laty w trakcie kolejnego remontu, znaleziono pod więźbą dachową pawilonu Zakładu Anatomii Patologicznej list umieszczony w tym miejscu we wrześniu 1941 roku przez czterech francuskich jeńców wojennych, którzy pracowali przy remoncie niemieckiego wówczas szpitala. Oryginał listu został przekazany Ambasadzie Republiki Francuskiej. Natomiast kopia jest wyeksponowana w gabinecie Dyrektora Szpitala.

Treść listu: *Ten budynek był remontowany przez jeńców francuskich wojny 1940, którzy po roku spędzonym w tym Szpitalu mają nadzieję, że zostaną wkrótce uwolnieni.*

30 Moczulski Janusz: *Nieznane wspomnienia francuskiego jeńca wojennego więzionego na Pomorzu Zachodnim w latach 1940-1942. Jean Hélión: They Shall Not Have Me (Ils ne m'auront pas)*. Przegląd Zach-Pom. 2009. Zeszyt 3, s. 137-152.

31 Uniwersytecki Szpital Kliniczny nr 1 im. prof. Tadeusza Sokołowskiego Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie, ul. Unii Lubelskiej 1.

Fotokopia listu odnalezionego
w USK nr 1.



ce bâtiment a été achevé par
des prisonniers français de
la guerre 1914. après une
autre fosse dans cet hôpital
au caser que l'on sera ~~le~~
libre bientôt.
Bonne des solutatio
Bonne chera
amical
Roussel casimir
Dobrunne Maurice
Dorlincour Aristide
Stettin le 9. septembre 1944

Składam Dyrekcji
Szpitala gorące podzię-
kowania, że ów nigdzie
dotąd nie publikowany
dokument mogę przed-
stawić w niniejszym ar-
tykule.

Relacje personelu dyplomatycznego

Relacje francuskich dyplomatów z pobytów w licznych krajach świata mają długą tradycję. Są źródłem bogatej wiedzy historycznej o minionych epokach. Przykładem takiego dokumentu jest pamiętnik³² napoleońskiego ambasadora w Warszawie, prezentujący obraz Polski z czasów Księstwa Warszawskiego.

W Szczecinie po raz pierwszy francuską agencję konsularną utworzono już w 1800 r.³³, a na stanowisko przedstawiciela ds. handlowych (*Agent des Relations commerciales*) został wówczas powołany François Billiot. Placówka

32 Pradt Dominique (tłum. polskie P. Dąbrosz-Drewnowska): *Historia ambasady w Wielkim Księstwie Warszawskim w roku 1812*. Wyd.: Napoleon V. Oświęcim 2016.

33 W szczecińskim Archiwum Państwowym spoczywa od ponad 200 lat kopia dokumentu, który 6 marca 1800 r. (a według kalendarza obowiązującego w republikańskiej Francji: 16 ventôse 8 roku

ta działała do roku 1813. Następne konsulaty działały w latach 1833–1873. Również w okresie powojennym, w latach 1946–1950, funkcjonował w Szczecinie konsulat Republiki Francuskiej³⁴.

Niestety jak dotąd nie natrafiłem na opublikowane, ogólnodostępne, francuskojęzyczne relacje członków korpusu dyplomatycznego dotyczące Szczecina. Natomiast na stronie internetowej: <https://archivesdiplomatiques.diplomatie.gouv.fr> zawarte są informacje o istnieniu dokumentacji z działania wyżej wymienionych konsulatów w wieku XIX.

Dwie uwagi na zakończenie

Przepraszam za błąd przeoczony w czasie korekty ubiegłorocznego artykułu. Podpis pod ilustracją na stronie 34. (*Fotokopia listu J. Jacqueta*) winien brzmieć: „Fotokopia listu André Louisa Jouy’a”. Niestety na fotokopię listu J. Jacqueta zabrakło wówczas miejsca.

Nie będąc profesjonalnym badaczem historii literatury nie planuję kontynuacji poszukiwań francuskich śladów piśmienniczych związanych ze Szczecinem. Ale dzięki Redakcji „Pryzmatu Literackiego” zostały poczynione pierwsze kroki na tej drodze. Udało się zgromadzić materiał stanowiący bazę bibliograficzną przydatną do penetracji tematu. Ogromne postępy, jakie dokonały się w ostatnich latach w cyfryzacji zbiorów bibliotecznych i archiwalnych (szczególnie francuskich i niemieckich) bardzo ułatwiają dostęp do cytowanych źródeł informacji. Gdyby obie publikacje w „Pryzmacie Literackim” stały się punktem wyjścia dla pracowników naukowych i studentów Uniwersytetu Szczecińskiego do dalszych szczegółowszych badań, cel wykonanej przeze mnie pracy zostałby zrealizowany. Należy bowiem rozpowszechniać wiedzę, że o dawnym Szczecinie pisano nie tylko po niemiecku.

W imieniu Zarządu Stowarzyszenia Alliance Française w Szczecinie dziękuję Redakcji za kolejne zaproszenie do przedstawienia na łamach „Pryzmatu Literackiego” zapomnianych śladów francuskiej obecności w naszym mieście.

28 października 2024 r.

Republiki) podpisali: Napoleon Bonaparte, Charles Talleyrand-Perigord oraz Hugues-Bernard Maret. [AKS, sygn. I/681]

³⁴ Techman Ryszard, Osiewicz-Maternowska Małgorzata: *Konsuln der Französischen Republik in Stettin in der Jahren 1946-1950*. *Studia Maritima*. 2009. Vol. 22, s. 117-153.

Intrygująca historia rodu Paderewskich

Jednym z najbardziej rozpoznawalnych obrazów Salvadora Dalí jest „Trwałość pamięci”. Nad jasnoblękitną powierzchnią morza rozciąga się jasnożółta poświata zachodzącego słońca. Cztery zegary. Ten o niebieskiej tarczy spływa z bazowego postumentu. Chodzi po nim mucha, symbolizująca upływający czas. Tuż obok pomarańczowy zegarek, pokryty mrówkami, jakby tuż przed zjedzeniem go przez insekty. Ile pozostaje w pamięci po latach, które przemigły?

Wartam Szałamow, pisarz rosyjski zauważał, że badacze pracujący metodą wywiadów biograficznych znajdują ciepłe uczucia, a często wręcz idealizowanie pewnych okresów w życiu swoich rozmówców, którzy często chcą pamiętać właśnie „to, co dobre”. Zapewne wrodzone tym akurat osobom optymistyczne nastawienie do świata sprzyja takiemu cyzelowaniu obrazu własnej przeszłości.

Prolog

Wstęp powinien wprowadzać w temat. Dziś zamiast rzeczowego przekazu portale epatują wymyślnymi figurami retorycznymi mającymi tylko jeden cel – zachęcenie do zatrzymania się na tekście. Dlaczego? Żyjemy w czasach mamony, a liczba przyszłych reklam uzależniona jest od liczby odsłon portalu. Filozofka dr Deni Elliott uważa, że takie praktyki powszechnego dziś oszustwa dziennikarskiego to akt przekazywania wiadomości nie tylko przez kłamstwo, ale także przez ukrywanie informacji, aby doprowadzić kogoś do fałszywego przekonania. Musiałem to rzec, bo aż korciło mnie rozpoczęcie od zgrabnego myku w stylu „Biografowie Paderewskiego kłamią”.

Pewnego dnia zadzwoniła do mnie szczecińska pianistka, Jadwiga Paderewska-Wawrzynkiewicz, prosząc o spotkanie. Była zdegustowana po lekturze świeżo przeczytanej, kolejnej biografii Ignacego Paderewskiego.



Jadwiga Paderewska-Wawrzynkiewicz
(zdj. Marek Rudnicki)

– Oni tak mało wiedzą, tylko powielają siebie nawzajem – stwierdziła. – Ja panu opowiem, jak to było, a pan już zrobi z tym, co zechce.

Zaciekawiła mnie, w czym ci owi odtwarzacze czyjegoś życia mogą się mylić.

Pani Jadwiga zmarła w ubiegłym roku i już nie ma jak dopytać się o szczegóły jej przeżyć, a pytania nasuwają się dopiero po czasie. Nic to, wówczas po spotkaniu napisałem kilka słów, może więcej, ale tylko tyle, ile standardowo dało się zmieścić na stronach „Głosu Szczecińskiego”. Dziś pewnie zrobiłbym więcej, ale cytując za Dee Shulmanem samokrytycznie stwierdzam: *Czas płynie zbyt wolno dla tych, którzy czekają.*

Po publikacji odezwał się do mnie inny krewny Paderewskiego, dopowiedział historię kolejnej linii rodzinnej kompozytora. A później z moim udziałem doszło do ich spotkania. Bardzo wzruszającego.

Czy wspomnienia pani Jadwigi, związane z młodością, odzwierciedlały w pełni minione dni? Czy te dotyczące przyszłego prezydenta Polski, są wiarygodną wersją, czy w pewnym sensie wymaginowaną przez optymistyczne nastawienie do świata? W każdej historii opowiedzianej po latach lęgną się czasem „pewniki”, które ocierają się o przeszłe zdarzenia, budząc odczucia, które dziś trudno zweryfikować. Wyrazistym przykładem są chociażby wspomnienia ludzi z Solidarności, tak niby niedawnej, a więc obrazy powinny być ostre jak przysłowiowa żyłtka, a ich wersji jest wiele i to często diametralnie różniących się od siebie.

Dosyć. Przejdźmy do pełniejszej historii opowiedzianej mi przez panią Jadwigę.

Drugie słowo wstępu

Jadwigę Paderewską-Wawrzyńkiewicz los nie rozpieszczał. Opowiadając mi o swojej młodości nie narzekała na nią, bo – jak żartowała – nie jest to w jej naturze i ciągle żyje. Wówczas, mimo zaawansowanego wieku, miała nawet ucznia, któremu przekazywała miłość do muzyki i pianina. Jedyne, czego żałowała, to tego, że „nikt do tej pory nie spisał drzewa genealogicznego całej rodziny Paderewskich”.

– Wprawdzie napisano sporo książek, ale poświęconych jedynie Jemu jednemu, pianiście, kompozytorowi i politykowi (od aut.: Ignacemu Paderewskiemu) – mówiła. – O jego bracie, Stanisławie, moim dziadku, odnalazłam w tych biografjach jedynie drobne wzmianki. Najczęściej jednozdaniowe. Nierzadko też niezgodne z tym, co słyszałam od ojca, Bolesława Paderewskiego i mamy (od aut.: Józefy Paderewskiej z domu Husak), traktowane jedynie jako formalny wypełniacz słowa „rodzina mistrza”.

Powstanie styczniowe

W tym największym podczas zaborów zrywie, trwającym od 22 stycznia 1863 roku do jesieni 1864 roku, obejmującym obszar całej dawnej Rzeczypospolitej, mającym szerokie poparcie międzynarodowej opinii publicznej, brał czynny udział pradziadek pani Jadwigi, Jan Paderewski.

– Nie pamiętam, czy dziadek Stanisław (od aut.: syn Jana) też brał udział w postaniu, ale chyba nie, bo urodził się później, za coś jednak, za jakąś działalność przeciw caratowi został aresztowany i wysłany na Sybir – wspominała pani Jadwiga, nie potrafiąc tego rozdziału rodzinnej historii precyzyjnie zlokalizować w czasie. – Jak by nie było, obaj trafili na Sybir, może tylko w innym czasie. Nie wiem. Jedno jest pewne, że pradziadek Jan przed wywózką siedział jakiś czas w więzieniu w Kijowie.

Pradziadek wrócił z Syberii po trzech latach. Jego syn, Stanisław nie miał takiego szczęścia i nikt mu wyroku nie skrócił. Nie mógł się z tym pogodzić i uciekł z Syberii. Po dotarciu do rodzinnych stron ukrywał się w majątku koło

Berdyczowa, zarządzanym przez swoją ciotkę. Jego śmierć to tajemnica, bo fakty podawane przez oficjalne informacje nie zgadzają się z tymi, o których mówiła pani Jadwiga.

Po kolei jednak, zacznijmy od urodzin wielkiego kompozytora.

Gdzie urodził się Ignacy i czy na pewno

W biografii kompozytora Ignacego Paderewskiego zapisano, iż urodził się w Kuryłówce na Podolu. To miejsce niby jest pewne, ale czy do końca? Do tego wątku wrócę dalej.

Jego matka, Poliksena z domu Nowicka, zmarła wkrótce po jego narodzinach. Tu odzywa się pewne fatum, ale o tym też dalej. Jedynym opiekunem Ignacego i jego starszej siostry Antoniny był ich ojciec, Jan Paderewski.

Do tej pory wspomnienia pani Jadwigi i wersja biografów Ignacego Paderewskiego są prawie zgodne. Gorzej ze szczegółami, czego przykładem losy

dziadka Stanisława po powstaniu. Według części biografów, został skazany tylko na rok więzienia w Kijowie. W dalszej części historii rodziny, historia opowiedziana przez panią Jadwigę bardziej różni się od tej, którą promują biografowie kompozytora.



Ignacy Jan Paderewski, 1891 r. (zdj. zakład fotograficzny Elliot&Fry)

Szlachectwo z Żytomierza

Pewne niejasności udało się wyjaśnić historykowi, Rusianowi Kondriatiukowi. Rezultat wielu badań ujawnił z okazji obchodów w Żytomierzu 140. rocznicy urodzin Ignacego Paderewskiego. Chodzi o wołyńsko-żytomierskie korzenie rodziny. Zdobył je, studiując akta Gubernialnego Zgromadzenia Szlacheckich Deputatów zachowane w archiwum wojewódzkim Żytomierza.

Przytacza szereg interesujących faktów.

Według zapisów akt gubernialnych Ignacy Paderewski przyszedł na świat w Podilli (dalej wyjaśnię tę zawziętość i pozorną niezgodność z tym, co podają biografowie), choć jego przodkowie pochodzili z innych stron. Z dokumentów Archiwum Państwowego Ziemi Żytomierskiej jego praprapradziadek Szymon, a po nim Wojciech i Adam, byli właścicielami wsi Paderewki na ziemi drohickiej. Syn Szymona, Kazimierz, ożenił się w XVII w. z Anną Wyrozembską i był spokrewniony z rodziną posiadającą dobra ziemskie na Wołyniu. W ten sposób przedstawiciele rodziny Paderewskich dotarli na teren Ukrainy.

Żeby nie było łatwo w tej genealogii, dodajmy za ukraińskim historykiem jeszcze kilka faktów.

W 1735 roku wspomniany Szymon Franciszek i jego żona Rozalia (z domu Obrytska) otrzymali od Antoniego Wyrozembskiego (prawdopodobnie ojca Rozalii) część wsi Rogożany w powiecie włodzimierskim na Wołyniu. Szymon – raz jeszcze przypomnę dla łatwiejszego rozeznania w herbarzu – był bratem pradiadka Ignacego, Jana, który później kupił od niejakiego Ignacego Gżymali część wsi Didkovichi (Didkowiszi?) w powiecie owruckim. Jan później sprzedał ten odziedziczony majątek (część wsi Didkovichi) niejakemu Mateuszowi Ramsztyńskiemu. Natomiast majątek dziedziczny rodu Paderewskich, wieś Paderewka i część wsi Łazowa w obwodzie drohickim, bracia Jan (pradiadek kompozytora) i Józef (cześnieśnik ziemi drohickiej) oraz Kaspar rozdzielili między sobą. Dalsze losy majątku nie są mi znane.

Żeby dalej nie było łatwo, należy przytoczyć jeszcze jeden dokument, tym razem dotyczący kompozytora. A mianowicie jego petycję w sprawie „O szlacheckim pochodzeniu rodu Paderewskich”, a konkretnie o wpisanie jego drugiej żony, Heleny Marii, do księgi genealogii szlachty województwa wołyńskiego.

Jak wspomina historyk, to jedyny tego rodzaju dokument, na jaki natknął się w ciągu ponad 5 lat pracy nad sprawami wołyńskiego sejmku szlacheckiego. Co spowodowało taką prośbę? Helena Maria pochodziła z domu baronów Taube.

Tu potrzebne wyjaśnienie. Antenaci rodu Taube pochodzili z terenów Inflant, Estonii i Kurlandii. Według niemieckiej literatury, „Taube” nazywani byli „szlachtą bałtycką”. Myślę, że tyle wystarczy. Helena Maria miała więc szlacheckie pochodzenie, ale jak zaznacza historyk, *rodzina Paderewskich miała w takich sprawach gorzkie doświadczenie. Przez 26 lat przodkowie Ignacego Jana musieli udowadniać swoje szlacheckie pochodzenie i gromadzić odpowiednie dokumenty. Ostatecznie sprawę rozwiązano pozytywnie. Ale nawet tutaj były oficjalne reperkusje. Paderewskich przeniesiono z szóstej części księgi genealogicznej (w której w prostej linii wpisano ich przodków) do pierwszej (czyli do części nowo nobilitowanej szlachty) i zatwierdzono nazwiskiem „Poderewski”.*

– Domysłów na ten temat może być wiele. – Rozważa tę kwestię Oleg Łagowski, naczelnik Żytomierza w artykule Towarzystwa Dobroczynnego „Cmentarz katolicki” – Ale jedno można przyznać z całą pewnością: w tamtym czasie, w lipcu 1902 roku Ignacemu Janowi nie przyszło do głowy myśleć o opuszczeniu ojczyzny. Tak wyjątkowe połączenie cech polityka, patrioty i artysty w jednej szlachetnej duszy mogła wykształcić się właśnie w tej krainie.

Wróćmy do czasów nieco nam bliższych i historii życia kompozytora.

Co z tym miejscem urodzin

Dziadek Ignacego, Józef Paderewski mieszkał w miasteczku Iwnica w powiecie żytomierskim. Tu urodził mu się syn Jan, który później osiadł na Podolu, gdzie 6 listopada 1860 roku we wsi Kuryłówka przyszedł na świat Ignacy Jan Paderewski. To ta tajemnica, którą wcześniej sygnalizowałem. Bo w aktach Gubernialnego Zgromadzenia Szlacheckich Deputatów, jako miejsce narodzin kompozytora, podawane jest inne, Podilla.

Tu niezbędne jest wyjaśnienie. Podilla (ukraińska nazwa – Поділля, polska – Podole; do 1960 roku nosiła nazwę – Poznanka Gnifa), to wieś na Ukrainie w obwodzie tarnopolskim, w rejonie podwołoczyskim. Może więc w aktach gubernialnego zgromadzenia podano jedynie okręg, a nie konkretną wieś?

W tamtych czasach ze skrupulatnością chyba mieli kłopoty. Przykład? Kondriatiuk odnalazł podanie, złożone przez szlachcica Jana Paderewskiego 10

stycznia 1872 roku z prośbą o wniesienie syna Ignacego do księgi rodowej. Dlaczego nie uczyniono tego zaraz po jego narodzinach? Ano, ponoć był słabowitego zdrowia. I dlatego wpisu dokonano dopiero po dwunastu latach (Ignacy Paderewski urodził się 18 listopada 1860 r.). Podobna prośba, skierowana do Wołyńskiego Gubernialnego Zgromadzenia Szlacheckich Deputatów w Żytomierzu o nadanie praw szlacheckich, dotyczyła również synów urodzonych z drugiego małżeństwa Jana (ojca kompozytora) z Anną Tackowską, tj. Józefa, któremu imię nadano po dziadku i Stanisława. W archiwum Żytomierskim przechowywane są też kopie metryczne dzieci Paderewskich, świadectwo ślubne oraz inne dokumenty. Wśród tych dzieci była także przyrodnia siostra Ignacego Paderewskiego, Maria, którą kompozytor próbował w latach 30. ubiegłego wieku bezskutecznie wydostać z sowieckiej Ukrainy.

Z archiwalnych danych wynika też, że pradziadek pani Jadwigi, Jan Paderewski (zmarł w 1894 roku, a trzy lata później jego druga żona, Anna) był człowiekiem majątnym, a nie, jak sugerują to współcześni biografowie Ignacego Paderewskiego, tylko administratorem majątku Iwanowskich. Był właścicielem wielu nieruchomości i prowadził rozległe interesy handlowe. W 1894 roku osiedlił się na stałe w Kijowie, gdzie został także wpisany do Rejestru Szlachty Guberni Kijowskiej. To może świadczyć o tym, że wspomnienia pani Jadwigi, która też o tym wspominała, mają w pewnych szczegółach wartość większą, niż przytaczają to biografowie Ignacego Paderewskiego.

Maria – wróg ludu

W 1890 roku Ignacy Paderewski nabył w Żytomierzu dom przy ul. Podolskiej 12A, w którym zamieszkał, jego ojciec z drugą żoną, Anną z Tackowskich, przyrodni bracia (Józef i Stanisław) oraz siostra Maria.

Dom stoi do dziś w Żytomierzu, ale jest w bardzo złym stanie. Niegdyś w jednym jego skrzydle mieszkał, po powrocie z zesłania na Syberię, ksiądz Józef Ulanicki (szlachcic, syn Spirydona i Justyny z Tońskich), przygarnięty przez Marię Paderewską, która wówczas przez władzę sowiecką uznawana była za „wroga ludu”. Nie stosowano wobec niej drastycznych sankcji typu więzienie, czy zsyłka do łagrów, bo była siostrą kompozytora sławnego na cały świat. Za to prześladowano, stosując bardziej subtelne metody. Maria nie dostawała żadnej wiadomości od brata, mimo że do niej pisał. Zatajono też przed nią

możliwość uzyskania spadku po bracie. Wszelkie wiadomości związane z Paderewskim były przed nią skrzętnie ukrywane i tuszowane.

Historia tej przyrodniej siostry kompozytora jest niesłychanie smutna i tragiczna. Jak pisze dr Magdalena Przysiężna-Pizarska („Historia jednego zabytku: grób rodziny Paderewskich w Żytomierzu”), pochowano ją w nieznanym grobie, bez pomnika, bez krzyża i do dnia dzisiejszego w nieznanym miejscu.

Trzy lata temu tak pisała o Marii:

„Pamięć o Marii wśród najstarszych mieszkańców Żytomierza jest wciąż żywa. Jej dawny sąsiad, mieszkaniec Podola – Cezary Duński, opiekował się nią podczas choroby. Wspomina z rozrzewnieniem wieczory muzyczne, które były urządzone w jednym ze skrzydeł domu, mówił, że ludzie zbierali się na ulicy, „czasem wielkie tłumy” i słuchali w milczeniu, delektując się muzyką. Jej sąsiad przechowywał część rzeczy, które niegdyś należały do Marii, ale bał się przyznać do ich posiadania, bo groziły mu represje z tego powodu. „TA POLSKA” rodzina uznana była za „wrogów narodu”. Dopiero pod koniec XX w. ujawniono pamiątki rodzinne, gdzie wśród drogocennych rzeczy, znajdowały się również dwa albumy koncertowe, szkice portretu młodego Paderewskiego, jego książki i zdjęcie salonu muzycznego. Wśród relacji mieszkańców przeżywa się smutna opowieść o Marii, która sprzedawała nuty, rodzinne pamiątki czy książki, aby kupić jedzenie... Podobnie po jej śmierci wynoszono z domu przedmioty i sprzedawano. Maria jedno z pomieszczeń poleciła zamurować – jak wspomina w 1993 r. Walenty Grabowski – zostawiła tam najcenniejsze pamiątki rodzinne, zdjęcia, pianino, rękopisy muzyczne z sześcioma nieznanymi utworami. Dzięki staraniom Związku Polaków w Żytomierzu udało się ustalić szereg nieznanych faktów, które dotyczyły rodziny Paderewskich. Ustalono między innymi, iż w latach 30. XX w. artysta starał się wydostać Marię ze Związku Radzieckiego. Starania spełzły na niczym. Nie udało się uwolnić siostry”.

Dziś na żytomierskim cmentarzu dwa nagrobki nawiązują do kompozytora. Pierwszy, usytuowany na wzniesieniu, pokazuje miejsce pochówku rodziców kompozytora, Anny i Jana. Drugi, „oddalony od pierwszego, na drugim końcu cmentarza, schowany za kaplicą, jest pamiątką, nie mogiłą. Upamiętnia przyrodną siostrę pianisty – Marię”. Jest to grób symboliczny, ufundowany przez Polaków mieszkających w Żytomierzu.

Uszkodzony grób Jana i Anny Paderewskich
(zdj. Magdalena Przysiężna-Pizarska)



Dramat pierwszej miłości

Wróćmy do samego Paderewskiego. Wśród wielu tajemnic jest też i ta, dotycząca żon. Odnaleziono podanie Ignacego Paderewskiego z 17 czerwca 1902 roku, skierowane do przewodniczącego szlachty wołyńskiej z prośbą o wpisanie do księgi rodowej żony Heleny Marii z domu Rosen. Na dokumencie widnieje podpis artysty. Kim jest owa Rosen? Trochę cierpliwości, dojdziemy i do tego.

Pierwszą żoną i wielką miłością Ignacego Paderewskiego była Antonina Korsakówna, jego uczennica w konserwatorium, gdzie otrzymał pracę. Oboje byli niemal w tym samym wieku, tyle że ona, jak się rzekło, uczennicą, on zaś profesorem. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Obopólna. Tak wielka, że Paderewski niemal od razu poprosił rodziców Antoniny o jej rękę. Uzyskał zgodę. Ślub odbył się w 1879 roku (data podawana przez Soci  t   et Mus  e Paderewski w Morges) lub 1880 roku. Z tego zwi  zku urodzi   si   Alfred. Niestety szcz  cie nie trwa  o d  ugo.



Antonina Korsak (1861-1880)

W rok później Antonina, mając zaledwie 19 lat zmarła, a u syna stwierdzono nieuleczalną chorobę polio. Paderewski był załamany. Może obwiniął syna za śmierć żony? Takie fakty się zdarzają. Jak by jednak nie było, po śmierci ukochanej żony powierzył wychowanie syna swojemu ojcu, a później Helenie, żonie przyjaciela, skrzypka

Władysława Górskiego. De facto – Helena była świadkiem na ślubie z Antoniną. Sam zaś wyjechał na studia kompozytorskie do Berlina u Friedricha Kieła. Spełnił w ten sposób życzenie Antoniny, która uważała, że to pewniejszy zawód niż kariera pianisty.

A kim jest owa Rosen?

To druga żona, wspomniana już przyjaciółka, której powierzył wychowanie syna, Alfreda. Helena Maria z domu Rosen.

– Miała męża, skrzypka, Władysława Górskiego, oboje byli w przyjaźni ze stryjem – mówi z przekazem pani Jadwiga i dodaje: – Stryj zresztą wiele zawdzięczał Górskiemu. To była prawdziwa przyjaźń i może z tego powodu tak długo zwlekał z małżeństwem z Heleną, choć więź między Górskimi dawno się rozpadła. Wie pan, to były inne czasy, oni wszyscy żyli w kręgu cyganerii artystycznej. Związki w środowisku bohemy, wzajemne układy, są dla współczesnego społeczeństwa całkowicie niezrozumiałe. Za plecami Górskiego

pewnie nawiązał się między nimi romans, bliskość, trudno powiedzieć. Helena dużo czasu poświęcała Alfredowi, dobrze się nim opiekowała. Sporo czasu żyli w konkubinacie, nie spiesząc się z małżeństwem, może ze względu na tę przyjaźń z Władysławem Górkim, może z innych względów, nie pomnę.

Z innych danych wynika, że Helena Górka podjęła w 1895 roku starania w Warszawie o unieważnienie pierwszego małżeństwa z Władysławem Górkim. Jak by nie patrzeć, od śmierci Antoniny minęło już kilkanaście lat. Kto zabiegał o zalegalizowanie związku? On, czy ona? Co ciekawe, wynajęła adwokatów, którzy jako powód podnieśli dwa fakty. Pierwszy, że w chwili małżeństwa była niepełnoletnia i nie było na małżeństwo zgody jej ojca. I drugi – ślub z Górkim odbył się w parafii – to też z dzisiejszego punktu widzenia mało zrozumiałe – do której ani ona, ani on nie należeli.

Unieważnić małżeństwo udało się dopiero po czterech latach. I dopiero wówczas, 31 maja 1899 roku Helena Górka, mając wówczas 43 lata, dopięła swego i poślubiła Ignacego Paderewskiego. Znali się już od dwudziestu lat, przyjaźnili. Jak by nie patrzeć, to musiała być miłość, choć – dodajmy gwoli sprawiedliwości – kompozytor był z natury kochliwy. Wokół niego zawsze kręciły się zakochane w nim kobiety, w tym tak utytułowane i wpływowe, jak chociażby księżna Rachel de Brancovan, czy księżna Aleksandra Bibesco.

Ślubem nowożeńcy powinni się chwalić, radość z tego powodu powinna ich uskrzydlać, ale w tym przypadku Ignacy i Helena chyba starali się nie nagłaśniać połączenia ich węzłem małżeńskim. A dlaczego? To pewnie tylko oni wiedzieli, a nawet sam Paderewski (sic!) na początku ślubu nie potwierdzał.



Helena Paderewska z d. Górka

Małgorzata Woźna-Stankiewicz z Uniwersytetu Jagiellońskiego („Nieznane fakty z biografii (nie tylko) Paderewskiego”) tak to opisała:

„Ponowne małżeństwo Ignacego Paderewskiego, ślub kościelny z Heleną 31 maja 1899 r. w warszawskim kościele św. Ducha, stał się faktem publicznym po pięciu dniach. W dużych ośrodkach kultury na ziemiach polskich, w Warszawie, Krakowie, Lwowie oraz w Poznaniu, miejscowa prasa podawała tę wiadomość od 5 do 10 czerwca, zaznaczając, że Paderewski przybył do Warszawy incognito, a grono ślubnych gości było „szczupłe”. Nie wiemy natomiast, kiedy z Morges sami Paderewscy rozesłali do przyjaciół i innych osób powiadomienia o zawartym przez nich ślubie, których egzemplarze znajdują się m.in. w Archiwum Akt Nowych i w Bibliotece Jagiellońskiej. W Europie i na Wyspach Brytyjskich ta informacja – rozpowszechniana głównie między 8 czerwca a 22 czerwca – została odebrana jako sensacyjna lub wątpliwa. Sam Paderewski dość długo publicznie ślubu nie potwierdzał, a jego sekretarz, Hugo Görlitz początkowo temu zaprzeczał, podnoszono kwestię pierwszej żony wirtuoza i jego syna, pisano o przerwaniu przez pianistę miesiąca miodowego spędzającego w Szwajcarii. Wytworzona wokół postaci wielkiego pianisty tajemnicza aura podnosiła i tak już bardzo duże zainteresowanie jego koncertami w Europie i w Ameryce”.

– Był zakochany w Helenie, to nie podlega dyskusji– opinia pani Jadwigi w tej kwestii była sugestywna i jednoznaczna. – Co nie zmienia faktu, że starsza od niego o cztery lata Helena kręciła nim, jak młynkiem do kawy Zdarzało się, że wparowywała do gabinetu z pretensjami o jakąś drobnostkę, nie zważając, że on w tym czasie prowadził ważne rozmowy z politykami. Za nic miała gości. Nawet otwierała pocztę dyplomatyczną, nie pytając męża o zdanie. Chodziła w rodzinie plotka, że sprawdzała, czy nie jest to przypadkiem list od jakiejś faworyty.

Ta „zła” Helena

Opinia o „złej Helenie” zaintrygowała mnie. Próbowałem „wycisnąć” z pani Jadwigi więcej na ten temat. Sprowadzenie wielkiego człowieka z piedestału i pokazanie go, jako normalnego mężczyzny, było ciekawsze wówczas dla mnie, niż losy jego krewnych. Pani Jadwiga chyba to wyczuła. Początkowo tylko wzruszała ramionami i trudno było ocenić, czy była to reakcja na moje pytania, czy odpowiedź na własne myśli.

– Na zachowanie Heleny narzekał sam Ignacy, choć – drugi raz to podkreśliła – bardzo ją kochał.

Widząc chyba moje zainteresowanie tym wątkiem dodała:

– Kiedyś za rozrabianie w szkole mój młody wówczas ojciec został przez stryja Ignacego wezwany „na dywanik”. A Helena, proszę to sobie wyobrazić, nie wpuściła go do domu. Ignacy miał później pretensje, że mimo wezwania nie przyszedł, a gdy tłumaczył się, że nie wpuściła go Helena, jego twarz zaszała chmurą i tylko coś tam pod nosem zamruczał.

Dopytuję o to wspomniane „wparowywanie” do gabinetu. Pani Jadwiga rozeźmiała się, komentując, że Helena miała nie tyle taki charakter, co chęć za władnięcia mężem tylko dla siebie i nie dzielenia się nim z nikim. Bez względu na to, czy byli to ministrowie, posłowie czy inni politycy.

– Demonstrowała to niejednokrotnie, choć on przecież jako premier miał swoje obowiązki. Na porządku dziennym była jej niegrzeczna postawa wobec tych ludzi, bo uważała, że „premierowanie” jest tylko w jego życiu incydentem, a on powinien grać, bo to jego prawdziwe powołanie.

Podobną opinię wyraża Małgorzata Brzezińska w książce „Helena Paderewska – kontrowersyjna pierwsza dama”, która stwierdza, że kochająca Helena, patriotka, zasłużona dla Polski, po odzyskaniu niepodległości, chyba nie potrafiła odnaleźć się w roli pierwszej damy: „Ignacy stanął na czele rządu na początku 1919 roku. Wydawało się, że 54-letnia światowa kobieta, która znała kilka języków obcych, miała okazję spotkać największe osobistości ówczesnej epoki, będzie idealną pierwszą damą. A jednak Helena Paderewska została zapamiętana jako postać kontrowersyjna. Przeciwnicy zarzucali jej, że wywierała wpływ na decyzje Paderewskiego, ingerowała w sprawy dotyczące rządu. Jeśli któryś z podwładnych jej męża wdał się z nią w konflikt, tracił stanowisko. Według wspomnień Adama Grzymały-Siedleckiego „potrafiła z domowym interesem albo nawet z jakąś swoją nerwową pretensją, wtargnąć do gabinetu Paderewskiego, gdzie on odbywał oficjalną konferencję”.

De facto, Helena w latach trzydziestych ciężko zachorowała. Z tego powodu kompozytor odwołał nawet swoje zimowe tournée po Stanach Zjednoczonych. Zmarła 16 stycznia 1934 r. w posiadłości Paderewskich Riond-Bosson w Tolochenaz koło Morges w Szwajcarii. Kompozytor przeżył ją o 7 lat. Została pochowana na cmentarzu w Montmorency pod Paryżem obok Alfreda, wspomnianego już syna ze związku z Antoniną (zmarł w 1901 r. w wieku

21 lat). To wówczas Paderewski wyraził życzenie, że chce być w przyszłości z nimi pochowany.³⁵

Biografowie nie wiedzą

– Dziadek, Stanisław Paderewski wrócił z Syberii potajemnie, bo z niej prosto uciekł – pani Jadwiga wróciła do kwestii życiorysu swojego dziadka, bo ten element rodzinnej historii wydawał się dla niej niezwykle istotny. – Gdzieś jednak musiał mieszkać i pracować. Zatrudniła go ciotka w majątku pod Berdyczowem, którym zarządzała w imieniu młodej właścicielki, Wandy, która pochodziła z Radziwiłłów. Od nich to zresztą otrzymała majątek i pałac.

Stanisław, jak głosiła wieść rodzinna, był niezwykle przystojnym młodzieńcem. Rodzina właścicielki majątku postanowiła wyswatać Wandę z młodym Polakiem. Nie bez przyczyny. O jej rękę namolnie zabiegał jakiś Rosjanin. A że Stanisław i Wanda mieli się ku sobie, szybko doszło do ślubu. Mieli trójkę dzieci: Helenę (wystaną w wieku 12 lat do Anglii „na nauki”), Bolesława (ojca pani Jadwigi) i Kazimierę.

– Z opowiadań ojca wynikało, że dziadka i babcię zabili chłopci, gdy kończyła się wojna, ta pierwsza wojna światowa – opowiadała. – Mówił, że zrobili to bolszewicy. Tata tak ich określił. Jego i młodszą siostrę Kazię uratował lokaj, który widział, co się dzieje, a był mocno związany z dziadkiem i jego rodziną. Wyprowadził ich z pałacu, dał konia i zaopatrzył w jedzenie, i kazał uciekać w kierunku zachodnim, do centralnej Polski, do stryja, Ignacego. Skąd wiedział o stryju, nie wiem, ale przypuszczam, że był na tyle sławnym, że wówczas każdy w Polsce wiedział, kim jest kompozytor i że są jego krewnymi.

Wróćmy jeszcze na chwilę do postaci dziadka pani Jadwigi, bo to też jest niewyjaśniona tajemnica. Według oficjalnych wzmianek Stanisław, syn Jana Paderewskiego, urodził się w 1875 roku w gminie Sudytków w powiecie Zasławskim, w południowej części guberni wołyńskiej.

Ukończył w 1892 roku szkołę wojskową w Kijowie i Akademię Górniczą w Loeben. Brał udział w wojnie rosyjsko-japońskiej. W 1914 roku wstąpił do Legionów Polskich, gdzie w stopniu porucznika został dowódcą 3. kompanii, tzw. rzeszowskiej VII batalionu. Poległ w bitwie pod Krzywopłotami w czasie

35 za https://pl.wikipedia.org/wiki/Helena_Paderewska

szturmu na Załęże. Został pochowany w mogile legionowej na cmentarzu w Bydlinie, a miejsce jego śmierci upamiętniono głazem z pamiątkową tablicą.

Gdzie więc zginął? Podczas szturmu na Załęże, czy z rąk bolszewików?

– Nie wiem, co wypisują, ale pamiętam to, co opowiadał mi ojciec – upierała się stanowczo przy swojej wersji pani Jadwiga. – A z tego, co mówił wynikało, że był to rok 1918, a nie 1914 i dziadek Stanisław na pewno nie zginął w czasie wojny. A poza tym gdzieś czytałam, że zdobył wykształcenie górnicze w Akademii Górniczej w Leoben w Austrii. I że pracował jako inżynier na Morawach, w kopalni „Mortimer” w Zagórzcu itd. Może to prawda, ale dlaczego ani słowa wzmianki o żonie Wandzie, o majątku, który posiadali, zupełnie tego nie rozumiem. Przecież tata nie kłamał, nie wymyślił sobie historii śmierci rodziców. A poza tym przecież on i ciotki, Helena i Kazia, nie wzięli się z kapusty, prawda?

Zamilkła, jakby bijąc się z własnymi myślami, po czym dokończyła stanowczo:

– Dziadek z babcią zostali zamordowani w pałacu przez bolszewików. Na wojnie wiele osób uznawano za zabitych, a później się znajdowali. Tata opowiadał wiele rzeczy, które robił z ojcem i to w okresie, w którym według biografów dziadek nie powinien już żyć.

Pokręciła głową, wzięła głęboki oddech i kontynuowała:

– Tata opowiadał też, jak po tym długo przedzierali się „do Polaków”. Po drodze przymierali z głodu i chorowali na tyfus. W końcu spotkali polskiego urzędnika, który dostarczył ich do Warszawy, a stąd do Poznania, do stryja, Ignacego. Otoczył ich opieką. Kazia i on poszli do szkoły. Ona została oddana do szkoły klasztornej, a tata trafił do bursy i rozpoczął naukę. Nad finansami ich dwójki czuwał zaufany stryjka, młody prawnik, Sylwin Strakacz. Miał tylko żal do stryja Ignacego, że latem nie brał go do siebie na czas wakacji. Ponoć nie życzyła tego sobie jego żona, Helena. Spędzał więc je w Parchaniu, majątku Władysława Sikorskiego, a jego towarzyszką była wówczas córka Sikorskiego, Zosia.

Statkiem na Syberię

Najnowsza historia dotyczy już najbliższej rodziny pani Jadwigi. Mieszkali w Dolinie koło Stanisławowa. Ojciec był dyrektorem jakiegoś zakładu, a ponadto trudnił się budownictwem.

Po wybuchu II wojny światowej nie został powołany do wojska. Gdy szale wojny przechyliły się na korzyść Niemców i Rosjan, do ich dworku przyjechał



Józefa Paderewska na Syberii z dziećmi, 1941 r.; od lewej: 12-letni Jerzy, 5-letnia Wanda, 12-letnia Jadwiga.

przyjaciół ojca, major, którego nazwiska nie pamięta. Namawiał ojca, by uciekali na Węgry, a stamtąd do Szwajcarii do stryja, Ignacego. Mówił, że nadchodzą Rosjanie i przekonywał, że jak wkroczy Armia Czerwona, potraktuje ich jak obszarników i wrogów ludu.

– Ojciec chciał uciekać, ale mama się postawiła, że nie mogą, że wszystko stracą, cały dorobek życia i że Rosjanie nie są tacy groźni – pani Jadwiga, wypowiadając te słowa umilkła na chwilę, po czym głęboko westchnęła i dodała cicho: – Nie wiem, dlaczego ojciec zgodził się z tą głupią argumentacją i uległ hysterii kobiecej. Gdyby mama była mądrzejsza, być może tata by jeszcze wiele lat żył.

Rosjanie po wkroczeniu do Stanisławowa (tu przebywała rodzina w swojej willi, którą posiadała prócz luksusowego mieszkania w Dolinie) kazali zebrać się na rynku całej miejscowej inteligencji pod pretekstem rozdziału miejsc pracy.

– Ojciec i jego dwóch kolegów nie poszło – wspominała. – I dobrze, bo gdy już wszyscy przyszli, zostali na miejscu rozstrzelani. Ojca i tak, po jakimś donosie, wkrótce aresztowano i wsadzono do więzienia. Przysłał stamtąd gryps, aby mama z nami natychmiast uciekała. Znowu nie posłuchała. Zbyt długo

zwlekąca, wahała się, a może po prostu bała się. Zostaliśmy wraz z innymi wywiezieni do Krasnojarska, dokąd pociągiem jechaliśmy cały miesiąc.

W Krasnojarsku było wielu aresztowanych w różnych stronach Polaków i Ukraińców. Spędzono ich na stadion sportowy, na którym bez mycia i z głodowymi racjami żywnościowymi koczowali cały tydzień pod czujnym okiem strażników. Stąd część osób zagoniono na statek kursujący po Jeniseju, który ruszył na północ.

– Na tym statku spotkaliśmy panią Wandę Jaruzelską z synem, Wojciechem i chyba moją rówieśniczką, jego siostrą, Teresą – mówi, uśmiechając się smutnie. – Matki Ignęły wówczas do siebie, targane strachem o los rodzin. Pani Wanda mówiła, że Jaruzelscy nie pierwszy już raz trafiają na Sybir. Ich i jakieś dwie młode hrabianki wysadzono po drodze. My trafiliśmy do Jarcewa, a stamtąd dalej barką przetransportowali nas do takiej leśnej osady Smolnej.

Na miejscu zesańcy zamieszkali w barakach, gdzie konali z zimna zimą i z upału oraz robactwa latem. Karczowali las. Zarówno dorośli, jak i małe dzieci, które też musiały pracować. Do Polski wrócili w 1946 roku. Zamieszkali w Stargardzie Szczecińskim.

W 2018 roku w rozmowie z dziennikarzem „Kuriera Szczecińskiego”, Romanem Cieplińskim pani Jadwiga (miała wówczas 92 lata) opowiedziała historię „Nagusa”, dużej lalki, którą otrzymała w 1936 roku podczas obchodów rocznicy niepodległości w szkole powszechnej w Stanisławowie. Miała wówczas dziesięć lat. Zagrała wówczas na pianinie poloneza Ogińskiego „Pożegnanie ojczyzny”. Ta lalka przypominała niemowlaka. Cztery lata później, kiedy jechały już na Syberię, „Nagus” opatuloną w poduszkę, udawał prawdziwego niemowlaka.

– Kiedy w kwietniu 1940 roku wywieźli nas na Syberię, na Wyspę Skazańców w Krasnojarskim Kraju nad Jenisejem – wspominała w rozmowie z Cieplińskim – dzięki tej lalce, która udawała niemowlę, dostawaliśmy dodatkową porcję mleka.

Post scriptum

Pani Jadwiga ukończyła w 1954 roku szkołę fortepianu w średniej szkole muzycznej w Szczecinie pod kierunkiem prof. Haliny Nowackiej Durnaś.



Jadwiga Paderewska-Wawrzynkiewicz

Kiedyś akompaniowała podczas występów Henrykowi Wawrzynkiewiczowi, uczniowi Didura. De facto – Adam Didur, jeden z najznakomitszych polskich basów, był nieślubnym synem Wincenty Jasińskiej, córki leśniczego z Sękowej Woli koło Sanoka, prawnuczki Barbary Potockiej z Wieliczki i ziemianina, właściciela dóbr Sękowa Wola, Jakuba Brochwicz – Wiktora, ale to już osobna historia.

– To była miłość od pierwszego wejrzenia – uśmiechała się na wspomnienie męża i tamtej chwili. – Taka prawdziwa, nie filmowa, na dobre i złe. Bardzo mi go brakuje.

PORTRETY

Marta Poniatowska

Piąty wymiar – scenopisanie w Teatrze Kana

Może powinniśmy zaufać fragmentowi, jako że fragmenty tworzą konstelacje zdolne opisać więcej i w bardziej złożony sposób, wielowymiarowo.

(Olga Tokarczuk, „Czuły narrator”)

DESKI

Niedawno, przy okazji przeglądania archiwalnych artefaktów, jeden z aktorów Kany zdjęł z regału dwie stare deski z przyklejonymi do nich ponumerowanymi rysunkami. Przypominało to komiks – szkice postaci, przedmiotów, relacji... Te dwie deski okazały się scenariuszem „Sit down tragedy”, spektaklu opisywanego jako: improwizowana kompozycja sceniczna na czwórkę aktorów, 27 krzeseł, 131 metrów sznurka, 9 świeczek, 2 lustra, 1 żelazko, 7 litrów wody, 5 kostek cukru, kromkę chleba, 25 żarówek i 26 kartek wyrwanych z literatury... I chociaż na scenie pada w nim zaledwie kilka, może kilkanaście zdań, chociaż wydaje się on bardzo formalny, chociaż aktorzy pełnią w nim bardziej funkcję animatorów zarządzających przedmiotami i obiektami, niż pełnoprawnych postaci dramatycznych, to obecność tych dwudziestu sześciu, podświetlonych żarówkami, naderwanych kartek z tekstami, jest tu bardzo znacząca – odczytywane na głos pod koniec przedstawienia, stają się one symbolicznym kluczem



Piotr Starzyński w spektaklu „Sit down tragedy”, reż. M. Isaev, P. Semchenko (zdj. Piotr Nykowski)

interpretacyjnym dla tej (ułożonej w kalejdoskop performatywnych, zdarzeń) opowieści o świecie, „na który brakuje już słów, w którym krzyczeć można jedynie przez milczenie i ciszę”.

Jak piszą twórcy: *Spektakl jest swoistym rewersem „stand-upowej” rzeczywistości*

ści, z którą wszyscy na co dzień się zmagamy – ironicznym, pełnym czarnego humoru komentarzem do spraw codziennych, lokalnych, globalnych i ostatecznych. Jest próbą diagnozy i mierzeniem się z nieuchronnością. Jest też okrutną w swojej radykalności, a jednocześnie pełną czułości przypowieścią o losie i o przypadku, o lęku i samotności. „Sit down tragedy” to także wyraz naszej niezgody na nieprawości obecne w przestrzeni publicznej. Chcieliśmy wyrazić naszą złość, upomnieć się o zasady i wartości. Dać sygnał, że nie jesteśmy obojętni.³⁶

Przedstawienie to powstało długo już po odejściu (to znaczy, jakkolwiek trudno przychodzi to wypowiedzieć, po „nagłej i niespodziewanej” śmierci) założyciela i wieloletniego lidera Kany, Zygmunta Duczyńskiego. I pozornie bardzo różni się od tego, co on proponował widzom. Budowane w kooperacji z petersburskim „teatrem inżynieryjnym” Akhe, oparte jest przede wszystkim na warstwie wizualno-ruchowej oraz nieoczywistym wykorzystaniu

36 <https://www.kana.art.pl/spektakle/sit-down-tragedy>

przedmiotów i ich kontekstowej wieloznaczności. „Redukując” aktorów do równoprawnych wobec innych obiektów elementów skomplikowanej scenicznej konstrukcji/kompozycji, spektakl pozornie ogranicza ich ekspresję do znaku/działania. Nie ma tu miejsca na rozbudowane monologi, przywoływanie prawdy emocji, na słowa, które próbują dotknąć sedna...

A przecież... Zygmunt rozumiał i znał Teatr Akhe. Zapraszał ich wielokrotnie do Szczecina, w szafie z VHS-ami na honorowym miejscu trzymał zapis nagrany w Kanie spektaklu „White Cabine”, uwielbiał kręcone przez tę grupę ekspresjonistyczne, stylizowane na początki niemego kina artystyczne etiudy filmowe. I vice versa: Maksim Isaev i Pavel Semchenko Zygmuntowi właśnie poświęcili podarowany mu później obraz oraz mural przy Łące Kany, na których – przeżywając jakby „pokrewną duszę” – przedstawili go jako „Alchemika Przemiany”.

W przedstawieniach Teatru Akhe Zygmunt odnajdywał to wszystko, czego sam poszukiwał i co kochał w teatrze: kreatywność, wielowymiarowość, wrażliwość na sztukę, ironię, absurd, poczucie humoru, wycucie scenicznego czasu, adekwatność formy. A przede wszystkim prawdziwą opowieść o człowieku. Słabym, złamanym, zmagającym się z rzeczywistością, bezradnym, ale też zbuntowanym wobec opresyjności polityki i historii. Uwikłanym w siebie i w rzeczywistość, a jednocześnie bohatercko zmagającym się ze światem, walczącym o własną godność, patrzącym w oczy lękom i demonom, ryzykancko prowokacyjnym wobec przecucia śmierci. I pytającym o duszę, tęskniącym do światła. I te wszystkie elementy próbował odnajdywać zarówno w tym co oglądał, czytał, czego słuchał, jak i w tym, co tworzył. A tworząc właśnie teatr, posługiwał się materia najdelikatniejszą z możliwych, najtrudniejszą chyba i najbardziej nieprzewidywalną – drugim człowiekiem.

ZRĘCZNE ŚRODKI

Teatr Zygmunta od zawsze był teatrem opartym na człowieku. Napotkanym przez niego niejednokrotnie dość przypadkowo, dostrzeżonym bardziej intuicją niż wyborem, materializującym noszone w głowie obrazy przekładane na żywą energię spotkania. Tworząc scenariusze kolejnych swoich przedstawień uważnie wsłuchiwał się w literaturę (poczynając od Lipskiej, przez Andrzejewskiego, Mandelsztama, Geneta, Jerofiejewa, Roberta Shneidera, Dario Fo, Sarę Kane, po Dea Loher), traktując ją jednak jako punkt wyjścia – i w niej, i we wszystkim wokół, szukał tego, co rezonowało. Nie traktował

utworu literackiego jako pełnej kompozycji, ale jako zarys melodyczny, który – dopełniony kontekstami, obrazami, metaforycznymi „zagęszczeniami”, światłem, dźwiękiem, skontrapunktowanym słowem, emocją, barwą, a przede wszystkim fizycznością, cielesnością, głosem, siłą spojrzenia i przełożonym na sceniczne działania, życiowym doświadczeniem konkretnego aktora/człowieka – przekształcał się w wielowymiarową orkiestrę.

W Zygmuncie teatr (jako sposób myślenia, postrzegania, interpretowania, a przede wszystkim intensyfikowania świata) zaistniał znacznie wcześniej, niż przyszła świadomość czym on właściwie jest.

Już od wczesnej młodości odczuwałem bardzo mocno coś, co chyba mógłbym nazwać instynktem gry. Ciągłe wymyślałem jakieś historie i przeżywałem je bardzo mocno, nieraz narażając się zresztą na śmiech i drwinę rówieśników (...) Może ta skłonność do przesady była związana ze starą jak świat potrzebą tworzenia rzeczy według własnych wyobrażeń...? A może to była taka nieświadomiona gra o kolorzy życia (pewnie też mająca związek z potrzebą wyróżnienia się) – taka moja prywatna próba transformacji czasu zrodzona pod ciśnieniem nudy, pustki, marazmu. Trudno powiedzieć. Ale chyba właśnie wtedy odkryłem, że jeśli robisz coś z pełnym przekonaniem, to w jakiś sposób to jednak działa. Kiedy potem, w szkole kazano mi recytować wielkich romantyków (miałem wtedy niski stopień ze sprawowania, a na dodatek byłem śmiertelnie zakochany w dziewczynie z klasy – trzeba było jakoś poprawić reputację), to odczułem w sobie bardzo mocno terror pewnego oczekiwania – jakiś wewnętrzny przymus, żeby nie zawieść. W takiej sytuacji, paradoksalnie, najmniej myślisz o tekście. Mówisz go, niewiele z niego rozumiejąc, ale... mówisz go z jakiegoś powodu. I to działa.³⁷

Tekst (opowieść) był więc dla niego od początku bardziej wehikułem emocji i energii (a nawet, przywołując tezy Georgija Gurdżijewa: „drogą człowieka przebiegłego”, zręcznym środkiem wpływania na rzeczywistość), nie zaś linearnie rozczytywanym nośnikiem znaczeń. Bardziej ukrytym skrótem, niż porządkującym i opisującym świat pejzażem. Bardziej poezją, niż prozą.

POEZJA

I od poezji się zaczęło... Pierwszy oficjalny spektakl Kany (pod tytułem „Spektakl”) oparty był na wierszach Ewy Lipskiej.

³⁷ Zygmunt Duczyński, w: „Głosy czasu. Teatr Kana 25 lat”, pod red. Marty Poniatowskiej, Radosława Jaguckiego, Małgorzaty Mostek, wydawnictwo: Studio 69, Szczecin 2005, s. 8.



Wybrałem wtedy Lipską, bo była dla mnie bardzo zrozumiała, bliska. Umiiała prześmiewać rzeczy trudne, pisała: „Samobójstwo należy popełnić po śniadaniu. Na śniadanie najlepiej wypić szklankę mleka, mleko zawiera dużo witaminy A”. Robiła to z niezwykłym wyczuciem absurdu, prostym, choć poetycko wyszukany językiem. To, co najbliższe sercu w tej poezji, to mocny metafizyczny bunt przeciw agresji choroby, przeciw cieniowi, który śmierć rzuca na nasze życie. Niezwykły twórczy wysiłek w kierunku unieszkodliwienia, oswojenia bólu, choroby, śmierci (...) Te wiersze i to, co w nich pod spodem żyło, to był wtedy dla mnie wspaniały materiał na przedstawienie.³⁸

Scenariusz spektaklu „Spektakl” (czy raczej, nałożony od razu na tekst pomysł realizacyjny) rozpoczyna się od końca, od śmierci. W dziwnej, muzealnej jakby przestrzeni, na wielkim regale, zamiast książek leżą przykryte prześcieradłami ciała. Na początku panuje cisza i ciemność, potem słychać dźwięki miasta, śmiechy, głosy ludzi, odgłosy samochodów (nagrane przez Zygmunta na magnetofon kasetowy w pobliżu Bramy Portowej), wreszcie światło rozświetla regał. Wchodzi postać w czarnym garniturze (Kustosz?, Strażnik?, Guślarz?) i powołuje do życia kolejnych bohaterów, zrywając z nich prześcieradła. Pierwszą osobą jest Poetka (alter ego Lipskiej), potem kolejne... *Spektakl zbudowany był tak, że wokół bohaterki postaciowały się jakby najważniejsze problemy, które wyczułem w tych wierszach...³⁹*

38 Z. Duczyński, tamże, s.9.

39 Z. Duczyński, tamże, s.10.

Ten zabieg, w którym Autor spotyka swoich bohaterów, postacie, wspomnienia, w którym następuje moment przejścia, powrotu, przywrócenia do życia, w którym dwuwymiarowa kartka książki/księgi zyskuje wymiar nie tylko przestrzenny, ale także „ucieleśniony” realną obecnością aktora, pojawia się również w innych spektaklach Kany. Bardzo często też taki podział na wewnętrzną i zewnętrzną rzeczywistość zaznaczony jest elementami scenografii: w „Spektaklu” jest to wspomniany regał, w „Księdze o życiu, śmierci i twórczości Osipa Mandelsztama” – żelazne ramy Księgi/Cerkwi i kufer, z którego wychodzi Prześlawca, w „Czarnych światłach” – „genetowskie” parawany, wreszcie w „Nocy” drewniana tym razem Księga/Cerkiew, kufry, z których wyłaniają się (jak spod ziemi) Żyd Górewicz i Alchemik Pawlik oraz rama wypełniona rozpiętym na niej pergaminem, przez którą przebija się (w braterskie „Kozaków wirowanie”) Wienia Jerofiejew, i przez którą na końcu odchodzi w noc.

Ale podobny motyw pojawia się także w jednym z najnowszych spektakli Teatru Kana, zrealizowanym w innym czasie, z innym zupełnie reżyserem i bez bezpośredniego, świadomego nawiązania do twórczości Zygmunta, czyli w „Gęstości zaludnienia” w reżyserii Krzysztofa Popiołka. Tam bohater (jeden z mieszkańców czarnobylskiej strefy, zmuszony do spakowania rzeczy i opuszczenia swojego domu) najpierw znajduje się w przestrzeni „pokoiku wspomnień” zaznaczonego stalową ramą i zmultiplikowanego stojącym na środku przeszklonym akwariem, a potem, gdy ją przekracza, i próbuje – jak w „Ostatniej taśmie Krappa” – wypowiedzieć do mikrofonu swoje wspomnienia, na scenie pojawiają się kolejne postacie z jego głowy i budują wspólnie z nim polifoniczny wielogłos, będący jednocześnie reprezentacją indywidualnych losów i historii, jak i zbiorowych lęków współczesności.

Takim łączącym, wspólnym motywem, szczególnie charakterystycznym dla wczesnych spektakli Zygmunta był również ów zbuntowany, walczący nie tylko z opresyjnym światem, ale także z własnymi demonami „główny bohater”, którego jeden z ówczesnych aktorów Kany (grający zresztą owego „głównego bohatera”), nieco prześmiewczo określił, jako: „uciemiężonego poetę”.

DUCH CZASU

Tutaj warto przypomnieć czas, w którym powstawały te przedstawienia i to, jaką w tych czasach funkcję pełnił teatr. Premiera spektaklu „Spektakl” to rok 1979.

Kiedy mówimy o teatrze studenckim lat 70., nieodmiennie myślimy o kategorii „teatru politycznego”. Czy Kana była wtedy „teatrem politycznym”? Otóż uważam, że takie twierdzenie byłoby mocno przesadzone. Głównie dlatego, że „młody teatr” końca lat 70. nie był ruchem politycznym, stawiającym sobie za cel zdobycie choćby małej części władzy. Był ruchem artystycznym, którego członkowie – traktując poważnie swoje powołanie – po prostu musieli walczyć o wolność ekspresji. Upolitycznienie ich artystycznych działań było i tak nieuchronne. Żaden artysta teatralny – czy to studencki, czy „dramatyczno-repertuarowy”, czy operetkowy – jeśli traktował swoje powołanie i swojego widza w sposób rzetelny, nie mógł uciec od polityki. Polityczne były wówczas nie tylko makatki na ścianach mieszkań i wszystkie bez wyjątku produkty na sklepowych półkach; wysoce polityczne było przede wszystkim każde zgromadzenie ludzi przekazujących sobie nawzajem komunikaty, treści, emocje, wartości... (...) Skoro jednak wszelkie tego typu wybory były zawłaszczane przez totalitarną władzę, skoro każde publiczne zgromadzenie, w tym także spektakl teatralny, musiało zyskać oficjalną zgodę odpowiedniej komórki partyjno-państwowej administracji, dochodziło nieuchronnie do spięć. A te prowadziły wprost do uprawiania polityki, rozumianej jako walka o władzę, choćby tylko o godzinną władzę w teatralnej sali. (...) Zygmunt Duczyński nie uczestniczył w podjazdowych walkach. Działał daleko od głównych teatralnych szlaków, był dopiero co zauważonym debiutantem. Miał jednak słuszną intuicję, że w takim teatrze, jaki pragnie uprawiać, polityka winna być funkcją metafizyki i etyki, nie odwrotnie”.⁴⁰

Ów bunt wobec władzy, manipulacji, historycznym koniecznościom i moralnym relatywizmom, wszystko to w sposób naturalny budowało opozycję: świadoma jednostka – władza totalna, która potem determinowała kompozycyjnie zarówno sposób budowania scenariusza, jak i przekładania go na scenę.

Trochę to było tak, że ja jeszcze nie bardzo umiałem Markowi, który grał Poetę, wytłumaczyć tego wszystkiego. Bardziej operowałem pewnymi intuicjami. Jeszcze nie znałem Sołżenicyna – tego wielkiego reportera zbrodni, jeszcze nie znałem Szalamowa – zaglądającego w głąb piekła, które komuniści robili z ludzką duszą. Ani Pilniaka, ani Zinowiewa – wtedy jeszcze nie. Ale czułem, że w spektaklu musi się pojawić jakaś opozycja. Że jak Wielki Inkwizytor Torquemada przekazuje młodemu człowiekowi techniki manipulacyjne, techniki wywiedzione jakby od rządu totalitarnego, kiedy mówi: „Tak musisz zrobić, a lud będzie ci wierny, posłuszny i szczęśliwy”, to musi się pojawić jakaś zupełnie inna postać, która będzie poza tym dialogiem – i wtedy, w przestrzeni teatralnej, będzie wyraźnie widać, co się tu naprawdę dzieje.

40 Juliusz Tysza, „Zygmunt Duczyński i Teatr Kana – „inny świat szczecińskiego teatru”, tamże, s. 22.

*Stąd Poeta. Jak patrzę na to teraz, to myślę, że to może było trochę naiwne, ale wtedy kierował nami taki odruch.*⁴¹

Do tego dochodziła wspólnota niepokornych, ciemnych lektur, którymi 28-letni Zygmunt dzielił się ze swoimi, młodszymi o dekadę aktorami. Jerzy Andrzejewski, Ernesto Sabato, Fryderyk Nietzsche, Adam Mickiewicz, Hans Magnus Enzensberger, Osip Mandelsztam, Rafał Wojaczek, Allan Ginsberg, ale także teksty samego Zygmunta i współpracującego z nim do 1980 roku Tadeusza Brzozowskiego, który był wtedy kierownikiem literackim Kany – wszystko to stało się bazą do stworzenia scenariusza kolejnego spektaklu „Abaddon” (1981). Potem doszły to tego: Nadieżda Mandelsztamowa „Nadzieja w beznadziejności”, Aleksander Sołżenicyn „Archipelag Gułag”, Aleksander Zinowiew „Przepastne wyżyny” – i powstała „Księga o życiu, śmierci i twórczości Osipa Mandelsztama” (1982). Potem Elias Canetti, Helmut Kajzar, Ryszard Krynicki – i kolejna premiera – „Krótka Historia Europy” (1983). Jeszcze później „Dziennik złodzieja”, „Balkon” i „Parawany” Jeana Geneta, z których powstały „Czarne światła” (1984).

*Przynosiłem im książki, przynosiłem ważne dla mnie rzeczy – oni to czytali z wy piekami na twarzy, potem długo o tym rozmawialiśmy. Ja czułem, że to, co czytam, muszę bardzo szybko im przekazać, żeby żyć wspólną potrawą. I oni to chłonęli. Wi dać było, że to jest dla nich żywe. Paradoksalnie, tamten czas temu służył.*⁴²

Ale nie oznaczało to bynajmniej pokory i wierności wobec literatury. Podobnie jak przy Lipskiej, tak przy następnych spektaklach Zygmunt szukał przede wszystkim tego, co „pod spodem”. Nie tego, co w tekście powiedziane, ale co poprzez tekst można opowiedzieć. Czas był niełatwy, a przedstawienia i na poziomie wyboru autorów i tematów, i na poziomie formy, rezonowały ze społecznymi emocjami, a jednocześnie, przefiltrowane przez jednostkowe doświadczenia i wzmocnione przez zagęszczone zestawienia znaczeń, nadawały im wymiar egzystencjalny.

*[Abaddon] To było przedstawienie opowiadające o przerażającej, totalitarnej sztafecie władzy – chodziło o wychwycenie i pokazanie momentu narodzin i upadku relatywizmu etycznego zamaskowanego „historyczną koniecznością”, „szczęściem zbawianej wbrew swej woli ludzkości” i „obiektywnymi prawami rozwoju”. Chcieliśmy zadać pytanie o sens i motywację ludzkich wyborów uwarunkowanych historią i polityką.*⁴³

41 Z. Daczyński, w: „Głosy czasu. Teatr Kana 25 lat”..., s. 24.

42 Z. Daczyński, tamże, s.26.

43 Z. Daczyński, tamże, s. 24.

Potem zaczął się ciemny czas, środek stanu wojennego. Znow musieliśmy się przenieść – najpierw do Kontrastów, a po kilku miesiącach do Transu. Tam odbył się pierwszy zamknięty pokaz „Księgi o życiu, śmierci i twórczości Osipa Mandelsztama”. Pamiętam, że na tamtej nielegalnej premierze pojawił się ubrany w odświętny garnitur kierownik Transu, Ludwik Kurek. Zobaczył mnie, i mówi: No, Duczyński, jak do więzienia, to w garniturze.⁴⁴

Myślę, że każde z nas poszukiwało w tym spektaklu czegoś innego (...) ale myślą przewodnią dla wszystkich była postać Mandelsztama i tej kobiety, która miała odwagę przy nim być. Tego, kim była Nadieżda Mandelsztamowa, nie da się przetożyc na żadne słowa. To były tak potworne, tak straszne czasy, że nie byliśmy w stanie tego zrozumieć ani my, ani tym bardziej młodsze od nas pokolenia. Ale – i to podświadomie rozumiał każdy z nas – jeśli się w coś wierzy i ma się nadzieję, że ofiara z życia nie pójdzie na marne, to wiele można zrobić (...) Nadieżda musiała mieć wielką wiarę w rosyjski naród. Ta garstka inteligencji, która przeciwstawiała się wtedy sowietyzacji, musiała mieć odrobinę nadziei, że jeśli nie dziś, to za pięćdziesiąt lat, ale w Rosji drgnie. I pewnie dlatego w ogóle żyli.⁴⁵

Pracę nad Genetem rozpocząłem w 1984 roku. To był zły rok. Duszny. Narastała we mnie jakaś wewnętrzna wściekłość na to, co się wtedy działo. Wtedy właśnie przeczytałem „Parawany” (...) Zafascynował mnie radykalizm i antykonformizm sztuk Geneta. W „Parawanach” znalazłem niezwykłą wiarę w możliwości przeciwstawienia się człowiekowi porządkowi i przymusowi (...) uderzyło mnie wtedy przekonanie Geneta, że to z nienawiści rodzi się bunt, powstanie. Rozum usypia zdolność do buntu, a więc, aby ją ocalić, trzeba pielęgnować dającą życiodajną siłę nienawiści, trzeba sięgnąć do rzeczy pozaracjonalnych: do bluźnierstwa, guseł i magii. Ryzykowane? Może i tak, ale ożywcze.⁴⁶

Tych kilka cytatów pokazuje ewolucję nastrojów i poglądów, swoistego ducha czasu, rozciągnięty na kilka lat stan zawieszenia pomiędzy bezsilnością, złością, buntem i „nadzieją w beznadziejności”. Zygmunt znakomicie wyczuwał wszystko, co dopiero przepowiadała rzeczywistość – reagował, słuchał, dowiadywał się, pytał. Był nieustannie, czasami wręcz żarłocznie, ciekawy ludzi i świata. Wciąż się uczył, poznawał nowe rzeczy. I czytał. Pisał. Komponował ze słów, obrazów, skojarzeń, znaczeń, a przede wszystkim z fizyczności, doświadczeń, charakterów i wspomnień swoich aktorów, kolejne scenariusze.

44 Z. Duczyński, tamże, s. 26.

45 Teresa Ciborska, tamże, s. 36.

46 Z. Duczyński, tamże, s. 50.

Teksty traktowane były bardzo instrumentalnie i fragmentarycznie. Montowane były do określonych potrzeb tematycznych. Nie tyle tekst był ważny, ile to, co się działo pod spodem tych tekstów – tak opowiadał o pracy nad „Abaddonem”.⁴⁷

Juliusz Tyszka, nawiązując w swoim referacie z 2002 roku „Zygmunt Duczyński i Teatr Kana – «inny świat» szczecińskiego teatru” do pierwszego przedstawienia Kany pisał:

Praca nad „Spektaklem” określiła kilka zasad, których Duczyński będzie się trzymał do dziś. Po pierwsze aktorstwo w Teatrze Kana było „aktorstwem osobistym” (...) Aktor tworzył tu swoją postać nie tylko „z literatury”, ale przede wszystkim „z siebie”, ze swych wcieleń w życiu codziennym. Partytura widowiska tworzona była głównie w oparciu o sytuacje „napisane na scenie”, a nie na podstawie projektu inscenizacji. „Aktorstwu osobistemu” towarzyszyła afabularność i collage’owa kompozycja przedstawienia. Tak więc już wczesną wiosną 1979 roku określone zostały kierunki teatralnych poszukiwań Duczyńskiego i Kany.⁴⁸

KOLEKCJONER

Zygmunt, żeby tworzyć, potrzebował jednocześnie żywej, ważnej dla niego literatury, i żywego człowieka. Swoich aktorów odszukiwał w codzienności. Ile osób, tyle różnych historii ich początków w Kanie. Jedni, jako uczniowie lub studenci, zapisywali się po prostu na koło teatralne, a trafiali na teatr. Innych Zygmunt sam zaczepiał, np. na konkursach recytatorskich lub młodzieżowych festiwalach i kazał przyjść na próbę. Jeszcze innych przyprowadzali koledzy. Lub po prostu, na imprezie, w knajpie, w klubie, na korytarzu, zagadali się z Zygmuntem, czymś go zaintrygowali, zaciekawili, więc ich zapraszał. W pewnym momencie, kiedy mocno już działała Piwnica Kany, krążyło nawet powiedzenie, że jeśli chcesz zostać aktorem u Zygmunta, musisz zacząć pracować w kuchni (bo niejednen kucharz trafił wkrótce na scenę).

Zygmunt był człowiekiem bardzo ciekawym ludzi. Chłonnym, kolekcjonującym – jak ktoś powiedział: „chciwym na ludzi”. Uwielbiał różnorodność, umiał dostrzeżać potencjały i w nich „mieszać”, wyciągać z tego jakąś esencję. I za każdym razem zespół, który tworzył, był konstelacją ludzi kompletnie od siebie różnych. Pamiętam kilka takich momentów, kiedy zgromadziło się naraz kilka pokoleń Kany i tak

47 Z. Duczyński, tamże, s. 24.

48 J. Tyszka, tamże, s. 22.

*naprawdę mieliśmy poczucie, że wszystkie te osoby nigdy w życiu nie spotkałyby się przy jednym stole, gdyby wypadkową nie był Zygmunt. On zawsze nas bardzo mobilizował, inspirował, popychał, zachęcał do ryzyka i obdarzał dużym zaufaniem. Jak tylko pojawiała się w teatrze osoba, która miała jakiś nowy pomysł, albo na przykład pokazała Zygmuntowi coś, czego on nie znał, to on natychmiast robił z tego projekt i czynił tę osobę dyrektorem, kierownikiem projektu (...) Zygmunt z wielką czułością i uważnością otwierał się na rzeczywistość, i mam wrażenie, że ci kolejni młodzi ludzie, którzy pojawiali się w teatrze, za każdym razem mieli w Zyguncie partnera. Za każdym razem czuli się wysłuchani, dowartościowani, a przede wszystkim zaproszeni.*⁴⁹

Taka postawa miała oczywiście swój rewers. Różne osoby, równie często jak zapraszane, zachęcane do współpracy, bywały zapominane, czy przegapiane. Słynna jest historia jednego z aktorów, który podczas lipcowego festiwalu został namówiony na pracę w Kanie, i który pojawił się następnie na początku września z walizką mówiąc: Jestem. I został (na długie lata) – tylko dlatego, że Zygmunt co prawda nie pamiętał już kim on jest, ale zwyczajnie nie umiał się do tego przyznać...

Często też, kiedy tylko wydawało się, że zbudował się już stały zespół, który połączony jest wspólnotą doświadczenia i wzajemnym zaufaniem, na próbę przychodził ktoś nowy i Zygmunt przedstawiał go jako aktora Kany. To musiało wywołać konsternację i frustrację grupy, ale po jakimś czasie otwierało nowe możliwości i przewartościowywało relacje.

Zygmunt nie lubił nudy, stagnacji, nawet takiej, która innym dawała bezpieczeństwo i poczucie stabilności. Jako reżyser i jako człowiek potrzebował wysokiej energii i wysokich emocji – często więc (zwłaszcza, gdy coś nie szło mu na scenie), brał się za „reżyserię życia”: prowokował, konfrontował się z ludźmi i ludzi ze sobą. Doprowadzał do spięć i wybuchów, aby następnie na nowo układać rzeczywistość, a też wyzwalać takie „stany wewnętrzne”, z których później – jako z zasobów – korzystał w pracy nad spektaklem. To był kolejny (czasem nieoczywisty etycznie) wymiar, który powoływał, biorąc za punkt wyjścia zapisaną kartkę scenariusza...

Scenariusz (ten pisany) tworzył się zresztą też nie tylko z literatury. W pozostawionych w archiwum notatnikach można odnaleźć, osobiste nieraz bardzo, zapiski dotyczące spotkań, rozmów, obejrzanych spektakli, przeczytanych

⁴⁹ „Słuchamy tego, co rezonuje”, spisała Anita Jakubik, oprac. Marta Poniatowska, „nietakt!T”, wydawca: Fundacja Teatr Nie-Taki, Wrocław, nr 3 (35)/2019, s. 8.

książek, przesłuchanych płyt, inspiracji filmami, obrazami, ale też opisy warsztatów, ćwiczeń, zadań aktorskich, pytania, cytaty, notatki dotyczące konkretnych ludzi. I nazwiska najważniejszych dla niego osób, z którymi toczył długie nocne dyskusje. Niezależnych duchów. Przyjaciół. Ich właśnie „przywoływał”, chcąc budować wielowymiarową, interdyscyplinarną przestrzeń swoich spektakli.

W opisywanym już wcześniej „Czasie Geneta” bardzo ważne stały się inspiracje i ekspresja malarska, która okazała się wspaniałym nośnikiem dla rewolucyjnych i pełnych przemocy wizji buntu i obrzędowego okrucieństwa, odnalezionych w teatralnym poemacie francuskiego dramaturga. Do współpracy przy „Czarnych Świątłach” zaproszony został Ryszard Grzyb – lider warszawskiej Grupy (polskiej odmiany malarstwa Neue Wilde).

Ryśka Grzyba poznałem w mieszkaniu Jurka Słomy. On pisał wtedy pracę magisterską – to było związane z Gombrowiczem i z Dostojewskim. Był czytany, poruszał się z dużą łatwością w skomplikowanych programach filozoficznych i literaturze. Przychodził do Słomy, bo lubił gadać. A potem już Grzyb przychodził do Słomy gadać ze mną. Tak się zaczęła nasza przyjaźń. Grzyb – człowiek potwornie silny, zdyscyplinowany, ma II Dan w karate. Ze zdumiewającą, nie tylko jak na artystę, dyscypliną trzyma się ustalonego porządku dnia: czas na rodzinę, na poezję, na malowanie, na trening. Jednocześnie jest niezwykle dowcipny, ma niezwykle słuch na pojawiające się w normalnych, codziennych rozmowach chlusty absurdu. Bardzo mi jest bliski taki sposób odczuwania świata (...) Z Ryśkiem Grzybem robiliśmy scenografię do Geneta, który również bardzo go interesował. Grzyb przekładał Geneta na malarstwo w taki specyficzny, poetycki sposób. Na przykład aktor grający postać marzącą o morderstwie, o płynącej krwią rewolucji, malował wielką głowę policjanta, która była rozcięta na pół, i z tej rozciętej połówki głowy tryskała fontanna krwi. Malował pistolety, w których wyzwalala się energia strzału, ale jednocześnie w sposób bardzo jednoznaczny pistolety te przypominały fallusa. Jego wyczucie absurdu, napięcie liryczne, wyobraźnia poetycka – to wszystko miało ogromne znaczenie dla spektaklu. To była jedyna tego rodzaju scenografia – powstająca, „dziejąca się” w czasie akcji scenicznej, na oczach widowni (...) Jeden z moich przyjaciół, Andrzej Sadowski, uważał, że to była jakaś zupełnie rewolucyjna scena teatralna. To, że udało się do tego zbliżyć, wyzwolić taką energię – to dzięki Grzybowi i Kazaniu...⁵⁰

Marek Kazana – znany szczeciński saksofonista jazzowy, kolejny pokrewny duch Zygmunta, wyimprowizował muzykę do „Czarnych Świąteł” (później

50 Z. Duczynski, w: „Głosy czasu. Teatr Kana 25 lat”..., s. 56.

Obraz scenografii „Czarne światła”, autor Ryszard Grzyb



nagrał ją w studiu z Markiem Macem i Piotrm Józwińskim). I – jak stwierdził Zygmunt – *to również dzięki takim artystom wściekłość i wrzask Geneta, jednego z najtrudniejszych do realizacji dramaturgów współczesności, chyba udało nam się wyrazić.*⁵¹

Z tych malarsko-muzycznych spotkań, przyjaźni, pokrewieństw, przegadanych nocy rodziły się kolejne scenografie i artystyczne równoległości. W „Abaddonie” pojawiła się maska Stalina stworzona przez znanego rzeźbiarza, Władka Klamerusa (później autora scenografii do „Mandelsztama”), która następnie zagrała również Sfinksa w „Moskwie – Pietuszki”. Drewnianą Księżę – Cerkiew z „Nocy” stworzył z kolei Piotr Klamerus, brat Władka i również rzeźbiarz. W „Rajskim Ptaku” muzykę na żywo wykonywał czołowy przedstawiciel szczecińskiej muzycznej sceny alternatywnej, Zbigniew Szmatłoch (Ozzy). W „J.P. odkrywa Amerykę” pojawiły się totemy Janusza Szewczyka, a autorem muzyki był gitarzysta klasyczny, Krzysztof Seroczyński. W „Szli-fierzach Nocnych Diamentów” muzykę skomponował Maciej Rychły, a jedną z ról grała Anna Witczak (twórczyni i liderka folkowej „Dikandy”). Spotkany w Holandii Eddy Greidanus Kafak po zobaczeniu „Moskwy – Pietuszki” stał się wieloletnim przyjacielem Kany i podarował teatrowi stworzoną przez siebie (niezależnie od spektaklu) serię grafik do poematu Jerofiejewa – jedną z najbardziej adekwatnych i niezwykłych ilustracji tego dzieła, która potem podróżowała z Teatrem Kana w formie towarzyszącej prezentacjom wystawy.

51 Z. Duczyński, tamże, s. 50.

AKTOR

Najważniejszy był jednak aktor. Po rozpadzie grupy „Czarnych Świąteł” i sporym osobistym kryzysie (...po wyjściu ze szpitala zostałem tylko ze Zbąszynkiem...)⁵² Zygmunt poczuł silną potrzebę zrobienia czegoś bardzo osobistego na scenie. Wtedy trafił na Wieniedikta Jerofiejewa.

To był i jest przede wszystkim bliski dla mnie pisarz. Odczuwam pewne pokrewieństwo doświadczeń, choćby w jego mocowaniu się z bólem, czy sposobie, w jaki o tym opowiada. Jego dramatyczna rozgrywka z pokusą samo wyniszczenia – mówię o alkoholu – ta jego wielka emocjonalna skala: od anegdoty do metafizyki, od obscena po napięcie religijne, od trwogi do śmiechu. To jest nieprawdopodobne i rzadko spotykane. Powędrować w tej skali, spróbować chociaż...⁵³

Wtedy też spotkał Jacka Zawadzkiego.

Jacek Zawadzki to jest według mnie aktor od urodzenia. Są pewne rzeczy, których nie można się nauczyć. Można na pewno nauczyć się rzemiosła. Można poprawić koncentrację, emisję, można w pewnych przypadkach poprawić plastyczność emocjonalną, zdolność, żeby przenosić się w ciągu godziny z jednego krańcowego stanu emocjonalnego w drugi. Natomiast na pewno nie można nauczyć się indywidualności. (...) Jacek miał tę indywidualność wrodzoną, taką siłę bycia scenicznego, sceniczny magnetyzm, sceniczną osobowość (...) To był aktor głosu, aktor olbrzymiej koncentracji, aktor dużej plastyki emocjonalnej i jeżeli jemu się precyzyjnie powiedziało o kierunkach roli, o strukturze działań, o temacie, który ma grać, jeżeli mu się uświadomiło ewolucję dramaturgiczną tematu, to siła, z jaką on to robił, była nieprawdopodobna (...) I myślę, że bardzo istotną sprawą była otwartość Jacka na to, co się działo. To, że udało się go również zidentyfikować z jego osobistymi historiami, z jego szukaniem miłości, z jego samotnością, z jego życiem na krawędzi... To był dziwny człowiek – słabo osadzony w życiu, chybotliwy. Ale na scenie... Patrząc na niego, miało się to niezwykle wrażenie, że on się na scenie spala, spełnia, że jest naprawdę szczęśliwy.⁵⁴

Monodram „Moskwa – Pietuszki”, który Zygmunt zrobił z Jackiem był swoim przełomem zarówno w myśleniu o strukturze przedstawienia i sposobie przekładania literatury na język teatru, jak również w historii Teatru Kana, dla którego sukces tego spektaklu rozpoczął nowy rozdział. I chociaż „Moskwa

52 Z. Duczyński, tamże, s. 68. Zbąszynek to „ksywka” Darka Mikuły.

53 Z. Duczyński, tamże, s. 68.

54 Z. Duczyński, tamże, s. 108.

– Pietuszki” to powieść wielopostaciowa, chociaż na początku w pomysły scenograficzne zaangażowany został nawet pirotechnik, który w czasie jednej z prób spowodował niekontrolowany wybuch lustra, to w rezultacie wymiar tego przedstawienia został zredukowany do kilku rekwizytów (stół, krzesło, lustro, kwiat, walizka, świecznik, miseczek, pędzel do golenia, brzytwa, pasek, kielich z mosiądzu, szklana butelka), prostego ubrania (*dla mnie Wieniedikt Jerofiejew był arystokratą ducha, a więc: biała koszula, czarne spodnie, długi płaszcz, pantofle na gołe nogi*)⁵⁵, a światło ograniczone zostało do jednej żarówki.

*Od początku wiedziałem, że to ma być monodram. Z tego wynikały bardzo określone konsekwencje adaptacyjne (...) byłem przekonany, że – żeby pokazać esencję tego, co dzieje się w tym szalonym poemacie – najważniejszy jest główny bohater i jego droga (...) To miała być spowiedź. Spowiedź jednego człowieka ze swojej drogi do miłości, do raju. Tragiczna i śmieszna historia ludzkiej ćmy lecącej do światła. Gdy minął mi szat inscenizacyjny, wyłączyłem reflektory i zapaliłem tylko jedno światło: żarówkę w gołej oprawce. Aktor miał grać tylko w świetle żarówki. Teraz ćma stała się bardziej widoczna. I sprawa spowiedzi również: światło żarówki stało się znakiem Boga.*⁵⁶

Podobnie pamiętał to Jacek Zawadzki:

Był styczeń 1989, ja miałem 27 lat i byłem bliski wieku, w którym Jerofiejew napisał swój poemat. Ponieważ mieszkałem wtedy u Zygmunta, proces tworzenia spektaklu był ciągły i intensywny. Wszystko zaczęło się od głośnego czytania fragmentów. Potem, kiedy nauczyłem się kilku scen, starałem się w nie wejść z całym (...) doświadczeniem. Grałem te fragmenty u Zygmunta tylko dla niego i stał się on moim jedynym widzem przez następne cztery miesiące. Dawał uwagi, prowadził (...) Po jakimś miesiącu zaczęliśmy rozmawiać o koncepcji. Doszliśmy do wniosku, że nasze przedstawienie nie powinno być spektaklem tylko o polityce, wódce i kufajce i że dzieło Jerofiejewa było szalenie wielowarstwowe. Główny bohater, sam Jerofiejew, nie był dla nas pijaczkiem z przydrożnych rowów, ale pisarzem-intelektualistą znającym dobrze literaturę, filozofię i religię. W tej koncepcji – i to było dla nas jasne – polityka i alkohol stawały się dopełnieniem metafizycznej podróży ku światłu i miłości (...) To był człowiek głęboko wrażliwy, a jednocześnie bacznie wszystko obserwujący. Błyskotliwy. Mimo, że pije, sam przecież twierdzi, że to „na niego słabo działa” i że jest „trzeźwiejszy od wszystkich innych na tym świecie” (...) W naszej koncepcji podróż pociągiem stawała się podróżą przez stacje życia – od narodzin do śmierci. Wyraźne u Jerofiejewa odniesienia biblijne, z sakramentalnym „Eli, Eli!

55 Z. Duczyński, tamże, s. 70.

56 Z. Duczyński, tamże, s. 70.



Jacek Zawadzki w spektaklu „Moskwa – Pietuszki”, reż. Z. Duczyński (zdj. Wojciech Jabłoński)

Lema sabachthani”, przywodziły na myśl symbol drogi krzyżowej (...) Po przegadaniu tych niezmiernie ważnych rzeczy przyszedł czas na przełożenie naszych rozmów na scenę, na praktykę. Nie było to łatwe. Minęły trzy miesiące, zanim Zygmunt wpadł na genialny pomysł, aby całą podróż zawrzeć „pomiędzy wdechem a wydechem”. A właściwie, w sensie technicznym, między dwoma wydechami. Pierwszy rozpałał, a drugi gasił małą żarówkę zawieszoną tuż nad moją głową. Pierwszy dawał życie, drugi je kończył. W ten sposób Aktor, a właściwie jego duch, powoływał siebie samego do życia poprzez tchnienie, po czym umierał, zdmuchując światło ostatnim, charkoczącym wydechem.⁵⁷

Przy pierwszych pokazach spektakl otwierał Marek Kazana, który grał na saksofonie swoje wyobrażenie o „Moskwie – Pietuszki” i swoje rozliczenie z alkoholem.⁵⁸ Potem zrezygnowali z muzyki.

To był proces. Obserwowaliśmy to i intensyfikowaliśmy. Zmieniała się struktura działań aktorskich. „Moskwa – Pietuszki” ma olbrzymią, emocjonalną skalę i zagrana na poziomie wyłącznie ciemnych emocji, bez tych absurdów, tych chlustów śmiechu, nie byłaby tak dotkliwa. Pracowaliśmy nad tą skalą emocji: od śmiechu po głębokie, tragiczne przeżycie. Ale żeby w tak „stężonym” czasie aktor mógł się przemieszczać z przestrzeni głęboko tragicznej w przestrzenie groteskowe, deliryczne – to było naprawdę skomplikowane. Trochę jak we free jazzie.⁵⁹

Widać tutaj wyraźnie, że w przypadku tego przedstawienia redukcja nie oznaczała zubażania tekstu, ale raczej kondensowanie, czy esencjonowanie. Rezygnacja z muzyki nie oznaczała, że była ona błędem – ona pozostała

57 Jacek Zawadzki, tamże, s. 111.

58 Z. Duczyński, tamże, s. 70.

59 Z. Duczyński, tamże, s. 70.

zapisana w strukturze, skali, kompozycji, energetycznym wykresie przedstawienia. Widzowie i krytycy bardzo często podkreślali właśnie jakość i precyzję kompozycji tego spektaklu, odpowiednie wyczasowanie i zbalansowanie emocji, które się w nim pojawiają, i które zabierają odbiorców w świat Wieniczki. Było to z pewnością zasługą tego „muzycznego myślenia”, które określiło rytmy i tempa prowadzenia postaci.

Podobnie światło żarówki, które czasem w spektaklu rozświetla się, czasem przygasa, precyzyjnie wyznacza rytm przedstawienia, a jego rozbłyski są sygnałami kolejnych „stacji drogi krzyżowej”, milczącym komentarzem do olśnień i upadków bohatera, wyznacznikami jego losu. Światło towarzyszy podróży Wieni, staje się powiernikiem jego modlitwy, adresatem pytań (do Boga, do samego siebie?...), a także znakiem nadziei.

Twórcy „Moskwy – Pietuszeki” podjęli jeszcze jedną, ważną, choć nieoczywistą decyzję dramaturgiczną. Chociaż poemat Jerofiejewa w całości oparty jest na motywie picia alkoholu i pełen jest alkoholowych demonów, Zygmunt Duczyński postanowił, że jego Wienia ani razu nie wypije. *Kielich z wódką pojawia się tu jeden raz, ale wódkę aktor wylewał sobie na twarz, nie pił jej. Wódka miała być w umyśle.*⁶⁰

Spektakl, bardzo kameralny i osobisty, miał – jak się wkrótce okazało – ogromną siłę rażenia. Być może także dlatego, że dzięki rozpiętości skali emocjonalnej i sposobowi prowadzenia bohatera (*taki trochę dziad, ale jednak arystokrata...*): z jednej strony jego uwikłaniu i bezradności, z drugiej tęsknocie do miłości i światła, z trzeciej zaś bardzo podkreślonej „szlachetności ducha”, dla wielu stał się on bohaterem „ich pokolenia” – pokolenia podziemnego, politycznego sprzeciwu, potajemnie czytanych książek, artystycznych manifestów i egzystencjalnych pytań, które w otaczającej ich, ubogiej i niepewnej rzeczywistości nabierały szczególnego znaczenia. Takim, z którym (nawet jeśli piło się mało lub nie piło się wcale) nie można było się nie utożsamić.

Iluz ja tych scenicznych Wieniediktów widziałem. Bywali różni – a to blondyn, a to brunet, nawet raz i ryżawy się zdarzył. Mówili tekst poematu wzniośle i tragicznie, a potem prowokacyjnie wymawiali rozmaite sprośności, akcentując zwłaszcza słowa „stary, zwiędły kutas” i „preparat przeciw poceniu się nóg” (...) Ilekroć ich obserwowałem, zadawałem sobie nieodmiennie pytania: „Kto do mnie mówi ze sceny? O kim ten ktoś opowiada? O Wienicze? Jeśli tak, powinien to robić w trzeciej osobie. O sobie samym? Jeśli tak, to kłamie” (...) Nie można bezkarnie pokazywać

60 Z. Duczyński, tamże, s. 70.

się ludziom na scenie i mówić im: „Byłem, widziałem, wypilem, zjadłem, idę, jadę, dojadę, wierzę, wątpię” itp., itd. W imieniu Wieni, pozostając w swojej, raczej wygodnej skórce (...) Ten poemat trzeba mówić w swoim imieniu: „JA byłem, JA piłem, JA nie dojechałem, JA umarłem”. Każde wahanie między JA i ON prowadzi wprost do artystycznej porażki (...) Wnętrze, teraz już oświetlone mocnym, równym światłem żarówki, pełne jest Wieni. I Jacka Zawadzkiego. W którymś momencie Zawadzki zaczyna mówić mi o sobie i – ciekawe – natychmiast przechodzi tym samym ze mną – widzem, na TY. Staje się dla mnie kimś bliskim. Przeżywam ja-widz jego dramatyczno-groteskowy, powikłany los, a w mojej emocjonalnej pamięci dają o sobie znać ślady moich własnych życiowych tragedii i fars: nie tak dramatycznych, nie tak pięknych, wzniosłych, żalonych i śmiesznych, lecz – dzięki geniuszowi Jerofiejewa i talentowi twórców spektaklu – także włączonych na kilkadziesiąt minut w Wielki Porządek Świata. Po spektaklu byłem pijany. Otrzeźwił mnie dopiero łyk wódki.⁶¹

Jacek Zawadzki dysponował od zawsze potężnym głosem oraz intensywnością scenicznej obecności. Nie bez znaczenia dla dalszych losów Teatru Kana, był także fakt, że bardzo dobrze znał język angielski. W sierpniu 1993 roku, dzięki rekomendacjom Teatru Ósmego Dnia i lubelskiej Grupy Chwilowej, a także nieocenionej pracy adaptacyjnej brytyjskiej reżyserki i przyjaciółki obu twórców Caryl Swift, angielska wersja „Moskwy – Pietuszki” pokazana została na Światowym Festiwalu Sztuki w Edynburgu w Galerii Richarda Demarco. Nieznany nikomu polski teatr, z mało znanego polskiego miasta o trudnej do wymówienia nazwie, który przyjechał z kameralnym, minimalistycznym, „ubogim” spektaklem, stał się dla wielu widzów i krytyków odkryciem festiwalu.

„Moskwa – Pietuszki” jest czymś więcej niż tylko monodramem. To uderzające, dramatyczne wydarzenie, w którym poemat Jerofiejewa jest przetworzony w całej swojej złożoności przez fizyczną obecność Jacka Zawadzkiego, jego głos, respekt dla tekstu i jego wyjątkowe zdolności perswazji, dzięki którym potrafi on przekonać publiczność, że jego spektakl jest podróżą duszy ludzkiej w stronę raju poprzez czyściec.⁶²

Przedstawienie „Moskwa – Pietuszki” to piękna prezentacja możliwości stworzenia teatru przy pomocy nieosłoniętej żarówki, lustra, świeczki, walizki i jednego aktora. Teatr Kana ze Szczecina podtrzymuje podstawowe idee teatru ubożego Jerzego Grotowskiego, akcentując intensywność spotkania rodzącego się pomiędzy widownią a wykonawcą, którego znaczącą obecność wnosi na scenę Jacek Zawadzki. (...)

61 Juliusz Tyszka, *Poznański Przegląd Teatralny 1991*, cyt. za „Głosy czasu. Teatr Kana 25 lat...”, s. 78.

62 Richard Demarco, Dyrektor Europejskiej Fundacji Kultury, wpis do książki pamiątkowej 1993, cyt. za tamże, s. 84.

Jego głos ma tak bogaty rezonans, że wcale nie musi podnosić go ponad poziom szeptu, aby wprowadzić widzów w niezwykłą opowieść o Wieni Jerofiejewie i jego duchowej podróży z Moskwy do Pietuszek (...) Aktor zaskakuje nas skalą przeżycia od zabawy po drapieżność po to, aby zbliżyć się do nas, jednocześnie utrzymując dystans, jakby w obawie, że moglibyśmy nie docenić Wieni, uważając go za zwykłego pijaka. Ale my, widzowie, nie mogliśmy się pomylić. Wienia to arystokrata duszy. Przedstawienie, wyreżyserowane przez Zygmunta Duczyńskiego jest niezwykłym mikrokosmosem wirtuozerskiego zasięgu umiejętności teatru z Polski.⁶³

ZESPÓŁ

Caryl Swift przysłużyła się Kanie podwójnie – najpierw uczestnicząc w tłumaczeniu scenariusza „Moskwy – Pietuszeki” na angielski, później pracując z nowym zespołem nad anglojęzyczną adaptacją kolejnego jerofiejewskiego spektaklu, czyli „Nocy”. Było to tym bardziej znaczące, że w tym przypadku część aktorów nie znała tego języka i tekstu uczyła się (fonetycznie) ze słuchu. I tutaj znów, mimo że była to praca przede wszystkim z tekstem, kluczowe okazało się doświadczenie sceniczne brytyjskiej aktorki, która doskonale zdawała sobie sprawę, że to co przekłada się na scenę, musi być przede wszystkim żywe, organiczne, osadzone w fizyczności aktorów, że z linearnego 2D musi przejść w trzeci, czwarty i piąty wymiar.

Pracowaliśmy w takim małym ośrodku w Burowie. Odbывało się to wszystko bardzo intensywnie – trwało chyba około sześciu tygodni. Starłam się, żeby wersja angielska w sposób możliwie najpełniejszy oddawała to, co było najważniejsze w wersji polskiej. Żeby zrozumiałe były nie tylko same słowa, ale żeby ich angielski oddał te wszystkie emocje, te niuanse w intonacji. Żeby zgadzały się i treści, i podteksty, i barwy słów, i żeby rytmy spektaklu nie zostały zachwiane. I żeby ten język był poprawny... Mnie najbardziej zależało na tym, żeby przenieść wszystko, co istniało w oryginalnej wersji i wykreować to jakby na nowo w języku angielskim, żeby przekazać to, co w przedstawieniu idzie ponad słowem...⁶⁴

To co ponad słowem... Mimo że myślenie Zygmunta Duczyńskiego o teatrze bardzo mocno osadzone było w literaturze, chyba to właśnie interesowało go najbardziej. Słowo jako takie było dla niego jakby zbyt „płaskie”. Domagało się „wcielenia”, wypowiadającego je, a przede wszystkim rozpoznającego

63 John Linklater, „The Herald” 30.08.1993, cyt. za tamże, s. 82.

64 Caryl Swift, w: „Głosy czasu. Teatr Kana 25 lat”..., s. 86.

i niosącego jego znaczenie człowieka. Tak jak w bohaterach literackich doszukiwał się wspólnoty oraz uniwersalizacji własnych doświadczeń, tak w spotykanych i zapraszanych do współpracy ludziach odnajdywał możliwość ich przestrzennych i emocjonalnych „wizualizacji”. Dostrzegał potencjał aktorski nie na poziomie rzemiosła i umiejętności, ale intensywności i prawdy bycia – obecności i osadzenia w życiu, które dzięki jego intuicji i doświadczeniu, mogło zostać przełożone na scenę. Właśnie z takich ludzi wyłonił się kolejny zespół Kany, który wspólnie stworzył najbardziej przełomowe dla historii teatru przedstawienie „Noc”. Zbudowali je:

Jacek Zawadzki – zawodowy aktor, wcielenie Wieni z „Moskwy – Pietuszki”. Mocna sylwetka, tubalny głos, bogate życie towarzyskie, chodzący własnymi drogami.

Janusz Janiszewski – Żyd Górewicz (jedna z postaci „Nocy Walpurgi”, dramatu W. Jerofiejewa). Wtedy nauczyciel polskiego, potem założyciel gryfińskiego Teatru UHURU, reżyser, aktor, animator kultury. Wyrazisty, czytany, elastyczny ruchowo, duże potrzeby intelektualno-kulturalne.

Sławoj Golański – Konduktor Siemionycz (z „Moskwy – Pietuszki”). Wtedy nauczyciel matematyki i fizyki, radiowiec, kabareciarz, filozof. Elokwentny, uparty, charakterystyczny, nie lubił ćwiczyć, znakomicie opowiadał kawały.

Mariusz Blimel – Szatan. Wtedy student polonistyki i potem anglistyki. Powściągliwy, wymagający, inteligentny, czasem gniewny i zbuntowany.

Darek Mikuła – Alchemik Pawlik (postać z „Eseju o Rozanowie”). Wtedy student Wyższej Szkoły Morskiej (specjalizacja: połowy dalekomorskie), który przypadkiem trafił na nabór do Kany w Klubie Trans.

Przychodzi blondynek, króciutko przycięty, tak jakoś wzorcowo (to pamiętam, rzuciło mi się w oczy) i była rozmowa. Zawsze zaczynaliśmy od rozmowy. Chodziło o to, żeby spalić papierosa i popatrzeć na siebie. Pierwsze wrażenie... Są ludzie, od których unosi się aura czegoś dobrego, pewien rodzaj duchowości, który się jakoś odczuwa. Do takich ludzi należał Zbąszynek. Jasny, bardzo jasny chłopak. Nie było właściwie żadnego przesłuchania aktorskiego. Był przekonujący. Nie czułem potrzeby sprawdzania jego umiejętności aktorskich, bo było coś ważnego w tym człowieku. Zaprosiłem go na próbę.⁶⁵

Bardzo prawdopodobne jest, że Ci ludzie nigdy by się nie spotkali, ani tym bardziej nie usiedliby ze sobą do przysłowiowego stołu, gdyby nie decyzja

65 Z. Duczylski, tamże, s. 113.

Zdjęcie ze spektaklu „Noc”. U góry Dariusz Mikuła, na dole od lewej Janusz Janiszewski, Jacek Zawadzki (zdj. Wojciech Jabłoński)



Zygmunta, żeby stworzyć z nich grupę. Inne zainteresowania, charaktery, osobowości, potrzeby.

Wokół „Nocy” zbudował się wspólny zespół, z całą pewnością najlepszy zespół aktorski, zespół o największej sile... „Noc” była dla każdego z nich bliskim, osobistym spektaklem. To było grane indywidualnymi rytmami, ale jednocześnie cały czas był pilnowany całościowy rytm przedstawienia. To była progresywna, rozwijana ze spektaklu na spektakl, bardzo mocna praca nad budowaniem integracyjności. Oni tak znakomicie się znali, tak byli na siebie otwarci... Była taka scena kiedy – w takim karnawale braterstwa – wspólnie śpiewali piosenkę zaczynającą się od słów: „A mnie są wszyscy bliscy...”. Brali się wtedy za ręce, tworzyli z rąk figurę gwiazdy i zaczęli tańczyć – tworzyli taki przetaczający się po scenie, emanujący energią krąg. Siła z jaką oni tańczyli... to było coś takiego, że pewnie wiele zespołów by się posypało. Rzadko mi się zdarza na scenie mieć takie uczucie, że widzę ludzi naprawdę szczęśliwych. Oni znaleźli w tym jakąś wspólnotę, jakiś kawałek swojego szaleństwa, mieli olbrzymią radość gry. Potem mówili o tym ludzi z widowni, że ten zespół jest na scenie w swoim świecie. W jakimś sensie przekraczali potoczność aktorskiego bycia na scenie. W tym spektaklu proces integracyjny aktorów Kany poszedł najgłębiej.⁶⁶

66 Z. Duczyński, tamże, s. 72.

„Noc” była spektaklem, w którym w sposób najpełniejszy dla twórczości teatralnej Zygmunta Ducińskiego skumulowały się wypracowane przez lata, bardzo osobiste, charakterystyczne dla niego sposoby opisywania rzeczywistości i budowania struktury i dramaturgii przedstawienia, a także konstruowania scenariusza i przekładania go na język sceny. Przede wszystkim punktem wyjścia stanowiła bliska mu wręcz „do spodu” literatura: Wieniedikt Jerofiejew, ze swoim perfekcyjnie zmieszonym, pełnym kolorów „koktajlem” śmiechu, obsceny, bachtinowskiego karnawału, świętych głupców i jurodiwych, ale też wybitnej erudycji, głębokiego egzystencjalizmu, pytań o Boga, o wiarę i o brak nadziei. I *to dążenie do miłości, ta rozpaczliwa droga w kierunku światła – przez ciemność świata – szansa na osobiste dotknięcie jakiejś prawdy tej wędrówki. Jej tragizmu, wielkości i sprzeczności...*⁶⁷ Głębokie, wielowymiarowe odczytanie tekstów Jerofiejewa nie oznaczało jednak dla Zygmunta wierności linii słowa. Wręcz przeciwnie, znaczyło konieczność wydestylowania, wydobycia esencji, zagęszczenia metafory. Ten proces, rozpoczęty już przy czasie Lipskiej, pogłębiony jeszcze przy Andrzejewskim, Mandelsztamie i Genecie, w przypadku „Moskwy – Pietuszki” i „Nocy” nabral szczególnej wymiaru – odwaga dekompozycji, redukcji wielu postaci i wątków do jednego bohatera, łączenia fragmentów różnych tekstów w zaskakującą, ale spójną i przejrzystą całość, wszystko to było próbą rozkodowania zapisanych w nich znaczeń na poziomie egzystencjalnym: odnalezienia żywego, pozaliterackiego, międzyludzkiego porozumienia z pisarzem. Kluczem była tu, również obecna w poprzednich spektaklach kłamrowa kompozycja, funkcje i relacje między postaciami oraz zestaw rekwizytów/elementów scenografii/nośników znaczeń. „Noc” rozpoczyna się rozświetleniem zawieszonoego na tylnej ścianie sceny księżyca. Słychać muzykę, dźwięki pianina z „Gnossiennes” Erica Satie. Widać zarys wielkiej, drewnianej Księgi, przebijające się z jej środka białe światło i cień człowieka na pergaminowym grzbiecie. W pewnym momencie postać przedziera się przez papier i wypada na scenę. To główny bohater widowiska: Wienia Jerofiejew. Za chwilę ze stojących kufrów wyjdą postacie, które stworzył: Żyd Gurewicz z „Nocy Walpurgii”, Alchemik Pawlik z eseju o Rozanowie, Konduktor Siemionycz z „Moskwy – Pietuszki”. Zza Księgi wyskoczy Szatan o kulach, które zamienią się w demoniczne skrzydła...

A więc znów na scenie odbywają się swoiste Dziady. Wienia, podobnie jak w „Moskwie – Pietuszki” powołany do życia światłem, jeszcze raz odbywa swoją wędrówkę, spotykając duchy przeszłości, które na ten krótki, rytualny,

67 Z. Duciński, tamże, s. 70.

kolisty czas wracają i „stają się ciałem”, zanurzają się w życiu, powołują wspólnotę, po czym odchodzą i bohater ponownie musi w samotności zmierzyć się z cieniem i przejść na drugą stronę. Czytelny motyw drogi-życia oraz stacji-spotkań pojawiał się wcześniej zarówno w „Spektaklu”, „Abaddonie”, „Mandelsztamie”, a także „Czarnych Światłach” – za każdym razem główna postać mierzy się ze śmieszno-strasznymi demonami, powołuje rewolucyjny karnawał, tęskni do światła, mierzy się z lękiem, samotnością i śmiercią. Za każdym razem przechodzi przez „bramę” (w formie księgi, ramy, parawanu), przekracza symboliczną granicę pomiędzy tym co żywe i tym co umarłe. Za każdym razem wreszcie na scenie padają cytaty z filozofii i literatury, przeplatane absurdalnymi żartami, przekleństwami, obscenicznością i przemocą.

Każdy z tych spektakli budowany był na bardzo zespołowej, przekładanej z życia, twórczej i wielobarwnej energii, wokół każdego z nich budowała się grupa przyjaciół, którym ten czas (dla nich jedyny i najważniejszy) się przydarzał, za każdym razem proces ten był niewątpliwie animowany/reżyserowany, a nawet, przy całej niejednoznaczności zapisanych w tym słowie znaczeń, manipulowany przez Zygmunta, który – kolekcjonując „ludzkie typy”, a jednocześnie pracując na wrażliwościach i emocjach – sporządzał własny „koktajl”: zestawienie niespokojnych duchów i umysłów, które się wzajemnie napędzały, inspirowały i stymulowały. Karmiąc ich literaturą, malarstwem, poezją, wartościami i ideami, jednocześnie czerpał z ich zasobów i doświadczeń, umiejętnie powołując w nich (i z nich) sceniczną prawdę i skuteczność.

„Noc” była jednak o tyle szczególna, że ten proces poszedł dalej.

Potem była praca nad „Nocą”. Wtedy po raz pierwszy chyba bardzo silnie zaczęłam pracować taką metodą identyfikacji. Polegało to na tym, że pewne osobiste, życiowe doświadczenia emocjonalne były wpisywane w przestrzeń przedstawienia, w strukturę gry.⁶⁸

Są takie spektakle, a właściwie takie kompozycje sceniczne, które – dzięki odpowiednio ułożonym proporcjom pomiędzy ładunkiem intelektualnym, emocjonalnym, pomiędzy cielesnością organicznej obecności aktora na scenie a budującą się z nagromadzenia znaczeń przestrzenią symboliczną, pomiędzy rozbudowaną metaforą a skrótem semantycznym – zaczynają działać jak precyzyjny mechanizm. Splot tych wszystkich czynników powoduje, że niezależnie od okoliczności, aktualnej sytuacji, czy nawet fizycznej formy aktora, niezależnie od upływającego i zmieniającego się czasu, sam akt uruchomienia

68 Z. Duczyński, tamże, s. 114.

(czyli rozpoczęcia przedstawienia) jest gwarantem zarówno zewnętrznego jak i wewnętrznego oddziaływania.

„Noc”, od początku budowania na osobistych tematach, oparta została na bardzo precyzyjnej strukturze emocjonalnej, która nie tylko zabierała widza w podróż, ale przede wszystkim włączała, obejmowała go swoistą „wibracją” intensywnej obecności scenicznej. To samo dotyczyło aktorów – wraz z początkiem przedstawienia dokonywali oni swoistego „przejścia” do pierwotnych, wewnętrznych partytur, które (raz odnalezione) działały trochę jak „emocjonalna winda”, pozwalając błyskawicznie sięgnąć do źródła, do początku, z którego – przez osobiste doświadczenie każdego z nich – zostały wywiezione. Wracając do dawnych emocji byli więc w stanie z jednej strony dość szybko „porozumieć się” z tym pierwszym tematem, dotknąć tego, co rozpoznawali jako prawdę czasu powstawania spektaklu, z drugiej zaś, poprzez ową prawdę – byli w stanie wyrazić „siebie prawdziwego” teraz, na ten moment, na czas obecny. Przy czym nie wynikało to tylko i wyłącznie z wewnętrznej pracy aktora, ale z samej geometrii spektaklu – z harmonii wielogłosu, z grupowego rytmu, z wielokrotnie odtwarzanych poprzez ruch relacji. Z pamięci ciała, która przekładała się na obecność. Ten rodzaj grupowej wibracji nie zdarza się często – i być może dlatego takie przedstawienia pamięta się inaczej. One rezonują, oddziałują na widza nawet poza świadomością, powodują rodzaj wewnętrznego rozedrgania, które – nawet jeśli niewygodne, czy nawet negowane na poziomie intelektualnym, interpretacyjnym, estetycznym – długo nie pozwalają o sobie zapomnieć.

Dlatego właśnie „Noc” była szczególna...

ZAGĘSZCZENIE

Wiele lat później, w zupełnie innych okolicznościach, w innym czasie i z innymi ludźmi (z wyjątkiem najstarszego z obecnych aktorów Kany: Darka Mikuły) powstał spektakl, który w zadziwiająco podobny sposób powołał ową grupową intensywność obecności – a na poziomie tematu i formy stanowi swoisty, kłamrowy dialog zarówno z tamtym historycznym przedstawieniem, jak i z samym Zygmuntem Duczyńskim, którego współpracujący obecnie z Kaną młody reżyser, Krzysztof Popiołek nigdy nie poznał, nigdy też nie widział żadnej z jego teatralnych prac.

Krzysztof pojawił się w Kanie w 2016 roku. Był wtedy stosunkowo świeżo po studiach na Krakowskiej PWST, miał za sobą współpracę m.in. z: Krystianem Lupą, Michałem Zadarą, Barbarą Wysocką, a także pierwsze realizacje, m.in. w Teatrze Słowackiego w Krakowie i Teatrze Jaracza w Olsztynie. Ponieważ pochodzi ze Świnoujścia, szukał możliwości stworzenia spektaklu gdzieś blisko domu, w zachodniopomorskim. Napisał maila do Kany.

Trudno o mniej „alternatywny” sposób zapoczątkowania artystycznego spotkania. Kana nigdy nie była teatrem repertuarowym, instytucją produkującą przedstawienia, zatrudniająca zawodowych reżyserów, scenografów, dramaturgów, inspicjentów. W tamtym czasie, dawno już bez Zygmunta, zespół eksperymentował z różnymi formami, poszukiwał ważnych tematów i autorskiego sposobu budowania wypowiedzi. Ale był też otwarty na poznawanie tego, co nowe. Umiał słuchać i nie odrzucać. Próbować.

Pierwsza próba – mimo obustronnej woli i chęci współpracy, zakończyła się fiaskiem. Problemem okazał się tekst – zespół zupełnie nie odnalazł się w konwencji pisanego specjalnie dla niego dramatu, odgrywania historii, postaciowania, podziału na role. Po kilku tygodniach prób zapadła wspólna decyzja o tym, żeby przerwać proces. Krzysztof pojawił się w Kanie ponownie prawie rok później, tym razem z książką, która – jak przeczuwał – odpowie na potrzeby grupy, i która dla niego, osobiście, była bardzo i dotkliwie ważna – „Czarnobylską Modlitwą” Swietłany Aleksijewicz. Rozpoczęły się wspólne czytania...

Krzysztof Popiołek jest autorem pracy doktorskiej (pt. „Uniwersalizacja opowieści. Strategie adaptacyjne i dramaturgiczne stosowane w budowaniu utworu scenicznego na przykładzie spektaklu „Gęstość zaludnienia. Historia wybuchu”), która w kontekście przekładania scenariusza na język teatru jest tekstem unikatowym. Jednym z nielicznych, pogłębionych odautorskich głosów, w których reżyser dokonuje autoanalizy, ujawniając nie tylko kulisy adaptacji i pracy z tematem i aktorem, ale także przywołując towarzyszący mu ciąg odniesień socjologicznych, psychologicznych, politycznych, filozoficznych i społecznych, co daje wyjątkowo szeroki i szczegółowy obraz tego niezwykle subtelnego procesu, jakim jest tworzenie, powoływanie do istnienia żywej tkanki przedstawienia.

Punktem wyjścia, który stał się bazą dla kolejnych decyzji artystycznych reżysera, była pogłębiona analiza obecnej sytuacji geopolitycznej i towarzyszących jej nastrojów społecznych, a także pytanie o rolę, jaką we współczesnym świecie pełni (powinna pełnić?) sztuka. Na to nałożona została bardzo

osobista, prywatna, wewnętrzna perspektywa – próba dotknięcia, poprzez wielowarstwowe rozczytanie tekstu Aleksijewicz, własnych lęków i uwarunkowań. A więc z jednej strony: terroryzm, katastrofy, zagrożenia klimatyczne, populizmy, konflikty, „brunatnienie” Europy. Podskórne przeczucie nadchodzącego zagrożenia. Nieustanny niepokój, przebodźcowanie medialne i brak możliwości selekcji wciąż napływających i nieustannie złych wiadomości. Wreszcie poczucie, że „świata jest za dużo”.⁶⁹ Wszystko to towarzyszyło refleksji zarówno uznanych intelektualistów i twórców, z którymi reżyser rozmawiał osobiście (Michael Haneke, Etgar Keret, Olga Tokarczuk, Bogdan de Barbaro), jak i pytanym o to bliskich osób: znajomych, rodziny, przyjaciół. Z drugiej strony pojawiło się, wywiedzione z tekstów i rozmów z Olgą Tokarczuk pytanie o to, *jak można na nowo opowiedzieć ten świat, jakiego języka używać do opisu zmieniającej się gramatyki rzeczywistości*.⁷⁰

Coraz częściej myślę o hybrydycznych, skażonych, międzygatunkowych rodzajach opowieści, wykraczających poza konwencjonalne struktury narracyjne, które dałyby wyraz coraz silniej pofragmentaryzowanej rzeczywistości. Nie chodzi przy tym o mimetyczność sztuki, ale o funkcjonalność w scalaniu rozbitego, pokawałkowanego świata, za dużego, żeby w sposób kompleksowy móc go objąć rozumem. Zamiast tego, na czarnym skrawku – scenie teatralnej – można jak w soczewce próbować skupić rzeczy, które pozornie wydają się nie mieć związku ze sobą, być niepołączalne. Kawatek po kawałku, proces scalania tego, co na zewnątrz pozostaje rozbite, przypomina obserwację przy pomocy teleskopu lub mikroskopu, aby zauważyć początkowo niewidoczne sieci powiązań, relacji i procesów zachodzących między fragmentami rzeczywistości.⁷¹

Kolejny element: powtórzona za Pawłem Potoroczym teza o teatrze, jako sejsmografie, barometrze nastrojów społecznych, medium, w którym krystalizują się opinie, poglądy i odczucia obecne w społeczeństwie (a czasami, niejako profetycznie, objawiają się one w „przestrzeni mentalnej” twórców, jeszcze zanim zostaną uświadomione i wypowiedziane). A wreszcie osobista bardzo, choć zuniwersalizowana funkcja teatru, jako „rytuału odczyniana”, konfrontowania się z najbardziej skrywanymi demonami i lękami, bezpieczny sposób

69 Olga Tokarczuk, cyt. za: Krzysztof Popiołek, Uniwersalizacja opowieści. Strategie adaptacyjne i dramaturgiczne stosowane w budowaniu utworu scenicznego na przykładzie spektaklu „Gęstość zaludnienia. Historia wybuchu”, rozprawa doktorska napisana pod kierunkiem dr hab. Olgi Katafiasz, Akademia Sztuk Teatralnych im. Stanisława Wyspiańskiego w Krakowie, 21 grudnia 2023 r., s. 7.

70 O. Tokarczuk, tamże, s. 7.

71 K. Popiołek, tamże, s. 9.

przeżywania zastępczej traumy, która ma stanowić swoistą „szczepionkę” wobec tego, co może, ale nie musi się wydarzyć.

„Sztuka to surowica, zaszczepi w nas cudze doświadczenie” – zwrócił uwagę jeden z bohaterów Swietłany Aleksijewicz w „Czarnobylskiej modlitwie. Kronice przyśrołności”. Zdanie to towarzyszyło mi podczas adaptowania [tej] (...) książki (...) Kieruje ono uwagę w stronę roli teatru w oswojaniu rzeczywistości.⁷²

Krzysztof Popiołek we wstępie do swojej pracy zwraca uwagę na jeszcze jeden aspekt uniwersalizacji – nie oznacza ona bynajmniej zastąpienia jednostkowego i lokalnego, osadzonego w konkretnym kontekście doświadczenia, uogólnionym i czytelnym dla każdego odbiorcy sprobematyzowaniem obecnych w przestrzeni społecznej, aktualnych tematów.

*W moich książkach ludzie opowiadają swoje własne, małe historie, a wielka historia zostaje opowiedziana niejako przy okazji.*⁷³

Podobnie jak uniwersalność i siła teatru Grotowskiego czy Kantora polegała tak naprawdę na jego lokalności, a nawet prowincjonalności (właśnie dlatego, że akcja spektaklu działa się w Wielopolu, działa się tak naprawdę wszędzie), tak opowieść o konkretnym dramacie jednostkowego bohatera, właśnie poprzez swoją wyjątkowość stanowi odniesienie do wspólnoty ludzkiej egzystencji, konkretnego istnienia.⁷⁴

*Wybrałem na przedmiot uniwersalizacji reportaże Swietłany Aleksijewicz, gdyż w bardzo szeroki sposób, przekrojowo obejmują zagadnienie cierpienia i tragizmu życia. Jej teksty są przez to w pewnym sensie encyklopedią jednostkowych przypadków choroby, kochania i umierania, studium niezawinionego cierpienia. (...) Wybuch reaktora elektrowni Czarnobylskiej można potraktować w sposób metaforyczny – jako moment przełomu w życiu jednostki, po którym na świat trzeba patrzeć inaczej niż dotychczas. Takim wybuchem niszczącym dotychczasową konstrukcję podtrzymującą indywidualne istnienie może być rozwód, rozstanie, utrata, śmierć, choroba, migracja – każde zdarzenie będące końcem dotychczasowego modelu życia, w wyniku którego przewartościowaniu musi ulec dawna siatka pojęciowa. Czarnobylska eksplozja była de facto katastrofą umysłu ludzkiego, a jako taka stymuluje opowieść o sobie do bycia o wiele pojemniejszą znaczeniowo.*⁷⁵

72 K. Popiołek, tamże, s. 5.

73 Swietłana Aleksijewicz, „Nobel Lecture”, tamże, s. 14.

74 K. Popiołek, tamże, s. 10.

75 K. Popiołek, tamże, s. 11-13.



Dariusz Mikuła w spektaklu „Gęstość zaludnienia”, reż. K. Popiołek (zdzj. Piotr Nykowski)

I takie właśnie rozumienie roli spektaklu/teatru/sztuki stało się podstawą do pracy z aktorami. Ze względu na specyfikę tekstu, który był reportażem, a więc dokumentem złożonym z wywiadów z konkretnymi, często żyjącymi wciąż osobami, od razu wiadomo było, że nie można iść w stronę aktorstwa „wcieleniowego”, nie można „odgrywać roli”, ani, jeden do jeden, „grać siebie”. Każde z tych działań byłoby swoistą imitacją, zafałszowaniem rzeczywistości. Dylemat ten (dogłębnie zanalizowany m.in. przez Izabelę Skórzyńską w jej znakomitej książce „Widowiska przeszłości. Alternatywne polityki pamięci”), wymaga znalezienie takiej formy, takiego rodzaju aktorskiego działania, który pozwala oddać głos tym, których pamięć przywołujemy, pozostając z nimi w empatycznej relacji, a jednocześnie pełniąc funkcję „świadka zastępczego”, rzecznika jego sprawy, reprezentacji realnej osoby.

Jaką strategię przyjąć w takiej sytuacji? Aleksijewicz mówi: w życiu ludzkim chodzi o niewiele więcej, niż o miłość i śmierć. W oparciu o te słowa pracowałem z aktorami „Gęstości zaludnienia” szczecińskiego Teatru Kana. Były to słowa wytrychy do budowania postaci. Podjęliśmy temat awarii reaktora jądrowego, a konsekwencji eksplozji elektrowni atomowej w Czarnobylu w 1986 roku, pracując z metaforą katastrofy. Dokonywaliśmy substytucji, zadając sobie pytanie o to, kiedy na przestrzeni życia doświadczyliśmy tak ogromnej zmiany podstawowych zasad funkcjonowania (tu postugiwalismy się słowem „wybuch”), że rewizji i przewartościowaniu ulegały dotychczasowe twierdzenia, poglądy, przemyślenia o sobie, o świecie, o innych ludziach(...). Na kolejnym etapie prób dopisywaliśmy do książki Aleksijewicz nasze słowa, własne – opisujące te właśnie historie wybuchów w prywatnym życiu. Okazywało się, że przy lekturze dla osób postronnych opowieści te były niewykrywalne,

*scaliły się z bohaterami autorki. W taki sposób aktorzy mogli (...) popatrzeć na siebie jako na postaci. (...) Dopisali siebie do tamtego świata, weszli w tekst, stali się sami jednymi z bohaterów – dzięki temu udało się rozpiąć horyzont znaczeniowy wobec hasła tragedii i katastrofy.*⁷⁶

Pracując z aktorami, reżyser wielokrotnie konfrontował ich z tekstem, ale też zadawał indywidualne zadania, szukał ekwiwalentów emocjonalnych, odniesień do własnych doświadczeń, także tych obecnych poza świadomością („mówienie automatyczne” – nagrywane na dyktafon monologi), wchodził w dialog wokół pytań, które wyzwalały kolejne piętra znaczeń i skojarzeń. W rezultacie osiągnął zamierzony efekt: język postaci-osób i język aktorów-ludzi stał się jednym, jak sam to określił: „wydestylowanym” wielogłosem.

Wielogłos, a więc chóralność, polifoniczność, bohater zbiorowy, muzyczność, kompozycja, rytm, refren – wszystkie te słowa określają proces, który doprowadził do takiej realizacji formalnej spektaklu, która – podobnie jak opisana wcześniej „Noc” Zygmunta Duczynskiego, działa na aktorów (i widzów) na poziomie energetycznej wibracji – wywołuje w sposób fizyczny określony stan emocjonalny, który za każdym razem jest w stanie przywołać odnalezione pierwotnie intencje i pozwala przywołać kategorię „prawdy” urzeczywistniającej się nie tylko poprzez rzemiosło aktorskie ale, nomen omen:” zagęszczoną” intensywność obecności aktorów na scenie.

Decyzja reżysera o takiej dekonstrukcji, a zarazem uniwersalizacji tekstu reportażu, która nadała wielu opowieściom formę pofragmentaryzowanego (zsumowanego z pojedynczych, zindywidualizowanych wypowiedzi) głosu bohatera zbiorowego powoduje, że staje się on reprezentacją ich (naszego?) wspólnego, człowieka losu. Budując spektakl na wzór utworu muzycznego (gdzie poszczególne tematycznie uporządkowane rozdziały-zwrotki przerywane są pełniącym funkcję refrenu kathartycznym tańcem, który z jednej strony jest wyrazem witalności i tęsknoty za życiem, z drugiej zaś straceńczym dance-macabre, pogrążającym bohaterów w coraz większej rozpacz), stworzył taką partyturę działań, w którym realne, fizyczne zmęczenie aktorów i rytmizacja ich ruchów uprawnia i uwiarygodnia wagę wypowiedzianych przez nich słów.

W „Gęstości zaludnienia” jest jeszcze jedna, ukryta, prywatna bardzo opowieść, która jest jednocześnie symboliczną klamrą w historii Kany. W pierwszej scenie, kiedy bohater (grany przez Darka Mikułę), pakuje w kartony rzeczy do

76 K. Popiołek, tamże, s. 29.

wyprowadzki, pojawia się kilka rekwizytów: książki, pokaleczone figury Chrystusa, zdjęcie, maszyna do pisania, stary sweter... Wszystkie te przedmioty należały kiedyś do Zygmunta Duczyńskiego...

Zygmunta Duczyńskiego nie znałem. Z punktu widzenia pracy z jego aktorami – nie szkodzi. To nawet lepiej. Z perspektywy osobistej – szkoda, naprawdę nie zna się zbyt wielu ludzi w swoim życiu. Często nie zna się tych, których powinno się poznać. Spotkanie jednak nastąpiło – w sposób zapośredniczony i magiczny.⁷⁷

PUSTKA

Po „Nocy” (oprócz zagranych zaledwie kilka razy „Szlifierzy Nocnych Diamentów”, które były próbą zmierzenia się z innym językiem scenicznym: kostiumowością, maską, muzycznością, konwencją cyrkowego widowiska), Zygmunt stworzył jeszcze dwa monodramy: zbudowany wspólnie ze Sławojem Golańskim i wykorzystujący jego komiczne uzdolnienia „J. P. odkrywa Amerykę” na podstawie dramatu Dario Fo oraz mroczny i klaustrofobiczny, dotyczący wewnętrznych przestrzeni pogrążonego w chorobie bohatera „Rajski Ptak” z zawodowym aktorem, Arkadiuszem Buszko. Spektakle – bardzo różne od siebie – posiadały jednak wspólną cechę: ich energia, treść, sposób narracji, muzyka, ruch sceniczny, wszystko było organicznie osadzone w dynamice i osobowości aktora. Zygmunt umiał słuchać, dostrzegać potencjał i umiejętnie obudowywać go działaniami, tak pracować z tekstem, że stawał się on integralną częścią nie tylko postaci, ale także żywej, wypowiadającej go osoby.

W roku 2003 (już z kolejnym, dużo młodszym zespołem) wziął na warsztat odkrywaną wtedy (pośmiertnie) przez świat sztuki kontrowersyjną, brytyjską dramatopisarkę Sarę Kane, jak zwykle podchodząc do tekstu dość odważnie i po swojemu (między innymi odcinając się całkowicie od bardzo restrykcyjnych warunków wystawienia dramatu, które obligowały do uwzględniania, jeden do jeden, zapisów zawartych w didaskaliach).

Taki przyszedł czas, że się uparłem akurat na ten tekst, choć zdawałem sobie sprawę z jego ograniczeń. To było związane z wiekiem ludzi z zespołu – oni pokoleniowo odpowiadali autorce i w zasadzie w sensie wieku, generacji, to były ich problemy. W tym przypadku nie czułem tego absolutnego ciśnienia, jak to się zdarzyło czy przy Lipskiej, czy przy Mandelsztamie, czy Genecie, już nie mówiąc o Jerofiejewie. Ale coś

77 K. Popiołek, „Spotkanie z duchem”, „nietak!T”, s. 31.

w tym tekście było... Zrezygnowałem jednak całkowicie z tego, co zaprojektowała Sara Kane jako przestrzeń sceniczną – wydawało mi się, że jeśli tego nie zrobię, to rzeczywiście się stoczy w jakąś dosłowność, publicystykę. A to, co mi się podobało w Sarze Kane, to była raczej poezja. Interesowało mnie to, co tam jest związane z mitem, z pewnymi napięciami dramatycznymi, ale o cechach takich bardziej uniwersalnych, egzystencjalnych. Dla mnie ten tekst był o tym, że przyszła taka dziwna epoka wyjąłowania, relatywizmu, i nawet tak silne uczucie jak miłość niewiele może zdziałać (...) To, co się dzieje z człowiekiem, to jest jakiś dziwny proces bliski chorobie, jakiejś przerażającej pustki (...) w której nie można odnaleźć drogi ocalającej.⁷⁸

Ów (przeczuwany) brak ocalenia i brak nadziei był dużym zwrotem w sposobie opisywania świata przez Zygmunta Daczyńskiego i w sposób bardzo znaczący przełożył się na formę tego spektaklu. Młodzi aktorzy z jednej strony zostali wpisani w konkretne role i postacie (Fedra, Hipolit, Król, Kapitan, Kat), z drugiej przeniesieni w dopisaną do scenariusza przestrzeń symboliczną (Głos, Demon). Scenografia złożona z czarnych lustrzanych powierzchni zwielokrotniała i odrealniała rzeczywistość, przekształcając ją w oniryczną, mroczną wizję świata pozbawionego światła i życia. Bohaterowie byli tu raczej cieniami, naznaczonymi przez los i pozbawionymi wpływu i sprawczości, wypełniającymi przeznaczenie. Nie było tu miejsca (jak miało to miejsce w poprzednich przedstawieniach) na intensywność, emocjonalność, na przekładanie realnych przeżyć aktora na scenę. Prawdy obecności szukało się raczej „pod skórą”, na zdystansowanym, uwewnętrznionym minimum, w ciszy, którą tylko czasem przerywał – tym bardziej wtedy znaczący i poruszający – krzyk.



Bibianna Chimiak i Tomasz Grygier w spektaklu „Miłość Fedry”, reż. Z. Daczyński (zdj. archiwum Teatru)

78 Z. Daczyński, w: „Głosy czasu. Teatr Kana 25 lat!...”, s. 237.

ZMIANA

„Miłość Fedry” rozpoczęła nowy etap Kany – nikt nie mógł się wtedy spodziewać, że aktorzy, dla których w większości był to pierwszy spektakl w tym miejscu, wkrótce będą musieli się mierzyć z określaniem na nowo jego tożsamości. Zespół w składzie: Bibianna Chimiak, Marta Giers, Tomasz Grygier, Radosław Jagucki, Michał Jurys, Dariusz Mikuła, Waldemar Nicek, Dobiesław Nowicki, Dorota Obalek, Hubert Romanowski, a potem także Karolina Sabat i Piotr Starzyński, to ostatnia grupa, która pracowała z Zygmuntem.

Książka „Głosy czasu. 25 lat Teatru Kana” wydana w 2005 roku kończy się napisanymi ręką Zygmunta słowami: *Za chwilę próba nowego przedstawienia. Wchodzę do teatru. Włączamy światła reflektorów.*⁷⁹ Ja osobiście ostatni raz widziałam Zygmunta wieczorem, 14 marca 2006 roku. Wchodził do sali, na próbę nowego przedstawienia „Geist”...

Przytoczę w tym miejscu fragment rozmowy nagranej podczas spotkania w Instytucie Grotowskiego, 11 kwietnia 2019 roku, która została opublikowana później w czasopiśmie „nietak!t”:

Dariusz Mikuła: *Chyba najtrudniej było w tym wszystkim zespołowi teatralnemu. Nie wiedzieliśmy, jak podjąć ten wysiłek i zdobyć się na odwagę tworzenia teatru – czy po odejściu tak charyzmatycznego, silnego lidera, mamy prawo to kontynuować. Dostaliśmy wtedy duże wsparcie od wielu przyjaciół z kręgu teatru alternatywnego. I uruchomił się w nas jakiś rodzaj determinacji. Postanowiliśmy, niezależnie od wszystkiego, dokończyć spektakl „Geist”. Poprosiliśmy wtedy o pomoc jedyną możliwą osobę: Arka Buszko, aktora i reżysera, który wcześniej zrobił z Zygmuntem monodram „Rajski Ptak”. I dopiero potem zaczęło się robić naprawdę trudno. Wiedzieliśmy, że nikt z nas w zespole nie podejmie roli lidera. Czuliśmy na sobie obciążenie nazwą, historią, brakiem Zygmunta. Postanowiliśmy szukać innego sposobu na tworzenie. Zaczęliśmy się zastanawiać nad ważnymi dla nas tematami i nad twórcami, z którymi nam po drodze. I tak, po kilku próbach podjęcia współpracy z różnymi reżyserami, trafiliśmy na Mateusza Przyłeckiego. Mateusz przyszedł z tekstem – bajkami Leszka Kołakowskiego. Na początku mieliśmy wątpliwości, ale bardzo szybko poczuliśmy, że ta praca daje nam wielką zespołową siłę. I nową, inną energię.*

Bibianna Chimiak: *Tak, cieszyliśmy się z tego, że ten spektakl pokazuje nasz absurdalny i sarkastyczny humor, który wcześniej nigdy nie udało się na scenie pokazać, bo jednak z Zygmuntem robiliśmy bardzo ważne i bliskie rzeczy, ale też mocno*

79 Z. Duczynski, w: „Głosy czasu. Teatr Kana 25 lat”... s. 277.

egzystencjalne, rzeźbione w długim, powolnym procesie (często też, jak to wtedy bywało w teatrze alternatywnym, pracowaliśmy na boso:). A tu było zupełnie inaczej i właśnie tego było nam wtedy potrzeba: takiej pogody i kompletnej odmiany, spróbowania nowego języka i innej formy teatralnej. To była ogromna ulga – ten spektakl był tak różny od tego co robił Zygmunt, a zarazem tak bardzo nasz, że w pewnym sensie wyzwolił nas ze zobowiązań, odciął od porównań. Dzięki temu mogliśmy – pamiętając o tym co było – znów pozwolić sobie na szukanie. I tak: każdy kolejny spektakl, który potem robiliśmy był dla nas takim nowym wyzwaniem – pracując z Jolą Denejko próbowaliśmy mierzyć się z tekstem dramatycznym („Niewypowiedziane”), z Teatrem Krepesko robiliśmy teatr bez słów („Hotel Misery de Lux”), z Teatrem Akhe pracowaliśmy w plenerze („Gap Filing”)... Ale oczywiście nie sama forma była impulsem do powstawania przedstawień – przede wszystkim ważne były i są tematy, których chcieliśmy dotykać. Dla mnie osobiście szczególnie bliski jest spektakl „Projekt: Matka”, który zrobiliśmy w 2014 roku – też z Mateuszem Przyłęckim. Miałam wtedy ogromną potrzebę opowiedzenia czegoś prawdziwego o macierzyństwie – bo okazuje się, że to ciągle temat tabu, o którym się głośno nie mówi. Więc postanowiłyśmy z dziewczynami to wykrzyczeć. I okazało się, że poruszyłyśmy bardzo wrażliwe obszary. Odbiór był bardzo mocny. Wielokrotnie zdarzyły nam się po graniu długie rozmowy, zwierzenia z przeżywanymi traumami. Pokazujemy go do tej pory przy pełnej widowni. A później, trochę „w zemście”, chłopcy zrobili „Projekt: Ojciec”. To był z kolei spektakl o takim ich „macierzyństwie” (specjalnie użyłam tego słowa), dużo bardziej delikatny – dotykający, jak to określa Mateusz, miękkiego podbrzusza. I myślę, że dopiero po tych wszystkich doświadczeniach, po rozmaitych próbach, decyzjach, różnych kierunkach, które rozpoznawaliśmy, byliśmy gotowi, żeby zanurzyć się jeszcze głębiej i w pewnym sensie wrócić do Zygmunta – do jego/naszych tematów. Chociaż oczywiście za pomocą zupełnie innego języka.

Dariusz Mikuła: To trochę dziwne, bo ten powrót nastąpił z zupełnie nieoczekiwanej strony. Krzysztof Popiołek, wtedy młody reżyser tuż po szkole, napisał do nas z propozycją współpracy. Spróbowaliśmy i to pierwsze podejście zupełnie się nie udało. Ale nie odpuścił – wrócił do nas po roku z tekstem „Czarnobylskiej Modlitwy” Swiętłany Aleksiejewicz. I to się stał dla nas bardzo istotny, bardzo ważny spektakl. Mierzymy się w nim z bardzo trudnymi dla nas obszarami. I też mocno odwołujemy się w tym spektaklu do pamięci o Zygmuncie – jest w nim wiele elementów osobiście go dotyczących.

Marta Poniatowska: Ta nasza historia bez Zygmunta jest już długa – to ponad 13 lat, ale w sensie idei, w sensie tego, czym nas zaraził, on cały czas nam towarzyszy. To jest zapisane w samej nazwie: Kana, czyli miejsce przemienienia, transformacji. Nie było to wszystko łatwe (i ciągle nie jest), ale chyba w pewnym momencie

zrozumieliśmy – dotyczy to zarówno zespołu teatralnego, ośrodka, jak i wszystkich ludzi, którzy w naszym miejscu tworzą – że po to, aby ocalić tę „kanę”, „kanowość” w sobie, musimy zaakceptować zmianę. Musimy sami sobie dać jakąś wolność, swobodę, jakiś rodzaj oddechu, także przyzwolenie na błędy, także pozwolenie na niespełnianie niczyich oczekiwań i na to, żeby po pierwsze wstuchiwać się w samych siebie. I z każdym rokiem, z każdym projektem, z każdym festiwalem, czy czymkolwiek co robiliśmy, sprawdzaliśmy przede wszystkim jak to rezonuje w nas, i jak to rezonuje w rzeczywistości. Istotą więc tego, co określiliśmy na początku, jako rodzaj autorskiej demokracji jest chyba otwartość na proces. Zmiana, której towarzyszy pamięć i rozpoznawanie (bądź nie), tego co tożsame.⁸⁰

Te słowa podsumowań padły pięć lat temu, przy okazji spotkania związanego z 40. urodzinami Kany. Teraz Kana ma 45 lat. Obecny zespół to czwórka aktorów (Bibi Chimiak, Karolina Sabat, Darek Mikuła, Piotr Starzyński) oraz dwójka techników (Piotr Motas, Krzysztof Nowak), którzy w kolejnych spektaklach (kolektywne „Sit down tragedy” zrealizowane wspólnie z Teatrem Akhe, kontynuujące motywy z „Gęstości...” i wyreżyserowane znów przez Krzysztofa Popiołka „Światy możliwe”; autorski monodram Bibianny Chimiak „Niecierpki”, czy będąca obecnie w trakcie przygotowań „AUTOterapia”), wciąż na nowo podejmują poszukiwanie własnego języka i własnych odpowiedzi na ważne dla nich pytania.

Wcielając się w postaci, zapraszając reżyserów, podejmując współpracę – za każdym razem dokonują swoistego, odwróconego aktu twórczego: oddają swoją przestrzeń w ciekawości spotkania, a jednocześnie wciąż pozostają sobą, w sposób na tyle silny, że każde z realizowanych przez nich przedstawień jest tak naprawdę opowieścią o nich samych: o aktorach wybranych przez Zygmunta, o osobach, które od wielu lat uparcie (bez Zygmunta) tworzą teatr, o ludziach, dla których sztuka jest sposobem opowiedzenia rzeczywistości i poradzenia sobie z trudnymi pytaniami. Jest także – co znakomicie wyczuł Mateusz Przyłęcki jeszcze w „Lajolnii”, w pierwszym „nie-Zygmuntowym” spektaklu Kany – opowieścią o grupie, o zespole, o niełatwej, nieoczywistej, lecz kreatywnej, twórczej energii, która powoduje, że dotykając relacji i istniejących między nimi „przeptywów”, odnajdując prawdę własnej fizyczności i własnych emocji, potrafią przekształcić linearny tekst scenariusza w żywy, organiczny, pulsujący energią teatr w 5D – teatr w piątym, a może jeszcze innym, po prostu ludzkim wymiarze.

⁸⁰ „Słuchamy tego, co rezonuje”, spisała Anita Jakubik, oprac. Marta Poniatowska, w: „nietakt”, nr 3 (35)/2019, wydawca: Fundacja Teatr Nie-Taki, Wrocław, s. 8-9.

WIŚNI NIE MOŻNA POMINAĆ

Oprócz zespołu teatralnego, swoją autorską, zupełnie odrębną ścieżkę, związaną z teatrem społeczno-dokumentalnym, a ostatnio również eko-artystycznym prowadzi w Kanie Weronika Fibich, która jest autorką kilkunastu już akcji teatralnych, spektakli site specific, performansów, filmów, realizowanych bardzo często w przestrzeniach pozateatralnych i dotyczących takich tematów, jak: inność, lokalność, tożsamość, wykluczenie, granica, pogranicze, sąsiedzkość, zagrożenia konfliktami wojennymi, los uchodźców i imigrantów.

Prace Weroniki, zawsze ukierunkowane przede wszystkim na proces i włączające bohaterów jej opowieści w strukturę artystycznych działań, oparte są na jej autorskiej metodzie „rysunku z pamięci”: szukaniu i tkaniu powiązań pomiędzy prywatnym i publicznym, wyrozumowanym i intuicyjnym, przypominanym i odczuwanym. Jej scenariusze nigdy nie są dramataми, nigdy nie kierują się przede wszystkim słowem, przypominają raczej mapy lub grafy, ustrukturyzowane siatki działań nałożone na bardzo precyzyjnie odnajdywane w aktorach emocjonalne, uwewnętrznione, metaforycznie dookreślone intencje i przebiegi. Jej realizacje zawsze przekraczają granicę między sceną a żywą obecnością widzów, z którymi prowadzi nieustanną grę w niedopowiedzenie, i których często stawia w sytuacji wyboru jednej z wielu możliwości (a zatem także potencjalnej utraty).

Weronika została przez Zygmunta zaproszona do Kany w 1998 roku. Po kilku latach funkcjonowania Teatru jako miejsca, Zygmunt zaczął poszukiwać ludzi, którzy dopełniliby tę przestrzeń nową energią. Weronika, wtedy jeszcze studentka, autorka poetyckiego tomiku, dała się mu namówić na dołączenie do pracy Ośrodka i jak się okazało, stała się to jej główna decyzja na długie lata. Od początku też jednak była to jednocześnie decyzja o podjęciu własnej, niezależnej drogi twórczej. Bardzo szybko od pisania, już wcześniej intensywnego i sensualnego, przeszła do „powoływania obrazów”.

*I w końcu stało się tak, że między tymi słowami, które wylewały się z kartki, powstała szczelina – odważyłam się przekroczyć te jedno-wymiary i wpisać je w przestrzeń...*⁸¹

81 Weronika Fibich, „Wiśnie i stoiki”, w: „nietakt”, nr 3 (35)/2019, wydawca: Fundacja Teatr Nie-Taki, Wrocław, s. 14.

Jednym w ważnych, wciąż powracających w jej twórczości tropów, jest temat uwarunkowanych historią, która determinuje losy pojedynczych ludzi, przesiedleń, ucieczek, przymusowych „przeprowadzek”, zapisu cudzych wspomnień odnajdywanych w pozostawionych rzeczach, sprzętach, skrawkach pamięci. Taki właśnie tytuł: „Przeprowadzka” miała jedna z wielu stworzonych przez nią akcji miejskich, która zrealizowana została w 2009 roku na szczecińskim Niebuszewie.

Tuż po wojnie, kiedy status miasta nie był jeszcze jasno określony, ocalałe niebuszewskie kamienice zasiedlane były równocześnie przez wycofujących się z Polski Niemców, zmierzających do Palestyny Żydów, stacjonujących tu Rosjan i przesiedlanych Polaków. W czasie obecnym wciąż działa tam niewielka żydowska diaspora i szczeciński oddział TSKŻ. Weronika przez wiele miesięcy oswajała przestrzeń i ludzi – zbierała stare dokumenty, zdjęcia, odwiedzała kioski i piekarnie, pukała do domów, spotykała obecnych i dawnych mieszkańców – również i tych zmuszonych kiedyś do wyjazdu do Izraela. W starej stolarni (dawnej fabryce Stroevera) stworzyła tymczasową przestrzeń „Przeprowadzki”. Widzowie pod zastaw słuchawek zostawiali dowody osobiste – w zamian otrzymywali paszporty w jedną stronę (na wzór tych z roku 1968) i zbliżając się do wyświetlanych w różnych miejscach filmowych nagrań, wysłuchiwali wspomnień tych, którym takie paszporty wręczono naprawdę. Potem, oddzielnie wyczytywani z nazwiska, trafiali w różne miejsca – spektakl miał cztery alternatywne zakończenia (ten zabieg pojawiał się w działaniach Weroniki jeszcze wielokrotnie: skazanie widza na wybór, ale też przypadkowość, oddzielenie, rozbitcie grupowości, wtrącenie w pojedynczość – przestrzeń dla uważności).

W podobną wędrówkę po różnych nieoczywistych (publicznych, prywatnych i półprywatnych) przestrzeniach wyruszali także widzowie akcji „Rysunek z pamięci” z 2015 roku (jej sceniczna wersja nosi tytuł „Dwa pokoje”), zrealizowanej przez Weronikę przy granicy dawnego getta na łódzkich Bałutach. Osiedlowy skwer wyłożony szarymi kocami, pod którymi, z ukrytych głośników, słychać było głosy kilku pokoleń (tych co milczeli, tych którzy żyli z milczeniem i tych którzy zadają pytania); stary dom ogrodnika, gdzie przywracano zreplikowane pokoje pamięci; strych kamienicy wypełniony opowieściami o wojennych próbach ocalania kobiecości; pralnia/laboratorium, gdzie grzebało się pestki i śpiewało kadisz – każde z tych miejsc pozostawiało widza w niedopowiedzeniu, a jednocześnie tworzyło dopełniającą się historię. W każdym pojawiał się żywy owoc wiśni.

„Dwa pokoje”, reż. Weronika Fibich (zdj. Piotr Nykowski)



Potrzebowałam innego znaku. I tak chodziłam z tymi obrazami, aż trafiłam na rynek, na którym sprzedawali wiśnie. Wtedy poczułam, że wiśnia jest taką materią. Że jest jednocześnie krucha i pełna, że może symbolizować pojedynczego człowieka. I postanowiłam, że właśnie przez wiśnię, przez taki mały detal, chcę opowiedzieć tę historię. Bo, jak pisała Jolanta Brach – Czaina w „Szczelinach istnienia”: wiśni nie można pominąć...⁸²

Chociaż w swojej pracy Weronika Fibich prawie zawsze opiera się na archiwach, dokumentach, wywiadach, „wizjach lokalnych”, przywoływanym z przeszłości opowieściach, o żadnym z jej działań nie można powiedzieć, że ma charakter historyczny. Specyfika jej twórczości polega raczej na bezkompromisowym, wyostrowanym, zwielokrotnionym wrażliwością (bliską czujności sejsmografu), nasłuchu na rzeczywistość. Jakkolwiek byłaby ona niewygodna, nieoczywista, czy niewypowiedziana, prędzej czy później staje się przymusem powinności – temu, co przez innych pomijane, Weronika w pierwszej kolejności oddaje głos. Od wielu lat prowadzi projekty, połączone takimi pojęciami jak „wroGościnność”, „sąsiedzkość”, „pogranicze”, w których – poprzez różnorodne działania: spotkania, wykłady, rozmowy, wystawy, wydawnictwa, performensy, spektakle – demaskuje zapisaną w tych pojęciach ambiwalentność emocji, obnażając ukryte mechanizmy podsycania niechęci i budowania wrogości wobec „innego”. Uczy (siebie i widzów) słyszeć, respektować, rozumieć perspektywę przybysza. Inicjując wiele lat temu projekt poświęcony przebywającym w Polsce czeczeńskim rodzinom, rozpoczęła pracę od wspólnego gotowania w obozie tymczasowym w Grodnikach. Z tej, opartej przede wszystkim na międzyludzkim kontakcie „metody” cierpliwego współbycia, urodził się potem

82 W. Fibich, tamże, s. 21.



„Popytka”, reż.
W. Fibich (zdj.
Piotr Bedliński)

realizowany w prywatnych mieszkaniach „Pobyt tolerowany” (2013) (w którym widz/uczestnik postawiony zostaje w roli nieznanego „reguła domu” gościa, a przytulny pokój przekształca się nagle w „zabawkową”, budowaną jak w domowym, dziecięcym teatrzyku cieni, wizualizację wojny i nalotów), a jeszcze później przejmująca, zrealizowana wspólnie z czeczeńskimi kobietami „Popytka” (2019).

Heda, Madina, Milana – Czeczenki, którym udało się pokonać tysiące kilometrów, wyzwania i przeszkód, by przedostać się z północnego Kaukazu do Polski. Trzy kobiety, dla których wojny wydane Czeczenom przez Rosjan były doświadczeniem osobistym, wymuszającym opuszczenie własnego kraju i wyruszenie w drogę – w stronę bezpiecznej Europy i życia, które trzeba układać od nowa. Marina – Rosjanka mieszkająca w Polsce, która organizowała szkołę dla czeczeńskich dzieci na dworcu w Brześciu i od lat pomaga uchodźcom czekającym w naszym kraju na uregulowanie swojej sytuacji prawnej. „Popytka” to projekt społeczno-teatralny, którym pytamy, kim są kobiety XXI wieku, poparzone przez los. Jakie historie zapamiętały, o których wolałyby zapomnieć? Co je wzmacnia, skąd czerpią siłę? Ku jakiemu światu chcą zmierzać? Jakimi kobietami są w tej nowej dla nich rzeczywistości? Z czego się śmieją? Za co tak bardzo kochają życie? Popytka to procedura nieuregulowana prawnie. Uchodźcy przesłuchiwani są na granicy przez pograniczników. Zapada decyzja, kto może wjechać do Polski, kto nie. Niektórzy próbują kilkadziesiąt razy. Zawarta w słowie popytka – pytka w języku rosyjskim oznacza torturę. „Musicie się dowiedzieć! Ta wiedza uchroni was przed cynizmem. I przed rasizmem” – pisała Anna

*Politkowska do swoich czytelników we wstępie do „Drugiej wojny czeczeńskiej”. Czy robimy wiele, żeby wiedzieć? Czy możemy zrobić więcej?*⁸³

Kiedy zaczęła się wojna w Ukrainie i podstawowe pytanie większości polskich twórców związane było z redefinicją roli sztuki w kontekście realności zagrożeń i rozpoznawania rzeczywistych „pierwszych potrzeb” ludzi, których dotknęła trauma, Weronika powołała kilkakrotnie zmieniające się zespoły „Tranzytowego czytania” – performatywnego, odteatralnionego wsłuchania się w żywe, zapisywane już wobec zaistniałej sytuacji słowa współczesnych ukraińskich pisarzy i poetów. Podobne „wysłuchanie” odbyło się także podczas prowadzonego przez nią wydarzenia „W obliczu wojny” – realizowanego wspólnie z Fundacją Pogranicze spotkania z poetkami, które poprzez swoje wiersze dzieliły się doświadczeniem szukania w słowie tego, co ocala.

Kiedy rozpoczął się kryzys na granicy białoruskiej, oprócz zbiórek i działań pomocowych, organizowała spotkania z tymi, o których pracy „wolelibyśmy nie wiedzieć”, opowiadającymi bez znieczulenia o tym, jak ratuje się (lub nie), ludzi umierających w lesie.

Kiedy wydarzyła się katastrofa ekologiczna na Odrze, powołała, wspólnie z grupą zaangażowanych twórców i aktywistów, projekt SzczODRA, ukierunkowany na „przywracanie pamięci” o szczodrości rzeki, o wartościach, jakie wnosi ona nie tylko w życie miasta, ale w cały system naczyń połączonych, którego częścią jesteśmy – obecnie kontynuuje się on jako artystyczno-badawczy cykl działań: „Don’t stress Prymnesium Parvum”, którego podmiotem/obiektem uwagi jest złota alga.

Przy tak obszernych zakresach działalności twórczej nie sposób wymienić, czy opisać wszystkich podejmowanych przez Weronikę Fibich działań, ale warto podkreślić, że obok akcji, zawierających komponenty społeczne, aktywistyczne, badawcze i dokumentacyjne, Weronika jest także reżyserką scenicznych spektakli – między innymi granych z powodzeniem i realizowanych we współpracy z wrocławskim kolektywem Kobietostan, takich jak „Chłopaki, prawo głosu” (na podstawie rozmów z osadzonymi), czy zrealizowane ostatnio „Sołtyski” (o kobiecej sprawczości i męskiej polityce), ale też przedstawienia branżowego: kierującego punktowe światło reflektora na „człowieka spod podłogi”, niedocenianego i niezauważanego, a genialnego w swojej kreatywności Technika Teatralnego. Postać ta, w przezabawny, parodystyczny, a jednocześnie autoironiczny sposób pokazuje to, czego z perspektywy widza nie

83 <https://www.weronikafibich.pl/popytka>.

widać, a co stanowi esencję teatru: rzeczywistość ciągnących się godzinami prób, sfrustrowanych reżyserów, narcystycznych aktorów i ratującej niejednokrotnie spektakl profesjonalnej sztuki prowadzenia świateł. „Na Lightcie” jest rodzajem brawurowej, „branżowej” autobiografii – grający główną postać Tomasz Grygier ponad dwadzieścia lat spędził pracując technicznie na różnych scenach (będąc jednocześnie utalentowanym, choć tylko od czasu do czasu występującym aktorem). Dostaje się w tym spektaklu każdemu: organizatorom festiwalu, snobistycznym krytykom, twórcom „sekciarskich”, teatralnych wspólnot, mitom i autorytetom – wszystko to w konwencji tak błyskotliwie humorystycznej, że rozbrojone zostają wszystkie potencjalne „balony” artystowskiego „ego”. Pod spodem tej historii jest jednak dużo więcej – opowieść o potrzebie docenienia, bycia zauważonym, o pozostawaniu w cieniu, o tęsknocie do światła. O marzeniu na temat swoich „pięciu minut”, które zostaje spełnione w spektakularnej scenie z reflektorem, stroboskopem i helikopterem. I o samotności, która coraz bardziej pochłania bohatera, gdy ten, przysiadając na stołeczku, próbuje walczyć z zagarniającym jego przestrzeń cieniem... Spektakl ten, tak różny od pozostałych produkcji Weroniki (choć też zawierający ulubiony przez nią element prowokującej widza konsternacji), jest również przykładem tego, w jaki sposób wysłuchuje ona otaczających ją ludzi i rzeczywistość, jak z nich czerpie i ich wzmacnia, jak – jednocześnie z przekorą i empatią – przywraca swojemu aktorowi (i oświetleniowcowi) prawo głosu, którego (tak jak wspomnianej wcześniej wiśni, a więc kruchego, pojedynczego człowieka), nie można pominąć.

Wydaje się że ten znak-symbol, odwołujący się do boleśnie delikatnej i witalnej jednocześnie struktury wiśni, jest kluczem do całej twórczości Weroniki. Że wszystkie jej poszukiwania wynikają z nieustannej czujności, uważnego rozczytywania znaków, przenoszenia znaczeń, a przede wszystkim przekraczania oczywistości. Rozpoznawania materii i oddawania głosu temu, co zostało zapisane w jej fakturze. Wytrącania widza (i aktora) z przyzwyczajień, wprowadzania w niepewność, skazywania na losowy wybór po to, żeby przywrócić oddzielność. I słuch na ciszę, na to, co pomiędzy – co jest wypadkową przywołanych obrazów i jego własnych doświadczeń. Odnosi się to i do dużych interdyscyplinarnych projektów (jak choćby: „Łasztownia”, „Recykling”, „Lokator”, czy wspomniana „Przeprowadzka”) i do podejmowanej bardzo często pracy z „pominiętymi”: z dziećmi ze wsi Chośnica na Kaszubach („Nasza szkoła”), z podszczecińskiej wsi Stolec („Kryjówka”), z osobami niepełnosprawnymi („7 resztek głównych”, „Lotto. RE(we)LACJE!”), z czeczeńskimi uchodźcami

(„Pobyty tolerowany”, „Popytka”), z seniorami („Nic osobistego”), z bezdomnymi („Zamknięta 5”) i wreszcie do prac teatralnych („Szachy”, „Portfolio”, „Brodło z Wąchabna”, „Na Ligthcie”, „13 Klatka”, „Chłopaki. Prawo głosu”, „Sołtyski”). W ostatnim zaś czasie także do jeszcze bardziej zredukowanych artystycznie i jeszcze uważniej wsłuchanych w rzeczywistość projektów poświęconych rzece i idei upodmiotowienia istnień więcej niż ludzkich („SzczODRA”, „Don’t stress Prymnesium Parvum”). Każda z tych rzeczywistości konstruowana była z tych samych niezbędnych etapów: z szukania śladów, z rozmów, z prostej obecności, z powolnego przekraczania progów, z błędzenia, z czekania i nieprzyspieszania, z pomysłu i jego dekonstrukcji, z destylowania, redukowania, odsączania, wydobywania esencji. I z zostawiania przestrzeni na pauzę. Na niedopowiedzenie. Na pamięć wiśni.

ROZWARSTWIENIE

W Kanie zaistniała także inna, równie autorska, prowadzona przez ponad dwadzieścia lat ścieżka artystyczna, oparta na obecności Janka Turkowskiego. Janek również trafił do Kany na zaproszenie Zygmunta i bardzo szybko, oprócz działalności programowo-kuratorskiej (najpierw jako współtwórca młodzieżowego festiwalu OKNO, potem jako osoba prowadząca polskie i zagraniczne kontakty ośrodka i realizująca projekty eksperymentalne) rozpoczął własne poszukiwania twórcze. Początkowo, bawiąc się artystyczną tożsamością (od Teatru Tańca Buto im. Zygmunta Kolanusa, przez Tanzgruppe Blashka, po The Stettiners Theater) eksplorował ulubioną kategorię „światlicy jako środka wyrazu”. Posługując się przerysowaniem, nieudacnością i egzaltacją, budował oryginalne jakości – tworzył swój własny prześmiewczy, autoironiczny, a jednocześnie podszyty osobistymi kontekstami „teatr podskórny i podziemny” (Bongo Boy, Griga, Samotni wędrowcy z Labor – wszystkie te tytuły zyskały wtedy w szczecińskich środowiskach status kultowych). Następny etap to czas plenerowych widowisk i site specific: najpierw był to realizowany jeszcze we współpracy z Zygmuntem „Widmokrąg”, potem dwukrotne spektakularne wejście w szczecińską Łasztownię (w tym pamiętne „Cztery obrazy w przestrzeni”, których elementem był m.in. wytapetowany srebrną folią kilkusetmetrowy strych). Ostatecznie jednak swój teatr odnalazł w formach najbardziej kameralnych – w pracy na pograniczu dokumentu, reportażu i archiwistycznego śledztwa, które w sposób oryginalny i bezpretensjonalny wpisywał w formę „wideogądy”.



„Łasztownia/Lastadie. Cztery obrazy w przestrzeni”, reż. J. Turkowski, I. Thormann (zdj. I. Thormann)

Właściwie jeszcze przed pierwszą „Łasztownią” Janek – równoległe do innych obszarów – zaczął badać teatralny potencjał dokumentu: prawdziwej historii, komunikatu, opowieści. Także siłę mediów: filmu, internetu (jeden z jego spektakli powstał na podstawie bloga anonimowej @linki). Robiąc wywiady do „Czterech obrazów w przestrzeni” odczuł, jak bardzo (na granicy intymności) można skrócić dystans i zbliżyć się do drugiego człowieka za pośrednictwem obiektywu, soczewki, kamery. Wcześniej z kamerą towarzyszył także dwójce, poznanym przypadkowo, Niemcom – ojciec, wraz z synem, po sześćdziesięciu latach spotykał swoje dawne miasto (tak powstał wzruszający i nieoczywisty film „Idylle”, rozpoznający, wraz z bohaterami, dawną niemiecką tożsamość Szczecina). Być może szczególnie te prace uwrażliwiły go na dostrzeganie właśnie w najbliższym otoczeniu (i w spotykanym blisko człowieku) „warstw czasu”: nakładających się na siebie linii, z których – będąc cierpliwym i dociekliwym – można odczytać zapis pamięci. Być może te działania przekierowały też jego uwagę na ową pograniczną pamięć miejsca, co zaowocowało realizacją dwóch, spektakularnie pracochłonnych, archeologiczno-śledczych projektów „Margarete” i „Klosterhoff”.

Historia „Margarete” rozpoczyna się na nadbałtyckim flohmarkcie, gdzie Janek, z prostej ciekawości kupił sześćdziesiąt cztery szpulki filmów z prywatnego archiwum anonimowej mieszkanki wschodnich Niemiec. Spektakl, czy raczej, jak sam lubi mówić: wideogawęda najpierw krok po kroku odkrywa techniczny proces przeglądania, przetwarzania i ponownego wykorzystywania pierwotnego materiału (nakładanie na starą, niemą kliszę nowych technologii), potem niepostrzeżenie przekształca się w dokumentalne śledztwo i wzruszającą opowieść o próbie „zwrócenia wspomnień”. Jednocześnie jest to

rodzaj teatralnego traktatu o pozostawianych przez nas wizualnych śladach – o dualizmie zapisu i odtwarzania w czasach koegzystencji wielu „nośników pamięci”, które nieustannie przetwarzają naszą przeszłość.

„Klosterhoff” to z kolei efekt dziesięciu lat podglądania z kamerą najbliższej okolicy budynku, w którym znajduje się zarówno prywatne mieszkanie Janka, jak i siedziba Teatru Kana (pierwsze nagrania pochodzą z 2009 roku, od 2013 roku projekt współtworzy także Iwona Nowacka). Kiedyś był to teren przylegający do klasztoru, obecnie ściśle centrum miasta wpisane między Odrę, Zamek, Filharmonię i Muzeum Przełomów, na dachu którego „krzyczy rzeczywistość” (Plac Solidarności to miejsce pamięci ofiar Grudnia’70, a jednocześnie przestrzeń wszystkich prawie dziejących się w ostatnich latach społecznych protestów). Janek i Iwona, rejestrując setki godzin mikrodziałań i zjawisk (od załamania słonecznego światła i scen z życia zamieszkującego basen przeciwpożarowy żółwia, przez przechodniów pobliskiego skrzyżowania i niewidoczne z ulicy pomieszkowanie bezdomnych lokatorów, aż po polityczne manifestacje), stworzyli swoistą bibliotekę tropów i tematów: widz pokazu podąża za budowaną z alternatywnych ścieżek wyboru opowieścią, która, poprzez swój poklatkowy rytm odsłania wymazane już z pamięci warstwy – uchwycona w 10-letnim przepływie teraźniejszego czasu zmiana uświadamia podskórne życie miejsca i nieustannie w nim obecną równoległość światów. Projekt zostawia widza w rodzaju szoku poznawczego – wobec upływu czasu, własnej nieuważności, wielości możliwych perspektyw. I procesu zapominania. Po wyjściu z sali ma się wrażenie, że na to miejsce już nigdy nie spojrzysz tak samo zwyczajnie – a zawsze z mieszaniną podejrzliwości, lęku przed przemijaniem i fascynacji nietrwałością.

Co jest kluczem do twórczości Janka? Chyba przede wszystkim czas. Rozwarstwiony, wielokierunkowy, poukrywany, nieoczywisty. Rozczytywany z wszystkich, możliwych nośników. Z ośmiomilimetrowej taśmy filmowej, z fotografii, z archiwalnej kronik. Ze starej deski, z prześwietlonej słońcem soczewki, ze stojącego na oknie stoika. W czekaniu. W ciekawości. I w ciszy. W uważności na obecny w każdym z tych śladów zapis czyjegoś życia. Scenariusz Janka nie ogranicza się do dokumentowania rzeczywistości. Wchodzi ze swoimi bohaterami w relacje, podejmuje za nich odpowiedzialność, często realnie im pomaga. Z punktu wyjścia, jakim jest ruchomy bądź nieruchomy obraz, zatrzymana klatka filmowa, przechodzi przez scenę (która zdaje się być jedynie krótkim epizodem wciąż aktualizowanej „kroniki wypadków”) i kierkuje

się na bycie gdzieś pomiędzy sztuką, interwencją i – po prostu – wspólną, równoprawną obecnością. W wymiarze ludzkim.

Obecnie pracujący wspólnie od 2013 roku Janek i Iwona tworzą projekty sygnowane nazwą: Turkowski/Nowacka; mają ich na koncie kilka: „Smalfilm” – produkcja The Norderzoon Performing Arts Festival w Holandii, „it’s happening in norwich” – produkcja Norfolk & Norwich Festival w Wielkiej Brytanii, „Meet the Neighbour” – dwie odsłony: w Lublinie i Manchesterze, czy dokumentująca Brexit „Do not worry” w Londynie. Ich najnowsza wideogawęda to wyprodukowana przez Komunę Warszawa opowieść o Przedsiębiorstwie Społecznym „JaWa” – projekcie, realizowanym przez Stowarzyszenie Teatr Kana w ramach wsparcia osób w kryzysie.⁸⁴

ŚWIĘTO

Teatr Kana to nie tylko spektakle. To także festiwale, programy, edukacyjne, cykle, projekty. To goszczenie ważnych, cenionych, inspirujących artystów – przywracanie ich obecności w Szczecinie. To zapraszanie widzów/uczestników do aktywnego spotkania. To coś, co Zygmunt już w początkach działalności Kany określał jako „więcej niż własny teatr”.

Od jakiegoś czasu w świecie kultury pojawiło się pojęcie reżyserii wydarzeń, i jest ono traktowane w kategoriach twórczych. Budowanie programu, definiowanie tematu, projektowanie przebiegu energetycznego i rytmu, kreowanie sytuacji, które potencjalnie zainicjują artystyczne kooperacje, projektowanie emocji – to wszystko, podobnie jak praca nad scenariuszem przedstawienia, jest żywym procesem tworzenia i tak jak teatr, musi uwzględniać wielość czynników, a przede wszystkim obecność w nim ludzi, z całą ich wielowymiarowością, zasobami, wartościami i ograniczeniami, które wnoszą.

Są takie projekty, które – prowadzone autorską ręką i rozciągnięte w czasie – budują własną, wewnętrzną świadomość, wypełniają się doświadczeniem, rezonują. Taki charakter miał, realizowany przez cały zespół Kany, budowany w dialogu ze Szczecinem i za każdym razem skupiony wokół określającego formę proponowanych wydarzeń, przewodniego tematu, Festiwal Społeczności Kultury. Taki charakter miały również, podejmowane na przestrzeni wielu lat, społeczno-artystyczne działania w przygranicznym Stolcu. Taki jest wreszcie

84 Rozdział ROZWARSTWIENIE jest skrótem z artykułu „Wiśnie i stoiki”, w: „nietak!T”, s.14-21.



Plesza, wieś w Rumunii (zdj. Rafał Foremski)

autorski projekt „Wokół Tradycji” stworzony przez Rafała Foremskiego, który od kilkunastu lat konsekwentnie bada, studiuje, dokumentuje tradycje muzyczne i wokalne różnych kultur, a przede wszystkim współuczestniczy, wędruje „ku ludziom”, przekracza podziały, praktykuje spotkanie.

Wokół Tradycji to podróż po kolistej strukturze święta, jednak koło to zawiera w sobie pewien paradoks – bo każdy obrót w intrygujący sposób przybliża do centrum.

Tradycja to idea, trop, który nieustannie się wymyka i odnajduje w najdziwniejszych miejscach: w besarabskich stepach, zapomnianych rumuńskich wioskach, w wąskiej zonie wokół Dniestru, w ubogich chatkach, które otwierają szeroko swe drzwi na dźwięk pieśni, czy tuż obok – w podszczecińskich wsiach pogranicza. Wreszcie w teatrze, we własnym domu. Ucząc się jej na nowo, odkrywam dwie zasadnicze i równoważne podstawy: horyzontalną, którą symbolizuje stół i wszystko co wokół niego, ale i wertykalną, mocno osadzającą w rzeczywistości sacrum.

Czym ona właściwie jest? Czemu może służyć współcześnie, jakie pełnić funkcje? Dowiaduję się tego od ludzi, którzy dawno już odeszli lub przychodzą z miejsc

odległych, miejsc których istnienia nawet nie przeczuwałem. To szczególnie dialog, prowadzony nieraz wbrew czasom i mimo odległości, w dodatku z perspektywy ośrodka wywodzącego się z teatru alternatywnego, kontrkulturowego. Czy może być w nim miejsce „na pieśni nabożne na rozmaite święta” śpiewane w wiejskich kościołach, na cmentarzach, w domach?

Im więcej pracuję z ludźmi, poruszam się w środowisku muzyków „autentycznych”, eksperymentując, spotykając ich z innymi, czasem radykalnymi artystami, balansując na granicy ryzyka, przekonuję się, że jest to sprzeczność tylko pozorna. Rdzeń tradycji mimo licznych prób zawłaszczania tkwi bowiem w obszarze „na pograniczu”, między indywidualnym, osobistym, a wspólnotowym, między świętym i dzikim, między starym i nowym, utrwalonym, a kwestionującym – w niezinstytucjonalizowanym obszarze wolności, do której mocno odwołuje się przecież etos teatru offowego. Dlatego właśnie najciekawszy artyści wiejscy budzą często ambiwalentne uczucia własnej społeczności – żyjąc, myśląc i pracując inaczej, prowokują, budzą wątpliwości, ale i wytyczają nowe kierunki – pozostają na uboczu, czy raczej... w ofi. Ta dwoistość i przeciwstawny charakter myślenia społeczności/indywidualności wydaje się definiować siłę napędową tradycji, ale i innych kulturowych procesów.

Poruszam się więc raczej w sferze przeczuć, pytań bardziej niż gotowych odpowiedzi. Uprawiam „alternatywną etnografię”. Zebrane doświadczenia wykorzystuję w praktyce, wychodząc coraz częściej z przestrzeni teatralnych „ku ludziom”, w stronę małych miejscowości, wiejskich klubów i domów, zazwyczaj oddalonych od centrów, pilnując by działania nie przemieniły się jedynie w „fakt estetyczny, profesjonalny, w obliczu biernej i obojętnej publiczności, może nawet tej samej, która tym pieśniom dała początek” jak pisał Eugenio Barba. Dlatego w „naturalnym środowisku” (które tak naprawdę nie istnieje, bo uległo gwałtownej transformacji) staram się przekłuwać utrwalone w ciągu ostatnich dekad wzorce spotkań „ludowych” na rzecz współuczestnictwa, przekraczać podział na wykonawców i odbiorców, tworzyć odpowiedni kontekst – bo on właśnie jest w tej pracy zadaniem najtrudniejszym i jednocześnie kluczowym. Tylko przywracając pieśniom właściwą, organiczną funkcję można poczuć w pełni ich wagę, moc, oddziaływanie.⁸⁵

PIĄTY WYMIAR

Istnieje ogromna ilość obszarów (od fizyki kwantowej po ezoterykę, kino i popkulturę) oraz teorii na temat „piątego wymiaru” i w tym tekście przywołuję

85 Rafał Foremski, *Dźwięk podwodnego dzwonu*, „nietak!T”, s. 22-23.

to pojęcie w sposób trochę prowokacyjny, trochę żartobliwy, trochę techniczny, a trochę metaforyczny. Teatr z założenia odbywa się w 5D – oprócz długości, szerokości, wysokości i czasu, sięga do „efektów specjalnych”: za pomocą niewykrywalnych, niedostrzegalnych, „zwiniętych mikrocząsteczek” powołuje proces energetyczny, który (mimo, że niematerialny), wchodzi w realną reakcję z widzem, a także wywołuje połączenia pomiędzy wszystkimi uczestnikami i elementami spektaklu. Mam jednak wrażenie, że ta metafora, która przypisuje temu co niewidzialne i niedefiniowalne sprawczość łączenia „ciemnej i jasnej strony wszechświata”, dotknięcia, na poziomie świadomości, jakiejś przyczyny, czy raczej nadrzędnego sensu, jest kusząco bliska temu, czego poszukuje sztuka, czego poszukiwał w swoich spektaklach Zygmunt Duczynski, czego stara się poszukiwać zespół, artyści i twórcy projektów związani z Teatrem Kana. Scenariusz (spektaklu, akcji, programu, festiwalu, działania) zawsze motywowany jest tu przestrzenną wizją, zakładającą współistnienie wielu elementów, a także zachodzących pomiędzy nimi procesów i przepływów. Nigdy nie jest to biała kartka linearnie odmierzająca cele i efekty, przekładająca, jeden do jeden, to co napisane, w to co wypowiedane, pokazywane, grane. Zawsze jest to – zrodzona z tego, co najbardziej rezonuje i dotyka – forma, która poszukuje najbardziej adekwatnej, a więc żywej, organicznej, nieprzekłamującej materializacji. Niezależnie, czy jest to kameralny spektakl, plenerowe widowisko, czy niszowy performans, niezależnie czy ma ono bawić, poruszać, definiować, nakłuć, ostrzegać, reagować, czy uwrażliwiać, najważniejsza jest właśnie wielowymiarowość przestrzeni spotkania.

Pamiętam jedną z wypowiedzi Zygmunta, kiedy mówił o zespole, o ośrodku, o osobach, z którymi pracował:

Staramy się, z najróżniejszych rzeczy, z okruchów życia, z własnych przeczuć, z własnych marzeń, z literatury, z tych wielu środków zbić – na wzór japońskiego miecza – jedną całość, instrument, który by umożliwił, otworzył żywą energię spotkania, powołał miejsce, w którym można byłoby odczuć wspólną wrażliwość. I jest tak, jak mówi Wienia Jerofiejew: Nie znam was ludzie, znam was słabo... Ale wy mnie obchodzicie. Interesuje mnie ku czemu ma się teraz wasza dusza.

Być może o tym właśnie jest piąty wymiar teatru.

Przedstawione w artykule zdjęcia pochodzą z archiwum Teatru Kana.

O Bursewiczu

Był rok 1953, rok śmierci Stalina. Ilia Erenburg, pisarz radziecki, nieśmiało ogłosił odwilż, kiedy do Szczecina powrócił z Poznania Józef Bursewicz po dwu i pół roku wyższych studiów. Już wiedział, że nie zostanie doktorem, to była jego decyzja. Wrócił do rodziców, do domu na Pogodnie, domu, który dostali za swój dawny, wileński. W Szczecinie bowiem Józef Bursewicz został zameldowany już w 1945 r. jako pięćsetny polski obywatel miasta. Spotkał tu przedziwny konglomerat przesiedleńców ze wszystkich zakątków i kresów przedwojennej Polski, z ich obyczajami i ciężkimi doświadczeniami. Usiłowania władz, aby przez kulturę uzyskać jakieś zjednoczenie takiego społeczeństwa, nie udawały się. Zapraszani „z centrali” pisarze, owszem, zamieszkiwali w ofiarowanych im willach, ale przeważnie już po roku nie wytrzymywali i wracali do bardziej kulturalnych dzielnic.

Ta sytuacja spowodowała wybór młodego ex-studenta: kultura. Zaczął własną twórczość od pisania wierszy i felietonów, a coraz mocniejsza odwilż ułatwiła ich publikację w prasie czy radiu. Jego talent rychło dał się poznać. Jako etatowy pracownik rozgłośni szczecińskiej był autorem licznych audycji, w tym cyklicznej „Imiona ulic”. W każdej omawiał i patrona jej nazwy, i ludzi na niej spotkanych, znanych – lub tylko znajomych. Te aktualne i żywe relacje były wytchnieniem od zwykłej propagandowej nudy. Niestety ta praca trwała tylko osiem lat.

Bursewicz, już poważnie zainteresowany literaturą, a z natury towarzyski, miał kłopot ze znalezieniem chętnych dyskutantów dla tego tematu. Znalazł ich trzech, byli sąsiadami z ulicy Arkońskiej: Krzymiński, też student, Grabowski i Dzierżanowski – technicy, świeżo po dyplomach. Bursewicz, zwany przez nich Żozkiem, przekonał ich, że też potrafią pisać wierszem. Tak powstała grupa poetycka „Metafora”, publikująca swoje utwory zbiorowo oraz indywidualnie. Do grupy dołączył młody (jeszcze przed maturą) awangardzista – Edward Balcerzan, dziś zasłużony profesor UAM w Poznaniu.

Józef Bursewicz (https://pomeranica.pl/wiki/J_Bursewicz)

Żozek raz po raz werbował do „Metafory” nowych członków, najczęściej artystów-malarzy, z którymi chętnie biesiadował, dyskutując o sztuce, ale oni najczęściej nie brali tego poważnie. Postanowił więc zorganizować własną wystawę malarstwa krajów zaprzyjaźnionych pod szyldem „Metafory” i – dokonał tego.

Pamiętam jak spotkałem go objuczonego obrazami młodych malarzy z Czech czy Bułgarii, niosącego je własnoręcznie z dworca na Zamek. Tam właśnie, w odbudowanym pierwszym skrzydle zamkowym odbyła się ta wystawa. Dała początek kolejnym, jako Biennale organizowane przez ZPAP i władze miasta. Poeci „Metafory” wydali program pierwszej wystawy, ozdabiając go własnymi tekstami, ale wszystko inne zrobił sam Bursewicz.

Dom na Pogodnie, przy ul. Abramowskiego 4, ma dziś tablicę pamiątkową z datą „1927–1982”. Tak, tam żył Józef Bursewicz, tam był jego pokój pełen książek jeszcze z Wilna i obrazów, najnowszych, szczecińskich. Tu pisaliśmy teksty audycji „Magazyn Artystyczny”, której muzykę opracował Walerian Pawłowski, a wykonywali aktorzy, ale ich tu nie było. Bywali przeważnie metaforzyści. Praca literacka, bez alkoholu, ale z herbatą i papierosami, trwała do późnej nocy. Raz, gdy Żozek otworzył okno, ktoś z ulicy zapytał: – co się pali? Zawołać straż?



Cóż, palili wtedy wszyscy. Plonem tych posiedzeń były aktualne, czasem plotkarskie relacje zbliżające słuchaczy do twórców wszystkich sztuk pięknych. Były pouczające i rozrywkowe zarazem.

Bursewicz nie hołdował zasadom realizmu socjalistycznego, jego twórczość była coraz częściej krytykowana przez tak zwanych pisarzy zaangażowanych. Ci chwalili władzę i jej „osiągi” i mieli się dobrze, a popularność Żozka była im solą w oku. Ryszard Liskowacki był niewątpliwie pisarzem zaangażowanym. Na którymś ze swoich spotkań autorskich jako przykład złej literatury wymienił poezję „Metafory”, porównując ją do równie złej, niejakiego Katerli, z początków XX wieku. Obkuty w literaturze Żozek następnie oświadczył, że Ryszard skrytykował Stefana Żeromskiego, bo Katerla to jego młodzieńczy pseudonim. Odtąd zdobył w Liskowackim, nie powiem wroga, ale stałego przeciwnika. Oprócz takich krytyków miał Żozek sporo zwolenników, m.in. taksówkarza, który go woził za darmo i milicjanta, którego wprowadzał do Klubu 13 MUZ.

Jako poeta też cenił żarty i niespodzianki. Przytoczę tu jego dedykację na pierwszym tomiku swoich wierszy „Kroki we mgle”, a mianowicie: „Wisi i Andrzejewi w dniu święta rybich łusek...” Chodziło o wiersz „Kolenda” (wcześniej także wydany w Arkuszu Poetyckim), który to wiersz zaczyna się słowami: „Czarny czarny deszcz/ spod nijakich nieb/ na wigilię leszcz/ i gliniany chleb” – a kończy: „hej kolęda kolęda/ kolęda psiakrew” (wtedy stę jeszcze pisało kolenda...). Ten utwór mógł wówczas być publikowany, bo wydawało się, że jest antyreligijny, a naprawdę opiewał robotniczo-chłopską (i naszą) biedę.

Tak, Bursewicz jako poeta pisał emocjonalnie, lecz nie w młodopolskim stylu, z awangardy wzięt tylko brak kropek i przecinków. Tematy brał z życia zwykłych ludzi, tło stanowiło często miasto, noc, księżyc i mgła. Jego tradycyjnie rymowane wiersze były zrozumiałe, nawet te mające drugie dno. Zawarł w nich bowiem sprawy, które rzetelnie znał, takie jak malarstwo, literatura, historia czy życie miasta. Zastąpił na miano twórcy-społecznika, bliższego pozytywistom niż romantykom.

Był dobrym druhem dla kolegów z pisarskiego fachu. Tłumaczył ich utwory z języka jidysz czy z rosyjskiego, a tematami jego audycji radiowych lub, w latach 70., telewizyjnych – była twórczość zawsze ich wielu. Choć miał charakter upartego Litwina każdy jego przyjaciel mógł na nim polegać jak na Zawiszy.

Żozek nigdy o tym nie mówił, ale kto go znał, mógł wyczuć, że kochał on dwa miasta: Wilno, miejsce urodzin, dzieciństwa i wczesnej młodości oraz

Szczecin, gdzie spędził resztę życia, nigdy z niego na dłużej nie wyjeżdżając, jemu poświęcił większość swej twórczości. Tam założył rodzinę i tam umarł w 1982 roku, w szpitalu, po powtórny udarze mózgu. Został pochowany na cmentarzu Ku Stońcu, bo nie było w Szczecinie cmentarza Pod Księżycem.

Ryszard Markow

Stanisław Rakowski, dziennikarz, działacz sportowy i kulturalny

Stanisław Rakowski urodził się 24 sierpnia 1926 r. w Dynowie, nad Sanem, w województwie lwowskim (obecnie powiat rzeszowski), w rodzinie kupieckiej. Jego ojcem był Michał Maczuga, kupiec z Przemyśla, urodzony 17 listopada 1888 r. w miejscowości Sucha Wola w powiecie Cieszanów (obecnie osada w gminie Oleszyce), w rodzinie Jana, maszynisty kolejowego, i Julii, z domu Rak. Matka Stanisława, Paulina Krasnopolska, pochodziła ze znanej w Dynowie, zamożnej rodziny kupieckiej. Gdy wychodziła za mąż w czerwcu 1922 roku, miała zaledwie 18 lat. Urodziła się 7 sierpnia 1903 r. w Dynowie, w rodzinie Stanisława Krasnopolskiego i Franciszki, z domu Okołowicz⁸⁶. Do jej rodziców należały m.in. gospodarstwo rolne i położony w centrum miasta sklep z towarami różnymi oraz piekarnia. Po ślubie ze starszym o 16



Stanisław Rakowski
ok. 1978 r.

⁸⁶ Stanisław Krasnopolski, kupiec i piekarz, syn Andrzeja Krasnopolskiego i Karoliny, z domu Krasnopolska, urodził się 21.11.1873 r. w Dynowie; zmarł 21.01.1958 r. w Dynowie. Franciszka Krasnopolska, z domu Okołowicz, córka Józefa i Katarzyny, z domu Prokop, urodziła się 5.03.1877 r. w Dynowie; zmarła 3.09.1965 r. w Dynowie.

lat Michałem, Paulina przyjęła nazwisko męża i urodziła dwóch synów: w roku 1923 Józefa, a w 1926 Stanisława. Jeśli wierzyć wspomnieniom młodszego syna, miał on trzy lata, gdy rodzice rozeszli się. Jego starszy o trzy lata brat, Józef wychowywał się odtąd w Dynowie pod opieką matki, Stanisław zaś pozostawał pod opieką ojca, z którym wyjechał do Przemyśla. Oficjalna uchwała Sądu Grodzkiego w Dynowie o dobrowolnym rozdziale małżonków Maczuga od stołu i łoża zapadła 31 października 1934 r., a w niej kupiec z Przemyśla i kupcowa z Dynowa zgodnie oświadczyli, że porozumieli się co do spraw majątkowych i utrzymania się oraz w sprawie utrzymania i wychowania małoletnich dzieci⁸⁷. Sądowa uchwała potwierdziła stan opisany we wspomnieniach Stanisława. Choć jednak po rozwodzie, opieka nad trzyletnim Stanisławem przypadła jego ojcu, Michałowi Maczudze, to faktyczną opiekę nad chłopcem sprawowała jego babcia, Julia Maczuga, matka Michała, u której chłopiec zamieszkiwał do śmierci ojca w styczniu 1939 r.⁸⁸ W 1933 r. Stanisław rozpoczął naukę w siedmioklasowej Publicznej Szkole Powszechnej nr 8 im. Adama Mickiewicza w Przemyślu⁸⁹. We wrześniu 1937 r. Michał Maczuga przeprowadził procedurę zmiany nazwiska swojego i rodziny na Rakowski⁹⁰. Prawdopodobną przyczyną dokonania tej zmiany była głośna w tych latach na Podkarpaciu działalność kryminalna członków innej rodziny Maczugów, relacjonowana obszernie w lokalnej prasie⁹¹.

Matka Stanisława, po rozwodzie z Michałem wyszła powtórnie za mąż za kupca Albina Drążewskiego i przyjęła jego nazwisko⁹². Pozostający na ich utrzymaniu Józef do 1939 r. uczył się w szkole powszechnej w Dynowie, później pomagał matce w prowadzeniu sklepu. Drążewscy utrzymywali się z handlu. Jeszcze po zakończeniu wojny, do 1948 r. prowadzili w Dynowie sklep

87 Archiwum Państwowe w Przemyślu (dalej: AP Prz.), Akta stanu cywilnego Parafii Rzymskokatolickiej w Dynowie, sygn. 2278, księga małżeństw 1884-1926, skan nr 85, s. 148. <https://skanoteka.genealodzy.pl/index.php?op=pg&id=3380&sy=4500&kt=1&plik=085.jpg> dostęp 04.06.2024 r.)

88 Michał Rakowski zmarł w Przemyślu 14 stycznia 1939 r. (informacja potwierdzona USC w Przemyślu).

89 AP Prz., Publiczna Szkoła Powszechna nr 8 im. A. Mickiewicza w Przemyślu, sygn. 332/0/2/36-37, księga ocen 1933/34 i 1934/35.

90 Datę i podstawę zmiany zapisano w akcie urodzenia Michała Maczugi z dnia 17.11.1888 r. w Parafii Nawiedzenia NMP w Oleszycach, księga urodzeń 1888 r., poz. 80.

91 Kryminalną działalność rodziny Maczugów, wywodzących się z Rozborza w pow. Przeworsk, opisał obszernie Szymon Jakubowski w książce *Byk, Maczuga i inni...*, Rzeszów 2021.

92 Albin Drążewski, ur. 01.11.1900 r. w Trębowlu, syn Jana i Rozalii, z domu Przybylska, zmarł 18.01.1951 r. w Dynowie.

towarów mieszanych i piekarnię⁹³, zaś Albin Drażewski m.in. sprawował funkcję prezesa Kongregacji Kupieckiej w Dynowie⁹⁴.

We własnoręcznie napisanym życiorysie Stanisław Rakowski wspomina, że w 1939 roku ukończył szkołę podstawową i zdał egzamin wstępny do gimnazjum, jednak wojna przerwała jego dalszą edukację. W czasie okupacji mieszkał początkowo u krewnych w Przemyślu, a następnie u dziadka, Stanisława Krasnopolskiego, posiadającego czterohektarowe gospodarstwo rolne w Dynowie lub w jego okolicach. Tam przygotowywał się do matury na tajnych kompletach⁹⁵. Tajne nauczanie prowadził w Dynowie miejscowy nauczyciel historii, Aleksander Moskwa. Nie jest znana inna aktywność Stanisława w czasie okupacji niemieckiej. W tym czasie jego starszy brat, Józef Rakowski⁹⁶ należał do plutonu AK Dynów-Przedmieście Dynowskie, a po zakończeniu wojny, od 1944 r. na terenie Dynowa działał w nielegalnym Zrzeszeniu Wolność i Niezawisłość (WiN) oraz w zorganizowanej przez byłych żołnierzy AK Samoobronie miasta Dynowa, przekształconej w czerwcu 1946 r. w Ochotniczą Rezerwę Milicji Obywatelskiej⁹⁷.

Z akt śledztwa prowadzonego przeciwko Stanisławowi Rakowskiemu wynika, że on także w 1944 r. zaangażował się w działalność Zrzeszenia WiN i Samoobrony miasta Dynowa, a równocześnie od 1 sierpnia 1944 r. był funkcjonariuszem posterunku MO w Dynowie. W grudniu 1944 r. przydzielono go do służby w UBP w Brzozowie, skąd w obawie przed aresztowaniem, w pierwszych dniach marca 1945 r. zbiegł z bronią służbową, porzucając służbę w milicji⁹⁸. Ostatecznie po tygodniu broń służbową zwrócił, lecz sam przez kilka miesięcy pozostawał w ukryciu, być może nadal współpracując z podziemną organizacją.

93 Archiwum IPN w Rzeszowie (Dalej: IPN Rz.), WUSW Rzeszów, sygn. 00155/1394, Akta personalne członka ORMÓ Józefa Włodzimierza Rakowskiego.

94 Wspomina o nim m.in. Andrzej Stankiewicz w artykule *Z historii procesu Brzozowskiego* w miesięczniku „Dynowinka”, 2003, nr 3 (<http://www.archiwum1.dynow.pl/upload2/dynowinka/htm/n3/D3.htm>; dostęp 14.05.2024).

95 Archiwum Państwowe w Szczecinie (dalej: AP Sz.), Komitet ds. Radia i Telewizji Polskie Radio i Telewizja w Szczecinie (dalej: PRiTV), sygn. 11/700, akta osobowe Stanisława Rakowskiego, 1953.

96 Józef Włodzimierz Rakowski ur. 09.03.1923 r. w Dynowie, członek PPS, w okresie okupacji niemieckiej żołnierz AK (pseudonim „Zamek”). Zginął 16.11.1946 r. w Dynowie w czasie walki ulicznej z liczną bandą UPA, która napadła miasto w celach rabunkowych.

97 Artur Brożyniak, Paweł Fornal, *Opanowanie Dynowa przez UPA 16 listopada 1946 roku. Dokumenty polskie i ukraińskie*, w: „Pamięć i Sprawiedliwość”, 2008, nr 1, s. 425-441.

98 IPN Rz., Wojskowa Prokuratura Rejonowa w Rzeszowie (dalej: WPR), sygn. 108/6762, Akta p-ko Rakowski Stanisławowi, s. Michała podejrzanego z art. 225 §1 K.K., s. 172.



Dynów ok. 1945 r. Na zdjęciu szkolni koledzy, od lewej: Jerzy Longin Śmietana, Edward Kędziński, Jan Łukasiewicz, Mieczysław Jurasiński, Aleksander Moskwa (nauczyciel), Stanisław Rakowski, Zygmunt Łukasiewicz, NN, Stanisław Kostur

W połowie listopada 1945 r. zameldował się w Gdyni⁹⁹ i podjął pracę w charakterze kontrolera wyładunku w Państwowej Morskiej Składnicy Samochodów, działającej na terenie gdyńskiego portu. Jak oświadczył w ankiecie personalnej z 1953 r., w Gdyni zdał eksternistyczny egzamin maturalny, co otwierało mu drogę na studia. W październiku 1946 r. rozpoczął studia w Akademii Handlowej w Poznaniu Oddział w Szczecinie. W aktach osobowych studenta Rakowskiego zachował się m.in. kwestionariusz słuchacza II roku AH wypełniony w roku akademickim 1947/1948¹⁰⁰. On sam twierdził w 1953 r., że w AH studiował przez trzy lata (1946-1949), zaliczając wymagane egzami-

99 Archiwum Państwowe w Gdańsku, w piśmie OG.6342.30.2024 z dnia 14 marca 2024 r. do autora niniejszej publikacji potwierdza, że S. Rakowski przybył do Gdyni z Dynowa 16 listopada 1945 r. i zamieszkał przy ul. Świętojańskiej 139, skąd 29 kwietnia 1947 r. wyprowadził się do Szczecina (na ul. Mickiewicza 118).

100 Archiwum Uniwersytetu Szczecińskiego, akta osobowe studentów, sygn. 388/1375, akta Stanisława Rakowskiego.

ny, lecz nie przystąpił do zdawania dyplomu. Zachowane w archiwum uczelni dokumenty Rakowskiego są niekompletne i trudno dziś na ich podstawie potwierdzić cały przebieg tych studiów.

W czasie studiów Rakowski podjął pierwszą próbę rozliczenia się z burzliwą przeszłością. W kwietniu 1947 r., korzystając z ogłoszonej amnestii, ujawnił się w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Brzozowie, a następnie w lipcu tego roku stanął przed Komisją PU BP w Brzozowie i złożył oświadczenie, wyjaśniające okoliczności dezercji ze służby w MO. Jednocześnie zadeklarował, że nie należał do żadnej nielegalnej organizacji oraz, że obecnie udaje się na stały pobyt do Wrocławia, gdzie przy ul. Jagiellońskiej 37 mieszka wraz z matką¹⁰¹. Wbrew temu oświadczeniu powrócił jednak do Szczecina, by kontynuować studia. Okoliczności te wskazują na towarzyszące Rakowskiemu obawy przed represjami władz za jego współpracę z organizacjami podziemnymi. Próbował gubić tropy, co jednak okazało się bardzo trudne, skoro pod własnym nazwiskiem studiował i wynajmował kolejne kwatery, a to wiązało się z koniecznością dokonywania formalności meldunkowych.

W Szczecinie początkowo wynajmował pokój przy ul. Mickiewicza 118, a w październiku 1947 r., wespół z innym studentem, wynajął pokój przy ul. Karłowicza 74. Opisując w ankiecie studenta ówczesną sytuację materialną wskazywał, że jego stałym miejscem zamieszkania jest Dynów, a w Szczecinie utrzymuje się dzięki pomocy rodziny (dziadka, rolnika) w kwocie 4 tysięcy złotych miesięcznie¹⁰².

W 1949 r. przez trzy miesiące Rakowski pracował w Miejskim Wydziale Zdrowia na stanowisku kierownika kancelarii¹⁰³. Ale zawodową przyszłość wiązał z dziennikarstwem. Początkowo jako „wolny strzelec” w 1948 r. podjął współpracę z redakcją „Kurierza Szczecińskiego”, a od 1949 r. kontynuował ją już jako dziennikarz etatowy, stopniowo awansując. Wspecjalizował się w tematyce sportowej. Od 1950 był kierownikiem Działu Sportowego, od 1953 r. kierownikiem Działu Miejskiego. Równoległe z pracą w gazecie, Rakowski współpracował z redakcją sportową Rozgłośni Polskiego Radia w Szczecinie. Gdy w 1953 r. do Katowic (wówczas: Stalinogrodu) wyjechał Roman

101 IPN Rz., WPR, tamże.

102 Według Rocznika statystycznego GUS, w 1947 r. w Szczecinie chleb kosztował 28 zł/kg, ziemniaki 14,50 zł/kg, mięso wołowe 255 zł/kg, a średnia płaca dzienna robotnika rolnego w woj. szczecińskim wynosiła 204 do 231 zł.

103 AP Sz., PRiTV, sygn. 11/700, tamże: ankieta personalna Stanisława Rakowskiego z dnia 29 lipca 1953 r..

Paszkowski¹⁰⁴, dotychczasowy redaktor sportowy Rozgłośni, Rakowski samodzielnie prowadził audycje sportowe, zapewniając ciągłość pracy tej redakcji. A że robił to udanie, wykazując się zdolnością w sprawozdaniach mikrofonowych, zaproponowano mu etat redaktora sportowego i zatrudniono na tym stanowisku z dniem 12 września 1953 r.

Jako dziennikarz „Kuriera” wykazywał się dużą wydajnością pracy i dużą znajomością zawodu, szczególnie w zakresie sportu. Jego teksty *cechowała jeszcze pewna chropowatość*, a jednocześnie *duże poczucie odpowiedzialności za słowo drukowane* – pisał w opinii o Rakowskim zastępca redaktora naczelnego, Józef Baran¹⁰⁵. *Był pracownikiem zdyscyplinowanym i ofiarnym, dobrym organizatorem o zdolnościach kierowniczych*¹⁰⁶.

Młodym, dobrze zapowiadającym się dziennikarzem, bezpartyjnym, który zapewne asekuracyjnie zaangażował się w działalność środowiskowego Koła ZMP, a w latach 1950-1952 był nawet jego przewodniczącym, zainteresowali się funkcjonariusze z Wydziału II WUBP w Szczecinie. Sobie znanymi argumentami pod koniec maja 1950 r. zwerbowali go do współpracy „na zasadzie dobrowolności”, nadając pseudonim operacyjny „Kajtek”, a po pięciu miesiącach przekazali na łączność, zajmującemu się kontrwywiadem, Departamentowi I MBP. Do 1952 r. Rakowski pozostawał „na kontakcie” byłego Wydziału I WUBP, po czym w maju 1953 r. został wyeliminowany jako niechętny do współpracy¹⁰⁷. W tym czasie tajne służby w Polsce osiągnęły najwyższy pułap rozwoju strukturalnego i przechodziły kolejną restrukturyzację. Ich działalność koncentrowała się nadal m.in. na rozpoznaniu i zwalczaniu byłych żołnierzy organizacji podziemnych z okresu okupacji oraz obecnych działaczy opozycyjnych. Za pomocą pomówień i prowokacji fabrykowano dowody winy domniemanych i potencjalnych przeciwników politycznych, wymuszano zeznania świadków, organizowano procesy pokazowe, kończące się w najlepszym razie wyrokami pozbawienia wolności. Stanisław Rakowski miał więc czego się obawiać i miał się o kogo bać. W 1953 r. był mężem i ojcem trzyletniej córki, Ewy. Ślub odbył się w kwietniu 1950 r., a jego żonę została trzy lata od

104 Roman Paszkowski, dziennikarz sportowy (21.09.1920 Kraków – 29.05.2018 Sosnowiec), w młodości uprawiał czynnie sport m.in. w barwach CRACOWII oraz AZS Kraków. W latach 1950-1953 pracował jako sprawozdawca sportowy w rozgłośni PR w Szczecinie, a w następnych latach w rozgłośni PR w Katowicach, w latach 1962-1981 kierował tam redakcją sportową.

105 Józef Baran z czasem zmienił nazwisko na Barecki. W następnych latach był m.in. redaktorem naczelnym „Głosu Szczecińskiego” oraz dzienników „Trybuna Ludu” i „Rzeczpospolita”.

106 AP Sz., PRiTV, sygn. 11/700, tamże: opinia z dnia 28 lipca 1953 r.

107 IPN w Szczecinie, KWMO w Szczecinie, sygn. IPN Sz. 0020/1. Karta ewidencyjna Stanisława Rakowskiego.

niego młodsza Róża Maria Klabecka, córka Stanisława i Marty, z domu Spraw-ska¹⁰⁸. Jej ojciec, od 1945 r. był dyrektorem administracyjnym Tramwajów i Autobusów Miejskich w Szczecinie i mieszkał z rodziną w jednym z dwóch mieszkań wydzielonych w willi przy ul. Traugutta 150, w pobliżu stacji kolejowej Szczecin-Łęknio. Rakowscy zamieszkali tam wspólnie z rodzicami Róży.

Nie wiemy czy latem 1953 r., gdy Rakowski zaczynał nowy etap zawodowego życia w Rozgłośni Polskiego Radia Szczecin, dotarły do niego jakieś sygnały z odległego Dynowa lub Rzeszowa o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Nie da się jednak tego wykluczyć.

W tym właśnie czasie WUBP w Rzeszowie przekazał Naczelnikowi Wydziału VI KWMO w Rzeszowie „celem wykorzystania” opracowanie zawierające materiały kompromitujące Stanisława Rakowskiego w czasie, gdy był funkcjonariuszem MO w Dynowie¹⁰⁹. Były to zeznania świadków, w których zarzucano S. Rakowskiemu, że w latach 1944-1945 wspólnie z innymi funkcjonariuszami MO, przy współdziałaniu „bandy A.K.” brał udział w rabunkach i zamordowaniu obywateli narodowości ukraińskiej. Przeprowadzenie dalszych czynności dochodzeniowo-śledczych wymagało udziału podejrzanego o te przestępstwa Rakowskiego. Z tego powodu 10 listopada 1953 r. w Szczecinie podjęto próbę zatrzymania go w miejscu pracy, czyli w redakcji Rozgłośni Polskiego Radia, mieszczącej się wówczas w willi przy ul. Armii Czerwonej (obecnie Monte Cassino) 30. Czujny i najwyraźniej uprzedzony o tym fakcie Rakowski, uniemożliwił zatrzymanie. Gdy zorientował się w sytuacji, wyskoczył przez okno na podwórze willi i oddalił się z miejsca pracy w sobie znanym kierunku.



Stanisław Rakowski przy pracy, ok. 1953 r.

108 Róża Maria Rakowska, z domu Klabecka, ur. 22.08.1929 r., zmarła 30.10.2009 r. w Wydminach.

109 IPN Rz., WPR, tamże, s. 152, 169.



Róża i Stanisław Rakowscy z córką, Ewą, ok. 1957 r.

Stanisław Rakowski, Mistrzostwa Polski Dziennikarzy w Krynicy, 1953 r.



Podobno zdążył jeszcze biegiem dotrzeć do oddalonego o dwa kilometry mieszkania, zabrać najpotrzebniejsze rzeczy i na stacji Łękno wskoczyć do najbliższego pociągu towarowego, wykorzystując fakt, że pociągi towarowe, z powodów technicznych, musiały zwalniać, przejeżdżając przez tę stację. Odtąd się ukrywał¹¹⁰. W tej sytuacji w kwietniu 1954 r. oficer śledczy KWMO w Rzeszowie wydał postanowienie o zawieszeniu śledztwa do czasu ujęcia podejrzanego, a nadzorująca śledztwo Wojskowa Prokuratura Rejonowa w Rzeszowie w maju 1954 r. rozesała za nim list gończy¹¹¹. Działania te okazały się jednak nieskuteczne. Rakowski zniknął. Odnalazł się w mieszkaniu Klabeckich przy ul. Traugutta, u boku żony i sześćioletniej już córki 1 maja 1956 r., kilka dni po ogłoszeniu ustawy o amnestii z dnia 27 kwietnia 1956 r. Po powrocie do Szczecina powrócił także do pracy

dziennikarskiej w „Kurierze Szczecińskim”, poświęcając się nadal tematyce sportowej.

Zamiłowanie Rakowskiego do sportu i uprawiania ze znanstwem dziennikarstwa sportowego tłumaczono jego doświadczeniem wyniesionym ze studiów w Akademii Handlowej, gdzie od 1946 r. rozwijano z powodzeniem aktywność sportową w różnych dyscyplinach w ramach Akademickiego Związku Sportowego. Prawdopodobnie właśnie w barwach AZS Rakowski połączył bakcyła sportowego i przekonał się do sportów wodnych, żeglarstwa i wioślarstwa, które w następnych latach po amatorsku uprawiał czynnie.

110 Janusz Ławrynowicz w artykule *Wróg klasowy na radiowej fali* w „Kurierze Szczecińskim” nr 179 z 14-16.09.2012 r., wspominając Rakowskiego i ubarwiając m.in. okoliczności jego ucieczki przed aresztowaniem, ułokował to zdarzenie błędnie w roku 1949.

111 IPN Rz., WPR, tamże, s. 177-178, 182.

Stanisław Rakowski, ok. 1953 r.



Ale też jeździł na nartach, a nawet próbował swych sił w motocrossie. Nie było więc przypadku w tym, że w 1949 r., gdy organizowano w Szczecinie Okręgowy Zarząd Związku Towarzystw Wioślarskich, Rakowskiemu powierzono w nim funkcję sekretarza. Prezesem pierwszego zarządu został wówczas M. Welzant, a kapitanem sportowym znakomity wioślarz Teodor Kocerka. Pełnił też Rakowski różne funkcje w zarządach innych związków i klubów sportowych, był m.in.: prezesem zarządu komisarycznego Robotniczego Klubu Sportowego „Skra”, referentem prasowym w Okręgowym Związku Lekkiej Atletyki, działaczem Rady Okręgowej Zrzeszenia Sportowego „Unia” (1948-1952).

W latach 1957-1958 oraz 1961-1962 był członkiem zarządu reaktywowanego Okręgowego Związku Kolarskiego. W 1958 r. Rakowski, wraz z kilkoma innymi działaczami sportowymi, założył wielosekcyjny Miejski Klub Sportowy „Ogniwo” i pełnił w nim funkcję wiceprezesa zarządu ds. sportowych. Warto dodać, że był także sędzią kolarskim klasy III szczecińskiego OZKol, a w latach siedemdziesiątych przewodniczącym Komisji Wychowania Morskiego przy Okręgowym Związku Żeglarskim w Szczecinie.

W 1975 roku poznał go żeglarz i dziennikarz Zbigniew Kosiorowski, wówczas kierujący Redakcją Publicystyki i Informacji w Polskim Radiu Szczecin, robiący sporo materiałów dotyczących środowiska żeglarskiego. Szczecin był wówczas ośrodkiem bardzo liczącym się w kraju, mieliśmy wyśmienitą Stocznnię Jachtową im. Leonida Teligi, a budowane tu ciekawe jachty startowały z powodzeniem w liczących się imprezach i regatach. Wspólne pasje i zainteresowania spowodowały, że obydwaj panowie zaprzyjaźnili się, mimo dużej różnicy wieku i życiowych doświadczeń. Dziś Kosiorowski, wspominając po latach Rakowskiego, określa go ciepło brzmiącym imieniem:

– Staszek, im dłużej z nim rozmawiałem, tym doświadczałem takiego przekonania, że jest to człowiek o olbrzymiej wiedzy, o dużej kulturze, elokwencji i umiejętności łączenia różnych zdarzeń i przypadków, i wyciągania wniosków, a poza tym erudyta w kwestiach dotyczących morza. Wiedziałem, że jest to wiedza jakoś nabyta. Podejrzywałem, że musiał uprawiać żeglarstwo, ale nigdy nie rozmawialiśmy o jego doświadczeniach żeglarskich. W środowisku dziennikarsko-żeglarskim był osobą znaną i znającą się na tym, toteż poruszał się w nim ze swobodą. W roku 1976 „Kuba” Jaworski przygotowywał się do startu w Regatach Transatlantyckich. Poznałem go wówczas, a u niego bardzo częstym gościem bywał Staszek Rakowski. Byli zaprzyjaźnieni.

W swoich opiniach i ocenach Staszek był zawsze bardzo kategoryczny. A jednocześnie dbał o szczegóły w zachowaniu i w obyciu. Ubierał się elegancko, nawet czasami troszkę wyzywająco, bo w tym czasie noszenie apaszek, bardzo wyrazistych, ale z gustem dobranych do marynarki i koszuli, było wyrazem przejścia w inny koloryt, inny gust. To wymuszało zwrócenie na niego uwagi. I ktoś, kto mówił przy nim, musiał mówić mądre i ciekawe rzeczy¹¹².

Ale nie samym sportem żył Rakowski. W środowisku dziennikarzy uchodził za sprawnego, otwartego na współpracę organizatora, a przy tym człowieka kulturalnego i eleganckiego, nie dziwi więc, że koleżanki i koledzy ze Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich wydelegowali go w 1958 r. do Zarządu Klubu Związków i Stowarzyszeń Twórczych 13 Muz, gdzie wybrano go na wiceprezesa u boku architekt, Heleny Kurcysz. A potem dwukrotnie jeszcze powierzano mu funkcję prezesa zarządu. Jego przedłużona kadencja przypadła na lata 1960-1966. Najbliższymi współpracownikami Rakowskiego w zarządzie byli m.in.: architekt Andrzej Korzeniowski, dziennikarze Tadeusz Karwacki i Lesław Skinder, literaci Czesław Czerniawski i Ryszard Liskowacki, artyści plastycy: Henryk Boehlke, Jan Powicki i Jan Radkowski, aktorzy: Lesław Mazurkiewicz, Janusz Marzec i Zofia Ordyńska. Bardzo sprawną i utalentowaną kierowniczką Klubu była Halina Krzyżanowska. Był to czas niezwykle ożywionej działalności Klubu. Spektakle Teatru 13 Muz prezentowano publiczności także w tzw. terenie, odbyło się kilka edycji Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji im. K.I. Gałczyńskiego, zainaugurowano coroczne Ogólnopolskie Przeglądy Teatrów Małych Form, regularnie odbywały się indywidualne wystawy malarstwa i grafiki, projekcje filmowe w ramach DKF, a jednocześnie kontynuowano tradycyjne cykle klubowych spotkań autorskich, czwartków literackich, imprez poetyckich, wieczorów poświęconych historii, architekturze, teatrowi, filmowi

112 Rozmowa ze Zbigniewem Kosiorowskim dn. 18 października 2024 r.

Bal karnawałowy w Klubie 13 Muz, 1957 r. Na zdjęciu od lewej: Róża i Stanisław Rakowscy, Halina Krzyżanowska, Zenon Zaniewicki



i muzyce. Zarząd Klubu pod kierownictwem Rakowskiego współpracował z innymi stowarzyszeniami i instytucjami, w tym m.in.: Szczecińskim Towarzystwem Kultury, Dyskusyjnym Klubem Filmowym Inteligencji i Studentów, Wojewódzkim Domem Kultury, Biurem Wystaw Artystycznych, Wojewódzkim Przedsiębiorstwem Imprez Artystycznych. Był to czas w miarę stabilnej sytuacji materialnej Klubu, który otrzymywał regularne dofinansowanie z budżetu miasta, ale także pozyskiwał środki z własnej działalności gospodarczej, organizując kursy języków obcych, wynajmując sale, organizując cieszące się powodzeniem bale środowiskowe.

W 1959 r. rodzinie Rakowskiego przyznano dwupokojowe mieszkanie w nowym bloku przy ul. Jaromira 9 (obecnie: Wyzwolenia 15), gdzie zamieszkał z żoną i córką. W pracy dziennikarskiej był wierny tematyce sportowej lecz kilkakrotnie zmieniał redakcje. W latach 1961-1969 pracował w „Głosie Szczecińskim”, 1969-1976 w „Kurierze Polskim”, dzienniku ogólnopolskim Stronnictwa Demokratycznego, wydawanym w Warszawie, a w 1972 r. kierował szczecińskim oddziałem Centralnej Agencji Fotograficznej¹¹³, po czym w 1975 r. powrócił do redakcji „Głosu Szczecińskiego”¹¹⁴. W latach 1978-1979 był sekretarzem redakcji, a następnie redaktorem naczelnym miesięcznika „Rybak Dalekomorski”, wydawanego przez Przedsiębiorstwo Połowów Dalekomorskich i Usług Rybackich „Gryf”. Na łamach tego pisma publikował

113 Paweł Miedziński, *Szczeciński Oddział Centralnej Agencji Fotograficznej 1970-1991*, „Przegląd Zachodniopomorski” 2019, zeszyt 2, s. 143.

114 W archiwum akt osobowych pracowników Szczecińskiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa-Książka-Ruch” nie zachowały się akta osobowe Stanisława Rakowskiego, a jedynym dokumentem potwierdzającym jego zatrudnienie w wydawnictwie jest zachowana ewidencja pracowników.

wywiady i reportaże dotyczące przedsiębiorstwa, ale także artykuły o sporcie, o żeglarskim. Współpracował też z innymi redakcjami, m.in. z „Tygodnikiem Morskim”.

Warto wspomnieć, że Rakowski jest także autorem jubileuszowych opracowań: *XX lat sportu kolejowego w Szczecinie 1945-1965* (Szczecin 1966); *XX lat Szczecińskiej Stoczni Remontowej* (Szczecin, 1972); i *Monografii sportu gwardyjskiego oraz Gwardyjskiego Klubu Sportowego „Arkonia”* (Szczecin 1971), która nie ukazała się w druku, a jej maszynopis przechowywany jest obecnie prawdopodobnie w archiwum Klubu Sportowego „Arkonia”. W 1971 r. Rakowski wyreżyserował krótkometrażowy film *Etiuda szczecińska*, promujący historię, zabytki i osiągnięcia regionu zachodniopomorskiego (Produkcja: OM PTTK, WDK i WKKFiT).

Za działalność zawodową i społeczną Stanisława Rakowskiego wyróżniono m.in. Odznaką Zasłużonego Działacza Kultury Fizycznej, Odznaką Zasłużonego Działacza Kultury oraz Złotą Odznaką „Gryfa Pomorskiego”.

W ewentualnym konkursie na asa salonowego „Kuriera” Stanisław Rakowski zajęłby bezsprzecznie pierwsze miejsce – wspominał po latach jego redakcyjny kolega, Stefan Janusiewicz – Czas swój dzielił między boiska, korty i tory kolarskie a salony, rauty, bale, spotkania towarzyskie. Był doskonałym sprawozdawcą sportowym, spikerem zawodów, patronował wielu turniejom i inicjatywom „Kuriera”. Popularny w kraju, pisał dla warszawskich pism sportowych, miał opinię playboya, lekko traktującego życie (...) Był przyjacielem wszystkich, słynnych sportowców Szczecina tamtych czasów – kolarza [Janusza] Klabeckiego, biegacza Stefana Lewandowskiego, [żeglarza] Kuby Jaworskiego. Wychował drużynę reporterów nie tylko sportowych, uczył zawodu red. Marka Szymczyka, późniejszego sekretarza redakcji i p.o. naczelnego. Ale sam z sobą miał kłopoty. Gwarne życie towarzyskie przerywały ucieczki w samotność. Kochał i bał się życia¹¹⁵.

Owe gwarne życie towarzyskie łączyło się z toastami, które wpędzały Rakowskiego w szpony nałogu. Mimo wielu prób, pomocy rodziny, najbliższego otoczenia i zaprzyjaźnionych lekarzy, nie potrafił się skutecznie z niego wyzwolić. Jego aktywność zawodowa w ostatnich latach przerywana była czasem spędzaniem na odtruwaniu organizmu i kolejnych próbach utrzymania się w trzeźwości. Z tego powodu, Rakowski co jakiś czas zniknął, pozostawał w ukryciu. Ta sytuacja nie pozostawała zapewne bez wpływu na efektywność pracy w redakcji.

115 Stefan Janusiewicz, *Salony i sport*, „Kurier Szczeciński” nr 174, 7.09.2005 r., s. 13.

Huśtawka emocjonalna, której źródłem mogły być zadawnione, lecz nie dość zabliznione, duchowe rany z dzieciństwa i wczesnej młodości, nie była także obojętna na życie rodzinne. W marcu 1976 r. w Dynowie, Rakowski pochował matkę i likwidował spuściznę po niej. W tej ceremonii towarzyszyła mu żona, a świadkowie tego ostatniego już chyba jego pobytu w rodzinnym mieście, zachowali to w pamięci jako wydarzenie wyjątkowe, z udziałem wyjątkowego gościa, eleganckiego, kulturalnego, życzliwego ludziom. I zapamiętali towarzyszącą mu elegancką Różę¹¹⁶.

Latem 1976 r. na łamach „Głosu” Rakowski obszernie relacjonował zakończony sukcesem udział „Kuby” Jaworskiego w Transatlantyckich Regatách Samotnych Żeglarzy „Ostar 76” na jachcie „Spaniel”, wyprodukowanym w Morskiej Stoczni Jachtowej im. Leonida Teliği. Szczecin przygotowywał się na oficjalne powitanie wybitnego żeglarza, który na metę w Newport w USA przyплыł na trzeciej pozycji, a w swojej klasie „Jester” był najlepszy. Fetowano go w USA, na powitanie Kuby czekał Szczecin. Jak wspomina Zbigniew Kosiorowski: *nagrody wręczano na początku listopada w porcie Plymouth w Wielkiej Brytanii, skąd te regaty startowały. „Kuba” przyleciał tam z USA samolotem. Po ceremonii wracał do Hamburga, gdzie odbyły się konferencje prasowe dla zagranicznych dziennikarzy. Staszek był jednym z głównych organizatorów tych konferencji. Na powitanie „Kuby” Jaworskiego w Hamburgu popłynęły ze Szczecina dwa jachty. „Zewem Morza”, dowodzonym przez Zdzisława Michalskiego, popłynęła grupa żeglarzy i działaczy z OZZ, natomiast w załodze jachtu „Tryglaw” ze Stoczni im. Teliği, dowodzonego przez Jerzego Madeję, płynęli stoczniowi żeglarze: Jerzy Chojnacki, Henryk Nowosad i Waldemar Zięba oraz Zbigniew Kosiorowski i Stanisław Rakowski.*

W trakcie tego rejsu pogoda zrobiła się sztormowa i chcąc przeczekać, zawinęliśmy do Malmö, gdzie spędziliśmy dobę. Poznałem wówczas przyjaciółkę Staszka, którą zapamiętałem jako osobę otwartą, interesującą, rozmowną, zawodową pielęgniarkę, zadowoloną ze swej pozycji społecznej i sytuacji materialnej. Gdy pogoda uspokoiła się, popłynęliśmy do Hamburga.

Do Szczecina wracaliśmy ze Staszkiem na pokładzie „Zewu Morza”, towarzysząc „Kubie” Jaworskiemu, którego uczyniłem potem bohaterem moich kilku audycji, kilku reportaży i artykułów publikowanych w prasie ogólnopolskiej. „Kuba” stał się moim idolem, a Staszek tę fascynację jeszcze we mnie podsycał¹¹⁷.

116 Relacja Jadwigi i Jana Czapła z Dynowa, z 26.06.2024 r., w posiadaniu autora.

117 Rozmowa ze Zbigniewem Kosiorowskim, z 18 października 2024 r.

Oficjalnie Rakowski płynął do Hamburga jako specjalny wysłannik „Głosu Szczecińskiego”, dzięki czemu gazeta publikowała jego relacje ze spotkań „Kuby” z mieszkańcami Hamburga i Kilonii oraz z rejsu powrotnego „Zewem Morza” do Szczecina z „Kubą” na pokładzie.

Kilka miesięcy później, latem 1977 r. „Kuba” Jaworski zrealizował kolejny projekt – start w regatach „Admiral’s Cup”, które są nieoficjalnymi mistrzostwami świata teamów międzynarodowych. W zawodach biorą udział trzy jachty z danego państwa, w dwóch różnych klasach. „Kuba” wybrał trzy jachty wyprodukowane w Stoczni im. Teligi, dwie jednostki typu „Draco”, a więc „Bumerang” i „Hajduk” oraz „Spaniela”. „Bumerangiem” dowodził Jerzy Siudy, „Hajdukiem” żeglarz z Gdyni Zygfryd „Zyga” Perlicki. W skład załogi „Spaniela” wchodził: „Kuba” jako kapitan, Jerzy Madeja jako I oficer, Staszek Rakowski, który był dbającym o wyżywienie załogi ochmistrem, Henryk Nowosad, zwany „Grubym”, Jerzy Chojnacki, nazywany „Świerkowym” i Zbigniew Kosiorowski jako członek załogi, ale jednocześnie ktoś, kto miał swoje interesy dziennikarskie. Pół wieku później wspomina:

Chciałem zrobić reportaż w autentycznych warunkach i scenerii w trakcie sześciu tygodni tej wyprawy, obejmującej trzy krótkie starty na cieśninie Solent, która oddziela wyspę Wight od południowego wybrzeża Wielkiej Brytanii, jeden wyścig średni na Kanale La Manche, z Cowes do Cherbourg’a i z powrotem do Cowes, i długi wyścig Fastnet Race ok. 620 mil morskich, płynie się Kanalem La Manche aż do jego ujścia na Atlantyk. Bardzo atrakcyjna trasa. „Kuba” tam już kiedyś był. Zależało mi, by najciekawiej opowiadać o naszych tam zmaganiach.

Tyle tylko, że od początku wszystko szło nie tak. Wy płynęliśmy ze Szczecina troszkę za późno. Pogoda była psia, sztorm na Morzu Północnym. Ale do płynęliśmy w końcu do portu Cowes, gdzie było biuro organizacyjne. Byliśmy spóźnieni o jakieś 18 godzin, mimo to dopuszczono nas do udziału. Na linii startu „Spaniel” zderzył się z hiszpańskim jachtem „Odyseusz”. Według relacji „Kuby” i Staszka, to Hiszpanie w nas uderzyli. Faktycznie było tak, że oni płynęli prawym halsem, my płynęliśmy lewym halsem i powinniśmy im ustąpić drogi. Byli bardzo zdziwieni, że my walimy prosto w ich burtę... Na szczęście jachty się „rozjechały” i nie było ofiar w ludziach. Niestety „Spaniel” doznał takich uszkodzeń, że w zasadzie wykluczało to nas z dalszego współzawodnictwa. Z braku pieniędzy, naprawa nie była możliwa. Startowaliśmy w kolejnych wyścigach, głównie po punkty techniczne. W trakcie ostatniego wyścigu „Kuba” zmienił kurs i popłynęliśmy do Hawre’u. Tak nietypowo zakończył się nasz udział w „Admiral’s Cup” 1977. Nie mieliśmy radia. Organizatorzy stracili kontakt z naszą jednostką, podnieśli alarm – „Spaniel” zaginęł. W prasie pojawiły się

spekulacje – czy załoga wybrała wolność? Ale o tym dowiedzieliśmy się już, będąc w morzu. Najbliższym możliwym portem w drodze do Szczecina był Hamburg. Tam nawiązaliśmy kontakt z krajem, wyjaśniliśmy, że wracamy do domu. Z Hamburga popłynęliśmy jednak nie do Świnoujścia, lecz na północ, do Malmö. Dopiero wtedy zorientowałem się po co Staszek zabrał w ten rejs garnitur i wiozł w szafie na suszenie lin. W trakcie naszego rejsu, w Malmö urodził mu się syn¹¹⁸. A teraz odbędzie się jego chrzest i ojcem chrzestnym będzie Kazimierz Jaworski¹¹⁹.

Narodziny syna wiele zmieniły w życiu Stanisława Rakowskiego. Rozwiódł się z Różą, porzucił pracę w redakcji „Głosu”. Nie od razu zdecydował się na emigrację do Szwecji, początkowo jedynie często tam bywał. Gdy wracał do kraju, mieszkał m.in. w Świnoujściu. Przez kilka miesięcy pracował w redakcji „Rybaka Dalekomorskiego”. Stopniowo jednak kończyły się jego związki z tu-tejszym środowiskiem dziennikarskim. Coraz dłuższe były pobyty w Malmö, gdzie mieszkała poznana przed laty w Szczecinie jego przyjaciółka, a teraz także matka jego syna. Bardzo chciał brać udział w jego wychowaniu, ale zależało mu też na podtrzymaniu kontaktu z córką i wnukami w Szczecinie.

Wieczorem, 12 grudnia 1981 r. wypłynął promem „Pomerania” z Ystad do Świnoujścia, z zamiarem świątecznego spotkania z córką i jej rodziną. Nocą na statek dotarła wiadomość o ogłoszeniu w Polsce stanu wojennego. Rakowski nie zszedł na ląd, wrócił kolejnym rejsiem do Szwecji. Ożenił się z Reginą i zamieszkał w Malmö¹²⁰. Ale próba ułożenia sobie życia w nowej rodzinie, w obcym kraju, bez znajomości języka, bez ulubionej pracy dziennikarskiej, z dala od przyjaciół, dobrze znanych spraw i miejsc, ostatecznie nie powiodła się. Nowy związek nie przetrwał próby czasu. W 1982 r. Rakowski rozstał się z drugą żoną, ale utrzymywał kontakt z pięcioletnim wówczas synem, któremu rodzice nadali imiona Daniel Józef Michał. Drugie i trzecie imię, moim zdaniem, pozostają świadectwem silnych więzi emocjonalnych, łączących Stanisława z ojcem i bratem, więzi, które los okrutnie przerwał.

Miał tylko 56 lat, gdy dopadł go zawał. 5 października 1982 r. zmarł w szpitalu w Malmö. Dzięki staraniom córki, jego prochy spoczęły na Cmentarzu Centralnym w Szczecinie 20 października 1982 r. w obecności rodziny i przyjaciół.

Wykorzystane w tekście zdjęcia pochodzą ze zbiorów rodziny Stanisława Rakowskiego.

118 8 lipca 1977 Regina urodziła syna. 10 sierpnia 1977 r. na chrzcie nadano mu imiona Daniel Józef Michał.

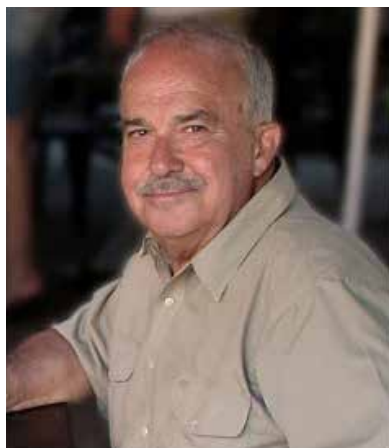
119 Rozmowa ze Zbigniewem Kosiorowskim, 18 października 2024 r.

120 Relacja Reginy Rakowskiej z 25 sierpnia 2024 r. w posiadaniu autora.

Piotr Zieliński, wyrobnik niepokorny

Piotr Zieliński należy do grona najbardziej znanych, szczecińskich kreatorów kultury. Dziennikarz, publicysta i prozaik o bogatym i wszechstronnym dorobku twórczym, w przyszłym roku będzie obchodził 85. rocznicę urodzin. Z tej okazji przypominamy jego sylwetkę.

Piotr Włodzimierz Zieliński urodził się 7 marca 1940 roku w Poznaniu, w rodzinie Włodzimierza Zielińskiego i Leokadii z Boruckich. Ojciec, wywodzący się z kujawskiego ziemiaństwa, był przedwojennym urzędnikiem poznańskiego Banku Ziemiań. Po wybuchu II wojny światowej rodzina Zielińskich zmuszona została do opuszczenia willi, w której zamieszkiwała i gdzie na świat przyszedł Piotr. Okupację przeżyli w niewielkim pokoju w dzielnicy Chwaliszewo. Po zakończeniu wojny rodzice Piotra bezskutecznie próbowali odzyskać utraconą willę i majątek. Wówczas podjęto decyzję o wyjeździe na tzw. Ziemie Odzyskane. Wybór padł na niewielką miejscowość Soldin, która wraz z przejściem przez polskie władze otrzymała nazwę Myślibórz. To właśnie tu Piotr spędził tę część życia, która ukształtowała go, jako człowieka i przyszłego twórcę.



Po śmierci matki i uzyskaniu matury w maju 1957 roku, postanowił opuścić

Piotr Zieliński

Piotr Zieliński i jego siostra, Ewa

(od lewej) Andrzej Androchowicz i Piotr Zieliński podczas realizacji programu z cyklu "Kramik z Muzami" - studio TVP Szczecin, lata 60



ukochany Myślibórz. Wyjechał do stolicy, gdzie zamierzał studiować polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim, ale na wymarzony kierunek nie został przyjęty. Do Myśliborza powrócił na tarczy, jednak się nie poddał. Przez dziesięć miesięcy pracował w lokalnej księgarni należącej do Domu Książki. Później zdecydował się na wyjazd do rodzinnego Poznania. Rozpoczął studia polonistyczne na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza (1958-1962). Z zamiłowaniem uprawiał sport. Na uczelni poznał Marię Tomaszewską, studentkę romanistyki, która niedługo potem została jego żoną.

Latem 1962 roku wraz z Marią wyjechał do Świnoujścia. Czasowo został zatrudniony w miejscowej księgarni, którą prowadził jego były szef, kierownik Domu Książki z Myśliborza, Kazimierz Osiński. Zaproponowane i wprowadzone przez Piotra Zielińskiego zmiany w wystroju lokalu spowodowały, że księgarnia stała się jednym z najchętniej odwiedzanych miejsc w Świnoujściu, i to zarówno przez mieszkańców, jak i przez licznych wczasowiczów. Niedługo potem od dyrektora naczelnego Domu Książki, Janusza Sułkowskiego, P. Zieliński otrzymał propozycję przeniesienia się do Szczecina. Małżeństwo, zachęczone atrakcyjną ofertą, dość szybko podjęło decyzję o przenosinach do grodu gryfa. Niechęć środowiska szczecińskiej księgarzy, a zwłaszcza urzędników Domu Książki, i jawna wrogość do młodych, ambitnych ludzi z pomysłami, oraz niedotrzymanie obietnic ze strony dyrekcji, zakończyły się... zwolnieniem Zielińskich z pracy.

W sierpniu 1963 roku Piotr Zieliński rozpoczął pracę w szczecińskiej ekspozycje Centrali Wynajmu Filmów. Zatrudniony w dziale reklamy, wkrótce

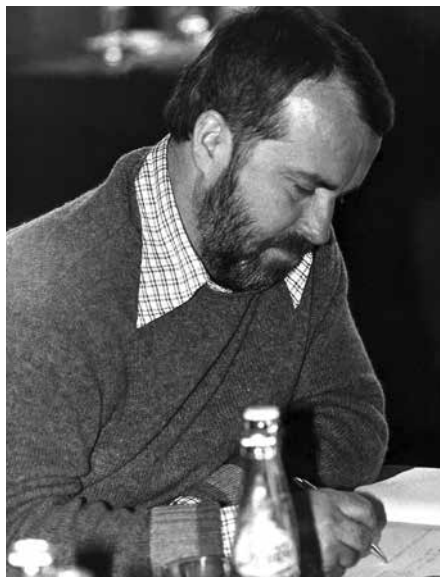
stał się niedościgłym specjalistą w tej dziedzinie. Mimo skromnych funduszy, organizował w Szczecinie akcje promocyjne filmów na dużą skalę. Nieznane wcześniej, kolorowe bannery i duże kadry z filmów instalowano na budynkach śródmiejskich domów i w pobliżu dworca kolejowego (to z myślą o przyjezdnych). Reklamy gigantów filmowych, takich jak *Popioły* czy *Faraon*, pojawiały się na dachach szczecińskich tramwajów kursujących po centralnych ulicach Szczecina. Szczególną atrakcją, zwłaszcza dla dzieci i młodzieży, stanowiły przejazdy po mieście konnych Indian. W ten niezwykle sposób reklamowano serię filmów o przygodach dzielnego wodza Winnetou. Z kolei dziennikarzy lokalnych mediów obdarowywano materiałami promocyjnymi w formie zdjęć, tzw. stykówek, z których najbardziej pożądanymi były fotografie Barbary Brylskiej w filmie *Faraon*. W każdą środę, w baraczkach przy al. Wojska Polskiego (siedziba CWF) organizowano z pewnym wyprzedzeniem zamknięte, przedpremierowe pokazy filmów dla dziennikarzy. Pokazy te przeniesiono później do zamku. Piotr Zieliński był częstym gościem szczecińskich mediów, przede wszystkim popularnego, cyklicznego magazynu telewizyjnego „Kramik z Mużami”, w którym przed kamerami, z niezaprzeczną erudycją i swadą, opowiadał o mających gościć na szczecińskich ekranach filmach. Z zapałem wręcz, i w bardzo przekonujący sposób, zachęcał do ich obejrzenia.

Mimo sporych dotacji na reklamę, które udało się P. Zielińskiemu uzyskać przez lata z warszawskiej centrali, jego działania w Szczecinie i w regionie nie były właściwie doceniane przez pracodawcę. Z tego względu, łącząc działalność w CWF, rozpoczął równocześnie współpracę z „Głosem Szczecińskim”. Zachęcony przez ówczesnego redaktora naczelnego tego dziennika, Józefa Barana (późniejszy Józef Barecki), na łamach gazety zadebiutował jako dziennikarz, publikując pasjonujące recenzje filmowe. W tamtym okresie była to jeszcze rzadkość w polskiej prasie.

Choć „Głos” był organem PZPR, to jednak przez długie lata uchodził za najlepszą gazetę wydawaną w Szczecinie. Z gazetą było związanych, i na jej łamach publikowało wielu znakomitych, lokalnych dziennikarzy. Wkrótce publicysta na dobre związał się ze szczecińskim dziennikiem. W późniejszym czasie i w innych realiach politycznych przez krótki czas kierował nawet redakcją „Głosu” w Świnoujściu, a w latach 1991-1993 był także zastępcą redaktora naczelnego tej gazety. Dziennikarz uważał to jednak za mało znaczące epizody.

Wraz z objęciem „Głosu Szczecińskiego” przez nowego redaktora naczelnego, Wiesława Rogowskiego, Zieliński otrzymał propozycję pisania reportaży i felietonów. Wkrótce stał się czołowym specjalistą w tym gatunku. Nieznane

Piotr Zieliński, lata 70.



wydarzenia na Westerplatte w 1939 roku, okoliczności towarzyszące wielkim, sztandarowym, lecz nie zawsze uzasadnionym budowom, obrona poniemieckiej drożdźowni w Szczecinie przed rosyjskimi szabrownikami, historia niemieckiego bauera Bohnstengela i obozu jeńców radzieckich, kulisy realizacji filmu *Jarzębina czerwona*, powołanie do życia Polskiej Żeglugi Bałtyckiej w Kołobrzegu – to tylko niektóre z tematów, o jakich pisał. Mówiąc kolokwialnie, Zieliński miał nosa do wyszukiwania ciekawych, często sensacyjnych tematów, które przysparzały mu rzesze czytelników. Ze względów politycznych czy obyczajowych nie wszystkie jednak teksty mogły ukazać się drukiem. Cenzura cięła artykuły, np. o tragedii statku PŻM „Koronowo”, bądź w ogóle je zdejmowała, m.in. tekst o Melchiorze Wańkowiczu, a także o pijaństwie w PGR Sitno, w wyniku którego zmarnowano hodowlę, wcześniej sprowadzonych do Polski za dewizy, indyków.

5 czerwca 1970 roku dziennikarz znalazł się na pokładzie rejsowego samolotu PLL „Lot” na trasie ze Szczecina do Gdańska. Tuż po starcie z Goleniowa samolot został porwany do Kopenhagi. Po powrocie do kraju relację z tego dramatycznego wydarzenia opublikował Piotr Zieliński na łamach „Polityki”. Niedługo potem wywiad z dziennikarzem, którego udzielił zaraz po przylocie z dramatycznej podróży, zamieścił gdański „Głos Wybrzeża”. Było to pierwsze w historii polskiego lotnictwa porwanie, do którego zdecydowały się przyznać władze PRL. Mimo tego, szczecińskie redakcje milczały, starając się nie poruszać niebezpiecznego ich zdaniem tematu. Do przebiegu porwania dziennikarz wrócił po latach w *Siwej sośnie* (2007). Książka jest zbiorem opowiadań, w których autor podejmuje tematy, jakimi interesował się od zawsze, a więc tęsknotą za minioną młodością, dramatycznymi w skutkach międzyludzkimi



Podczas przygotowywania materiału do "Głosu" z terenów zalanej Stoczni Rzeczej przy ul. Heyki w Szczecinie, styczeń 1971 r.

konfliktami, czy wreszcie, złym najczęściej, zarządzaniem i funkcjonowaniem państwa. Tom został wzbogacony dwoma reportażami – o wspomnianym porwaniu samolotu, którego autor był świadkiem i poniekąd uczestnikiem, oraz relacją z rowerowej wędrowki po Ziemi Myśliborskiej, jaką pisarz odbył wraz żoną, Marią. Ten ostatni reportaż dał tytuł całej publikacji.

Piotr Zieliński od zawsze należał do dziennikarzy niepokornych, wręcz bezczelnych, jak o sobie niejednokrotnie mawiał. Jego odważne i atrakcyjne w odbiorze teksty zjednywały mu rzesze czytelników, ale i powiększały grono nieprzyjaciół, a nawet wrogów. Zwłaszcza wśród redakcyjnych kolegów i przełożonych. Ci ostatni, przywiązani do kierowniczych stołków, woleli nie ryzykować utraty ciepłych posad kosztem wydrukowania artykułu Zielińskiego. Choćby najlepszego. To było powodem licznych „wędrowek” dziennikarza po różnych redakcjach, nie tylko szczecińskich gazet.

W 1971 roku dziennikarz związał się z redakcją miesięcznika społeczno-kulturalnego „Spojrzenia”. Kierowany przez znanego szczecińskiego literata, Ryszarda Liskowackiego miesięcznik aspirował do stania się czołowym czasopiśmem środowisk kulturalnych miasta. Tak się jednak nie stało, m.in. z powodu braku wykwalifikowanych dziennikarzy. Rok później, na zaproszenie Krzysztofa Pohla, Piotr Zieliński dołączył do redakcji tygodnika „Jantar”, powstałego z przekształcenia „Siódmego Głosu Tygodnia”. W „Jantarze” dużą popularność wśród czytelników przyniosły mu felietony, publikowane pod pseudonimem Grot. Ostre w wymowie teksty, w których autor krytykował m.in. różnego rodzaju wady, absurdy, czy też zwykłą ludzką głupotę, spotkały się z krytyką działaczy z KW PZPR. Po jakimś czasie dziennikarz otrzymał zakaz pisania felietonów z uzasadnieniem „że nie umie pisać”.

W 1976 roku został publicystą redagowanego z dużym rozmachem gdańskiego tygodnika „Czas”, na łamach którego opublikował m.in. swoją relację z pobytu w Związku Radzieckim, a także cykl reportaży z zamorskich wypraw do Ameryki Południowej.

Piotr Zieliński nie ukrywał swego sprzeciwu wobec represyjnej polityki władz, z którymi początkowo łączył duże nadzieje. Czarę goryczy przelały wydarzenia w Radomiu. W czerwcu 1976 roku dziennikarz został internowany na okres trzech miesięcy. Na poligonie w Wędrzynie pracował m.in. przy wyrębie lasu. Był jedynym człowiekiem pióra w gronie kilkuset odosobnionych osób. Obszerne wspomnienia z internowania opisał po latach w książce *Towarzysze i obywatele* (2021).

W czasie stanu wojennego dziennikarz przez krótki czas redagował gazetę zakładową w Fabryce Kabli w Załomiu, a po jej zawieszeniu prowadził fabryczny radiowęzeł. Była to w tym czasie jedyna możliwość utrzymania rodziny.

W sierpniu 1982 roku Piotr Zieliński został publicystą nowo powołanego do życia szczecińskiego tygodnika „Morze i Ziemia”. Tytuł w niedługim czasie stał się jedną z ważniejszych gazet na dość ubogim, szczecińskim rynku prasowym. Swoje teksty w tygodniku wybrzeża publikowali nie tylko lokalni dziennikarze, ale i publicyści o ogólnopolskiej randze. Do sukcesu i wzrostu nakładu gazety przyczyniła się poruszana w niej tematyka. W „Morzu i Ziemi” pisało o tematach do niedawna



Przed statkiem PRO „Jantar”, Gdynia, połowa lat 70.

niewygodnych, a nawet zakazanych. O tragedii katyńskiej, o skomplikowanych i dramatycznych relacjach pomiędzy Polską a Ukrainą, czy Niemcami. W tej tematyce tygodnik uchodził za publikację pionierską. Współtwórcą sukcesów gazety był także P. Zieliński, kierujący działem ekonomiczno-morskim i piszący o morzu i ludziach morza. Wybrane teksty, zwłaszcza literackie, dziennikarz zamieszczał na łamach gazety pod pseudonimem Zbigniew Piotrowski. Morze, stało się wkrótce jednym z filarów tej gazety, co wynikało niejako z tytułu tygodnika.

Oprócz prasy szczecińskiej Piotr Zieliński publikował również w ogólnopolskich czasopismach, m.in. w: „Arkuszu”, „Kontrastach”, „Polityce”, „Wprost” i w „Wybrzeżu”. Był stałym felietonistą warszawskiego (sic!) miesięcznika „Morze”, w którym prowadził rubrykę *Z bocianiego gniazda*.

Jeszcze w latach sześćdziesiątych dziennikarz związał się z Festiwalom Morskich w Szczecinie, jedną z najważniejszych imprez kulturalno-filmowych w Polsce. Impreza ta była ewenementem w skali europejskiej, a może i światowej. Na festiwalu prezentowano filmy o wysokiej często randze artystycznej, nieznane zazwyczaj szerokiemu kręgowi widzów. Początkowo impreza promowała twórczość filmowców polskich, by po kilku latach poszerzyć zasięg o twórców zagranicznych. Łącząc zamiłowanie do kina i do morza, Zieliński redagował i wydawał codzienne biuletyny festiwalowe podczas kolejnych edycji imprezy. W pracy tej wspierali go redakcyjna koleżanka z „Głosu”, Danuta Kret, oraz dziennikarz zajmujący się sprawami kultury w szczecińskiej telewizji, Bogusław Gierlicki. Wydawcą i sponsorem publikacji była Polska Żegluga Morska kierowana przez Ryszarda Kargera. Warto przypomnieć, że dyrektor Karger, którego dziś określilibyśmy mianem sponsora, ochoczo i z dużymi sukcesami wspierał przez dziesięciolecia szczecińską kulturę w licznych działaniach. Wydawane w niewielkich nakładach, i tylko na potrzeby festiwalowe, gazety są dziś prawdziwymi „białymi krukami”. W 1987 roku zorganizowano dziesiątą i ostatnią zarazem edycję festiwalu. Impreza upadła, nie znajdując zainteresowania zarówno u sponsorów, jak i władz lokalnych oraz państwowych. Jak po latach z goryczą wspominał P. Zieliński, Szczecin utracił swoją kolejną szansę, aby zaistnieć w szerszej świadomości Polaków.

Jako prozaik Piotr Zieliński zadebiutował na początku lat osiemdziesiątych. Doszedł wówczas do wniosku, że dziennikarstwo nie daje mu takich szans i możliwości jak pisarstwo. Pod pseudonimem Zbigniew Piotrowski opublikował opowiadanie o tematyce morskiej, *Śładki smak soli*. Tekst ukazał się w 3. numerze „Morza i Ziemi” ze stycznia 1983 roku. Opowiadanie to stało się

w przyszłości kanwą jego pierwszej powieści, wydanej w 1992 roku pod takim samym tytułem.

Tematyka morska stała się szybko jednym z wiodących kierunków w działalności literackiej pisarza. Początków zainteresowania się publicysty tym tematem należy upatrywać już w latach siedemdziesiątych. Wtedy to, za sprawą żony, która pracowała w szczecińskim oddziale Polskich Linii Oceanicznych, dziennikarz wypłynął w swój pierwszy rejs po Morzu Śródziemnym. Niewiele czasu trzeba było, by na dobre łyknął morskiego bakcyła. Zebrane podczas trwania kolejnych rejsów spostrzeżenia i refleksje zawarł później w dziesiątkach artykułów prasowych, zbiorach opowiadań i w powieściach. Choć pisał o morzu, nie uważał się za pisarza marynistę. W przeciwieństwie do swoich kolegów po piórze, nigdy nie pracował na morzu. O sobie mówi, że jest podróżnikiem morskim. Opisywane z punktu widzenia „szczura lądowego”, pełne kolorytu i własnych obserwacji wydarzenia, dość szybko przysporzyły autorowi entuzjastów jego talentu.

Choć *Słodki smak soli* powszechnie, także i przez autora, uznawany jest za jego prozatorski debiut, to warto przypomnieć, że już około 1990 roku Piotr Zieliński zaistniał na rynku literackim *Piękną panią Ireną*. Napisana pod pseudonimem powieść sensacyjna powstała na zamówienie chicagowskiej „Rewii”, a jej akcja osadzona była współcześnie w Polsce. Ograniczenia narzucone już na wstępie przez edytora początkującemu pisarzowi spowodowały, że drukowana w odcinkach powieść nie przyniosła autorowi ani satysfakcji, ani spodziewanego honorarium. Z tego względu do tego pisarskiego epizodu Piotr Zieliński powraca niechętnie.

W 1992 roku Wydawnictwo Promocyjne „Albatros” ze Szczecina wydało książkę *Słodki smak soli*, którego podtytuł *Powieść z życia statków i marynarzy*, wyjaśnia niemal wszystko. Bohater, szczeciński dziennikarz, alter ego autora książki, wyrusza statkiem w swoją pierwszą podróż po morzach wzdłuż brzegów Europy. Rejs obfituje w liczne, często zaskakujące bohatera wydarzenia i sytuacje. Na statku spotyka się z początkową nieufnością, jaką załoga jemu, dziennikarzowi partyjnej gazety, okazuje. Dziwią go pokładowe układy i relacje kapitana z marynarzami. Jest zafascynowany pobytami w dalekich portach, zachodnim dobrobytem – często na pokaz – i pełnymi towarów półkami. Wszystko to widziane jest oczyma człowieka zza „żelaznej kurtyny”, któremu udało się spełnić marzenie o zamorskiej podróży. Jak pisano we wstępie, autorowi powieści udało się utrwalić atmosferę odchodzącej epoki i jej niepowtarzalny dekadenski obyczaj. W akcję wplótł również niektóre prominentne

postaci tamtego szczecińskiego czasu, z pewnym trudem ukryte pod innymi nazwiskami, ale przecież rozpoznawalne. Psychologiczno-obyczajowa powieść Piotra Zielińskiego, napisana lekkim piórem i z dużą dozą wnikliwej obserwacji otaczającego go świata, rozeszła się bardzo szybko. Rok później *Ślodki smak soli* wznowiła Zachodnia Agencja Prasowa ze Szczecina. Trzecie wydanie ukazało się w 2007 roku z myślą o dystrybucji w trakcie kolejnego zlotu żaglowców w Szczecinie. Wbrew oczekiwaniom autora, organizatorzy wielkiej imprezy morskiej nie wykazali jednak zainteresowania publikacją.

Wysychające morze z 2003 roku to esej o wybitnym szczecinianinie, Jerzym Golińskim (1932-2001), historyku, radcy prawnym, a także polityku. Goliński był wieloletnim radnym i wiceprzewodniczącym Wojewódzkiej Rady Narodowej w Szczecinie oraz posłem na Sejm PRL IX kadencji z okręgu szczecińskiego z ramienia PAX. W szerokiej świadomości Goliński zasłynął jednak wystąpieniem sejmowym, podczas którego poinformował opinię publiczną o zbrojnym konflikcie w Zatoce Pomorskiej (marynarka wojenna NRD ostrzelała polskie statki handlowe). Takie exposé powstało w czasach, gdy o „zaprzyjaźnionych” krajach mówiło się wyłącznie dobrze, wymagało niezwykłej odwagi. Choć pochodził z Lubelszczyzny, Goliński był wielkim pasjonatem morza. I właśnie polskiemu morzu w dużej części Piotr Zieliński poświęca tę książkę. Przypomina walkę o dostęp do morza w okresie międzywojennym, kiedy to swobodne dojście do Bałtyku było ukoronowaniem polskiej niepodległości. Barwnie kreśli okres prosperity gospodarki morskiej i wielkie osiągnięcia przemysłu stocznioowego w latach PRL. Z rozgoryczeniem, a niekiedy i ze złością, opowiada o niszczeniu i upadku branży morskiej w latach tzw. „wolnej Polski”. A (...) w *tle tej książki* – jak podkreśla autor – *pozostaje Szczecin, z jego antymorskimi fobiami i jego talentami do marnowania szans. Wysychające morze* zdobyło Srebrną Kaczkę, nagrodę Szczecińskiego Oddziału SDRP dla najlepszej książki roku 2003 o tematyce morskiej.

Kolejna morska pozycja w dorobku pisarza, która również ukazała się w 2003 roku, to *Kotwica w sercu. Rzecz o Matkach Chrzestnych statków Polskiej Żeglugi Morskiej*. Ta unikatowa w polskiej literaturze książka jest leksykonem kobiet, którym przypadł w udziale zaszczyt bycia matkami chrzestnymi wodowanych jednostek szczecińskiego armatora. Na książkę składają się portrety kobiet o różnych rodowodach, wykształceniu, zawodach, a także losach. Wbrew powszechnej wiedzy, przywilej nadawania statkowi imienia przypadł kobietom dopiero w XIX wieku. Wtedy też narodziło się pojęcie „matka chrzestna”. Uczestniczenie w ceremonii chrztu, wypowiedzenie stosownej

formułki, wreszcie rozbicie o burtę butelki szampana i symboliczne zwolnienie statku z pochylni jest dla matki chrzestnej szczególnym wyróżnieniem. Od tego momentu staje się ona na zawsze związana ze swoim statkiem i z jego załogą. Odtąd utrzymuje ścisły kontakt ze statkiem, biorąc np. udział w okolicznościowych uroczystościach jednostki. Matce chrzestnej, o czym nie każdy wie, przysługują pewne korzyści związane z funkcją, np. możliwość odbycia darmowego rejsu na swoim statku. Nic dziwnego, że przed laty przywilej bycia matką chrzestną pozwalał kobietom na osiągnięcie wielu celów, niemożliwych do zrealizowania, szczególnie w siermiężnych czasach PRL-u. I o tych wszystkich meandrach bycia matką chrzestną w pasjonujący sposób opowiada książka Piotra Zielińskiego.

Na kilkuset stronach pisarz przedstawia jednak nie tylko fascynujące życiorysy kilkudziesięciu kobiet stowarzyszonych w Klubie Matek Chrzestnych Statków PŻM. *Kotwica* to także historia burzliwych związków Polski i Szczecina z morzem. To historia polskiego przemysłu okrętowego, w przeszłości należącego do wiodących na świecie. To wreszcie historia Polskiej Żeglugi Morskiej, największego niegdyś polskiego armatora, z jej statkami i załogami. Aby to wszystko opisać, autor wykonał benedyktyńską niemal pracę, która budzi ogromny respekt, szacunek i uznanie czytelnika. Drugie wydanie książki z 2005 roku, opublikowane z okazji 55-lecia PŻM, zostało poprawione i wzbogacone o biogramy kilkunastu nowych matek chrzestnych. Wydanie to równie szybko zniknęło z księgarskich półek, jak pierwsze. Co warte odnotowania, ta niezwykła książka cieszyła się większą popularnością w innych częściach kraju niż w Szczecinie.

Wróćmy na moment do lat dziewięćdziesiątych i do wydawnictwa „Germa”, które Piotr Zieliński powołał do życia jesienią 1997 roku. Ze strony pisarza była to decyzja bardzo odważna, ale i nieświadoma, jak mówi. Przypomnijmy, założona w 1982 roku na fali przemian społecznych, politycznych, a zwłaszcza ekonomicznych, czołowa szczecińska oficyna wydawnicza „Glob”, ze względu na drastyczny wzrost kosztów produkcji tytułów oraz brak sponsorów musiała w 1993 roku zakończyć swoją działalność. Mimo to, Piotr Zieliński zdecydował się podjąć ryzyko.

Nazwa wydawnictwa, „Germa”, powstała z połączenia pierwszych liter imion Gerarda – starszego syna pisarza, oraz żony pisarza, Marii. Siedziba wydawnictwa mieściła się przy pl. Rodła 1, gdzie dziennikarz wówczas mieszkał. Zamierzeniem wydawnictwa było promowanie autorów związanych głównie ze Szczecinem oraz z regionem. Zakres publikacji miał dotyczyć szeroko pojętej

historii Pomorza Zachodniego, zwłaszcza trudnych relacji polsko-niemieckich. Oficyna „Germa” kładła również nacisk na publikacje o tematyce morskiej. Nakłady książek oscylowały w granicach od kilkuset do tysiąca egzemplarzy. Korekty tekstów dokonywała żona, Maria, natomiast autorem większości okładek książek był młodszy syn pisarza, Łukasz. Drukiem i oprawą zajmowała się szczecińska drukarnia „Algraf” s.c. Upadek czytelnictwa w kraju, a zwłaszcza brak zainteresowania czytelników publikacjami papierowymi spowodował, że Piotr Zieliński zmuszony był po kilkunastu latach działalności do zamknięcia wydawnictwa. „Germa” została zlikwidowana w 2011 roku. Do chwili rozwiązania oficyny, w „Germie” oprócz Zielińskiego swoje książki opublikowali także Zygmunt Kwiek, kapitan ż.w. Włodzimierz Grycner oraz pułkownik WP Jan K. Szyszkowski.

W 1999 roku „Germa” wydała *Okruchy pamięci. Szczeciński alfabet wspomnień*. Pozycja ta przyniosła autorowi ogromną popularność. Niewątpliwie jednym z kluczy do sukcesu stała się forma publikacji, którą już wcześniej wykorzystali m.in.: Antoni Słonimski, Jerzy Urban, Stefan Kisielewski, Jerzy Gruza czy Kazimierz Kutz. Znany z ciętego, wręcz niewyparzonego języka Zieliński, sportretował w porządku alfabetycznym około stu szczecinian. Z sympatią bądź z ironią pisze o ludziach, których w przeszłości miał przyjemność (bądź też nie) znać. W miniaturowych portretach autor przytacza wiele zabawnych anegdot i z dużą dozą trafności lecz i z uszczypliwością puentuje opisywaną postać. Ale *Okruchy pamięci*, to nie tylko sylwetki szczecinian. Kilka haseł poświęcił autor z rozmysłem ważnym niegdyś dla Szczecina miejscom, które dziś nazwalibyśmy kultowymi. Zieliński pisze więc o miejscach, których obecnie już nie ma lub ich dawna ranga zupełnie straciła znaczenie. Czytelnik może zapoznać się ze słynnym niegdyś w Polsce (i nie tylko) kombinatem gastronomicznym „Kaskada”, którego działalność zakończył tragiczny w skutkach pożar. W *Alfabcie* czytamy o legendarnej restauracji „Bajka”, miejscu spotkań szczecińskiego półświatka i o pierwszych w Polsce striptizach. Poznajemy menu Baru Kaukaskiego i klub dziennikarzy „Wersalik”. Zaglądamy na ponurą ulicę Tkacką, gdzie niegdyś mieściło się pierwsze w Szczecinie studio telewizyjne, sklep „Sanitas”, czy popularny sklep monopolowy, kojarzący się z nieodłącznym zapachem taniego wina. Wreszcie odwiedzamy „Klub 13 Muz”, najważniejsze przez lata dla miasta miejsce spotkań ludzi kultury, którego niespodziewany remont, praktycznie zakończył działalność kulturotwórczą i rozrywkową tej placówki. *Alfabet* stał się jednym z bestsellerów wydawnictwa, i co było do przewidzenia, natychmiast zniknął z księgarskich półek.

W swoich utworach pisarz często sięga do tematyki historycznej, związanej z regionem Pomorza Zachodniego. Zwłaszcza interesują go skomplikowane relacje polsko-niemieckie. Po raz pierwszy wątek ten porusza w *Czarnym śnie* (1999), gdzie ustami kilkuletniego obserwatora-narratora opowiada o powikłanych losach ludzi na pograniczu. W tomie autor wraca też wspomnieniami do powojennego Myśliborza 1945 roku, który zapamiętał z lat dziecińczych.

Akcja opublikowanego w 2000 roku opowiadania *Der Stammbaum* („Drzewo genealogiczne”) rozgrywa się na niemieckim Pomorzu w latach trzydziestych, dokąd za chlebem przybywa niejaki Feliks Borowski. Początkowo niechętnie przyjmowany przez Niemców, wkrótce Polak dobrą pracą i przedsiębiorczością zyskuje ich uznanie. Żeni się z Niemką. Z tego związku na świat przychodzi syn, Paweł, który dzieciństwo spędza w Niemczech, a potem mieszka w Polsce. W ciągu wszystkich tych lat szuka swojej tożsamości. Usiłuje sobie odpowiedzieć na pytanie, czy czuje się Niemcem, czy Polakiem. Z uwagi na poruszoną tematykę, pisarz zdecydował się na publikację opowiadania w wersji polskiej i niemieckiej. Wielkim admiratorem *Der Stammbaum* był autor przekładu, Timm Stütz. Ten związany ze Szczecinem niemiecki fotografik i pisarz bezskutecznie usiłował rozpropagować książkę Piotra Zielińskiego w Niemczech. Za interesowanie książką wykazał także ośrodek telewizyjny w Poznaniu, który na jej podstawie zamierzał nakręcić kilkudziesięciminutowy film. Do realizacji projektu jednak nie doszło.

Nad książką *Autostrada* (2004) pisarz pracował niemal dwa lata. Akcja tej wielowątkowej powieści rozgrywa się w ciągu osiemdziesięciu lat na polsko-niemieckim pograniczu, głównie w Szczecinie oraz w Sołtyniu, fikcyjnym miasteczku na Pomorzu Zachodnim, w którym uważny czytelnik rozpozna Myślibórz (niemiecki Soldin). Intryga zawiązana jest wokół pomorskiej rodziny Hennigów, na trop której wpada szczeciński dziennikarz Edward Krone. Wiele myśliborskich wątków znanych jest czytelnikom z innych utworów pisarza. *Autostrada* to także książka o środowisku dziennikarskim Szczecina. Wprawdzie na stronach powieści nie padają konkretne nazwiska, ale uważny odbiorca jest w stanie zorientować się, kogo autor miał na myśli. Książka wzbudziła nie tylko zainteresowanie, ale i ogromne emocje. Podczas promocji byli przedstawiciele przewodniej siły narodu zarzucali pisarzowi zdradę środowiska zawodowego i prawicowe odchylenia. Z kolei działacze „Solidarności” posunęli się jeszcze dalej, skrytykowali ideową wymowę książki, dopatrując jednocześnie „czerwonych korzeni” autora. *Autostrada* spotkała się natomiast z życzliwym przyjęciem Eweliny Krajewskiej z Instytutu Germanistyki Uniwersytetu

Szczecińskiego, która pozytywną recenzję zamieściła na łamach dwumiesięcznika „Pogranicza”. O książce pisał też Adam Krzemiński w „Polityce”.

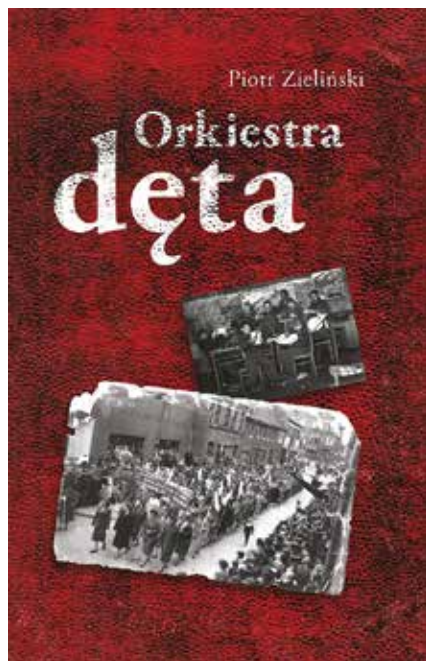
W 2004 roku we Francji zrodziła się idea przyjęcia Polski do stowarzyszenia, skupiającego europejskie państwa posiadające tzw. estuaria, czyli lejkwate ujścia rzek, powstałe w wyniku działania morza. Kiedy zdecydowano, że uroczystość podpisania traktatu ma się odbyć w Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie, władze francuskiego departamentu Gironde, za pośrednictwem szczecińskiego Urzędu Marszałkowskiego, zwróciły się do Piotra Zielińskiego o napisanie książki, która miałaby uświetnić to wydarzenie. W ten sposób narodziła się książka *Daleko i blisko*, która jest owocem wyjazdu autora do Francji. Autor przybliży historię obu nadmorskich regionów o zbliżonych pod względem geograficznym i kulturowym obszarach. Opisuje przyrodę, gospodarkę i ekonomię okolic Zalewu Szczecińskiego w Polsce i departamentu Gironde we Francji. Pisze o ludziach tam zamieszkujących, o ich fascynacjach i ich codziennych problemach. Skierowana do czytelników w obu krajach publikacja ukazała się w dwujęzycznej edycji. Autorem francuskiej wersji jest krakowski tłumacz, Krzysztof Błoński. Nieocenioną pomoc przy pisaniu książki okazała żona, Maria, z wykształcenia romanistka, która ułatwiała autorowi kontakt z mieszkańcami francuskiego departamentu. O kulisach pracy nad książką, jej życzliwym odbiorem przez stronę francuską oraz wzmożonym zainteresowaniem Szczecinem i nadbałtyckim regionem, jakie publikacja sprawiła we Francji, pisze Piotr Zieliński w głośnej publikacji *Towarzysze i obywatele* (2021). Autor wspomina także o swoich rozczarowaniach związanych z przyjęciem *Daleko i blisko* przez szczecińskie władze.

Jedną z pozycji przygotowywanych do wydania w wydawnictwie „Germa” w 2008 roku była książka przywódcy strajków w Stoczni Szczecińskiej, późniejszym prezydencie Szczecina, Marianie Jurczyku. Oskarżony o współpracę z PRL-owskimi służbami bezpieczeństwa, i stawiany kilkakrotnie przed sądem Jurczyk, postanowił w formie pisanej opowiedzieć o swoim życiu. Z propozycją napisania książki o trybunie ludowym zwrócił się do pisarza były wicewojewoda szczeciński, Jan Sylwestrzak. Jak prozaik wspomina, nigdy nie przepadał za Jurczykiem, jednak pogarszająca się sytuacja wydawnictwa „Germa” spowodowała, że przystąpił do pracy nad publikacją. Wtedy zrodził się pomysł zrealizowania książki w formie wywiadu-rzeki, a tym samym oddania głosu bohaterowi. W oparciu o wielogodzinne rozmowy, poparte bogatą dokumentacją, autor zamierzał przedstawić w sposób obiektywny postać Mariana Jurczyka. Na łamach publikacji jej bohater dzieli się wszystkimi, nawet najbardziej

bolesnymi wspomnieniami z własnego życia. Ujawnia też nieznaną szerszej opinii publicznej fakty z zakresu polityki lat 70. i 80. Mówi też o niepopularnych decyzjach, jakie musiał podejmować w okresie, gdy był prezydentem Szczecina i senatorem. Ta bardzo ciekawa w założeniu, i potrzebna książka, z przyczyn niezależnych od wydawcy nie ukazała się w „Germie”, lecz została wydana własnym sumptem przez Mariana Jurczyka bez zgody autora. Po raz kolejny Jurczyk pokazał, że balansuje na granicy prawa. Szczegółowe kulisy prac nad książką przedstawił Piotr Zieliński w niewydanym dotąd *Dzienniku 2007* oraz w *Towarzyszach i obywatelach* (2021).

Lata myśliborskie były bardzo ważnym, jeśli nie najważniejszym okresem w życiu Piotra Zielińskiego. Mimo iż urodził się w Poznaniu, w Myśliborzu dorastał. Miasteczko bardzo szybko stało się jego małą ojczyzną. Tu uczęszczał do szkoły podstawowej i średniej. Tu w barwach lokalnego klubu LZS zdobywał pierwsze sukcesy jako lekkoatleta, uzyskując m.in. tytuł mistrza okręgu juniorów w biegu na 200 m. Tu wreszcie, będąc częstym widzem lokalnego kina „Słońce”, przeżywał młodzieńcze fascynacje filmem. Do legend miasta przeszła opowieść o wyprawie nastoletniego Piotra do Szczecina, na film z ukochanym Jeanem Gabinem. Osiemdziesięciokilometrową trasę odbył chłopiec na... rowerze. Ta miłość do kina miała wpływ na jego przyszłą drogę zawodową. Już jako osoba dorosła, Piotr Zieliński do miasteczka wracał wielokrotnie. O mieście wspominał, udzielając wywiadów, a także pisząc o nim w swoich artykułach czy w książkach. Wszystkie te wypowiedzi są bardzo wzruszające i emocjonalne.

W 2020 roku nakładem szczecińskiej spółki Diesel Engine Service ukazały się wspomnienia pisarza z zakresu myśliborskiego pod intrygującym tytułem



Okładka książki „Orkiestra dęta”

Orkiestra dęta. Książka powstała właściwie już w 2011 roku, ale przez kilka kolejnych lat autor ją poprawiał i uzupełniał. *Orkiestra* jest niewątpliwie najbardziej osobistą pozycją w bogatym dorobku literackim pisarza. Oczami chłopca, a potem nastolatka, śledzimy wydarzenia, jakich świadkiem był Piotr na Ziemiach Zachodnich w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. To wspomnienia z ponemieckiego Soldina, który wskutek historycznych i politycznych zawirowań stał się polskim Myśliborzem. To panorama niegdyś pięknego miasteczka, położonego wśród lasów, które przez lata, rozkradane i bezmyślnie niszczone przez sojuszniczą armię i rodzimych szabrowników, traciło stopniowo swój urok, koloryt i charakter. To obraz stagnacji miasta i jego mieszkańców w okresie PRL. To czasy bezmyślnego zacierania ponemieckich śladów, z jednoczesnym brakiem pomysłu na odbudowę i rozwój kilkunastotysięcznego miasta. *Orkiestra dęta* jest również wzruszającym przywołaniem rodziców, zwłaszcza ojca, Włodzimierza, który w Myśliborzu nietolerowany był zarówno za „podejrzane” pochodzenie społeczne, jak i za styl bycia, który nie przystawał do wizji obywatela ludowego państwa. Sporo miejsca we wspomnieniach poświęca pisarz swoim myśliborskim kolegom, szczególnie tym z ławy szkolnej, z którymi kontakty utrzymywał jeszcze przez długie lata po opuszczeniu miasta. W tej sytuacji nie dziwi więc fakt, iż *Orkiestrę* zadedykował autor czterem nieżyjącym w chwili wydania myśliborskim przyjaciółom, którzy zainspirowali pisarza do jej napisania. O wszystkim tym pisze Piotr Zieliński z sentymentem i ciepłą nutą nostalgii za czasami, które bezpowrotnie minęły.

Ostatnią, jak dotąd, książką pisarza są *Towarzysze i obywatele* (2021). Książkę można uznać za dalszy ciąg autobiograficznej *Orkiestry dętej*. Tym razem autor opowiada o swojej trwającej niemal 50 lat pracy dziennikarskiej. Opowieść zaczyna się w 1962 roku, a więc w momencie, kiedy zamieszkał w Szczecinie. Piotr Zieliński „z pazurem” opisuje swoją zawodową drogę, sukcesy i porażki. Nie stroni od swoich opinii i przemyśleń na temat najważniejszych wydarzeń w kraju, których był świadkiem. W tle pojawia się więc Marzec 68, Grudzień 70, wydarzenia w Radomiu 1976, karnawał Solidarności, stan wojenny. *Towarzysze* to przede wszystkim ważna publikacja o powojennym Szczecinie i o środowisku dziennikarskim tego miasta. Padają dziesiątki ważnych dla tej profesji nazwisk. Poznajemy kulisy pracy w redakcjach gazet, a także towarzyskie i zawodowe układy, koterie, kliki. Uważny czytelnik odnajdzie wiele nazwisk i wątków, które wcześniej autor wykorzystał w *Okruchach pamięci* i w innych swoich utworach. Z uwagi na obszerność tematu *Towarzyszy*, wątki te są rozbudowane, a czasami opowiedziane na nowo. Autor momentami koloryzuje i ubarwia

opisywane postaci czy wydarzenia, ale robi to dowcipnie i z dużym poczuciem humoru, co powoduje, że tekst czyta się świetnie.

Oprócz wymienionych publikacji Piotr Zieliński był również pomysłodawcą i redaktorem albumu *Szczecin. Ostatnie sto lat* (1993), oraz autorem *Dziennika 2007*. Ten obszerny portret Szczecina i jego mieszkańców na tle wydarzeń w kraju i na świecie w roku 2007 nie został jak na razie wydany w formie książkowej. *Dziennik* wziął jednak udział w corocznym konkursie „Dzieje Szczecińskich Rodzin”, organizowanym przez Szczecińskie Towarzystwo Kultury, uzyskując I nagrodę w stosownej kategorii.

Podstawą warsztatu literackiego Piotra Zielińskiego jest rzetelność opisu i sprawdzenie wątków i realiów wydarzeń, które potem mógłby wykorzystać w pracy nad książką. Te niezwykle ważne elementy spożytkował pisarz już wcześniej, podczas trwającej niemal 40 lat kariery dziennikarskiej. Ta solidność rzemiosła została dostrzeżona i doceniona w postaci wielu nagród i wyróżnień. W 1975 roku publicysta został wyróżniony w „Ogólnopolskim konkursie na reportaże związany z XXX-leciem Ziemi Szczecińskiej”. W latach 1994-1999 autor brał udział w kolejnych edycjach Ogólnopolskiego Konkursu „Nad Odrą i Bałtykiem”, organizowanego przez Polskie Radio Szczecin i Wojewodę Szczecińskiego. Pisarz zdobył I nagrodę za opowiadanie *Kinomania* i wyróżnienie za opowiadanie *Czarny sen* (1994), wyróżnienie za opowiadanie *Błękitny las* (1995), I nagrodę za opowiadanie *Resztówka* (1998) oraz I nagrodę za opowiadanie *Stammbaum* (1999).

Twórczością literacką pisarza zainteresowało się także radio. W oparciu o wspomniane wyżej nagrodzone teksty autora, aktor i reżyser Sylwester Woroniecki zrealizował w szczecińskiej rozgłośni trzy audycje. Premiera *Kinomanii* miała miejsce 26 grudnia 1997 roku. W realizacji tego słuchowiska udział wzięli cenieni szczecińscy aktorzy. Dziewięcioodcinkową *Resztówkę* czytał Adam Zych w dniach od 8 do 18 czerwca 1998 roku. Z kolei głośne opowiadanie *Der Stammbaum* (w 28 odcinkach) czytał sam Sylwester Woroniecki. Audycję emitowano między 26 lutego a 4 kwietnia 2000 roku.

Obecnie Piotr Zieliński przygotowuje się do napisania kontynuacji *Okruców pamięci*. W tomie planuje zaprezentować sylwetki szczecinian, o których głośno było w ostatnich dwudziestu latach nowego stulecia

Wszystkie zdjęcia prezentowane w artykule pochodzą ze strony www.pomeranica.pl/wiki/Piotr_Zieliński.

WYWIADY

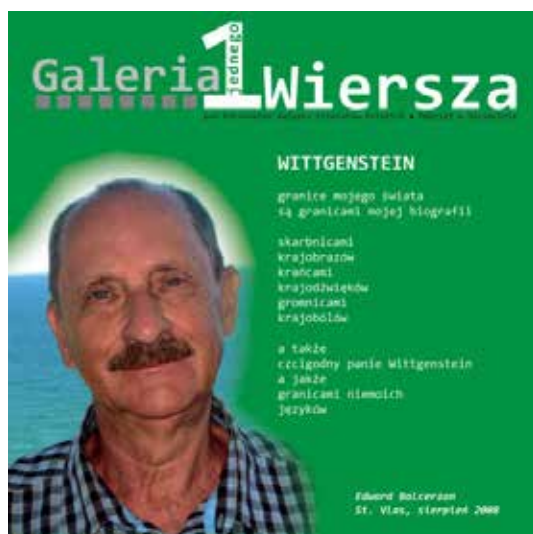
Edward Balcerzan (ur. 1937 r.)

Polski literaturoznawca, prozaik, poeta, eseista, tłumacz. Profesor-senior Uniwersytetu Adama Mickiewicza, członek-korespondent Polskiej Akademii Umiejętności, doktor honoris causa Uniwersytetu Szczecińskiego.

Prowadził seminaria i wykłady w: Bellagio, Bratysławie, Charkowie, Chicago, Czeboksarach (Czuwaszja), Florencji, Genui, Koszycach, Leuven, Moskwie, Neapolu, Nitrze, Nowym Jorku, Padwie, Paryżu, Pizie, Pradze, Rzymie, Stuttgarcie, Sztokholmie, Uppsali, Tartu, Turku (Finlandia), Udine, na Uniwersytecie Harvarda.

W swoim dorobku twórczym ma kilkadziesiąt pozycji: poetyckich, prozę, książki naukowe i krytycznoliterackie.

Jego wiersze, utwory prozatorskie i rozprawy naukowe tłumaczono na języki: angielski, białoruski, bułgarski, czeski, chorwacki, czuwaski, estoński,



Edward Balcerzan, 2008 r.

francuski, niemiecki, rosyjski, serbski, słowacki, szwedzki, ukraiński, węgierski, włoski.

Wyróżniony wieloma nagrodami, m.in.: Nagrodą Miesięcznika „Odra” (1971), Nagrodą Funduszu Literatury (1988), Nagrodą Fundacji im. A. Jurzykowskiego w Nowym Jorku (1992), Nagrodą Polskiego Oddziału PEN Clubu (1998), Nagrodą „Literatury na Świecie” (1998), Nagrodą im. Kazimierza Wyki (2016) i Nagrodą Specjalną ZAiKS-u (2024).

Uhonorowany: Odznaką Honorową miasta Poznania (1974), Złotym Krzyżem Zasługi (1975), odznaką Zasłużony Działacz Kultury (1981), Złotym Medalem Zasłużony Kulturze – Gloria Artis (2007).¹²¹

Z Koła Młodych do Metafory

Robert Florczyk: Grupa Poetycka Metafora opublikowała swój manifest w piśmie „Ziemia i Morze” w czerwcu 1956 r. sygnowana przez czterech poetów, a Pana wiersze pojawiają się w 1958 r. w wydaniu tomiku Grupy, jako członka Metafory. Jak wyglądały okoliczności Pana pierwszych publikacji w „Głosie Szczecińskim” i nawiązania kontaktów z lokalnym środowiskiem literackim?

Edward Balcerzan: W Szczecinie ukazywały się dwie gazety codzienne, „Kurier Szczeciński” i „Głos Szczeciński”, obie poświęcały sporo uwagi sztuce, zwłaszcza lokalnej, teatrom, malarzom, filharmonii. Także kinom. Obie udostępniały swoje łamy poetom, prozaikom, recenzentom, polemikom literackim, i obie były moim marzeniem – jako miejsca prawdziwego debiutu, do którego może kiedyś dojdzie! Mówiąc o debiucie prawdziwym, co mam na myśli?

Wiersze i baśnie prozą pisywałem, odkąd siebie pamiętam, najpierw w rodzinnym miasteczku Wowczańsk po ukraińsku, a po polsku od 1946 r., gdy mój ojciec, kapitan Wojska Polskiego, szef sztabu 13. Komendy Wojsk Ochrony Pogranicza, przywiózł mnie i moją mamę, ściganą w ZSRR przez NKWD, do

121 <https://pisarzeibadacze.ibl.edu.pl/haslo/845/balcerzan-edward>
<http://akcentpismo.pl/ludzie-akcentu/edward-balcerzan/>
<http://www.wforma.eu/balcerzan-edward.html>

ojczyzny moich przodków. Szczęśliwie służby radzieckie straciły ją z oczu, czuliśmy się wolni. Ze Szczecina posyłałem swoje dziecięce wierszyki do „Świata Młodych”, było to czasopismo ogólnopolskie dla starszych dzieci, uczniów szkoły podstawowej. Kilka moich prób wierszowania ukazało się w tym okresie. Redaktorami byli twórcy utalentowani (Wanda Chotomska), niektórzy w przyszłości najwybitniejsi (Miron Białoszewski), a zdarzyło się, że znacznie później, w latach osiemdziesiątych. Z jednym z nich, z Andrzejem Osęką, redaktorem naczelnym drugoobiegowej „Kultury Niezależnej”, współpracowaliśmy konspiracyjnie – moja żona, Bogusława Latawiec i ja. Poznaliśmy Osękę osobiście już w wolnej Polsce. Prowadziłem jego spotkanie autorskie w Poznaniu.

Wracam jednak do opowieści szczecińskiej, jest oto połowa lat pięćdziesiątych, kulturą rządzi socrealizm, a ja, choć życzliwie traktowany przez „Świat Młodych”, marzę o publikacji w gazecie dla dorosłych. Nigdy nie traktowałem tamtych, okolicznościowych rymowanek jako poezji, bo od prawdziwej poezji oczekiwałem nowatorskiej poetyki i skrótowego, obrazowego przekazu osobistych doświadczeń i przeżyć, rzeczywistych lub wyobrażonych, podczas gdy w druku obowiązywał wówczas „nakazowy” repertuar pożądanых tematów i form. Walka o pokój, urąganie podżegaczom wojennym, triumfalna odbudowa Polski powojennej, zwłaszcza Warszawy, przyjaźń między narodami, a na końcu jednoznaczny, jak na wiecu, wydźwięk ideowy. Socrealizm był w gruncie rzeczy taki sam dla twórców z dużym stażem, jak i dla początkujących. W domowym archiwum przechowuję list popisany przez Mirona Białoszewskiego, który pyta, czy nie ułożyłbym wiersza o Feliksie Dzierżyńskim. Najtrudniejsze było dla mnie opowiadanie o tym, czego nie znam, nie widziałem, nie doświadczyłem, co znam jedynie z „drętwej mowy” gazet i „akademii na cześć”.

Gdy przeszedłem do ósmej klasy, na poziom licealny, „Świat Młodych” poinformował mnie uprzejmie, że licealistami opiekuje się inny organ prasowy, a mianowicie „Sztandar Młodych”, i że radzą mi tam spróbować szczęścia. „Standar” przyjął do druku mój „rozliczeniowy” tekst publicystyczny *Byłem aktywistą*.

I oto wreszcie w 1955 r., w „Życiu i Kulturze”, dodatku do „Głosu Szczecińskiego”, debiutowałem naprawdę! Nie pamiętam, czy ja sam wysłałem do „Głosu” swoje *Nadodrzańskie sonety*, czy zadbali o druk moi starsi koledzy z Koła Młodych ZLP, a jeżeli to drugie, to musiał być Józef Bursewicz. Byłem już wprawdzie od roku w Kole Młodych, ale w mojej biografii początkującego autora wciąż najważniejszy był wątek uczniowski. *Nadodrzańskie sonety*

umieszczono obok wiersza Juliana Sosnowskiego pt. *Petőfi*. Obaj byliśmy licealistami z tej samej jedenastolatki TPD nr 1, on z klasy niższej o rok, obaj należeliśmy do szkolnego Koła Literackiego, wreszcie obaj mieszkaliśmy na tej samej ulicy Żupańskiego, w budynkach położonych vis a vis. Wspominam o Julku nie tylko z powodów sentymentalnych, ale także dlatego, że nasze pisarskie początki pokazują ówczesne rozdroże wiersza polskiego. Obaj, a każdy inaczej, znajdowaliśmy się do połowy wciąż w socrealizmie, a do połowy już w nowoczesności. Julek sięgał po nowoczesny wiersz wolny, i jednocześnie pisał o poecie rewolucyjnym, znanym mu jedynie z lektury, czyli zgodnie z normami socrealizmu. Ja odwrotnie, osobisty temat wspomnieniowy (o Wowczańsku i Charkowie) łączyłem z regularną, klasyczną, faworyzowaną przez socrealizm wersyfikacją i strofika.

R.F.: *Jak wrażliwy na słowo młody człowiek został przyjęty przez szczecińskie środowisko ZLP?*

E.B.: Zabrzmiało to dzisiaj dziwnie, ale „wrażliwy na słowo młody człowiek” został do Koła Młodych ZLP zaproszony. W ówczesnej polityce kulturalnej stolicy Pomorza Zachodniego, socrealizm odgrywał bodaj mniejszą rolę niż regionalizm. Trzeba było udowodnić Polsce i Światu, że po odzyskaniu Ziemi Zachodnich i Północnych potrafimy obdarzyć owe Ziemie sztuką słowa i innymi rodzajami sztuk nieporównanie troskliwiej niż robili to przez tyle wieków Niemcy. Czyli ziemia i morze, jeziora i rzeki, budowle i arterie potrzebują literatury... Czyż nie ma w takim myśleniu jakiejś osobliwej metafizyki, niemającej żadnych uzasadnień w materializmie dialektycznym i historycznym? A ponieważ osiedlenie w Szczecinie znanych twórców (Jerzy Andrzejewski, Konstanty Ildefons Gałczyński) dało efekt krótkotrwały i literacko mizerny (tu z kolei zawinił soc), wybrano wariant ambitny: otwarcie szans dla talentów lokalnych i cierpliwie czekali na ich dojrzewanie do sztuki. O tym właśnie, a nie o doktrynie Żdanowa, pisze Ireneusz Gwidon Kamiński w *Przedmowie* do almanachu *Dom na Odrę*, który przypadkowo, z powodów alfabetycznych, otwierają moje wiersze, w tym *Nadodrzańskie sonety*.

Jeżeli ktoś wykazywał aktywność w jakiejś dziedzinie sztuki, mógł liczyć na wsparcie władz i ekspertów. Nie na wsparcie agitatorskie, ideologiczne, bo agitacja panoszyła się wszędzie, lecz profesjonalne. Doświadczyłem tego parokrotnie. Uczestniczyłem w ruchu recytatorskim, w 1955 r. zdobyłem I miejsce w szczecińskich eliminacjach wojewódzkich, a do wystąpienia na eliminacjach centralnych w Krakowie przygotowywał mnie aktor, Ryszard Bacciarelli. Nie ja się do niego zwróciłem, gdzież bym śmiał, lecz to on otrzymał

z Wojewódzkiej Rady Narodowej zadanie nauczania mnie aktorskiej techniki. Niestety, Kraków nagradzał nienaganną dykcję i dystans emocjonalny do tekstu, ja zagrałem „Wielką Improwizację” Adama Mickiewicza jak teatralny monodram, chrzypiałem, gestykulowałem i... znalazłem się daleko od podium. Prześnia szczecińskiego patriotyzmu musiała być potężna, bo nie zmartwiła mnie przegrana – osobiście, lecz to, że sprawiłem zawód Szczecinowi!

O wejście do lokalnej wspólnoty pisarskiej nie ja zabiegałem, lecz inni, starsi ode mnie. Stanisław Nowak, nauczyciel polonista z TPD nr 1, opiekun Szkolnego Koła Literackiego, dał moje wiersze Józefowi Bursewiczowi, ten z kolei przekazał je, z pozytywną opinią Witoldowi Wirpszy, który nadzorował prace szczecińskiego Koła Młodych ZLP. Państwo Wirpszowie zaprosili mnie do domu na Pogodnie, pan Witold (przy herbacie z konfiturą) przeegzaminował mnie z poezji XX wieku (poszło średnio), jego żona, pisarka i tłumaczka, Maria Kurecka, zasugerowała mi rozmaite poprawki. Dopiero poprawione wersje miały mi dać, lub zablokować, gdyby się okazały nietrafne, wstęp do Koła Młodych. Poprawki musiały się Wirpszom spodobać, i oto w wieku 17 lat zostałem (najmłodszym) członkiem tej osobliwej struktury.

R.F.: Czy Koło Młodych przy ZLP stało się drogą do Metafory?

E.B.: Zanim znalazłem się w Metaforze, Koło Młodych stało się dla mnie nie tylko szkołą form pisarskich, ale i szkołą przetrwania w świecie literackim. Nauczyłem się stosowania odmiennych kryteriów oceny twórczości i oceny twórcy jako człowieka. Zrozumiałem, że przyjaźń z autorem, czy autorką nie usprawiedliwia pochwały utworów – moim zdaniem – chybionych. Przeciwnie, zobowiązuje do większych wymagań artystycznych. Musiałem także pogodzić się z tym, że moje utwory mocno różnicują czytelników czy słuchaczy – z powodów zgoła irracjonalnych. Nagle ktoś obcy znajduje w tym, co piszę, jakąś dla siebie wartość, a ktoś inny czuje przemożną niechęć do każdego mojego słowa. Takie też miałem recenzje, przyjazne i, bez przesady, nienawistne.

A co do Metafory, tak, powołali ją do istnienia moi koledzy z Koła Młodych. Oni znali moje wiersze, ja ich. Ceniliśmy się, ale i żartowaliśmy na temat naszych upodobań, Rysiek Grabowski i Janusz Krzywiński napisali zabawną parodię mojego stylu. Przede wszystkim byliśmy sobie ciekawi, a to jest *conditio sine qua non* funkcjonowania grup artystycznych.

R.F.: Nina Rydzewska, Józef Bursewicz, Juliusz Burski i Witold Wirpsza to Pana literackie autorytety czasu szczecińskiego, jakie czynniki o tym zadecydowały?

E.B.: Jeżeli wyraz „autorytet” rozumieć jako wyrocznie, alfę i omegę, osobę wszechwiedzącą, to w czasach szczecińskich autorytetami byli dla mnie Maria Janiszewska i Józef Ciepela, nauczycielka łaciny i nauczyciel fizyki, a to dlatego, że w ich dziedzinach wiedzy nie miałem nic własnego do powiedzenia. Natomiast w literaturze, podobnie w nauce o literaturze, kto chce być pisarzem albo literaturoznawcą, nie powinien nikogo uznawać za autorytet. Źródłem twórczości pisarskiej jest biografia autora, rozumiana szeroko, jako suma doświadczeń życiowych i lekturowych, tak czy inaczej niepowtarzalnych. Tak, Rydzewską, Wirpszę, Burskiego i Bursewicza lubiłem, ceniłem, nigdy jednak bezkrytyczni i nigdy we wszystkim, co mówili czy pisali. Ciekawych osób poznałem w Szczecinie więcej: intrygowali mnie, poruszali, czegoś nowego uczyli, czymś zaskakiwali, coś także czasem brali ode mnie, jakąś ideę czy obserwację. Lista jest długa: Katarzyna Suchodolska, Helena Raszka, Alina Głowacka (kierowniczka Redakcji Literackiej Polskiego Radia), Jan Papuga, Erazm Kuźma, Eliaż Rajzman, Jerzy Jan Pachlowski, Feliks Jordan (dziennikarz „Kuriera Szczecińskiego”), no i Metaforyści.

R.F.: *Czy wówczas jeszcze była w środowisku szczecińskim żywa pamięć o Tymoteuszu Karpowiczu i jego „Legendach pomorskich” i „Żywych wymiarach”? „Żywe wymiary” to pierwszy naprawdę szczeciński tom poezji, czy był jakimś punktem odniesienia dla późniejszych twórców?*

E.B.: Zacznę od anegdoty. Zdarzyła mi się w latach licealnych przygoda z *Legendami pomorskimi*. Po zachłannej lekturze rosyjskich przekładów dzieł Szekspira postanowiłem zrobić „szekspirowską” adaptację książki Karpowicza. Napisałem, wysłałem do „Kurieru Szczecińskiego”, zaprosił mnie na rozmowę

(od kewej) Edward Balcerzan i Jerzy Jan Pachlowski



redaktor Jordan, od razu poznał wpływ twórcy *Makbeta*, wskazał na błędy kompozycji, na pożegnanie, oddając rękopis, powiedział: – I dojrzałej, proszę, dojrzałej... Po latach opowiedziałem o tym Karpowiczowi. Poczzerwieniał, a po chwili westchnął, jak ktoś upokorzony: – Panie Edwardzie, dlaczego mi pan to robi?

A w kwestii środowiskowej pamięci *Legend pomorskich* i *Żywych wymiarów* trudno mi zabrać głos. Nie pamiętam rozmów na ten temat. Mogę jedynie przypuszczać, że świeża tradycja poezji pisanej w Szczecinie przegrywała ze wzburzoną współczesnością, podobnie przeżywaną w całej Polsce. Od czasu Odwilży, a zwłaszcza po Październiku 1956, żyliśmy jak w bibliotece, która rozrasta się z dnia na dzień, i wali się nam na głowy. Zachłannie czytaliśmy utwory dawniej zakazane, na przykład Brunona Jasieńskiego, albo właśnie wznowione, na przykład poezje Bolesława Leśmiana, albo przekłady arcydzieł nieobecnych w socrealizmie, przede wszystkim komentowaliśmy nowości księgarskie, *Najmniej słów* Juliana Przybosia, spóźnione debiuty książkowe Zbigniewa Herberta i Mirona Białoszewskiego. Karpowicz zwrócił na siebie uwagę nieco później, arcypomysłowym tomikiem *W imię znaczenia*, i następnymi, o niesłychanie wyrazistej poetyce. W swoich wierszach jawnie nawiązywała do tej poetyki, albo z nią polemizowała, Helena Raszka.

R.F.: *Grupa Poetycka Metafora przekształca się w Grupę Poetycko-Plastyczną Metafora, powstają ramy programowe.*

E.B.: Okoliczności powstania grupy poetów, a potem jej poszerzenia o plastyków, były trojakiemu rodzaju. Historyczne, pragmatyczne i przyjacielskie.

Bardzo głębokie przemiany po Październiku 1956 polegały między innymi na wznowieniu ciągłości historyczno-literackiej, a oznaczało to powrót do aktywnych form kultury literackiej w okresie międzywojennym. I do takich właśnie form należały grupy poetyckie lub poetycko-malarskie. Znamienne, że manifest *Metafory* cytował jako wzór poetyckiego myślenia o świecie – fragment napisanego przed wojną liryku Stefana Flukowskiego, poety drugiej awangardy. A w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, wzmacniając decentralizację, grupy artystyczne zakładano w wielu miastach wojewódzkich. W Szczecinie powstała *Metafora*, w Warszawie *Orientacja Hybrydy*, w Poznaniu aż trzy grupy poetów (*Swantewid*, *Wierzbak*, *Wiatraki*), we Wrocławiu *Ugrupowanie 66*. Połączenie poetów z malarzami, także było znane z tradycji europejskiej awangardy, w Rosji *Kubofuturyści*, w przedwojennej Polsce grupa a. r. Władysława Strzemińskiego i Juliana Przybosia. *Metaforze* dawało to szansę, by tak rzec, rozmachu międzynarodowego, a mianowicie międzynarodowego festiwalu malarzy i poetów.

Szczecin portowy, połączony ze Świnoujściem, miał powody do tego, by – jak często powtarzał Pachlowski – graniczyć z całym światem.

Metaforze nie wystarczyłyby ani tradycje, ani dalekomorskie ambicje Szczecina, gdyby nie serdeczne kontakty z miejscowymi plastykami. Bursewicz znał środowisko plastyków, a na naszych dyskusjach w starym Klubie 13 Muz i w domu Józka przy ulicy Abramowskiego bywał, pamiętam, Andrzej Żywicki, twórca miniatur malarskich, dowcipny, niepokorny, znakomicie panujący nad paletą. Niebawem został „oficjalnym” członkiem Metafory, co brzmi o tyle dziwnie, że grupa miała charakter w zasadzie nieoficjalny, całkowicie niepodległy wobec administracji lokalnej czy państwowej.

R.F.: *Bogusława Latawiec, debiutowała w audycji radiowej „Magazyn Artystyczny” na antenie Polskiego Radia Szczecin w roku 1959, a debiut „drukowany” to wiersze w Almanachu „Poeci Pomorscy”.*

Wiersz „Kompleks”

W sobotnie wieczory między półką z książkami a przeciwległą ścianą czuję się mniejsza od główki gwoździa, przestaję pamiętać kształt moich włosów i smak przydymionych metafor. Na wypukłe pancerzyki paznokci nakładam kolorowy lakier.

[...]

Każdy ruch boli lepkiem przyschnięciem, a słowa rodzą bezkształtne i na brzegach okaleczone. Wiszą zbędne w dymie papierosów.

A oni nanizują w podłużne uszy swoje za duże dla mnie wyrazy i za głębokie litery.

Czuję ciężar mego ciała szerszy w biodrach, smuklejszy na rękach i ważę możliwość odejścia.”

Powyższy fragment pochodzi właśnie z Almanachu Poeci Pomorscy, jak wyglądał debiut radiowy Bogusławy Latawiec i jej przyjęcie do Metafory?

E.B.: Najpierw muszę skomplikować „fabułę” moich wspomnień. Byłem bowiem w jakiejś mierze „członkiem korespondentem” Metafory, gdyż po jej powstaniu, w latach 1956-1961 studiowałem polonistykę w Poznaniu, i głównie w Poznaniu mieszkalem, a wśród moich nowych kolegów było kilku poetów, którzy także chcieli założyć grupę twórczą i zapraszali mnie do uczestnictwa. Uzgodniłem z Bursewiczem i z poznaniakami, że zostanę kimś w rodzaju łącznika między szczecińską Metaforą i poznańskimi Wiatrakami. Oprócz mnie należeli do Wiatraków: Wojciech Burtowy, Marian Dziurleja. Wincenty Różański i Aleksander Wojciechowski. Dyskutowaliśmy, perorowaliśmy, filozofowaliśmy, naprawialiśmy świat. Bogusława Latawiec, moja koleżanka z roku, ode



Bogusława Balcerzan, 1963 r.

mnie młodsza o dwa lata, od listopada 1959 byliśmy małżeństwem, towarzyszyła naszym zbiorowym wieczorom autorskim, zdecydowała się wystąpić w spektaklu poetyckim jako Lampa Alladyna (cokolwiek by to miało znaczyć), ale jako poetka nie była gotowa do debiutu radiowego czy prasowego. Pisywała liryki naiwne, dziewczęco-sentymentalne, młodopolskie. Nie miałem pojęcia, że przysłuchując się i przyglądając naszym dyskusjom, czuje się dyskomfortowo, dokładnie tak, jak opisała w cytowanych tu fragmentach poematu prozą. Jednocześnie pracowała i nad rozumieniem poezji trudnej, i nad własnym językiem poetyckim, a gdy po studiach osiedliliśmy się w Szczecinie, była już na progu poetyckiej dojrzałości. I Helenka Raszka, i Jurek Pachłowski, i przyjaciele z *Metafory* traktowali ją serdecznie i po partnersku, co ostatecznie znalazło cenny dla niej wyraz w zaproszeniu do *Metafory*. Dla mnie była to tak samo piękna niespodzianka, jak i dla Bogusi.

R.F.: *Była jedyną kobietą wśród metaforystów, z pewnością uczestniczyła w spotkaniach. Co możemy się dowiedzieć o tamtych relacjach i początkach drogi twórczej Bogusławy?*

E.B.: W czasie naszego rocznego pobytu w Szczecinie intensywnie żyła życiem szczecińskiej bohemy, która łączyła biesiadne szaleństwa z doskonaleniem umiejętności profesjonalnych. Pracowała w bibliotece Pałacu Młodzieży, ja także w bibliotece Politechniki Szczecińskiej, ale po pracy były spotkania w domu Bursewicza, albo Pachłowskiego, albo Raszki. Bogusia już nie tylko uczyła się od koleżanek i kolegów, ale sama udzielała pisarskich porad. Można powiedzieć, że nie było już Koła Młodych, ale żyły jego tradycje. Gdy opuszczaliśmy Szczecin, bo na poznańskiej polonistycy uniwersyteckiej czekał na mnie etat, Bogusia jako członkini szczecińskiej *Metafory* mogła się znaleźć wśród autorów almanachu *Poeci Pomorscy II*, dzięki czemu jej debiut drukowany nie był w gazecie, lecz w książce.

R.F.: *W Almanachu „Poeci Pomorscy” są także Pana wiersze, obok wierszy innych autorów, w tym szczecińskich, jak Bursewicz, Grabowski, Dzierżanowski, Liskowacki czy Kiejstut Bereźnicki. Poetyckie środowisko naszej części Pomorza wypada całkiem okazale. Jak Pan ocenia ten ówczesny szczeciński wkład poetycki do Almanachu?*

E.B.: Uczono mnie unikania tego typu uogólnień. Nie da się oceniać w całości poetów jakiegoś miasta czy regionu, zwłaszcza że oni chcą (my chcemy) być do siebie niepodobni.

R.F.: *Czy może Pan powiedzieć, jakie czynniki wpłynęły na to, że Helena Raszka nie osiedliła się na stałe w Poznaniu?*

E.B.: Wielokrotnie mówiła, że Poznań jej nie chciał, nie przyjął, odrzucił. Dla mnie jest to myślenie mityczne, nie do przyjęcia, gdyż nie istnieje taki byt rozumny, który nazywa się Poznań czy Kraków, czy Wrocław, i nie można żadnemu skupisku ludzi przypisywać intencji podmiotowych. Skoro jednak Helence Raszce było takie myślenie potrzebne, nie pytałem o szczegóły, żeby nie wdać się z nią w spór, a spór z mitem jest z góry przegrany.

R.F.: *„Morze, pergamin i ty” to pierwszy Pana tomik poetycki, jakie wiążą się z tym wspomnienia? W tle bowiem J. Przyboś, M. Jastrun i Komisja Kwalifikacyjna Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich.*

E.B.: Wytypowany jako autor książeczki z serii Szczecińskiej Biblioteki Debiutów złożyłem maszynopis w Wydawnictwie Poznańskim, po jakimś czasie redaktor Mistewska zaprosiła mnie na rozmowę. Był pewien problem. Magister Jarosław Maciejewski, znawca biografii romantyków polskich, w swej recenzji domagał się usunięcia tyłu wierszy, że zostawało mniej niż na jeden arkusz wydawniczy, na tomik za mało. – Może pan dostarczyć coś nowego? – zapytała pani redaktor. – Ma pan nowe wiersze? – Mam – skłamałem i w krótkim czasie „dopisałem” nowe. Tym razem maszynopis trafił do Zbigniewa Pędzińskiego, który stwierdził, że Balcerzan wie, co robi, niczego nie trzeba usuwać, należy przyjąć całość, wraz z uzupełnieniami. Tak się też stało.

Jak już mówiłem, nie było dla mnie zaskoczeniem, że jedni akceptują, inni nie akceptują to, co piszę i jak piszę. Podobno różnica zdań między Maciejewskim a Pędzińskim potwierdziła się w sporze między niechętnym mi Mieczysławem Jastrunem i zainteresowanym mną Julianem Przybosiem, chodziło o wyróżnienie mojej książeczki na Festiwalu Poezji w Poznaniu. Nie pytałem o to nigdy Przybosia, a z Jastrunem nigdy nie rozmawiałem na żaden temat.

R.F.: *Kim był dla Pana Kazimierz Bartoszyński, kiedy Pan mówił, „że warto było walczyć o polonistykę, żeby spotkać tego wykładowcę”.*

E.B.: Bartoszyński otworzył mi oczy (i wyobraźnię) na filozofię literatury, zachęcił do czytania dzieł Romana Ingardena i Borysa Tomaszewskiego, a gdy kończyłem studia, podpowiedział Jerzemu Ziolkowi moją kandydaturę na asystenta.

R.F.: *Jakie jest Pana odniesienie do literatury rosyjskiej w kontekście toczącej się wojny w Ukrainie?*

E.B.: Literatura rosyjska ma wielu pisarzy światowego formatu, i żadna wojna nie zmieni tego faktu, podobnie jak druga wojna światowa nie pozbawiła świata arcydzieł Goethego czy Tomasza Manna. Rusofobia czy germanofobia to są tak samo zabójcze dewiacje, jak antysemityzm czy antypolonizm.

R.F.: *Bardzo dziękuję.*

Andrzej Lam

Profesor nauk humanistycznych polski historyk, krytyk literatury, polonista, wybitny literaturoznawca i tłumacz poezji łacińskiej oraz niemieckiej, członek Towarzystwa Naukowego Warszawskiego.

Przemijająca epoka poetów

Małgorzata Nowak-Żukiel: *Panie Profesorze, nie sposób wymienić w kilku słowach Pana ogromnych dokonań dla polskiej literatury. Dokonał Pan również, jak to trafnie określił Dariusz Guzik w rozmowie z Panem, „tytanicznego wysiłku translatorskiego w poezji łacińskiej i niemieckiej”. Chciałam zapytać o początki Pana drogi naukowej. Jak Pan Profesor wspomina czasy licealne i studenckie w powojennej Polsce?*

Andrzej Lam: Zacznę nie od szkolnictwa, lecz od roli powojennego harcerstwa, jeszcze zanim położyli na nim łapę doktrynerzy nowego porządku. Kiedy wstąpiłem do niego w zimie 1945 roku w Prokocimiu, działało w konspiracji

Zdjęcie z prywatnego archiwum prof. Andrzeja Lama.
(foto D. Łomaczewska)



wojennej według statutu przedwojennego i w tym charakterze odrodziło się w powojennej Rzeczpospolitej Polskiej (tak się nazywało powojenne państwo, działające formalnie na podstawie konstytucji marcowej z 1923 roku). Wysiłek ludzi, którzy wbrew koniunkturze tę ciągłość wtedy podtrzymali, godny jest pamięci. Tak samo odrodziło się szkolnictwo. Gimnazjum i Liceum im. Bartłomieja Nowodworskiego w Krakowie, do którego uczęszczałem, przyjęty z początkiem roku 1945 na podstawie egzaminu do klasy IV gimnazjalnej (były wówczas cztery klasy gimnazjalne i dwie licealne), miało z jednym wyjątkiem przedwojenny skład profesorski i posługiwało się stemplem z orłem w koronie. Mogło się wydawać, że mimo rewolucyjnych reform ustrojowych możliwa będzie kontynuacja wartości, do których było się przywiązany. Zapisalem się na studia polonistyczne w obrębie ówczesnego wydziału filozoficznego, wkrótce humanistycznego, Uniwersytetu Jagiellońskiego. W składzie profesorskim byli wtedy: Stanisław Pigoń i Juliusz Kleiner (prawie rówieśnicy); do słynnego pokolenia 1910 należał Kazimierz Wyka, z młodszych Tadeusz Ulewicz, wśród językoznawców: sędziwy Kazimierz Nitsch, Tadeusz Lehr-Spławiński, Zenon Klemensiewicz, Witold Taszycki; wśród slawistów: Tadeusz Milewski, Mieczysław Małeki i Franciszek Sławski. W takiej obsadzie wszechnica krakowska – mimo strat zadanych jej przez siepaczy gubernatora Franka: w obozie Sachsenhausen zmarł Ignacy Chrzanowski, wkrótce po zwolnieniu z obozu Stefan Kołaczkowski, przeżyli obóz Lehr-Spławiński, Nitsch Pigoń, Milewski i Małeki – wyposażała powojenne roczniki studentów w potężną, polonistyczną wiedzę i umiejętności. Metodę pracy naukowej podpatrywało się na żywo, przez odsłonięte w wykładach warsztaty. Spór Nitscha z Taszyckim o pochodzenie polskiego języka literackiego – małopolskie czy wielkopolskie – był istnym koncertem naukowej argumentacji i erystyki. Odrębnym torem szła praca samokształceniowa w studenckim Kole Polonistów. Wzorem przedwojennych kół polonistycznych na Uniwersytecie Warszawskim im. J. Piłsudskiego i Wileńskim im. S. Batorego uzupełniały one program uniwersytecki o nowe sposoby ujęcia



Koło Naukowe Polonistów i Słowistów Studentów UJ z kuratorem prof. St. Pigioniem; prof. Andrzej Lam w jasnej marynarce, po lewej str. prof. Pigionia. (foto z prywatnego archiwum prof. Andrzeja Lama)

poetyki i stylistyki w tzw. szkole formalnej, zmierzającej do opisu konstrukcji dzieła literackiego jako tworu autonomicznego z mocnym podkładem filozoficznym i językoznawczym. Przed wojną ujawniły się one silnie w pracach Dawida Hopensztanda i Franciszka Siedleckiego, przypomnianych wkrótce po wojnie przez profesora Uniwersytetu Warszawskiego i nowo powołanego Instytutu Badań Literackich, Kazimierza Budzyka, książką „Stylistyka teoretyczna w Polsce”. W tajniki literaturoznawczego marksizmu wprowadzał profesorów i studentów adept wysokich potem szlifów naukowych, Henryk Markiewicz. Powiew nowości płynął zwłaszcza od prof. Wyki, który po objęciu redakcji „Twórczości”, czołowego wówczas periodyku literackiego, nie tylko jako jedyny omawiał twórczość żyjących poetów i prozaików, ale zamieszczał też pod swoimi skrzydłami w druku wyróżniające się prace młodych krytyków. W sekcji metodologicznej Koła skupiali się żywo reagujący na nowości literackie i naukowo-literackie studenci, w tym takie późniejsze sławy, jak: Jan Błóński, Konstanty Puzyna, Ludwik Flaszen, Andrzej Kijowski. Włączały się w tę działalność katolickie organizacje młodzieżowe i to one przekazały

wiadomość o aresztowaniu omawiającego w „Tygodniku Powszechnym” życie teatralne krytyka i pisarza, Tadeusza Kudlińskiego, który wiele znaczył w krakowskim środowisku. Radość z pracy szła w parze z niepokojem, zwłaszcza, że żywa była pamięć o policyjnej akcji przeciwko młodzieży manifestującej w rocznicę 3-majowej Konstytucji.

W Kole panowała swobodna atmosfera, koleżeńska i towarzyska, także w sekcji imprezowej, która dbała o dobre samopoczucie młodzieży wbrew tragicznym często doświadczeniom, zwłaszcza starszych roczników, i nasuwającej się z góry skłonności rukowodzielskiej w organizacjach młodzieżowych. Pamiętam stojące w lokalu Koła stare pianino, przy którym zasiadał późniejszy publicysta Olgierd Jędrzejczyk i walił w klawisze ze śpiewem: „W auli Uniwersytetu / Jest tam dzisiaj wielka festa / bo do tańca nam przygrywa / wielka dżezowa orkiestra. / Małpa tańczy boogie-woogie...” itd. Te krakowskie lata ukształtowały mnie na długo, zadzierzgnięte wtedy więzy spowodowały, że wiele prac, także edytorskich, realizowałem już jako warszawiak w krakowskim Wydawnictwie Literackim.

M.N-Ż.: *Jest Pan synem bratanka Jana Pawła Ferdynanda Lama (1838-1886) – polskiego powieściopisarza, satyryka, redaktora „Dziennika Polskiego” i nauczyciela, a także bratankiem Stanisława Lama (1891-1965) – dr. filozofii, polskiego wydawcy, publicysty, encyklopedysty, krytyka i historyka literatury. Czy te literackie korzenie w Pana rodzinie były taką iskrą rozpalającą w Panu zainteresowania literaturą? Czy może coś jeszcze skłoniło Pana Profesora do studiowania polonistyki i obrania niełatwej drogi tłumacza?*

A.L.: W domu zachowały się pamiątki po Janie, wśród nich skórzana tabakiera i róg na proch, którym się może posługiwał jako uczestnik powstania styczniowego (przekazane do zbiorów Biblioteki Jagiellońskiej). Także jego książki wraz z 5-tomowym wydaniem pism z 1938 roku, na stulecie śmierci, ze wstępem Juliana Krzyżanowskiego, który przebadał genealogię rodziny, i z wmurowaniem tablicy na domu, w którym mieszkał (tablica istnieje do dziś, podobnie jak piękna rzeźba pomnikowa na Cmentarzu Łyczakowskim). Zachował się podarty przez Ukraińców podczas walk o Lwów portret Piłsudskiego w rewidowanym mieszkaniu ojca, który był członkiem Polskiej Organizacji Wojskowej (obecnie w Muzeum w Sulejówku). W bibliotece ojca, polonisty znalazłem publikacje Stanisława z dedykacjami i książkę ojca „Obrazy w utworach Krasińskiego”. Biblioteka zawierała druki niewykraczające poza pierwszą wojnę światową, ale w czasie wojny jej uzupełnieniem stały się bogate zbiory

poety i krytyka, Jarosława Janowskiego, które znalazły się u nas po zagarnięciu przez Niemców mieszkania, w którym były przechowywane. Tam była cała ważna literatura międzywojennego dwudziestolecia i czytałem te rzeczy z wielkim przejęciem. Było więc naturalne, że wybrałem polonistykę. Stanisława odwiedziłem po wojnie w prowadzonej przez niego Księgarni Polskiej w Paryżu, a po jego śmierci wydałem pozostawione w rękopisie wspomnienia „Życie wśród wielu”. Na studiach byłem często pytany, czy jestem krewnym Jana, co ułatwiało mi akademickie kontakty. Zaprzyjaźniłem się ze Stanisławem Frybesem, którego staraniem ukazywały się wznowienia dzieł Jana w serii Biblioteki Narodowej.

M.N-Ż.: *Czy wśród wykładowców pojawił się ktoś, kto był dla Pana Profesora autorytetem, inspirował?*

A.L.: Najbarwniej o poezji mówił Wyka. Nie ograniczał się do terminologii literaturoznawczej, czerpał z całego bogactwa języka, również z mowy potocznej, improwizował przybliżające jakość stylową i emocjonalną obrazowe metafory (w mniejszym nasileniu można te cechy odnaleźć również w jego pismach o literaturze i malarstwie). Po takiej szkole język strukturalistów brzmiał jak mielone w ustach wióry. Metaforami i figurami mowy ludu, z całą jej dosadnością i siłą wyrazu, posługiwał się Pigoń. Od kwiecistych opisów stylu nie stronił Kleiner i wzlatywał w uduchowioną krainę, jakby rodem ze Słowackiego. Po przyjeździe do Warszawy wybrałbym seminarium Wacława Borowego, ale zmarł zaraz po rozpoczęciu roku akademickiego. Silnie oddziaływała na mnie jego literacka eseistyka, także znakomite analizy przekładów. Dziś wracam nie bez satysfakcji do zdobytych w antykwariatach prac Józefa Tretiaka. Mimo gruntownej przebudowy polonistyki, zwłaszcza po przełomie październikowym, nie urodził się ani polski Umberto Eco, ani Michel Foucault, którzy swobodnie łączyli wiedzę zaczerpniętą z różnych dyscyplin. Wielkie projekty polonistyczne rysowała i realizowała Maria Janion. Dziś odgrzewane po Kridlu spory o to, czy badacz literatury powinien zajmować się tylko tekstem, czy również autorem, brzmią śmiesznie. Równie dobrze można by pytać, czy aktor kreujący rolę do szczętu zatracą własną osobowość. A tak zwany świat przedstawiony nie da się opisać bez odniesień do świata realnego, bez wiedzy o wywołanych przedmiotach, także gdy są one symulakrami. Wszystkie te spory dadzą się dziś rozwiązać na gruncie językoznawstwa kognitywnego. Nie przeczy to tezie, że język poetycki – zwłaszcza w tym, czym się różni od języka potocznego w różnych jego użyciach – da się naukowo opisać tylko specjalistyczną terminologią, umiejacą nazwać te różnice.



Prof. Andrzej Lam i Zbigniew Herbert. Wręczenie nagrody WPL dla Zbigniewa Herberta. (foto z prywatnego archiwum prof. Andrzeja Lama)

M.N-Ż.: *Gdy układał Pan Profesor Antologię „Kolumbowie i współcześni” na przełomie lat 60. i 70., wspominał Pan w audycji zamieszczonej na portalu historycznym Dzieje. pl., że „Zbigniew Herbert był dla Pana postacią intrygującą i trudną do rozszyfrowania, który w swej poezji pozostawił liczne, nieodczytane drogowskazy”. Czy z perspektywy czasu, zdaniem Pana Profesora poezja Herberta jest dla nas współczesnych bardziej odczytywalna?*

A.L.: Dzisiaj poezję Herberta czyta się jak z nut, zwłaszcza jeżeli zna się interpretującą ją eseistykę. Jest to poezja szyfrów doby cenzury, zakazującej mówienia wprost o pewnych tematach, ale godzącej się na szyfry, jeżeli tylko nie były nazbyt wyraźne. Stąd brał się heroizm tych wierszy: ukazywały one tragizm przemilczanych cierpień i wartości, w nowszych dziejach Katyń, wywózki, Armię Krajową i Powstanie Warszawskie, ziemię utraconą, kraj i emigrację, wszelkie postaci wydziedziczenia. Dziś ta pamięć została wypełniona i wezwania w rodzaju „Bądź wierny, idź „ nie oddziałują już z taką siłą jak dawniej, a nostalgiczno-ironiczna postawa poety na dłuższą metę zdaje się nieco upozowana. W tej antologii starałem się ukazać łączność „starszych”



Konferencja na UW. W pierwszej ławce jako pierwszy prof. Andrzej Lam. W drugiej ławce, od lewej prof. Maria Grabowska, w głębi w okularach prof. Edmund Jankowski, z podpartym podbródkiem prof. Stanisław Frybes, po prawej prof. Henryk Markiewicz. (foto z prywatnego archiwum prof. Andrzeja Lama)

i „młodszych” braci, głosy przedzierające się przez tłumiące je okoliczności. Ta poezja przekazała pamięć o czasach wojennych i powojennych czulszą niż historiografia. Wybrałem wiersze, które były znakami czasu historycznego.

M.N-Ż.: *Obok wspomnianego Herberta poświęcił Pan Profesor również obszerniejsze studia twórczości tak znanych osób jak m.in.: W. Sieroszewski (był Pan współredaktorem wydania jego Dzieł), K. I. Gałczyński, K. Irzykowski, J. Iwazkiewicz, M. Jastrun, B. Leśmian, J. Przyboś, ks. J. Twardowski, K. Wojtyła, T. Różewicz, W. Szymborska, S. Grochowiak, które znał Pan również osobiście. Kto z tych osób ma w Pana Profesora pamięci szczególne miejsce i kogo twórczość była Panu Profesorowi najbliższa?*

A.L.: Spośród krytyków – wpisujący w dzieła cudze własną, oszołamiącą pomysłami wizję literatury, idący wbrew kierunkom stadnym i myślący szyki Karol Irzykowski. Wielki wizjoner zaświatów objawiających się w rzeczywistości widzialnej Leśmian. Uruchamiający statyczny świat Przyboś, jak lud dostrzegający w otoczeniu świat nadprzyrodzony, wyzwolenie uśpionej potencji rzeczy i zjawisk. Do Miłosza podchodziłem tylko okazjonalnie, bo zbyt liczne

było wokół niego stado gdakającego ptactwa. Grochowiak był fenomenem i starałem się go przybliżyć wyborem wierszy i publikacją jego diariusza. Ks. Twardowski pamiętał mnie jako tego, który zamieszczając jego wiersze w antologii „Kolumbowie i współcześni”, zaprezentował je tym samym jako poezję uniwersalną. Promieniuje z niej nadal z niesłabnącą siłą dobroć i czułość, pogodny humor i niekonwencjonalna, niechętna uczonej teologii, religijność.

M.N-Ż.: Był Pan Profesor związany z Uniwersytetem Warszawskim (1951–2001), z Akademią Humanistyczną im. Gieysztora w Pułtusku, a także wykładał Pan w roku akademickim 1982/1983 literaturę polską na Uniwersytecie Jana Gutenberga w Moguncji. Czy w swojej wieloletniej pracy dydaktycznej miał Pan Profesor możliwość wyłonić z rzeszy studentów szczególnie wybitnych i uzdolnionych?

Tłumaczenie: Grupa międzynarodowa na przyjęciu dla zaproszonych naukowców z zagranicy (od lewej): prof. dr hab. Alexander Edelstein z Uniwersytetu Waszyngtońskiego w Seattle, USA; uczy m.in. czasowo w Instytucie Dziennikarstwa. Wykładowca dr Büyüktimkin, chemik z Uniwersytetu w Stambule, gościnnie na Wydziale Farmacji. Profesor dr Andrzej Lam, literaturoznawca z Warszawy, pierwszy profesor wizytujący w uniwersyteckiej instytucji „Schwerpunkt Polen“



Internationale Runde beim Empfang für ausländische Gastwissenschaftler (von links): Prof. Dr. Alexander Edelstein von der University of Washington in Seattle, USA; er lehrt z. Z. am Institut für Publizistik. Dozent Dr. Büyüktimkin, Chemiker an der Universität Istanbul, der am Fachbereich Pharmazie zu Gast ist. Professor Dr. Andrzej Lam, Literaturwissenschaftler aus Warschau, erster Gastprofessor am Schwerpunkt Polen.

Fotos: Axel Stephan

A.L.: Wśród doktorantów i seminarzystów są profesorowie: Eugeniusz Czaplejewicz, Włodzimierz Bolecki, Marek Zaleski (magisterium w latach 70. o Miłoszu z wyróżnieniem), Wiesław Rzońca, Zygmunt Ziątek, Estera Czoï alias Choi Sung-Eun (doktorat o Sieroszewskim), profesor polonistyki w Seulu, tłumaczka literatury polskiej; Markus Eberharter, austriacki badacz polskiego formizmu; Przemysław Strożek, badacz polskiego i włoskiego futuryzmu; Andrzej Niewiadomski (doktorat o science fiction); krytycy, eseiści i poeci: Ryszard Zengel, Andrzej Chruszczyński, Krzysztof Mętrak, Krzysztof Varga, Paul Coates (doktorat o Leśmianie), Kazimierz Brakoniecki (magisterium w latach 70. o Miłoszu), Jakub Beczek (doktorat o Irzykowskim), Jarosław Klejnocki (magisterium w latach 80. o Konwickim w drugim obiegu), dyrektor Muzeum Literatury; reżyserzy i piosenkarze: Maciej Zembaty, Magda Umer, Jan Bińczycki, Antoni Libera; twórcy Kabaretu Moralnego Niepokoju Robert Górski i Mikołaj Cieślak. To niepełna lista osób, które się wyróżniły. Jest wśród nich Agnieszka Dębska (magisterium o poezji drugiego obiegu napisana w latach 80., kiedy ta poezja jeszcze nie wyszła z podziemia) i Dominika Świtkowska (doktorat z Witkacego), muzealniczka. Piszę z pamięci, zapewne nie wszystkich wymieniłem. Zgłaszali się na moje seminarium studenci nieobawiający się tematów trudnych i ceniący swobodną dyskusję, nieograniczoną barierami w ówczesnym życiu publicznym. W Moguncji Zbigniew Wilkiewicz, który przetłumaczył na niemiecki opracowany przeze mnie zbiór polskich manifestów awangardowych.

M.N-Ż.: *Czy są Pana Profesora zdaniem różnice między studentem z przeszłości a terażniejszości?*

A.L.: Dawny student filologii był człowiekiem książki i biblioteki. A książka jest przedmiotem fizycznym, ma swój ciężar, odcień papieru, sposób zadruku kolumny, zapach. Da się kartkować. Umie się ładnie starzeć i pamięta się ją. Trzeba było robić notatki, ręczne wypisy, zakładać kartoteki. Dlatego filologowie mieli mnóstwo danych w pamięci, które się z czymś indywidualnie kojarzyły, i z tego bogactwa tworzyli swoje własne teksty. Mieli też do książki stosunek emocjonalny. „Pociecho moja ty, książeczko...” wyznał piąty wieszcz, a czy można tak powiedzieć o monitorze komputera? Dziś wszystko jest pod ręką na jedno kliknięcie. Internet stał się gigantyczną encyklopedią, do której sięga się w sekundzie. Kiedy szukałem odpowiedzi na pytanie, jakie wydanie „Cherubinowego wędrowca” miał w ręku Mickiewicz, pisząc swoje „Zdania i uwagi”, miałem na monitorze wszystkie wchodzące w grę wydania niemieckie i mogłem stąd wyciągać wnioski, nie ruszając się z domu. A Biblioteka Polona

jest czymś naprawdę niezwykłym, rajem dla historyka literatury, co jednak z grzebania w bibliotekach nie zwalnia, ale tę konieczność ogranicza. Z jednej strony jest to wspaniałe, z drugiej powoduje, że wszystko znajduje się w jednej przestrzeni, niemal pozaczasowej, i powstaje nieobciążający pamięci kalejdoskop, na którym trudniej dokonuje się operacji myślowych. Powstają oceany zimnej uczoneości, kombinacje „gotowców” i własnej inwencji. Odtrutką na to jest wolna eseistyka, w której ten kalejdoskop zatrzymuje się na wybranych obrazach. Ale ciekawość tego, jakie doznania zapisała literatura od swojego zarania i jakie zapisuje dziś, nie zaniknie nigdy, i to łączy wszystkie pokolenia studentów.

M.N-Ż.: *W 2009 r. ukazała się Pana Profesora bardzo ciekawa i inspirująca książka „Poznać to co mówimy”, która jest jakby esencją Pana pracy naukowej, gdyż zbiera w jednym tomie szkice, wspomnienia, wywiady oraz recenzje, które były rozproszone w różnych czasopismach. Zamieścił Pan Profesor w niej również recenzje tworzących ówczesznie twórców, wskazał kierunki, za którymi warto podążać. A jak Pan Profesor ocenia stan dzisiejszej literatury i poezji? Dokąd Pana Profesora zdaniem ona zmierza i czy są wśród obecnych twórców nazwiska godne uwagi?*

A.L.: O, to trudne pytanie i materia delikatna. Poetą w rozumieniu historycznym nazywano nie kogoś, kto po prostu kleci bardziej, czy mniej udane wiersze, ale kto chwyta szóstym zmysłem punkty wrażliwe swojej społeczności i pragnie dać im skondensowany, słowny wyraz tak zrobiony, aby odbiorcę silnie zaintrygował – myślowo, emocjonalnie i w najgłębszej, trudnej do określenia sferze ducha, wciągniętego podczas odbioru do tworzenia wraz z poetą, tak jak odbiera się utwór muzyczny natychmiast przechodzący we własny rytm i własną frazę, często wręcz domagający się tańca, poruszenia całego ciała, gestów, mimiki i łez, choćby czysto mentalnych. Na ten moment poeta jest władcą absolutnym, kosmicznym wichrem. Daleko do spełnienia tego warunku, kiedy po lekturze paru wersów i zachwycie nad tym, czy innym udanym zwrotem narzuca się pytanie: No dobrze, złotko, ale właściwie dlaczego ty mi o tym opowiadasz? Albo pojawia się mały smutek i wtedy przypomina się wezwanie Miłosza: *Nie zasmuczaj bliźniego swego*, albo jego pytanie: *Dlaczego mówicie takim grubym basem?* W ostatnich dziesięcioleciach piosenka poruszała często silniej niż wiersz, a ostatnio i takich piosenek brakuje. Epoka poetów o roli zbliżonej do Wieszczki, a co najmniej Mistrza, jak gdyby mijała, tak jak wygasło wielkie malarstwo na rzecz chłodnego konceptu i trudno się dosłuchać wybitnego kompozytora, choć muzyka może ostatnia opuścić plac boju



Prof. Andrzej Lam z Januszem Szuberem.
(foto z prywatnego archiwum prof. Andrzeja Lama)

o odbiorcę. Trzeba umieć się z tą epoką żegnać bez desperacji. Obrazy świata widzialnego można w edytorze przekształcać na tysiąc sposobów, tworzenie zaskakujących metafor powierzyć sztucznej inteligencji, muzyki programom miksującym, aby eliminując ludzką indywidualność stworzyć pole dla przypadkowości kosmosu bez jej pośrednictwa, z zachowaniem tylko wyabstrahowanych cech antropologicznych. Czy taka sztuka, która nie będzie już przestaniem kogoś dla innych, nas uszczęśliwi? Głód mocnych zbiorowych wrażeń zastępuje dziś codzienny teatr polityczny na spółkę z widowiskami sportowymi, wloty ducha – coraz silniej zasilana nowymi odkryciami i możliwościami kosmonautyka, potrzebę małego-wielkich uczuć – telewizyjne seriale. Znęcanie się nad Polską Ludową już niewielu dziś bawi, po rozliczeniu w warunkach wolności słowa krzywd, których myśmy doznali i które zadaliśmy innym. Poezja staje się azylem czułego szeptu (czasem krzyku), wierszowanym raptularzem, pokazującym, że można mówić o sprawach i uczuciach niegazetowym językiem, i zachęcającym do tego tych, którzy wierszy pisać nie potrafią. To też dużo znaczy. Z czasem, kiedy katastrofa już będzie za progiem, nabiorą mocy pojawiające się z coraz większą natarczywością pytania: jak przeżyć szkody, które wyrządziliśmy Ziemi, jak Ona na to zareaguje? Odpowiedzi przyjdzie szukać nie w języku ekologii, lecz zachwytu, pożegnania i lęku. Na szczęście dobra poezja się nie starzeje. Począwszy od Alkajosa i Safony ludzkość nagromadziła tyle skarbów słowa, że każdemu wystarczy ich na całe życie i na wszystkie okazje. Sam starałem się przymnożyć ten zasób polszczyźnie, praca ta przynosiła mi radość i może będzie też przynosiła ją moim siostram i braciom w poezji.

Wśród starszego pokolenia pogłębioną refleksją nad naszym czasem, przygodnie też humorem, wyróżnia się Urszula Koziół, pomysłowością i świeżością środków wyrazu Ewa Lipska, w zagłębiu krakowskim gniewnymi pomrukami Marcin Świetlicki, inteligencją i dowcipem Krzysztof Lisowski i Bronisław Maj, namysłem nad istotą poetyckości założyciel wspólnoty „Borussia” Kazimierz Brakoniecki, czułym, czechowiczowskim zmysłem stron rodzinnych Stanisław Dłuski, wizyjnością i wrażliwością na poezję niemiecką Józef Kurylak, intrygującą zwięzłością Krzysztof Kuczkowski. Wysoka kultura poetycka i subtelność uczuć znaczą wiersze Anny Piwkowskiej. Z żalem wspominam Janusza Szubera. Nie bez oporu wymieniam nazwiska, bo wiem, że wiele godnych uwagi pominę, jakkolwiek obszerną listę bym przedstawił. Dawniej czytałem nowej poezji więcej.

M.N-Ż.: Bardzo dziękuję za rozmowę.

Marek Kazana

Polski muzyk, kompozytor, aranżer. Jeden z najwybitniejszych muzyków jazzowych. Nagrał ponad 20 płyt wspólnie z m.in.: Green Revolution, Free Cooperation, Operating Conditions, Young Power, T. Love, Arfik, Podwórkowi Chuligani. Wydał dwie autorskie płyty – Tangola (2013), Mam dwóch wnuków w Birmingham (2014). W 2013 roku powstał film biograficzny o muzyku pt. Narcyz o sobie. Historia Marka Kazana (produkcja: Beata Zuzanna Borawska, Dominik Sienkiewicz, Mateusz Jakubiszyn), którego premierowa projekcja odbyła się w tym roku podczas Szczecin European Film Festival.



Marek Kazana (www.google.com/searchclient=firefox=Mark+Kazana)

Saksofonista jazzowy „z przypadku”, który był mu „pisany”

Małgorzata Hrycaj: Jak rozpoczęła się Pana przygoda z muzyką jazzową? Czy pamięta Pan moment, w którym zdecydował się zostać muzykiem jazzowym?

Marek Kazana: To nie był moment, to był proces. Zaczęło się to w latach sześćdziesiątych. Bardzo mi się podobała muzyka, niektórych filmów polskich, fabularnych oczywiście, muzyka inna niż ta, którą zazwyczaj się słyszało i dopiero po jakimś czasie dowiedziałem się, że to jest jazz. Pisali ją Krzysztof Komeda, Zbigniew Namysłowski, Włodzimierz Nahorny (trochę później), „Duduś” Matuszkiewicz, tak że to była po prostu muzyka jazzowa, albo okołojazzowa, ale inna. A same początki... miałem chyba sześć albo siedem lat, siedziałem w domu na szafce, w telewizji śpiewały Filipinki i zacząłem sobie pięćmi wystukiwać rytm tych piosenek, i stwierdziłem, że to wszystko pasuje, że mam jakieś tam poczucie rytmu, nie do końca uświadomione, ale jednak. Później, już w ósmej klasie „podstawówki” postanowiliśmy z kolegami założyć zespół, bigbitowy to się wtedy nazywało, ale tak naprawdę to zaczęło się w „ogólniaku”, w pierwszej klasie. Ja grałem na perkusji, ponieważ nie potrafiłem grać na gitarze po pierwsze, a po drugie gitarzyści już byli i została tylko perkusja. I bardzo dużo mi to dało, że zacząłem od perkusji, bo jeszcze bardziej wykształciłem w sobie posiadane poczucie rytmu i rytmikę w ogóle, a to jest podstawa. Ja w ogóle uważam, że muzyk jazzowy, bo mówię o jazzie, który nie potrafi zagrać na jakimkolwiek instrumencie perkusyjnym, nie może być dobrym muzykiem jazzowym, bo to jest jednak rytm, flow, timing, i to jest podstawa. I kiedy grałem na perkusji, w tym zespole, który nazywał się Wikin-gowie, instruktor, bo mieliśmy instruktora zespołu, namówił mnie i gitarzystę, żeby zdawać do szkoły muzycznej pierwszego stopnia. Kiedy zdałem egzamin, powiedziano mi, że mam za dobry słuch na to, żeby na perkusji grać. Zapytali mnie, na czym innym chciałbym grać. Na fortepian było już za późno, bo już byłem w „ogólniaku”, rozważałem saksofon. A wtedy byłem zafascynowany Namysłowskim, Nahornym i to było tak, jak z Beatlesami i Rolling Stonesami, który jest lepszy. I ostatecznie przyjaciel ojca, bardzo dobry muzyk rozrywkowy, zasugerował, żebym w szkole uczył się w klasie klarnetu, bo na klarne-cie grając, gram też na saksofonie, a odwrotnie nie za bardzo. Także to były dobre początki i przypadki, ale „przypadki chodzą po ludziach” i właściwie

przeważająca większość tego, co nam się przydarza, jest wynikiem przypadku. Tak więc przypadkowo zacząłem grać na saksofonie i przypadkowo jazz. Ale to taki przypadek, który, powiedzmy, był mi pisany.

M.H.: *Rozszerzmy tę wypowiedź. Na jakich instrumentach Pan grał i dlaczego wiodącym jest saksofon? Częściowo już Pan odpowiedział na to pytanie, ale może pominął jeszcze jakieś instrumenty?*

M.K.: Tak, saksofon już mi się od początku podobał, natomiast mój pierwszy instrument... we wczesnym dzieciństwie, od znajomego ojca, który też był muzykiem, dostałem harmonijkę ustną. Nie miałem pojęcia, jak się na tym gra, wiedziałem, że trzeba dmuchać i wciągać powietrze, ale stwierdziłem, że muszę zagrać *Wlazł kotek na płotek* i dopóki nie zagram, nie odpuszczę. Trochę to trwało, ale w końcu zagrałem i to były moje pierwsze ruchy jako instrumentalisty. Później była perkusja, oczywiście pianino w domu (kupiłem osobiście), instrumenty perkusyjne, instrumenty dęte drewniane, czyli klarnet, saksofony, flety proste, flet poprzeczny nie, bo za dużo powietrza mi tam ucieka i to jedyne wyjątek, jeśli chodzi o tę grupę instrumentów.

M.H.: *Jakie były Pana muzyczne inspiracje; czy jest jakiś konkretny artysta lub album, który wpłynął na Pana twórczość?*

M.K.: Właśnie... też dawno temu, w Piwnicy przy Krypcie były takie Dni Jazzowe, raz w tygodniu, nie pamiętam w jaki konkretnie dzień, prowadził to ktoś (nie pamiętam nazwiska), kto miał dostęp do konsulatu amerykańskiego w Poznaniu. Wypożyczył około stu płyt winylowych, jazzowych, od lewej do prawej, różnych... Ja chyba ze dwadzieścia tych płyt pożyczyłem do domu, po przegrywałem na magnetofon ZK 140, to pamiętam...

M.H.: *Nawet w Wikipedii ten fakt jest wspomniany, więc musiało to być legalne...*

M.K.: No wtedy tak... i właściwie to ciekawe, bo saksofon altowy, to mój główny instrument, ale nigdy nie „kręciło” mnie, żeby grać jak Charlie Parker, albo nawet żeby próbować, no nie... parę tematów nauczyłem się, owszem, nawet *Donnę Lee*, trudny technicznie utwór na saksofonie barytonowym grałem, no ale to jako ciekawostka, a tak od jazzu tradycyjnego na klarnecie, później swing, bop, hard bop, mainstream, ale zawsze najbardziej interesował mnie jazz free. I była wśród tych płyt... była płyta Ornette Colemana, rewelacyjne, niepowtarzalnego; nota bene pod koniec życia dostał nagrodę Pulitzera, za całokształt. Płyta miała tytuł *New York Is Now!*... i od tamtego czasu dwa utwory *Round Trip* i *Broad Way Blues* gram prawie na każdym koncercie, to jest

w moim repertuarze od tamtego czasu. Oprócz tego, oczywiście Coltrane. A Miles Davis, no to jest po prostu Davis i tyle.

M.H.: *Jak ocenia Pan szczecińską scenę jazzową w latach minionych i obecnie? Czy jest coś, co wyróżnia ją na tle innych miast?*

M.K.: Tutaj od anegdoty zacznę... Grałem w duecie z Markiem Macem, zaczęliśmy w 1980 roku próby i mieliśmy zacząć grać 14. grudnia, to był poniedziałek, w klubie Pinokio, ale najpierw był 13. grudnia... i z wiadomych względów mieliśmy czas na więcej prób i zagraliśmy w końcu w marcu. Ale pojechaliśmy do Wrocławia na Jazz nad Odrą, i tam oprócz grania były rozmowy oczywiście, pogaduchy i ktoś mnie zapytał: Jak wygląda środowisko jazzowe Szczecina? Na co odpowiedziałem: No właśnie z Markiem przyjechaliśmy. Pomijając Dixie Lovers, to praktycznie tak to wyglądało. Wówczas... w tej chwili jest pełno młodych muzyków, znakomitych: Tomek Licak przede wszystkim, który ma nie tylko zdolności muzyczne jako instrumentalista, ale i pedagogiczne. Założył bigband, uczył w szkole średniej, teraz uczy na Wydziale Jazzu w Akademii Sztuki. Tak, że następców jest dużo. I najciekawsze jest to, że część z nich mówi do mnie „Mistrzu”, odpowiadam: spokojnie, spokojnie... Ale jakiś impuls dałem i mam tego świadomość.

M.H.: *Oczywiście, i myślę, że takie określenie jest w tym przypadku jak najbardziej na miejscu.*

M.K.: Ale nie nadużywane.

M.H.: *Przejdźmy do nagród. Którą nagrodę dla Marka Kazany Pan uważa za szczególne osiągnięcie?*

M.K.: Zacznę od nagrody zespołowej. W 1979 roku na Festiwalu Jazz nad Odrą we Wrocławiu dostaliśmy Grand Prix z grupą Breakwater. Później – w 1983 roku dostałem roczne Stypendium Jazzowe imienia Krzysztofa Komedy w Warszawie, w klubie Hybrydy. A poprzedników miałem dobrych, bo między innymi taką nagrodę parę lat wcześniej dostał choćby Zbigniew Seifert. Następnie – też 1983 rok – nagroda jazzowa na Famie, na Jazz Juniors – nagroda za kompozycję i na koniec w 1986 roku w konkursie Debiuty na festiwalu w Opolu – dostaliśmy Grand Prix – z grupą Operating Conditions. Ale już w 1983 roku, po tych nagrodach, stwierdziłem, że nie mam zamiaru się ścigać, że po prostu chcę grać koncerty, a nie brać udział w konkursach.

M.H.: *Docenienie nie tylko przez publiczność, ale również przez jurorów pewnie pomogło Panu w działalności artystycznej.*

M.K.: Na pewno nie zaszkodziło. Natomiast, jak już mówiłem, nie miałem już zamiaru startować w żadnych konkursach, a są muzycy, którzy zbierają jak najwięcej nagród, laurów, to nie moja bajka. Mnie interesował zawsze kontakt z publicznością, po prostu.

M.H.: *A jak określiłby Pan swój styl muzyczny, bo z tego, co wiem, łączy Pan wiele różnych gatunków, nawet hard rock, muzykę folkową, etniczną czy związaną z poezją śpiewaną. Czy zmieniał się na przestrzeni lat? Czy ma Pan jakieś ulubione kompozycje własnego autorstwa?*

M.K.: Ulubiona kompozycja, od razu powiem, to *Tangola*, to też tytuł mojej pierwszej płyty autorskiej.

M.H.: *Wydanej w 2013 roku?*

M.K.: Tak, natomiast styl... nie zmieniał się, rozwijał się. Tutaj tak na marginesie powinienem powiedzieć, że muzycy jazzowi tak naprawdę potrafią zagrać wszystko, różne rodzaje muzyki, bo grałem i jazz tradycyjny, i grałem z orkiestrą dętą, i grałem jako solista w filharmonii, i w operze, i z zespołem bluesowym oczywiście...

M.H.: *Był nawet zespół Chuliganów... (śmiech)*

M.K.: Tak, Podwórkowi Chuligani. Ale generalnie nazwałem swego czasu to, co ja gram od siebie, improwizowaną muzyką inspirowaną amerykańskim jazzem free, ale i jazzem w ogóle też.

M.H.: *Zawiera się w tym pierwiastek autorski, że to, co Pan gra, nie jest tylko odtwórcze, ale indywidualne, twórcze we własnym stylu.*

M.K.: Zdecydowanie.

M.H.: *Przejdźmy do korelacji muzyki z tekstem literackim. Jakie miejsce w Pana twórczości zajmuje literatura? Czy są jakieś książki lub autorzy, szczególnie wpływający na Pana muzykę?*

M.K.: Bezpośredniego wpływu nie zauważyłem, ale czytam oczywiście dużo, tak że gdzieś to znajduje przetworzenie w mojej działalności muzycznej. Mój kanon, książki, do których co parę lat wracam, to jest „Mistrz i Małgorzata”, „Imię Róży” i „Przygody dobrego wojaka Szwejka”. Mam też, z tych nowych, „Księgi Jakubowe”, piękne wydanie, przeczytałem raz i jeszcze nie wróciłem, ale książka leży i czeka. Natomiast, jeśli chodzi o połączenie muzyki z poezją głównie, to są działania wokalistów, przecież Niemen śpiewał choćby Norwida i nie tylko on, i nie tylko Norwida.

M.H.: *Tak, ale Pan tworzył również muzykę do spektakli teatralnych i to była też muzyka inspirowana literaturą. Współpracował Pan z różnymi teatrami, mógłby Pan opowiedzieć o tych projektach?*

M.K.: Owszem, grałem we Współczesnym, w Polskim i w Kanie. We Współczesnym – „Opera za trzy grosze”, tam aranżowałem też. Zespół grał na żywo, bo to było zalecenie, wręcz wymóg spadkobierców, że w inscenizacji „Opery za trzy grosze” Brechta/ Weilla, musi grać na scenie, z boku sceny, zespół muzyczny. Natomiast dla Kany, to była muzyka do Wieniedikta Jerofiejewa „Moskwa – Pietuszki” i „Noc Walpurgi, czyli kroki Komandora”. Reżyser Zygmunt Duczyński powiedział mi, że oczekuje, że stworzę muzykę, która podbije emocje. Do pewnego momentu zrobi to aktor, tak jak potrafi, ale jeszcze trochę wyżej może to zrobić muzyka i takiej muzyki się ode mnie spodziewał. Z tego, co wiem, to udało mi się to. Grał w tym spektaklu aktor – Jacek Zawadzki, to był monodram. Zygmunt Duczyński regulował światło, nota bene była to jedna żarówka, ale miała istotne znaczenie. Ja za kotarą jakąś grałem na klarnecie, na flecie prostym i na klawesach (klawesy to instrument perkusyjny, niektórzy myślą z klawesynem).

M.H.: *Jeszcze była „Alicja w krainie Czarów”...*

M.K.: Tak, w Teatrze Polskim, ale tam tylko grałem, muzyka była już gotowa.

M.H.: *Czy pamięta Pan pierwszy projekt, od którego zaczęła się Pana współpraca z teatrami? Jak do niego doszło?*

M.K.: Po prostu byłem zaproszony przez muzyków, którzy tam grali, później już osobiście mnie zapraszano.

M.H.: *A jak wygląda Pana proces tworzenia muzyki? Czy ma Pan jakieś specyficzne rytuały lub techniki, które stosuje? Czy tworzy Pan samodzielnie, czy raczej w zespole?*

M.K.: Różnie. To są utwory nie tyle skomponowane, raczej wyimprowizowane, pojawiają się tam jakieś tematy. Nie, nie mam żadnej techniki kompozytorskiej. W ogóle do muzyki, jako twórca jazzowy oczywiście, i jako wykonawca, i jako kompozytor, podchodzę intuicyjnie. W grę wchodzi wyobraźnia i emocje.

M.H.: *A czy Pan zauważa podobieństwa między strukturą literacką a muzyczną? Może są jakieś techniki literackie, jakie stosuje Pan w muzyce?*

M.K.: Świadomie tego nie robię. Muzyka instrumentalna jest asemantyczna, ale istnieje coś takiego, jak muzyka ilustracyjna. Tu, jeśli chodzi o klasykę,

to przede wszystkim Cloude Debussy, ale także i „Cztery pory roku” Antonio Vivaldiego, to też jest w pewnym sensie muzyka ilustracyjna. Natomiast miałem takie zdarzenie kiedyś, kiedy graliśmy w duecie z Markiem Macem, w klubie Pinokio (był czas, że w każdy poniedziałek tam graliśmy), w pewnym momencie przyszło mi do głowy, że zagram kobiecie orgazm. Saksofon ma bardzo duże możliwości artykulacyjne, można na nim zgrać jęki, krzyki, westchnienia, a o tym właśnie mówię. Zagrałem to z towarzyszeniem kontrabas, bardzo sugestyjnie, jak się okazało z relacji pewnej dziewczyny po koncercie. Muzyka jest asemantyczna, ale efekt może wywołać konkretny... w tym wypadku więcej było wyobraźni niż dosłowności.

M.H.: *Wróćmy do sztuk teatralnych z Pana udziałem. Czy ma Pan jakąś ulubioną i co czyni ją wyjątkową? Jak według Pana muzyka może wzbogacić narrację teatralną i wpłynąć na odbiór sztuki przez widza? Wspomniał Pan o tym, że muzyka może podbić emocje...*

M.K.: Tak, tak, tak.

M.H.: *Wiadomo, że wtedy działanie jest wielozmysłowe. A poza tym muzyka ma działanie tak silne...*

M.K.: ...że nie da się tego opowiedzieć, ale przeżyć można. Podobnie jest z muzyką filmową, ma wielki wpływ na odbiór filmu, wystarczy wspomnieć takich kompozytorów, jak Morricone, Barry, Williams, Bernstein czy Preisner i wspomniany już przeze mnie Komeda, który napisał muzykę do wielu filmów, mało tego, skomponował muzykę do wiersza Szyborskiej „Nic dwa razy się nie zdarza”. Po latach się dowiedziałem, że to jest kompozycja Komedy.

M.H.: *A czy Pan współpracował z jakimiś pisarzami czy poetami przy jakichś projektach artystycznych? Jak wyglądała ta współpraca?*

M.K.: Trudno to nazwać współpracą. Z Henrykiem Banasiewiczem, z Heniem po prostu...

M.H.: *Waszej znajomości dotyczy kolejne moje pytanie, chciałam jeszcze dowiedzieć się o Pana związek z zespołem wykonującym poezję śpiewaną „Sklep z ptasimi piórami”...*

M.K.: Tak, ale nie powiem, żebym ja brał udział w procesie twórczym, to już Rysiek Leoszewski i Jacek Rudnicki, później już tylko Leoszewski, a ja tam po prostu grałem, jak potrafiłem.

M.H.: *Czyli to nie było w pełni twórcze...*

M.K.: Przyszedłem na gotowe.

M.H.: *Rozumiem. W takim razie, jakie były początki znajomości z Henrykiem Banasiewiczem?*

M.K.: To jest oczywiste, początki miały miejsce przy barze w Klubie 13 Muz. Okazało się, że mamy porozumienie, że myślimy „tędy”. Powiedział mi, że Walddek Modestowicz chce zrobić słuchowisko muzyczne z jego poezją i żebym ja zagrał do tego. Wymyśliłem sobie, że to będzie saksofon, kontrabas i fortepian. Na kontrabasie – Maciek Mac, a przy fortepianie – Rysiek Słowicki... czyli połączenie *od Sasa do lasa*, można powiedzieć, ale efekt... Henio, jak tego posłuchał, powiedział: Marek, nie, no to jest kongenialne. Tak, że wczuliśmy się w to, o co jemu chodziło; nie powiem, że dosłownie, ale mówiąc to myślę o emocjach, nie o słowach.

M.H.: *Ale to było właśnie to podkręcenie siły oddziaływania słów, podbicie emocji, o którym mówiliśmy.*

M.K.: Tak, oczywiście.

M.H.: *Jaki to był projekt, ten Wasz pierwszy?*

M.K.: Tytułu nie pamiętam.

M.H.: *Ale to nie było nic związanego z Kamasutrą?*

M.K.: Nie, to było przed Kamasutrą. Jeśli chodzi o Kamasutrę, to ja tam solo grałem na żywo.

M.H.: *I to były też teksty pana Banasiewicza...*

M.K.: Tak. Grałem na żywo z aktorką, która występowała nago. Część tekstu „szła” z nagrania. Któryś z aktorów miał nagrać, nawalił i Wojtek Jabłoński, znakomity fotografik, zaproponował, też w barze w 13 Muzach, żebym ja to przeczytał i nagrał. Zachęcał: Spróbuj, uda się. I tak się stało, dzięki temu miałem jeszcze dodatkowy udział – to mój głos „leciał” z nagrania.

M.H.: *Czy są jakieś anegdoty lub wspomnienia związane z Henrykiem Banasiewiczem, którymi zechciałby się Pan podzielić? Jaka była Wasza relacja?*

M.K.: Konkretnych anegdot albo nie było, albo nie przypominam sobie.

M.H.: *Mieliście nić porozumienia, nadawaliście, jak to się mówi, „na wspólnych falach”?*

M.K.: No tak, ale tutaj trzeci raz wspomnę o barze w 13 Muzach. Taki mieliśmy wtedy kontakt, tam się spotykaliśmy. Nie było dyskusji o jego poezji, czy mojej muzyce. Rozmawialiśmy, jak to w Muzach, na różne, wszystkie prawie tematy, ale nie powiem, żeby jakaś szczególna więź mnie łączyła z Heniem

Banasiewiczem, po prostu on artysta, ja artysta, rzadko używam tego słowa w odniesieniu do siebie. Znaleźliśmy wspólny język.

M.H.: *Nie rozumiem, dlaczego rzadko Pan używa tego słowa? Zwłaszcza w kontekście filmu „Narcyz” poświęconemu Pana osobie (śmiech).*

M.K.: Któryś z poetów, bodajże Jonasz Kofta, powiedział: poetą się nie jest, poetą się bywa. Jestem przekonany, że to samo dotyczy artysty... więc ja jestem muzykiem, a artystą bywam.

M.H.: *Ale Stachura powiedział, że: wszystko jest poezją, każdy jest poetą...*

M.K.: No to są dwie strony...

M.H.: *Ja uważam, że poetą jest się na stałe. Choćby z nadania, jakim jest przyjęcie do Związku Literatów Polskich, czy innej organizacji zrzeszającej ludzi pióra. Jeśli nawet w danej chwili nie piszę, zbieram w sobie materiał na kolejny wiersz. Inna rzecz, czy jest się dobrym poetą. Nie lubię też określenia: popełniać wiersz, choć może to właśnie zachodzi wtedy, gdy pisze się kiepsko.*

M.K.: Dostojewski nie popełnił „Zbrodni i kary”, tylko wręcz – ha! (śmiech).

M. H.: *Zdecydowanie nie popełnił. To pisarz, którego dzieła głęboko odczuwałam, potem dopiero było racjonalne spojrzenie na jego widzenie świata, człowieka, filozofię... A propos filozofii, jest Pan autodydakty w tej dziedzinie.*

M.K.: Tak, studiowałem filozofię klasyczną. Doszedłem do Pascala, natomiast moim mistrzem jest Sokrates. Umiał zadawać odpowiednie pytania.

M.H.: *Też bardzo go cenię. Na koniec naszej rozmowy chciałabym poznać Pana plany na przyszłość. Wydał Pan oprócz dwóch płyt autorskich, „Tangola” i „Mam dwóch wnuków w Birmingham”, mnóstwo innych, ale może ma Pan jakieś niezrealizowane marzenia wiążące się z tworzeniem dzieła będącego korelacją muzyki z poezją lub innym gatunkiem literackim?*

M.K.: I żeby to było opus magnum, tak? Powiem bardziej ogólnie: niczego, co robiłem w życiu nie żałuję i czasu nie cofnąłbym, bo zgadzam się z tym wszystkim, mówimy o muzyce w tej chwili, co zagrałem. Jedyne, co chciałbym cofnąć, to amputacja nóg lwony mojej [Smyk – Kazany, żony Muzyka – przyp. red.], ale to jedyne, cała reszta hej do przodu i jest tak, jak jest. Jeśli chodzi o plany, właściwie już nie. Graliśmy z Wojtkiem Konikiewiczem, liderem Free Cooperation, piękne koncerty, to były moje ostatnie koncerty przed covidem – rewelacyjne! W pewnym momencie stwierdziłem, że ja już wszystkie dźwięki, jakie miałem w życiu zagrać, zagrałem i dziękuję.

M.H.: Ale dźwięki mogą różnie brzmieć na różnych instrumentach, w innym czasie...

M.K.: Tak, ale mam też świadomość... tak jak się mówi o sportowcach, żeby wiedzieli, kiedy zakończyć karierę.

M.H.: Myślę, że w przypadku muzyków, to inaczej wygląda. Można zakończyć karierę i nic już nie musieć, ale jeszcze chcieć, bo jak się jest Artystą, przez wielkie „A”, za jakiego jest Pan uważany, pozostaje się nim do końca i ma się wewnętrzną potrzebę wyrażania siebie w sztuce.

M.K.: Tu się zgadzam, poza tym ja w pewnym momencie komuś powiedziałem, że byłem muzykiem jazzowym, ale potem do mnie doszło, że muzykiem jazzowym jestem przez cały czas, tyle że wierzącym – niepraktykującym. Raz, to świadomość tego, że już zagrałem swoje, ale również to, z czym się nie zawalczy, stan zdrowia, na instrumencie dętym już nie dałbym rady zagrać.

M.H.: Ale są jeszcze na szczęście inne instrumenty, choćby pianino, gitara...

M.K.: Na gitarze raz tylko zagrałem, nie znam ani jednego chwytu.

M.H.: Muzyk jazzowy zagra wszystko, zaczynając od „Wlazł kotek na płotek” na harmonijce ustnej; gdy zechce, zagra to na gitarze. I inne utwory też. Albo choć odwiedzi szczeciński oddział Związku Literatów Polskich, żeby nam opowiedzieć o swoim graniu, a my podzielimy się wierszami, w których też jest wiele muzyki.

Dziękuję serdecznie za poświęcony mi czas, rozmowa z Panem to zaszczyt i ogromna przyjemność.

REFLEKSJE

Maria Jaremek

Książki z mojej, domowej biblioteki

Książki towarzyszyły mi od dzieciństwa. Rodzice w 50. latach XX w. pracowali w Urzędzie Pocztaowo-Telekomunikacyjnym w niedużej miejscowości pod Szczecinem i prenumerowali nam – dzieciom (mojemu o rok ode mnie starszemu bratu, mnie i o rok ode mnie młodszej siostrze) czasopisma takie jak: „Świerszczyk”, „Płomyczek”, „Płomyk”, w późniejszych latach: „Na Przetaj”, „Świat Młodych”, „Filipinka”.

Zaczytywaliśmy się w kreskówkach *Niewiarygodne przygody Koziołka Matołka*, zabawnej adaptacji tekstów Kornela Makuszyńskiego z rysunkami Mariana Walentynowicza. Z bratem czytałam książki amerykańskiego pisarza Jamesa Olivera Curwooda *Bari, syn Szarej Wilczycy*; *Władca skalnej doliny*; *Włóczęgi północy*. Przygodowe powieści Karola Maya *Tajemnicza wyspa* i *80 mil dookoła świata* przenosiły nas w nieznane krainy, a powieści Juliusza Verne`a *Winnetou*, *Wódz Apaczów* i *Old Shatterhand* były dla nas początkiem poznania nieznanego do XV wieku kontynentu – Ameryki.

W czasach, gdy nie w każdym domu był telewizor, lubiłam słuchać audycje radiowe. Ukształtowana wówczas dziecięca fantazja rozbudziła moją wyobraźnię w trakcie czytania książek.

Pierwsze zetknięcie się z polską poezją, która wywarła na mnie niezapomniane wrażenie, zaczęło się w siódmej klasie szkoły podstawowej. Rodzice, mieszkający na prawobrzeżu Szczecina, odstąpili wielodzietnej rodzinie swój dom i wyprowadzili się do dziadków (ze strony mojego ojca), do niewielkiej

miejsowości w pobliżu Starego Czarnowa, gdzie uczęszczałam do siódmej klasy. Starsza pani nauczycielka, teściowa Włodzimierza Stępnika, kierownika niedużej szkoły, na lekcjach czytała nam na głos fragmenty z eposu narodowej *Pan Tadeusz* Adama Mickiewicza. Dzieło to wywarło na mnie tak silne wrażenie, że pewnego dnia zadaną pracę domową o czterech porach roku postanowiłam napisać w formie wiersza. Oczywiście zyskałam w oczach polonistki uznanie i najwyższą notę. To był jedyny napisany przeze mnie wiersz.

Po maturze, ostatnie dwa miesiące wakacji spędziłam w Międzywodziu na kolonii zorganizowanej dla dzieci i młodzieży, gdzie pracowałam jako kelnerka. Zabrałam ze sobą podręczniki, żeby w wolnym czasie przygotowywać się do egzaminu wstępnego w dwuletniej pomaturalnej szkole gastronomicznej. Niestety bardzo odczułam na zdrowiu tę ciężką pracę, wtedy doszłam do wniosku, że gastronomia nie była mi pisana. Myśl o studiach na innym kierunku odłożyłam na później i zatrudniłam się w P.P. „Dom Książki”, a dokładnie w księgarni „Zamkowej” przy pl. Hołdu Pruskiego 8.

Z lewej strony po sąsiedzku wpadali do nas po książki partyjni pracownicy KW PZPR, natomiast z prawej – dziennikarze z redakcji RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Pracując obok siedziby partii nie odczuwaliśmy żadnego nacisku, wręcz odwrotnie, ci panowie starali się być niezwykle uprzejmi. W tych trudnych czasach, z koleżanką, Jadwigą Adamską podczas krótkiej przerwy zaopatrzywałyśmy się w partyjnym bufecie w wędliny o bardzo dobrej jakości (smak kiełbasy rzeszowskiej pamiętam do dzisiaj). Od czasu do czasu schodziłyśmy niżej, do stołówki na obiad. Któregoś dnia jeden z nich zaproponował mi pracę w Międzynarodowym Klubie Książki i Prasy przy al. Wojska Polskiego róg Krzywoustego. Propozycja była bardzo kusząca, jednak kategorycznie odmówiłam. Nie korzystałam z jakiegokolwiek protekcji, a tę uznałam za wysoce nie stosowną.

Eugenia Kondratowicz, kierowniczką księgarni była dosyć surowa, ale to jej zastępczyni, wspaniała Alina Bachowska wprowadzała mnie w tajniki pracy i była moją opiekunką na stażu. Pamiętam pierwszy dzień pracy, bez sentymentu zostałam wrzucona od razu na „głęboką wodę” do Działu Technicznego, gdzie za głównymi regałami książek technicznych znajdowały się oddzielne półki z programami nauczania do szkół gastronomicznych. Co za traf!?! Nie mając kompletnie pojęcia, miałam uporządkować programy nauczania na poziomie dwuletniej, trzyletniej zasadniczej szkoły gastronomicznej i pięcioletniego technikum z uwzględnieniem kierunków ich specjalizacji. Zadanie to było dla mnie na początku karkołomne i nie do wykonania, lecz się nie poddałam. Po

ośmiu godzinach pracy i wykonaniu zadania, zmęczona, z potwornym bólem głowy pojechałam do domu. Gdy staż dobiegł końca, przeszłam obowiązkowy kurs bibliograficzny. Zdałam egzamin przed komisją kwalifikacyjną, otrzymałam zaświadczenie i tytuł bibliografa. Wtedy dopiero poczułam się prawdziwym księgarzem.

Większe instytucje, takie jak: biblioteki, kluby, szkoły, zakłady pracy i uczelnie miały w księgarniach stałe półki z odkładanymi nowościami wydawniczymi. Co jakiś czas w wielu księgarniach odbywały się spotkania autorskie. Na pierwszym spotkaniu w księgarni poznałam Olgierda Budrewicza, potem zaczytywałam się w jego reportażach podróżniczych *Równoleżnik zero* i *Pozłaczona dżungla*.

Wielkie wrażenie zrobiła na mnie książka *Maria i Magdalena* Magdaleny Samozwaniec. Rodzina malarza Wojciecha Kossaka, mieszkająca w krakowskiej Kossakówce, często przyjeżdżała do Zakopanego. Lektura ta wzbudziła we mnie nostalgiczne wspomnienia. Będąc sześciolatkiem, przebywałam tam bez kontaktu z rodziną aż dziewięć miesięcy – od sierpnia 1956 do kwietnia 1957 r. – w sanatorium „Cieszynianka” przy ul. Do Białego. Ten długi pobyt odbił się na mnie wielką traumą i przez wiele lat zmagalam się ze strachem przed ciemnością. Położenie „Cieszynianki” blisko krokusowych polańek, skoczni, urwistych potoków na trasie turystycznej Do Białego w pewnym stopniu rekompensowały smutek rozstania z rodzicami. Swoją dziecięcą uwagę starałam się skupić na otaczającej mnie przyrodzie. Podczas grupowych spacerów pod okiem opiekunek dostrzegałam, jak zmieniała się przyroda o różnych porach roku i te obrazy mam wciąż jak żywe przed oczami.



Maria Jarek
(zdj. z archiwum
autorki)

Alina Bachowska, widząc moje zafascynowanie Kossakami, nazwała mnie Lilką – tak wołano na Marię, starszą córkę Kossaka – i część księgarzy w ten sposób się do mnie przez jakiś czas zwracała.

Od czasu do czasu, do księgarni „wpadał” na rozmowy z kierownictwem bardzo przystojny młody mężczyzna. Kim był ten przystojniak, dowiedziałam się od pani Ali. Któregoś dnia podszedł do mnie stojącej za ladą w Dziale Technicznym i zagadnął: – Czy wiesz, kto ja jestem? Oczywiście że wiem! – odparłam rezolutnie. To był Karol Czejarek, kierownik księgarni „Klubowej” przy pl. Lotników. Nie przypuszczałam, że po niemal pięćdziesięciu latach ten krótki epizod będzie miał ciąg dalszy. W 2017 r. postanowiłam przygotować referat o księgarzu na sympozjum „Ludzie książki Pomorza Zachodniego”, które co roku organizuje Książnica Pomorska. Najpierw pomyślałam o pani Janinie, pierwszej żonie Karola Czejarka, która wówczas też pracowała w księgarni „Klubowej”. Gdy do niej zadzwoniłam, przeprosiła, że nie czuje się na siłach mi pomóc, skontaktowała mnie z byłym współpracownikiem tej księgarni – Henrykiem Malickim. Bardzo ucieszył się, że ktoś jeszcze o nim pamięta. W przytulnej kawiarni otrzymałam od niego bukiet ogrodowych kwiatów z kwitnącymi gałązkami forsycji i kilka fotografii z czasów jego młodości. Na pamiątkę naszego sympatycznego spotkania wykonałam panu Henrykowi zdjęcie. Po rozmowie, przepełnionej wspomnieniami, umówiliśmy się na następne spotkanie, lecz już do niego nie doszło. Pan Henryk chorował na serce i niedługo potem po zawale znalazł się w szpitalu, a po pewnym czasie zmarł. Bardzo przeżyłam utratę dopiero co poznanego księgarza, który, jak się później dowiedziałam, cieszył się dużym uznaniem wśród czytelników. Pomyślałam o panu Bogdanie Gustowskim, ale się nie zgodził i polecił mojej uwadze swojego przyjaciela Karola Czejarka. Nawiązałam kontakt z dr. Karolem Czejarkiem i zgodził się, abym o nim napisała. Przypomniałam sobie, że w swojej domowej bibliotece posiadam niedużą jego publikację *Anna Seghers*, zakupioną w księgarni w drugiej połowie lat 80. XX w. Pamiętając jej okładkę, szybko w gąszczu niedużych pozycji ją odszukałam i po latach ponownie przeczytałam. Dużą pomoc otrzymałam od pana Bogdana Gustowskiego, który przekazał mi wiele cennych zdjęć, materiałów dotyczących szczecińskiego księgarstwa i książek, w tym także Karola Czejarka. Przeczytałam obszerną publikację *Historia pamięcią pisana. Biografie polsko-niemieckie. Część II* pod redakcją Karola Czejarka i Tomasza G. Pszczółkowskiego oraz trylogię 08/25 Hansa Helmuta Kirsta w tłumaczeniu Jacka Frühlinga. Ten ostatni, enigmatyczny tytuł określa wzór ciężkiego karabinu maszynowego systemu Maxim, który w armii niemieckiej

dwukrotnie był unowocześniany – w roku 1908 i 1915. Hans Helmut Kirst w ten właśnie sposób pragnął podkreślić, że militarizm i szowinizm hitlerowski III Rzeszy nie były nowymi zjawiskami i stanowiły kontynuację niechlubnych tradycji czasów wilhelmowskich. Dodam jeszcze, że Kirst należy do ulubionych pisarzy niemieckich Karola Czejarka, który przetłumaczył niemal wszystkie jego dzieła na język polski. Dopiero po zapoznaniu się z dorobkiem Karola Czejarka, napisałam o nim referat¹²². Referat ten, po moim mozolnym dostosowaniu go do wymogów artykułu naukowego, został opublikowany w „Przeglądzie Zachodniopomorskim”¹²³. I w ten sposób, po latach narodziła się moja serdeczna przyjaźń z szanownym dr. Karolem Czejarkiem, a teraz już z Karolem oraz jego przemiłą żoną Magdaleną.

Wracam ponownie myślami do pracy w księgarni. Odwiedzali nas głównie pisarze szczecińscy, niektórzy z nich już niestety nie żyją: Ryszard Dżaman, Ireneusz Gwidon Kamiński, Ryszard Liskowacki, Jan Papuga, Jerzy Pachlowski i inni. Pamiętam też tak zwanych „dziwnych” klientów. Jeden niemal regularnie przychodził i od razu kierował się do Działu Społeczno-Politycznego, do wydzielonego regału z dziełami Lenina. Regał ten nie cieszył się uznaniem księgarzy, ani przychodzących do księgarni klientów. Ot był, bo musiał być. Sądziłiśmy zatem, że trafił się nam maniakalny wielbiciel Lenina. Na pytanie jednej z koleżanek: – Co pana tak fascynuje w filozofii Lenina?, odparł: – Kupuję tylko jego dzieła, gdyż są bardzo tanie, a luźne kartki wyrwane z poszczególnych tomów służą mi do zawijania zasuszonych ziarenek kwiatów.

Praca w księgarni była odpowiedzialna materialnie. Otwarty dostęp do półek sprawił, że personel musiał być czujny na nietypowe zachowania klientów. Pewnego dnia, wysoki mężczyzna w średnim wieku, w jasnym prochowcu przeglądał w Dziale Technicznym drogą, fachową książkę, dziś już nie pamiętam jej tytułu, która na końcu posiadała przyklejony załącznik z kilkunastoma złożonymi rysunkami technicznymi. Po jakimś czasie odłożył ją na półkę i szybko wyszedł. Swoim zachowaniem wzbudził we mnie niepokój. Po jego wyjściu natychmiast sprawdziłam, czy odłożona książka jest kompletna. Tak jak podejrzewałam, brakowało zawartości w załączniku. Natychmiast wybiegłam za klientem, prosząc, aby zwrócił zabrane projekty techniczne. Wypierał się, lecz

122 Maria Jaremek, *Życie niemiecko-polskie Karola Czejarka – księgarza, współorganizatora instytucji i społecznego ruchu kulturalnego na Pomorzu Zachodnim, germanisty, autora licznych publikacji*, w: „Bibliotekarz Zachodniopomorski” nr 3-4/2018, s. 20-38.

123 Maria Jaremek, *Działalność Karola Czejarka – księgarza, współorganizatora instytucji i społecznego ruchu kulturalnego na Pomorzu Zachodnim, germanisty, autora licznych publikacji*, w: *Kwartalnik Uniwersytetu Szczecińskiego „Przegląd Zachodniopomorski”*, nr 3/2019, s.107-125.

pod wpływem mojej nieustępliwości, determinacji i groźby, że zawiadomię milicję, odzyskałam całą ukradzioną zawartość.

Większość pisarzy znałam raczej z widzenia, głównie jednak ze spotkań autorskich. Miałam niejedną okazję bywać na wielu wydarzeniach kulturalnych, w tym organizowanych przez dyrekcję P.P. „Dom Książki”. W 1970 r. uczestniczyłam w jubileuszu zorganizowanym z okazji 20-lecia P.P. „DK” połączonym z wystawnym balem w Klubie Środowisk Twórczych „13 Muż”. Zaproszeni byli także przedstawiciele innych instytucji kultury. Podczas balu poznałam malarza i poetę, Macieja Klimczewskiego i jego kolegę, Michała Kalinowskiego, któremu urodził się właśnie synek. Ojciec i Maciej to radosne wydarzenie uczcili w podwójny sposób. Pod koniec balu ci dwaj przyjaciele zaprosili Jadzię Adamską, mnie i towarzyszącego mi Romana, brata Michała do pobliskiej pracowni malarza, mieszczącej się na poddaszu przy ul. Grodzkiej. Nieźle podchmielony artysta pokazał nam swoje prace i recytował swoje i inne wiersze, mówiąc, że to jego własne; trudno mi po latach sądzić, czy tak rzeczywiście było. Mieszkając na Pomorzanach, po latach spotykałam artystę wielokrotnie spacerującego z dużym psem wilczurem. Wspomniałam mu o tym spotkaniu w jego pracowni, odparł, że nic z tego nie pamięta.

Na odwrocie fotografii znajdują się podpisy poetów i pisarzy, m.in.: Tadeusza Chudego, Janusza Koniusza, Adolfa Momota, Ryszarda Dżamana



W 1980 r. w czasie trwającego Majowego Święta Książki dyrekcja P.P. „DK” oddelegowała mnie, jako opiekunkę pisarzy do Gryfic. W swoim prywatnym archiwum posiadam zdjęcie, na którym zostałam uwieczniona jako jedyna kobieta spośród męskiego grona literatów oraz przedstawicieli władz miasta Gryfic, które nas hojnie ugościły.

Do Szczecina wracaliśmy specjalnie wynajętym autobusem. Siedziała już w nim grupa literatów, którzy spotkania z czytelnikami odbyli w Trzebiatowie. Niektórzy mocno podchmieleni, głośno powitali wsiadającą naszą gryficzną grupę. To był „wesoły autobus”, jak mawiał w swoich skeczach Jerzy Ofierski. Andrzej K. Kurz, dyrektor Wydawnictwa Literackiego, chcąc nawiązać ze mną rozmowę, zwrócił się z pytaniem, czy ja wiem, kim on jest? Oczywiście że wiedziałam. Z chwiejącym się od nadmiaru wypitych podczas obiadu trunków, z trudem utrzymującym pion podczas bujającego się od czasu do czasu autobusu na nierównej drodze, nie starałam się podtrzymywać dłuższej rozmowy. Ale wśród nich byli również trzeźwi uczestnicy. Przemiły polski poeta greckiego pochodzenia, Nikos Chadzinikolau z Poznania podziękował mi za opiekę nad nimi. Z gestem prawdziwego dżentelmena wręczył czerwoną różę i wyrecytował fragment swojego wiersza.

Praca w P.P. „DK” coraz bardziej mnie pochłaniała. Świat książek był dostępny na wyciągnięcie ręki i mogłam stopniowo gromadzić swoją własną domową biblioteczkę. Brałam udział w wielkich, majowych kiermaszach odbywających się w różnych punktach miasta: w alei kwiatowej przy pl. Żołnierza, alei Armii Czerwonej, przemianowanej potem na Monte Cassino i ciągnącej się od pl. Grunwaldzkiego do Urzędu Miejskiego, a także na górnym tarasie Wałów Chrobrego. Siedzący przy naszych stoiskach pisarze podpisywali książki. Byli to głównie szczecińscy oraz zaproszeni z Polski pisarze: Alina i Czesław Centkiewiczowie, Tadeusz Chudy, Nikos Chadzikolau, Wojciech Żukrowski, Włodzimierz Sokorski i inni.

I tu jako ciekawostkę wtrącę własną dygresję o Włodzimierzu Sokorskim, piewcy realizmu socjalistycznego, ministrze kultury w latach 1952-1956. W 1986 r. wybrałam się zimą do stolicy, z dorastającą starszą córką, by uczestniczyć w warsztatach literackich, które zorganizowane zostały w Pałacu w Rozalinie koło Warszawy. Siedemdziesięcioośmioletniego wówczas Włodzimierza Sokorskiego zaproszono tam jako gościa. Wieczorem, po całodziennych warsztatowych zajęciach, odbyło się zaplanowane z nim spotkanie. W kamestralnej atmosferze toczyły się „zakrapiane” rozmowy, w których braliśmy udział tylko my, dorośli. Mieliśmy wówczas okazję posłuchać jego niezwykłych,

często ubarwianych opowieści. Okraszał je mocno pikantnymi historyjkami, przerywanymi co jakiś czas haustem czystego alkoholu. Głowę miał mocną do końca biesiady. Wtedy zapewniał nas, że we wspomnieniach wszystko odważnie opisze, bo nic mu już w tym wieku nie zrobią¹²⁴. Warsztaty poetyckie z młodymi twórcami prowadził krytyk literacki i teatralny, Tadeusz Nyczek, natomiast bardzo interesujący wykład o kreatywności osób dotkniętych autyzmem – młody socjolog, Ireneusz Krzemiński, dziś profesor, wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego.

Podczas tych warsztatów zetknęłam się też z poezją Zbigniewa Herberta, który w tym czasie przebywał za granicą. Z zapartym tchem czytaliśmy przepisane w czymś zeszyt jego konspiracyjnie wiersze, przekazując sobie ten zeszyt po kryjomu z rąk do rąk. Mocnym, muzycznym akcentem był występ Jacka Kaczmarskiego, który śpiewał utwory do słów Zbigniewa Herberta i muzyki Przemysława Gintrowskiego. Żałowałam, że wówczas nie miałam aparatu fotograficznego i nie mogłam utrwalić tamtych wydarzeń.

Gdy w 1980 r. w Polsce wybuchła „Solidarność”. Zbigniew Herbert znalazł się w centrum ruchu związanego z NSZZ i wszedł w skład redakcji wydawanego poza cenzurą pisma „Zapis”. Jego utwory ukazywały się w podziemiu. Poeta stał się wówczas w Polsce spontanicznie uznanym autorytetem moralnym. Na groźbę stanu wojennego zareagował wierszami zebranymi w *Raporcie z oblężonego miasta*, wydanym przez paryską Kulturę w 1983 r.¹²⁵

W latach 90. XX w. czytałam wiersze Zbigniewa Herberta publikowane m.in. w „Gazecie Wyborczej” i „Zeszytach Literackich”. Moja domowa biblioteka wzbogaciła się o jego *Dramaty* i przepiękne eseje *Barbarzyńca w ogrodzie*, *Labirynt nad morzem*, a także o publikację Jacka Łukasiewicza *Herbert*. Twórczość Zbigniewa Herberta – jak sam to określił – „jest stałym dialogiem pisarza z otaczającą go rzeczywistością”. Eseje *Barbarzyńca w ogrodzie*, *Labirynt nad morzem* i *Martwa natura z wędzidłem* tworzą trylogię – opowieść o „złoty wiekach” sztuki i cywilizacji europejskiej.

W latach 80. XX w. uaktywniła się księgarska młodzież. Wtedy powierzono mi społeczną funkcję sekretarza sekcji historycznej Koła Młodych Księgarzy przy Stowarzyszeniu Księgarzy Polskich Oddział w Szczecinie. Więcej o pracy

124 Włodzimierz Sokorski (1908-1999), wydał w 1987 r. książkę *Zostać sobą*, w 1991 *Wspomnienia i Romans z kulturą*.

125 Maria Dorota Pieńkowska, *Zbigniew Herbert. Epilog burzy*, LIBROS, 2001, s. 11.

w księgarstwie zawarłam w referacie wygłoszonym w Książnicy Pomorskiej¹²⁶. W Zarządzie szczecińskiego oddziału SKP działali: dyr. Ryszard Piątek, Bogdan Gustowski, kierownik Pracowni Plastycznej oraz Elżbieta Ankutowicz, szefowa Działu Reklamy. Kolejny jubileusz 30-lecia DK był okazją do podsumowania dorobku osiągnięć przedsiębiorstwa oraz pracy wyróżniających się księgarzy. O tym czytelnicy dowiedzą się w przygotowywanej przeze mnie historii szczecińskiego księgarstwa.

W 1982 r., po trzynastu latach od zdania matury, złożyłam dokumenty na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu i po zdaniu egzaminu wstępnego rozpoczęłam zaoczne pięcioletnie studia na kierunku Bibliotekoznawstwo i Informacja Naukowa. Zaczynałam, gdy trwał stan wojenny, ale z tego powodu nie odczuwałam uciążliwości ani wzmożonych kontroli. Na pamiątkę wciąż przechowuję telegram wysłany z Poznania do męża i dzieci, z przybitym stemplem „ocenzurowano”. W 1984 r. pracowałam już w Bibliotece Remedium Klubu „Remedium”, moją opiekunką z Książnicy Pomorskiej była Barbara Bartczak z Działu Instrukcyjno-Metodycznego, specjalistka od bibliotek zakładowych.

Zakres czytanej literatury poszerzał się o obowiązkowe pozycje wymagane na studiach, które czytałam nocami i rano w pociągu, jadąc do Poznania na zajęcia. Stojąc w niekończących się kolejkach pod sklepami mięsnymi, czytałam „Literaturę na Świecie”, a w niej fragmenty utworów pisarzy zagranicznych, m.in. Pétera Esterházyego¹²⁷. Posiadam w swojej bibliotece powieść *Harmonia caelestis*, w której autor opisuje Węgry oraz Europę na tle historii własnej rodziny. W publikacji nie brakuje pikantnych anegdot, także związanych z książkami czytanyymi przez samego autora. Jedną anegdotę – jak to autor, będąc na przysposobieniu politycznym dowiedział się, że regulamin zezwala na trzymanie w szafce nocnej tylko dwóch książek – pozwolę sobie przytoczyć:

(...) „babka z Majk zdecydowała, że właśnie w wojsku mam przeczytać cały wiek XIX, dlatego przysłała mi pełną serię książek Tajnej Biblioteki, ze dwadzieścia tomów Stendhala, Balzaka, Turgieniewa, Flauberta, a ja wszystkich kolejno przeczytałam, jak należy. (...) Dwadzieścia książek też można ułożyć porządnie, ale to jest niezgodne z regulaminem. Kapitan nie wierzył własnym

126 Maria Jaremek, *Szczecińscy księgarze P.P. Dom Książki*, w: „Bibliotekarz Zachodniopomorski” nr 3-4/2006, s. 46-62.

127 W 1992 roku moja córka, Monika Muszyńska napisała, pod kier. dr Jadwigi Wozaczyńskiej, pracę magisterską pod tytułem „Mecenaat artystyczny rodu Esterházych”. Będąc stypendystką Węgierskiego Ministerstwa Kultury w Budapeszcie, penetrowała ślady bytności rodziny Esterházych w Budapeszcie, Schöpron, Eisenstadt i Wiedniu.

oczom, kiedy podczas kipiszu odkrył tę małą, lecz inteligentnie zestawioną biblioteczkę robotniczą. Zaparło mu dech. Aby przetrwać chwilową niedyspozycję, złapał szafkę jak kota, jak koteczka za kark, i zaczął nią potrząsać, potrząsać, a literatura światowa zaczęła się z niej sypać i sypać, aż kapitan się wreszcie uspokoił, uspokoił go Stendhal, Balzac i Turgieniew. (...)

– Esterházy. Zapamiętajcie Sobie. To nie. Jest. Wojsko Miłośników Beletystyki”¹²⁸.

Péter Esterházy napisał tę powieść zawikłaną i pełną ironicznego humoru, będąc nieświadomym, że jego ojciec, Mátyás Esterházy trzydzieści lat współpracował z węgierskimi służbami bezpieczeństwa. Dowiedziawszy się o tym doznał szoku i w 2001 r. wątek ten rozwinął rok później w kolejnym tomie *Javított kiadás – melléklet a Harmonia caelestishez*. Po polsku *Wydanie poprawione – dodatek do Harmonii caelestis*¹²⁹. W 2008 r. napisał powieść *Niesztuka* poświęconą swojej matce. O relacji matki z synem i miłości do piłki nożnej (jej drugi syn, Márton był zawodowym piłkarzem), która w trudnych latach była dla niej ucieczką przed brutalną rzeczywistością. Książka ta została wydana w Warszawie w 2010 r. nakładem „Czytelnika” w serii *Nike*, w tłumaczeniu Elżbiety Sobolewskiej.

Pracując w latach 1984-1988 w bibliotece przy Klubie Remedium zakupiłam książkę *Imię róży* Umberto Eco, wydaną w Polsce w 1987 r., w przekładzie Adama Szymanowskiego. Autora tej kryminalnej powieści miałam okazję poznać osobiście na spotkaniu zorganizowanym w auli Uniwersytetu Warszawskiego. Było to dla mnie wyjątkowe przeżycie. Po wystąpieniu Umberto Eco, wspaniałego intelektualisty, głos kolejno zabierali słuchacze. W drugim rzędzie przede mną siedziała pani z zawiązaną w specyficzny sposób chustką na głowie. Była to Michalina Wiśłocka, autorka słynnej książki „Sztuka kochania”. Zapytała Umberto Eco, czy nie obawia się, iż w tym cywilizacyjnym skoku mass-mediów może dojść do sytuacji, że znikną tradycyjnie wydawane książki. Oczywiście otrzymała zapewnienie wybitnego intelektualisty, że do tego nie dojdzie. Tę książkę Michaliny Wiśłockiej sprzedawałam niemal pół wieku temu w księgarni, a teraz mogłam zobaczyć samą jej autorkę i przez chwilę posłuchać jej głosu.

128 Péter Esterházy, *Harmonia caelestis*, przełożyła i postowiem opatrzyła Teresa Worowska, „Czytelnik”, Warszawa 2007. Powieść ta wyróżniona została Nagrodą Pokojową Księgarzy Niemieckich oraz Literacką Nagrodą Europy Środkowej „Angelus”.

129 Péter Esterházy von Galantha (1950-2006) – węgierski pisarz, z wykształcenia matematyk. Pochodził ze starej, magnackiej rodziny. W czasach rządów komunistycznych rodzina została pozbawiona majątku. Jego dziadkiem były premier Węgier, Móric Esterházy.

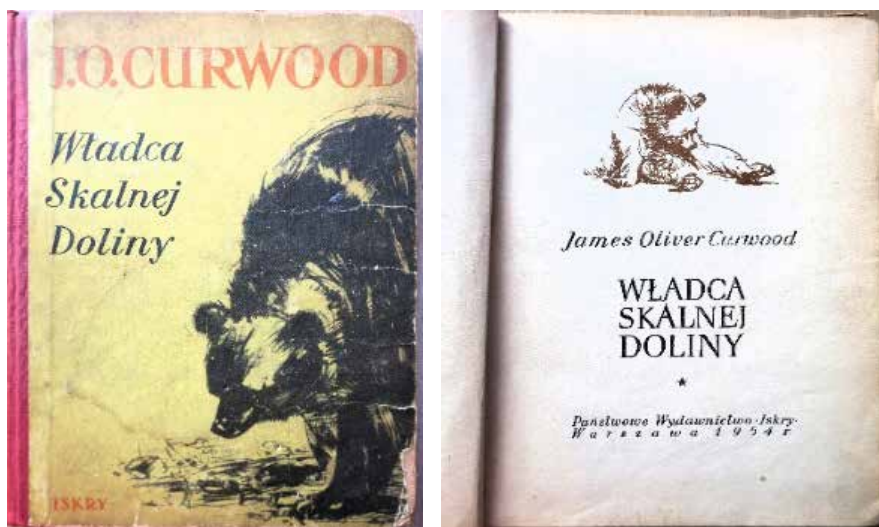
Potem w holu Umberto Eco podpisywał swoje książki. Takiego ścisku nie jestem w stanie do dziś zapomnieć. Brakowało mi tchu od napierającego za mną tłumu, i o mało co, a moja klatka piersiowa doznałaby kontuzji. Prywatny księgozbiór wzbogaciłam wtedy o trzy pozycje: *Diariusz najmniejszy*, czyli zbiór błyskotliwych felietonów pisanych dla mediolańskiego „L'Espresso”, których kolejne tomy ukazywały się w Polsce jako *Zapiski na pudełku od zapatek*; *Pięć pism moralnych*, a także niezwykle cenny dla mnie esej *Sześć przechadzek po lesie fikcji* ze względu na autograf pisarza.

Mam też obszerną powieść *Baudolino* w przekładzie Adama Szymanowskiego i publikację wydaną w serii Nike w 2008 r. *Niesztuka* w przekładzie Elżbiety Sobolewskiej. I pierwszą opublikowaną w Polsce monografię pisarza, *Umberto Eco. Semiotyka, literatura, kultura masowa*, autorstwa Petera Bondanella.

Stopniowo mój księgozbiór powiększał się o publikacje innych autorów. Obok beletrystyki kupowałam pozycje dotyczące historii, filozofii, etyki, psychologii, biografistyki, sztuki, muzyki. Przydatne były w mojej późniejszej pracy w szkolnictwie ponadpodstawowym. Także księgozbiór szkolny wzbogacałam o pozycje z tych dziedzin. W bibliotece szkolnej Zespołu Szkół Samochodowych, a potem w XIV LO wpajałam uczniom zamiłowanie do czytania i korzystania ze szkolnego księgozbioru, czasem też wypożyczałam im własne książki. Ten ostatni etap pracy stał się dla mnie inspiracją do rozwijania różnych form nauczania, w tym projektów adresowanych głównie do uczniów. Zapraszałam do szkół i instytucji kultury bardzo wielu pisarzy, poetów, dziennikarzy, historyków. Także jako nauczycielka etyki rozbudzałam w uczniach zainteresowanie literaturą, filozofią, socjologią i ciekawymi artykułami z różnych dziedzin wiedzy, po przeczytaniu których na lekcjach toczyliśmy „zażarte” dyskusje.

Z koleżanką Jadwigą Adamczewską prowadziłyśmy pozalekcyjny Klub Debat i nasi uczniowie mogli do woli deliberować na tematy współczesnego świata. Uczniowie brali też udział w międzyszkolnych debatach. Podczas Tygodnia Humanistyki organizowałam w Dniu Etyki debaty z udziałem studentów wydziału Filozofii i ich profesorów. Uczniowie chętnie startowali w Olimpiadach Filozoficznych, odnosząc sukcesy na etapie laureata.

Wiele lat temu zorganizowano w liceum zbiórkę książek dla polskich dzieci mieszkających na Litwie. Wszystkie książki z domowej biblioteki, z czasów mojej młodości i młodości moich córek pewnego dnia spakowałam do dużego kartonu i zawiozłam do liceum. Jakimś cudem zachowała się w domu tylko jedna książka z 1957 r., wydana przez Państwowe Wydawnictwo Iskry, którą



posiadam do dzisiaj. Jest to sfatygowana przez upływ czasu pozycja *Władca skalnej doliny* J.O. Courwooda. I tej pozycji już się nie pozbędę. Jest jedyną, sentymentalną pamiątką z czasów mojego dzieciństwa.

Pracując tak intensywnie, nie zaniedbywałam własnych zainteresowań literaturą. Niezapomnianym dla mnie wydarzeniem w dniu 6 lipca 1995 r. w Warszawie była uroczysta promocja tomiku *Zapomniane pocałunki*, wydanego w 50. rocznicę śmierci Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. W kościele na Nowym Świecie, duszpasterz środowisk twórczych, ks. Wiesław Niewęglowski, po kazaniu wygłosił wzruszającą laudację poświęconą poetce. W ławce kościelnej siedziałam obok niezwykle dystyngowanej osiemdziesięciu jednoletniej Pani Haliny Jasnorzewskiej-Kaduszkiewicz, siostry ostatniego męża Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Potem w tomiku wpisała mi na pamiątkę tego wydarzenia dedykację *Kochanej Marii – Halina Jasnorzewska-Kaduszkiewicz*.

Dzieliłam się swoją wiedzą nie tylko z uczniami. 14 maja 2009 r., w Jednostce Wojskowej 2901 w Podjuchach zaprezentowałam swoją wystawę „Spotkania z literatami”. Wystawę połączyłam z wykładem o pisarzach i literaturze wygłoszonym dla tamtejszych, młodych żołnierzy. Z przykrością stwierdziłam, że żołnierze posiadali niewielką wiedzę o literaturze.

Pół wieku – bez jednego roku – spędziłam w pracy: siedemnaście lat w księgarstwie, cztery lata w niedużej bibliotece przy Klubie Remedium i dwadzieścia osiem w szkolnictwie średnim.

Nie myślałam, że przyjdzie taki moment, iż nie będę mogła już cieszyć się takim tempem, jaki dotąd sobie narzuciłam, robić to, co było moim sensem życia.

Miałam przed sobą perspektywę zbliżającej się emerytury. Moje zdrowie zaczynało powoli szwankować, myślałam o tej chwili z rozterką w sercu. To przecież oznaczałoby wypadnięcie z pędzącego pociągu wiozącego mnie wciąż w nieznaną. Nie potrafiłam wyobrazić sobie bezczynnego siedzenia w domu. Była też obawa, czy wypracowana emerytura pozwoli na realizację zadań, które pozostawały jeszcze w sferze moich marzeń? Czy będę mogła kontynuować swoje zagraniczne wojaże? Czy będzie mnie stać na kupowanie niestety coraz droższych książek, czy pójście na koncert do filharmonii oraz do opery?

Tak wiele pytań, a ja nie umiałam sobie na nie odpowiedzieć. Żyjąc intensywnie, zapędzona w wirze obowiązków domowych i zawodowych nie zauważałam, kiedy wydorosłały moje córki. Po przejściu w 2007 r. na emeryturę skończył się dla mnie pewien rozdział życia, choć nie całkiem. Po trzech latach odpoczynku, pewnego dnia zadzwoniła dyrektorka szkoły, proponując mi prowadzenie lekcji etyki, w niepełnym wymiarze godzin, które kontynuowałam aż do 2018 r.

Teraz jako emerytka, zwolniłam tempo, do minimum ograniczyłam podróże, ale nie zaprzestałam czytać. Nie zrezygnowałam też z realizacji własnych projektów. Mam więcej wolnego czasu na spotkania z przyjaciółmi i zawieranie nowych znajomości, także świat muzyki stał się dla mnie bardziej dostępny i dostarczający wielu wrażeń duchowych. Ktoś kiedyś powiedział „to czego nie można wyrazić słowami, dopowie muzyka”.

Od 2007 r. należę do Dyskusyjnego Klubu Książki przy Książnicy Pomorskiej, gdzie co miesiąc dyskutujemy nad przeczytaną książką. Wachlarz tej literatury jest wszechstronny, nie ograniczający się tylko do powieści. Dużo też czytam książek z różnych dziedzin wiedzy, w tym: poezję, powieści, opracowania historyczne oraz biograficzne znanych twórców.

Szczególne miejsce w mojej, domowej bibliotece zajmują liczne książki opatrzone dedykacjami oraz autografami nieżyjących już dziś poetów i pisarzy: Henryka Banasiewicza, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Tadeusza Chudego, Barbary Skargi, Heleny Raszki, Zbigniewa Jeżyny, Ryszarda Kapuścińskiego, Leszka Kołakowskiego, Jerzego Koperskiego, Zygmunta Kubiaka, Camilli Mondral, Sławomira Mrożka, prałata ks. Zdzisława Peszkowskiego, ks. Jana Twardowskiego, Stanisława Wit-Wilińskiego oraz wielu innych, poznanych w Szczecinie i Warszawie. Dla mnie ten zbiór specjalny pozostanie już ze mną na zawsze.

Po śmierci Jerzego Koperskiego, w 2013 r., prezesa Spółdzielni Wydawniczej Anagram, utrzymuję znajomość z jego córką, Magdaleną, kontynuatorką Anagramu. Monografię pt. *Relacje: Warszawa – Zielona Góra, Gdańsk; Jerzy Leszin-Koperski – Andrzej K. Waśkiewicz. Korespondencja, autobiografia, dzieła* przygotował do druku, opracował oraz opatrzył komentarzami Piotr Smoliński, pochodzący z Kartuz, ówczesny doktorant Wydziału Filologii Uniwersytetu Gdańskiego. Uroczysta promocja tej publikacji, na której byłam obecna, odbyła się w Gdańsku 11 maja 2018 r. w Ratuszu Staromiejskim przy ul. Korzennej 33/35.

Cenię sobie wieloletnie przyjaźnie z autorkami z USA – z pisarką, Aleksandrą Ziółkowską-Boehm, popularyzatorką twórczości Melchiora Wańkowicza i poetką, Anną Frajlich-Zajac. Także cenię przyjaźnie z polskimi twórcami, m.in. z krakowską poetką, Ewą Lipską i nawiązane kontakty z wieloma twórcami, w tym laureatką Nagrody Nobla, Olgą Tokarczuk, dziennikarzem i reportażystą, Mariuszem Szczygłem.

Reasumując, swój długi wywód zakończę słowami: w końcu muszę dokonać nieuchronnej, „bolesnej” selekcji w swojej, domowej bibliotece. Nie lubię rozstawać się z moimi książkami, ale jest ich tak dużo, że nie ma już dla nich miejsca. Część z nich na pewno przekażę w darze do Książnicy Pomorskiej, a część na pożyteczną akcję „książka za złotówkę”, tam znajdą kolejnego czytelnika.

18 lipca 2024 r.

Aneta Gawriłow

O ulotności chwil, słów i materii

Napisałam w „Historii modyfikacji”, że jest wielką odpowiedzialnością zastawienie po sobie słów w określonym porządku. Interlinii także, bo one choć nie wprost, to jednak znacząco wpływają na odbiór tekstu, porządkują myśl, pozwalają wybrzmieć nienapisanemu.

Przywołuję tamte słowa, gdy myślę o odbiorcach mojego ostatniego tomu wierszy pt. „Lotna substancja”, który do rąk Czytelników trafił w październiku 2023 roku. Od tamtej chwili zamieszczone w nim wiersze przestały być tylko moje, stały się wspólne w przestrzeni znających je ludzi, a wspólnota ta paradoksalnie opiera się na różnorodności i różnicach w odbiorze i doświadczeniu tekstów. Teraz wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za moje słowa, ich porządek, wydźwięk i interpretację. Wszyscy uczestniczymy w ulotności chwili, słów i materii, spotykając się na moment na stronach tomu, emocjach, krzyżując westchnienia nad przeżyciem podobnym w skojarzeniu, myśli, pamięci, tęsknocie...

Z wielką pokorą podchodzę do wszelkich recenzji, not krytycznych i opinii dotyczących mojej twórczości. To wciąż wysokie buty i krok w nich niepewny, ale ich przyjęcie poczytuję za część aktu odwagi, jakim jest dzielenie się wierszem, posyłanie go w świat, którego przecież nie znam. Wracają do mnie te teksty ze śladami ludzkich łez, niektóre wyściskane, inne noszone w kieszeniach i czytane w miejscach osobnych, nad niektórymi wciąż pobrzmiwają zapewnienia „Mam tak samo!”. Tom z gruntu osobisty wywołał wiele emocjonalnych reakcji i stał się inspiracją do głębokich rozmów, o których mam pewność, że nie miałyby miejsca, gdyby nie most porozumienia przerzucony wierszem. Podmiot liryczny zaprosił do dyskusji o poezji, ulotnych wrażeniach po jej przeczytaniu, dodał odwagi w ocenach, mądrości argumentowaniu, szczerości wypowiedziom, której tak bardzo oczekiwałam. To była ta zaskakująca strona publikacji „Lotnej substancji” – nie spodziewałam się aż tak zaangażowanego przyjęcia wśród znajomych mi czytelników i takiej chęci dania temu wyrazu.

Wiedziałam, że seria:akcent, której częścią stała się moja książka, rozpoczyna się wstępem pióra poetki, Róży Czerniawskiej-Karcz – pomysłodawczyni serii, redaktorki, opiekunki, dobrego ducha kolejnych tytułów. Byłam ogromnie ciekawa, co napisze, czy przychylnie, na co zwróci uwagę, czy znajdzie powody do rekomendacji, czy poczuje się dobrze w progach moich tekstów... Jej obszerna analiza, życzliwe i troskliwe pochylenie się nad wszelkimi aspektami wierszy, dostrzeżenie i nazwanie tego, co często wymyka się obserwacjom uzmysłowiło mi, że wkroczyłam do świata, któremu do tej pory przyglądałam się z drugiej strony. W świecie tym także ja nazywana jestem poetką, autorką, a moje teksty poddawane analizie i interpretacji, co do tej pory zarezerwowane było dla innych twórców.

„Lotną substancję” zrecenzował również Robert Rudiak – poeta, prozaik, krytyk literacki. W tekście pt. „Ulotność chwil, słów i materii” wnikliwie

przyjrzał się doborowi tematów w opublikowanych 107 utworach, charakterystycznym motywom, słowom – kluczom, kładzionym akcentom, związkom poetyckiego oglądu świata z zamieszczonymi w tomie fotografiami. I podobnie jak Róża Czerniawska – Karcz, uczynił to z wielką klasą, wyczuciem, szacunkiem do zbioru wierszy i ich autorki. Oba te spojrzenia są dla mnie niezwykle cenne. W symboliczny sposób uświadamiają, że „żarty się skończyły” i nie jest to już tylko literacka zabawa. Treści włożone w usta podmiotu lirycznego mają realną moc, przekaz może dotyczyć czułych miejsc prawdziwych, niewyimaginowanych czytelników, zdolny jest kogoś wzruszyć, rozbawić albo postawić w kontrze. Mogą też stać się przedmiotem analiz, badań formy i treści, szukania i znajdowania ulubionych lejtmotywów, oceny stylu i oryginalności, wydobywania i wyjaśniania sensów.

I tu otwiera się miejsce na pytanie o przywołaną na samym początku odpowiedzialność, a także o moje miejsce w odbiorze przez innych czytelników wierszy „Lotnej substancji”. Gdzie jest i czy w ogóle jest granica ingerencji twórcy w odbiór jego dzieła? Czy ma prawo do „poprawiania” interpretacji, dopowiadania treści, tłumaczenia zrozumianego inaczej, naprowadzania, podpowiadania itp.? Odpowiedź wydaje się oczywista – oddane w ręce czytelnika słowa dopiero wtedy stają się pełne, gdy przefiltrują się przez sito jego wrażliwości, nasączą znaczeniami jemu zrozumiałymi, odbiją się od jego doświadczeń. Tropienie różnic w nadaniu i odbiorze byłoby odbieraniem czytelnikowi prawa do rozumienia i odczuwania po swojemu, do autonomiczności jego przeżycia literackiego, byłoby drukowaniem tego, „co poeta miał na myśli”. Piękna poezji upatruję między innymi w tym, że może wyzwalać rozmaite przeżycia, prowadzić do odmiennych refleksji nie tylko u różnych odbiorców, ale nawet u tego samego, na co wpłynie czas, nastrój, doświadczenie i mnóstwo innych czynników. Wydaje się być zatem wiersz kalejdoskopem włożonym w ręce czytelnika i nie ma wielkiego znaczenia suma dosłownych znaczeń, bo jeden ruch ręką, jedno westchnienie, jedno spojrzenie na zamgloną przed wieczorem łąkę może poruszyć serce i myśl, a wtedy to już całkiem inny wiersz, całkiem inny świat...

Z wielką uwagą czytam i słucham tego, co na temat utworów zawartych w „Lotnej substancji” mają do powiedzenia ci, którzy je przeczytali, uśmiecham się, gdy znajduję nowe odczytania, uśmiecham się też, gdy są one zgodne z moją intencją. Cieszę się, że po prostu żyją swoim życiem.

Jak wspominam szczecińskich pisarzy?

Oczywiście jak najlepiej, gdyż pracując w Szczecinie – jako księgarz – służyłem im, pomagając w sprzedaży i upowszechnianiu ich twórczości. W wielu wypadkach także przyjaźniłem się z nimi! Bardzo dużo z tych kontaktów pozostało do dzisiaj żywymi, mimo że od 1973 roku mieszkam Warszawie.

Jednak swoje wspomnienie zacznę od podziękowania redaktorowi naczelnemu „Pryzmatu Literackiego” za zaproszenie mnie do napisania tego eseju i od gratulacji dla Niego za systematyczne wydawanie tego cennego „almanachu”, jakim jest „Pryzmat”! To publikacja świadcząca o żywotności szczecińskiego środowiska literackiego.

Wartością (i ambicją) „Pryzmatu” jest bieżące informowanie czytelników o dorobku i znaczeniu szczecińskiego środowiska literackiego w skali ogólnokrajowej i międzynarodowej – WSZĘDZIE TAM, GDZIE PISMO DOCIERA. W każdym swoim numerze informuje też o udziale „szczecińskiej” kultury (nie tylko tej literackiej) w skali ogólnonarodowej, której Szczecin i Ziemia Szczecińska są jej ważną kulturalną i gospodarczą częścią. Europa i świat mało wie o Polsce, zwłaszcza o tej powojennej, kiedy POLSKOŚĆ na Ziemiach Odzyskanych (w tym i na ZIEMI SZCZECIŃSKIEJ) trzeba było po wiekach odbudowywać na nowo i w duchu przekonania, że Polska na tych ziemiach już była i po 1945 r. słusznie do Macierzy powróciła. I pozostanie tu już na ZAWSZE.

Chylę czoła przed WSZYSTKIMI, którzy przyczynili się do tego, że TU POLSKA się nie kończy, a ZACZYNA! I że sam Szczecin stał się prężnym miastem o wciąż rozwijających się tradycjach kulturalnych i o wielkim znaczeniu gospodarczym, a razem ze Świnoujściem tworzy zespół portowy o światowej, nie tylko europejskiej randze! Do tego wspaniałego rozwoju przyczynili się także „SZCZECIŃSCY PISARZE”! Podkreślmy: „SZCZECIŃSCY PISARZE”, tacy jak m.in.: Józef Bursewicz, Czesław Czerniawski, Jolanta Frydrykiewicz, Ireneusz Gwidon Kamiński, Janusz Krzymiński, Joanna Kulmowa, Ryszard Liskowacki, Wiesław Rogowski, Adolf Momot, Jerzy Jan Pachlowski, Jan Papuga, Eliaz Rajzman, Helena Raszka, Czesław Schabowski, Bronisław Słomka, Katarzyna

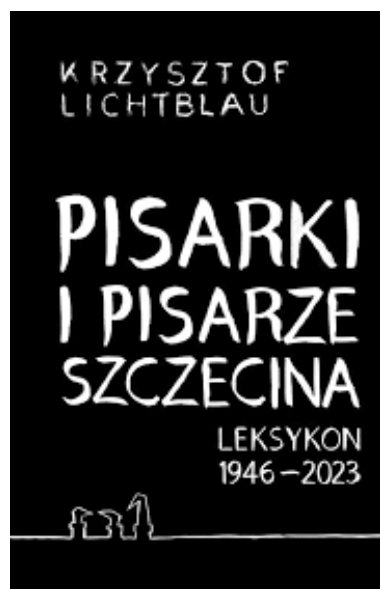
Suchodolska, Ireneusz Krzysztof Szmidt, Stanisław Telega, Stanisław Wit Wi-
liński i... jeszcze wielu INNYCH! Stanisław Maria Saliński i Stefan Flukowski,
wprawdzie nie byli wprost szczecinianami, ale chcieli się w Szczecinie – kiedy
w nim pracowałem – osiedlić. Przez jakiś czas „szczecinianami” byli także Je-
rzy Andrzejewski i Konstanty Ildefons Gałczyński (pozostał po Nim „Klub 13
Muz”, w którym ten WIELKI POETA lubił przebywać i... na serwetkach pisać
swe wiersze).

W swoim „życiu księgarskim”, a potem gdy pełniłem funkcję dyr. dep. Książki
i Bibliotek MKiS miałem wielki zaszczyt poznać też, m.in.: Artura Międzyrzec-
kiego, Wojciecha Żukrowskiego, Jerzego Putramenta, Jana Dobraczyńskiego,
Jana Józefa Szczepańskiego, Romana Bratnego, Władysława Machejka, Wil-
helma Szewczyka, Michała Rusinka, Andrzeja Kuśniewicza, Jana Koprowskie-
go, jak i krytyków – Artura Sandauera, czy poetów – Krzysztofa Gąsiorowskie-
go i Bohdana Drozdowskiego.

Byłem z Nimi zaprzyjaźniony, a ze szczecinianami szczególnie, głównie
przez to, że przed laty byli moimi „stałymi” klientami w nieistniejącej już dziś
księgarni „Klubowa” przy Placu Lotników (choć na pieczętce był adres: ul. Jed-
ności Narodowej 5), w której pracę zacząłem zaraz po maturze, we wrześniu
1956 roku – jako praktykant księgarski, a skończyłem jako jej kierownik. Po-
tem – po wyborze mnie na II Sejmiku Miłośników Ziemi Szczecińskiej – obją-
łem funkcję sekretarza i dyr. Biura Szczecińskiego Towarzystwa Kultury, skąd
awansowałem na dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki Prezydium ówczesnej
Wojewódzkiej Rady Narodowej.

Były to czasy, kiedy moimi poprzednikami
i „nauczycielami” byli m.in.:

– w księgarni – wspaniały Henryk Malicki,
od którego uczyłem się zawodu księgarza!



„Pisarki i pisarze Szczecina. Leksykon 1946-2023”
(K. Lichtblau, 2024)

(pozostanie mi bliskim człowiekiem do końca życia – choć nigdy nie byliśmy „po imieniu”);

- w STK przejąłem „pałeczkę” po niezwykłym człowieku, działaczu, twórcy Książnicy Pomorskiej, współinicjatorze Encyklopedii Szczecina i wielu innych ważnych przedsięwzięć kulturalnych dla miasta i województwa – Stanisławie Krzywickim. Wcześniej pomógł mi w „Klubowej” założyć Szczeciński Klub Bibliofilów jako oddziału STK (gdyż ówczesne przepisy nie pozwalały inaczej). Po latach – choć Staszka już nie ma tym świecie – jeszcze raz dziękuję Mu za to i składam hołd za Jego niezwykłą aktywność i dokonania;
- w wojewódzkim Wydziale Kultury PWRN przejąłem „pałeczkę” od znakomitego, ówczesnego działacza społeczno-politycznego, red. Władysława Daniszewskiego, który z ówczesnym sekretarzem KW, Henrykiem Huberem i wojewodą Marianem Łempickim pozwalali mi działać, aby kultura w całym województwie rozwijała się „nie w cieniu, a w blasku Szczecina”! Byli Oni członkami prezydium zarządu STK, a wojewoda Marian Łempicki – nawet jego przewodniczącym.

No i miałem rodziców – patriotów, którzy „dla Polski” powrócili do kraju z Berlina. A w szkole średniej – moim polonistą i „nauczycielem polskości” – był PRZEWSPIANIĄŁY prof. Erazm Kuźma (jeden z późniejszych prezesów szczecińskiego oddziału ZLP). To ONI nauczyli mnie, jak kochać Polskę: „jak rodzoną matkę”, o której – jak głosiła jedna z 5 Prawd Polaków w Niemczech – „nigdy nie wolno mówić źle”!

TO, co służyło umacnianiu POLSKOŚCI na Pomorzu Zachodnim, stało się w moim życiu zawodowym swego rodzaju obsesją i misją. Próbowałem objąć troską wszystko, co dotyczyło kultury, zwłaszcza odbudowy Zamku Książąt Pomorskich (jako symbolu mitu słowiańskiego na Pomorzu), dbania o środowiska twórcze (pisarzy, artystów plastyków, muzyków, aktorów), o rozwój zawodowych instytucji kulturalnych – teatrów, muzealnictwa, szkolnictwa artystycznego, domów kultury i bibliotek. Tę POLSKOŚĆ umacniali także wyżej wspomniani pisarze, którego to środowiska sam obecnie jestem częścią, jako członek ZLP.

Co udało mi się wtedy zrobić dla środowiska pisarskiego, rozwoju księgarstwa i bibliotekarstwa – inspirowany do tego nieustannie przez twórców i działaczy skupionych w Klubie Bibliofilów i „władzach” STK (jego prezydium,

Radzie, działających sekcjach: wiedzy o regionie, studenckiego ruchu regionalnego, imprez artystycznych i festiwali), dla których najwyższą władzą (oczywiście społeczną) były odbywające co 2-3 lata Sejmiki Miłośników Ziemi Szczecińskiej. Spróbuję to przedstawić w punktach, a więc:

– W księgarni „Klubowa” i w innych („Zamkowej”, „Książki międzynarodowej”, „Współczesnej” itd.) organizowana była przeogromna liczba spotkań autorskich, przede wszystkim szczecińskich pisarzy, ale uczestniczyli w nich też, m.in.: Wańkiewicz, Sztaudyngier, Kołakowski, Maja Berezowska, prof. Klemensiewicz i „moi” profesorowie UAM w Poznaniu: Jan Chodera, Stefan Kubica i Andrzej Bzdęga, a nawet rektor i prorektor UAM – w słynnym spotkaniu w „Klubowej” – w sprawie rozwoju szczecińskiego środowiska naukowego itd., itp. W „Klubowej” odbywały się też koncerty i w sposób ciągły wystawy (wewnątrz księgarni i w jej oknach wystawowych, których „Klubowa” miała wiele), a których niezrównanym autorem był zatrudniony w dyrekcji „Domu Książki” art. plastyk – Bogdan Gustowski! (przy okazji raz jeszcze serdecznie dziękuję Mu za kilkuletnią, owocną w wydarzenia kulturalne, nie tylko księgarskie – współpracę!). W „Klubowej” stale też można było spotkać „dyżurującego” w niej pisarza (którego akurat odbywała się wystawa i sprzedawano książkę). Zawsze robili to społecznie, bez żadnego dodatkowego honorarium!

– Przy okazji spotkań z autorami, rodziły się dalsze pomysły, które były systematycznie wdrażane, a dotyczyły m.in.: współpracy środowiska literackiego z bibliotekami, zakładami pracy, szkołami; organizowania w powiatach całego województwa (nie tylko w Szczecinie) „Dni szczecińskiej książki”; organizowania kiermaszy książkowych z najprzeróżniejszych okazji, jak np. Majowych Dni Książki i Prasy, wrześnieowych inauguracyj kolejnych „lat kulturalnych” (każdego roku w innym powiecie). Kiermasze Książek organizowano też z innych okazji, jak np.: „Dni Morza”, święta państwowe, Dni Teatru itp.

Okazją do szerokiego kontaktu „z książką” (a więc z pisarzami) były też organizowane kiermasze i spotkania, m.in. z okazji Zjazdów Pisarzy Ziemi Zachodnich i Północnych, Festiwalu Krótkometrażowych Filmów Polskich, Kongresu Kultury Morskiej, świnoujskiej FAMY, Kamieńskiego Festiwalu Muzyki Organowej, Szczecińskiego Festiwalu Współczesnego Malarstwa Polskiego, Festiwalu Pieśni Chóralnej w Międzyzdrojach.

Ponadto miałem osobiście kontakt z kierownictwem Pomorskiej Akademii Medycznej („Klubowa” była też księgarnią medyczną) oraz ze szkołami muzycznymi (gdyż wtedy jako jedyna w województwie, sprzedawała również

Okładka książki „Pisarze Pomorza Zachodniego” (1967)

nuty i wydawnictwa muzyczne), ustalając zamówienia na nowości w porozumieniu z tymi instytucjami, a przede wszystkim z Wojewódzką Biblioteką Publiczną, która w tamtych czasach koordynowała „zakupy” do bibliotek powiatowych, a te z kolei doradzały w tym względzie bibliotekom w mniejszych miastach, oraz gminnym i wiejskim.

Wspominam o tym między innymi dlatego, aby to co było w przeszłości cenne i pożyteczne – kontynuowano i dziś, traktując je jako akcje rozwijające czytelnictwo i kult dla „potęgi literatury” w kształtowaniu wiedzy, osobowości i wspierające nowe, polskie tradycje regionalne na Pomorzu Zachodnim; a przede wszystkim powodowały też nieustanną modernizację sieci bibliotek i tworzenie nowych bibliotek i punktów księgarskich – nawet w najmniejszej miejscowości, miasteczku czy wsi!

Przejdę teraz do twórczości wymienionych przeze mnie wcześniej pisarzy, których twórczość stanowiła wtedy i nadal stanowi ARCYWAŻNY element wiedzy o regionie, kształtowania patriotyzmu lokalnego, dobrego wychowania i wiedzy ogólnej.

Warto na pewno wznówić książkę (rozszerzając jej treść o aktualny dorobek środowiska) Erazma Kuźmy i Marii Kowalewskiej „Pisarze Pomorza Zachodniego”, a przy okazji pomyśleć o serii wydawniczej „SZCZECIŃSCY PISARZE” (w jednolitej szacie graficznej i oprawie, ze stosownymi „wstępami” i „postłowiami”). Powinny się w niej znaleźć takie pozycje (podzielone np. na lata 1945–1970; 1971–1989 i po roku 1999), jak m.in.: wybór poezji Józefa Bursewicza, powieść Czesława Czerniawskiego „Wielki rejs”, tomik poetycki



Jolanty Frydrykiewicz „Twój okręt”, powieści Ireneusza Gwidona Kamińskiego „Mściciel przypląwa z Rugii” i „Czerwony Sokół”, a ponadto: Janusza Krzymińskiego „Smak moreli”, Joanny Kulmowej (jednotomowy wybór jej twórczości), Ryszarda Liskowackiego „Po tamtej stronie życia” i „Dzień siódmy i znowu pierwszy”, a także „Powrót do piekła”, Wiesława Rogowskiego „Awaria”, Adolfa Momota „Twarze” i „Korzenie”, Jerzego Jana Pachlowskiego „Delfiny idą pod wiatr”, Jana Papugi „Najpiękniejszy rejs” oraz „Guadalajara, Guadalajara”! A z najnowszych pozycji – wybór najlepszych książek Zbigniewa Kosiorowskiego, a wśród nich na pewno „Zapodziani” i „Kamień podróży” oraz Jana Chruślińskiego „Wygrać z samym sobą”.

Zbigniew Kosiorowski to prozaik, który jest też autorem wielu znakomitych reportaży radiowych i słuchowisk (w latach 1990–2006 był prezesem i red. nac. Polskiego Radia Szczecin), zaś książka Jana Chruślińskiego – to fascynująca opowieść o szczecińskim kolarstwie, kiedy było ono potęgą w Polsce, dość przypomnieć nazwiska: Drązkowskiego, Zielińskiego, Pruskiego, Bednarka, Zająca, Matusiaka, Polewiaka, Mąkowskiego i Hałuszczaka (pięciokrotnego mistrza Polski w wyścigach za motorami na torze – dziś tor nosi im. Zbyszka Zająca).

Jan Chruśliński to także autor wielu innych bardzo interesujących powieści, jak m.in. „Życie wpisane w historię” czy „Starość zaczęła się wczoraj...”. To pisarz, który po ukończeniu w Szczecinie Technikum Drogowego, pracował przez wiele lat w Łobzie, nim przeniósł się na Ziemię Kielecką. Na tym przerwy swoją wyliczankę, chcąc jeszcze coś napisać o pisarzach już wymienionych i o proponowanej serii wydawniczej „Szczecińscy pisarze”.

Moja miłość do literatury wzięła się między innymi z tego, że chodząc jeszcze do szkoły, spotkałem na swej drodze życiowej prof. Erazma Kuźmę, który w ramach lekcji wychowawczych (w Liceum Męskim – „Pobożniaku”) omawiał z nami na bieżąco twórczość ukazujących się wtedy książek właśnie szczecińskich pisarzy. Czytał nam wybrane fragmenty ich utworów, a potem polecał z autorami robić wywiady, które były następnie prezentowane w klasie (taka forma mogłaby być dalej wykorzystywana) i oczywiście oceniane.

To, czego nam (mam na myśli STK-owców) się nie udało, to regularne wydawanie pisma społeczno-kulturalnego, dokumentującego „twórczość i dokonania kulturalne” nie tylko regionu Pomorza Zachodniego. Wystarczyłby na początek rocznik, półrocznik, względnie kwartalnik, jak ongiś pismo „Spojrzenia”, którego ukazało się tylko kilka numerów. Ale „Spojrzenia” te były widocznie za

ostre dla ówczesnej cenzury, więc pismo w związku z tym długo się nie utrzymało. Zastąpiła je „Vinetta” – rocznik, który powstał dzięki zaangażowaniu kilku śmiałków (oprócz oczywiście Erazma Kuźmy, Ireneusza Gwidona Kamińskiego i piszącego te słowa) – Jerzego Mazurczyka, Adolfa Momota, Ireneusza Krzysztofa Schmidta i Piotra Zielińskiego, członków Kolegium Redakcyjnego.

Wiele inspiracji zawdzięczam – oprócz profesora Kuźmy – pisarzom Ryszardowi Liskowackiemu i Wiesławowi Rogowskiemu, dziennikarzowi Władysławowi Daniszewskiemu i historykom: Wojciechowi Myślenickiemu, Henrykowi Lesińskiemu, Bogdanowi Dopierale i takim działaczom STK, jak m.in.: Hanna Skinder, Roman Łyczywek, Zenon Zaniewicki i Henryk Mąka, jak i późniejszemu red. nac. Szczecińskiego Wydawnictwa „Glob” – Zbigniewowi Kosiorowskiemu.

Nie zapomnę też NIGDY wkładu w rozwój działań STK: Stanisławowi Bandoniowi, Stanisławowi Piekłakowi, Józefowi Matuszewskiemu, Kazimierzowi Kozłowskiemu, Kazimierzowi Sztajnertowi, Janowi Szyrockiemu, Zbigniewowi Pawlickiemu, Barbarze Tkaczyk, Krystynie Łyczywek, Edwardowi Rymarowi i Antoniemu Żalowi oraz Stanisławowi Pobosze (i jego następcom), jak również: Zbigniewowi Turkiewiczowi, Tadeuszowi Możejce, Stanisławowi Skarbińskiemu i jeszcze wielu innym, wspaniałym twórcom m.in. idei festiwalowych w Szczecińskim, jak: FAMY w Świnoujściu, Chórów w Międzyzdrojach, Muzyki Organowej w Kamieniu Pomorskim, Polskiego Malarstwa Współczesnego i Małych Form Teatralnych oraz Krótkometrażowych Filmów Morskich w Szczecinie. WSZYSTKIM, którzy się do tego przyczynili, składam niniejszym swój głęboki hołd! A wracając „do literatury”, wliczam do tej plejady osób szczególnie zasłużonych także osoby, których nazwisk nie wymieniłem na początku, czyli środowisko pisarskie, które swoją twórczością udokumentowało zmiany, jakie dokonały się na Ziemi Szczecińskiej. Byli wśród nich też ci, którzy zainicjowali i patronowali szczecińskiemu konkursowi „Dzieje Szczecińskich Rodzin w XX wieku” i przyczynili się do powstania UNIWERSYTETU SZCZECIŃSKIEGO! Trzeba o tym przypominać, chwalić się i po prostu dalej rozwijać. Niech to będzie istotny wkład w rozwój powojennej kultury polskiej – od 1945r. do dzisiaj!

I nie dzielimy dziś minione lata na LEPSZE I GORSZE, a wspominajmy dokonania, które zmieniły oblicze Pomorza Zachodniego. Wysiłek tych, którzy się do tego przyczynili powinien być szanowany, bo dorobek szczecińskiego środowiska literackiego jest nie do przecenienia! Pochwalmy więc:

- Józefa Bursewicza za „Dom nad Odrą”, „Almanach poeci Pomorscy”, za Grupę Poetycką „Metafora”. Za to, że wspierał moje działania w „Klubowej”. Przesiadywał w księgarni godzinami, snując plany rozwoju miejscowego środowiska literackiego. Marzył o stałej siedzibie na plenery literackie (stał się nim wkrótce Barlinek) i o domach pracy twórczej (powstały m.in. w Płotach i Kamieniu Pomorskim). Bursewicz był bardzo ciepłym człowiekiem, który wtajemniczył mnie w wiele tajników środowiska, zachęcając, abym częściej przychodził do „13 Muz” i posłuchał tam, czego tak naprawdę potrzebują pisarze – wolności twórczej i wydawnictwa, które będzie SZCZECIŃSKIE. Powstało takie, choć wiele lat później i nazywało się „Glob”! A wcześniej służyło nam w tym względzie „Wydawnictwo Poznańskie” (za co niezmiennie wdzięczny będę jego dyrektorowi, p. Ziolkowi! To on ten postulat WCIELIŁ W ŻYCIE).
- Czesława Czerniawskiego – też był „szczecińskim” WILNIAKIEM! Nim na dobre osiadł w Szczecinie, mieszkał i pracował w Bydgoszczy i Gdańsku. Był nie tylko pisarzem, ale i znakomitym radiowcem. Zaimponował mi cyklem opowieści o małych miasteczkach i ludziach, którzy przyjechali na Ziemię Szczecińską (choć tego nie chcieli, ale jakże szybko pokochali swoją nową ojczyznę). Nigdy Czesławie naszych rozmów o patriotyzmie nie zapomnę!
- Jolantę Frydrykiewicz – gdy wchodziła do księgarni, jakiś „czar” delikatności i „poetyckiego uniesienia” unosił się za nią. W tamtych latach (mimo że urodziła się w Warszawie) była oddaną bez reszty Szczecinowi i Ziemi Szczecińskiej patriotką. Publikowała w szczecińskiej prasie (i w radiu) swoje wiersze i opowiadania, a my, wielbiciel Jej talentu z nadzieją czekaliśmy, mając w pamięci jej udany debiut (to był tomik poetycki pt. „Twój okręt”) na dalsze publikacje.
- Janusza Krzymińskiego. W Szczecinie zamieszkał od 1947 r. i był z tego powodu niezmiernie dumny. Każda rozmowa z Nim zaczynała się od tego faktu. Był aktywnym członkiem grupy literackiej „Metafora” (w której prym wodził Józef Bursewicz), ale On nie chciał w tej „grupie” być członkiem tylko z nazwy, czego dowodem jego „Smak moreli”, który był jedną z pierwszych publikacji, poczytnej ongiś w Szczecinie serii „Szczecińskiej Biblioteczki Debiutów”, wydawanej z inicjatywy szczecińskiego środowiska literackiego przez „Wydawnictwo Poznańskie”. To, co chciałbym szczególnie przy Januszu Krzymińskim podkreślić: był znakomitym filmowcem

i scenarzystą. Mnie np. do dzisiaj pozostał w pamięci jego film „Trzebież”, a także film o popularnym swego czasu w Szczecinie Studenckim Teatrze Pantomimy; był czas, kiedy teatr ten robił (jak Chór Akademicki Politechniki Szczecińskiej) karierę ogólnopolską, a nawet międzynarodową (czego byłem świadkiem, będąc z nimi na festiwalu w Helsinkach, a z chórem PS w USA).

- Joannę Kulmową. Gdy Ją poznałem, mieszkała z mężem w Puszczy Goleńniowskiej, a gdy bywała w Szczecinie (w tym zawsze w „Klubowej”) było to... „prawdziwe święto (!), taki otaczał ją kult. Po części także legenda opozycjonistki (choć do końca nie wiem, czy rzeczywiście taką była). Ja tylko pamiętam, że znakomicie sprzedawało się jej „Fatum na zakręcie”, „Wio, Leokadio” i inne książki i książeczki. Cieszyliśmy się wtedy wszyscy, że mamy TAKĄ LITERATKĘ w Szczecinie! Choć była nie tylko „literatką”, ale i tłumaczem literackim i autorką szeregu opracowań teatralnych i radiowych! Jej wiersze ukazywały się nie tylko w naszej prasie lokalnej, ale też w: „Kulturze”, „Życiu Literackim”, „Szpilkach”. Popularnych i poczytnych w tamtym czasie pismach ogólnopolskich.
- Ryszarda Liskowackiego – był (obok Wiesława Rogowskiego) moim szczególnie ulubionym pisarzem. Obaj byli też skutecznymi działaczami, wśród tych, którzy „gardłowali” nieustannie za utworzeniem Uniwersytetu Szczecińskiego, rozwojem środowiska humanistycznego Szczecina, z super wizjami rozwoju kultury w województwie. Rysiu Liskowacki, był red. nacz. pisma społeczno-kulturalnego „Spojrzenia”, a Wiesiu Rogowski zaproponował mi już w Warszawie etat w „Głosie Pracy”. Ale wracam do pisarstwa R. Liskowackiego – było „męskie”, „wojenne”, „zachodniopomorskie” (!). Krótko mówiąc – „o powrocie Polski na Ziemię Odzyskaną”. Debiutował jako poeta, ale równolegle „zabłysnął” (autentycznie „zabłysnął”) jako wspaniały prozaik. Wystarczy przeczytać Jego „Po tamtej stronie życia”, „Powrót do piekła” czy „Granice pamięci”, aby się o tym przekonać! W „Końcu próby” ukazał życie współczesnego mu Szczecina, a w powieści „Dzień siódmy i znowu pierwszy” – MORALNY RAZRACHUNEK OKRESU przed rokiem 1956. Napisał też wspaniałe książki dla młodzieży, m.in. „Wodzu, wyspa jest Twoja”.
- Wiesława Rogowskiego. Cóż to był za CZŁOWIEK! Bez reszty zaangażowany w Ziemię Odzyskaną, Szczecin i województwo, w ogóle w Polskę! Kierował m.in. Wydziałem Kultury PWRN w Bydgoszczy (stąd szybko

powstało między nami pełne porozumienie). „Pisanie” zaczął od książek dla dzieci, potem powstawały tzw. „młodzieżowe”, ale Jego prawdziwe oblicze literackie objawiło w się w takich powieściach, jak m.in.: „Spotkanie na skraju cienia”, „Kamienny bruk”, „Miasto”, ale przede wszystkim „Awaria”. O „Awarii” już wcześniej wspominałem, zaś „Spotkanie na skraju cienia” to spowiedź hitlerowskiego oficera, który po wojnie próbuje wytłumaczyć się ze swego zachowania w okupowanej w czasie wojny Polsce, zaś „Kamienny bruk” autor poświęcił wydarzeniom „krwawej niedzieli” w Bydgoszczy. Jego ciekawa książka „Miasto” to ujęta retrospektywnie historia grupki zaprzyjaźnionych ze sobą dziennikarzy.

Na zakończenie jeszcze po zdaniu wspomnę o:

- Adolfie Momocie, który był mi bliski poprzez swe zaangażowanie w popieranie działalności gminnych ośrodków kultury. Wspólnie planowaliśmy, że będą one szeroko otwarte dla literatury. Organizował wspólnie z bibliotekami plenery literackie, organizował systematycznie spotkania autorskie i warsztaty literackie. A jeśli chodzi o twórczość Momota, to polecam Jego powieść „Twarze”, której tematem jest obraz współczesnej wsi szczecińskiej, a na tym tle pokazanie przeżyć dorastającego, wiejskiego chłopca.
- Jerzym Janie Pachlowskim, kilkakrotnie (jak Jan Papuga, o którym będzie za chwilę poniżej) spotykał się w „Klubowej” z czytelnikami; był też bibliofilem i zjawiał się na zebraniach STK. Wszyscy liczyliśmy, że zrobi wielką ogólnopolską karierę i po części tak się stało poprzez swoje opowiadania o życiu i pracy rybaków dalekomorskich. Proszę, aby KAŻDY przeczytał Jego „Delfiny idą pod wiatr”.
- Janie Papudze – też proszę koniecznie sięgnąć po książkę „Guadalajara, Guadalajara” o rybakach i ich ciężkiej pracy! Również po Jego książkę „Szczyry morskie” – o osobistych przeżyciach z okresu wojny.
- Eliaszu Rajzmanie. Gdy Go poznałem, pracował jako robotnik, był działaczem szczecińskiego oddziału Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów (i skarbnikiem w szczecińskim oddziale ZLP). Przychodząc do księgarni, opowiadał o swoim losie i dramatycznych przeżyciach. Zawsze „łapczywie” i z wielką uwagą służyłem Go. Pisał przeważnie w języku jidysz, a Jego wiersze tłumaczył m.in. nasz SZCZECINIANIN – Józef Burszewicz (także Arnold Słucki i Urszula Kozioł, która z Wrocławia często lubiła zaglądać do Szczecina na imprezy książkowo-literackie). Z książek

Rajzmana, wydanych w języku polskim, polecam „Jesienne drzewo” i „Spalony gołąb”.

- Helenie Raszce. Od 1951 r. mieszkała w Szczecinie. Była przesympatyczną poetką, chętną do współpracy i ściągała na swe spotkania autorskie zawsze dużo słuchaczy, z którymi lubiła po spotkaniu rozmawiać i dyskutować. O czym? O nowych, polskich tradycjach kulturalnych na Ziemi Szczecińskiej. Była jedną z najaktywniejszych członkiń Rady STK, i był czas, kiedy Jej tomik „Okrucy bursztynu” chciał (z Jej dedykacją) mieć KAŻDY. Ja też!

I teraz już dosłownie po zdaniu o pozostałych mi bliskich i zaprzyjaźnionych pisarzach, do których wracam, a ich utwory chyba nigdy się nie zestarzeją:

- Czesław Schabowski: w 1962 r. pisarz otrzymał na szczecińskim konkursie literackim wyróżnienie za zbiór opowiadań (BARDZO CIEKAWYCH) z życia rybaków Pomorza Zachodniego pt. „Pirat i Magdalena”.
- Bronisław Słomka: był jednym (obok Stanisława Skarbińskiego) z czołowych działaczy Myśluborskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, sfederowanego w STK. Jego książka wydana w 1968 r. „Karuzela” była absolutnym hitem, poruszała problem katolicyzmu polskiego i wiążącą się z tym zagadnieniem moralnością jednostkową i społeczną.
- Katarzyna Suchodolska: pisarka interesowała się szczególnie zagadnieniem PRZYWIĄZANIA DO ZIEMI SZCZECIŃSKIEJ tych, którzy po wojnie – głównie w ramach repatriacji na nią przybyli głównie z za Buga. Dość przypomnieć Jej zbiór opowiadań „Spotkanie w Wolkenbergu”. Wcześniej wydana książka „Jezioro czterech łabędzi” była przeznaczona dla dzieci, ale czytali ją z zachwytem również dorośli.
- Ireneusz Krzysztof Szmidt: zapowiadał się na interesującego poetę i prozaika. I takim był. Ale zapamiętałem Go też jako aktywnego działacza amatorskiego ruchu teatralnego, w którym wykorzystywał swój talent literacki!
- Stanisław Telega: żył „problemami Ziem Odzyskanych”, jak mało kto, domagał się na nich rozwoju nauk humanistycznych i powołania w Szczecinie Uniwersytetu, co było i moim (i mojego śp. Ojca) WIELKIM MARZENIEM – na szczęście po latach spełnionym! Był też zapalonym (i zasłużonym)

BIBLIOTEKARZEM. Spędziłem z Nim „dziesiątki” godzin na rozmowach o tych problemach. Wiele podpowiedzi podjąłem w swoich działaniach, wykorzystując Jego literacko-eseistyczne zdolności i zainteresowania.

I na zakończenie: Stanisław Wit-Wiliński, mój rówieśnik, stąd i łatwość, z jaką nawiązaliśmy i utrzymywaliśmy kontakt. Polecam Jego tomiki „Poczęty w cieniu” i „Trzask płomienia”.

Można powiedzieć BYŁO-MINĘŁO! Oczywiście, ale... w tym miejscu cytuję znanego pisarza – Jana Koprowskiego, którego słowa mam wciąż w swojej głowie: „Autentyczny jest ten, który stara się pisać prosto i rozumnie”. Szczęśliwsi pisarze tak właśnie pisali – z serca, więc POZOSTANĄ W LITERATURZE jako świadectwo „rzetelności i prawdy”! I wieczna chwała Im za to!

Wiktoria Orecka – kl. 8b Szkoła Podstawowa nr 56 w Szczecinie

Sprawdzian z Jana Kochanowskiego

Jan Kochanowski jest jednym z najważniejszych poetów polskiego renesansu. Mimo, że tego roku przypadła 440. rocznica jego śmierci, to jego twórczość jest ponadczasowa, a prawdy życiowe ukazywane w utworach wciąż żywe.

Urodził się ok. 1530 r. w Sycynie koło Radomia, zmarł 22 sierpnia 1584 r. w Lublinie. Był synem Piotra Kochanowskiego i Anny Białaczkowskiej. Studiował na Akademii Krakowskiej oraz na uniwersytetach w Królewcu, Wittenberdze i Padwie. Zdobył wykształcenie humanistyczne. Po powrocie do Polski przebywał na dworze Zygmunta Augusta, a później osiedlił się w Czarnolesie, gdzie stworzył większość swoich dzieł. Jan Kochanowski doprowadził do rozwoju polskiego języka literackiego.

Jakie refleksje wywołują u was „Fraszki”, „Pieśni”, „Treny” Kochanowskiego? – pyta na sprawdzianie standardowo nauczyciel języka polskiego. My to już przerebiliśmy. I odpowiadamy merytorycznie: „Fraszki” poety ukazują czasy za jego

życia, czyli XVI wieku, a problemy w nich wskazane odwołują się do czasów obecnych.

Autor w tych tekstach wytyka ludzkie błędy i pokazuje, że każdy z nas je popełnia. Kiedy ktoś z nas zachoruje i przykładowo kichnie, mówimy mu „na zdrowie” lub „zdrówko”. Dlaczego? Dlatego, że zdrowie jest bardzo ważne. Młodzi ludzie często nie zwracają uwagi na to, jak wartościowe ono jest. Skupiają się na rzeczach materialnych. Fraszka „Na zdrowie” bardzo ładnie to obrazuje. Zawarty w niej przekaz jest prosty i czytelny, cytując autora: *Szlachetne zdrowie, nikt się nie dowie, jako smakujesz, aż się zepsujesz [...] że nic nad zdrowie, ani lepszego, ani droższego; bo dobre mienie, perły, kamienie, także wiek młody i dar urody. Dopiero kiedy człowiek zachoruje, widzi, że dobre imię, uroda czy bogactwo nie dają do końca szczęścia.*

Ale nie tylko nasze zdrowie jest ważne, naszych przyjaciół również. Przyjaciół to ktoś, kto wspiera w trudnościach, cieszy się z sukcesów, które odnieśliśmy. Co, gdyby tych przyjaciół nie było? Opisuje to fraszka „Na zachowanie”, gdzie podmiot liryczny wskazuje: *Co bez przyjaciół za żywot? Więzienie, w którym niesmaczne żadne dobre mienie, dlatego tak ważne jest dbanie o relacje. Samotnemu człowiekowi trudniej pokonywać przeszkody życia, niż takiemu, który ma wsparcie od przyjaciela: Nikt nie poradzi, nikt nie pożałuje; [...] żaden się z tobą nie będzie radował, sam sobie będziesz w komorze smakował.* Fraszka ta może być przestrożą dla młodzieży – jak wyglądałoby nasze życie, gdyby było pozbawione przyjaciół.

Dzisiejszy świat jest pełen technologii i pośpiechu. Młodzież spędza czas głównie w domu przed telewizorem, komputerem czy telefonem. Autor swoją poezją pokazuje, że nawet w dzisiejszym świecie, pełnym technologii, warto wyjść z domu, bo na zewnątrz można odnaleźć spokój i harmonię z naturą. „Pieśń świętojańska o Sobótce” ukazuje proste życie na wsi. Dzięki temu utworowi powinniśmy zrozumieć, jak ważne jest pielęgnowanie więzi z naturą. Kochanowski w tej pieśni kultywuje również staropolskie tradycje i obrzędy. Przestrzega, że należy doceniać i rozumieć kulturę swojego narodu. Nadal kobiety uznawane są za słabsze, drobniejsze i nie dość silne. Utwór ten może inspirować młode dziewczyny w rozwijaniu własnej wartości i wzmacnianiu siły. Kochanowski ukazywał kobiety, jako strażniczki domowego ogniska, ale również jako osoby silne i pełne cnoty.

Gdy przychodzi godzina śmierci, nikt z nas już nie jest silny. Jest to bardzo trudny temat dla dorosłego człowieka, a co dopiero dla nas – młodzieży. Jan

Kochanowski pisał nie tylko filozoficzną i autentyczną poezję, ale też smutną, pełną żalu i bólu. „Treny” to cykl wierszy liryki żałobnej. Wyrażają żal po śmierci, rozpamiętują dokonania zmarłego i zawierają pochwały jego zasług. Kochanowski napisał 19 wierszy, ale trochę zmodyfikował ten gatunek, poświęcając cały cykl swojej zmarłej, ukochanej córce Urszulce. Te utwory pomogły mi zrozumieć co to znaczy strata bliskiej osoby. Są również podpowiedzią, jak poradzić sobie z bólem i żałobą.

Mimo, że minęło 440 lat, to przekaz zawarty w utworach Kochanowskiego nadal pobudza do refleksji oraz filozoficznych rozważań. To, że młodzież ma narzuconą presję ze świata rzeczywistego oraz internetowego powoduje, że często mogą czuć się zagubieni, przemęczeni czy przebodźcowani. Powiedziałabym, że wręcz czujemy się nieakceptowani przez środowisko. Tematy, jakich dotknął poeta w tych utworach, które omawiamy w szkole, pomagają zrozumieć, jakie wartości są w życiu ważne. Zazwyczaj tego nie robię, ale powtórzę: twórczość Kochanowskiego jest ponadczasowa.

POEZJA EKSPERYMENTALNA

Leszek Dembek

Kiedy unosi się błysk poezji...?

*Poezja nie może niczego rozwiązać,
może jednak pogłębić poznanie, rozszerzyć jego granice.
Jej zadaniem jest nie liczące się z niczym drążenie rzeczywistości
widzialnej i niewidzialnej, na którą jest skazana.*

Mieczysław Jastrun

*Istnieje jakiś niejęzykowy rodzaj myśli, które
nawet nie mogą być objęte językiem.*

Noam Chomsky

Na szczycie w Davos, szef Google'a podczas Światowego Forum Ekonomicznego powiedział, że *Sztuczna inteligencja jest jedną z najbardziej fundamentalnych rzeczy, nad którą pracuje ludzkość. Jest ważniejsza niż opanowanie ognia, czy wynalazek elektryczności (...).*

Z tą tezą do końca można się nie zgadzać. Szczeciński oddział Związku Literatów Polskich zdaje sobie jednak w pełni sprawę, że rozwój sztucznej inteligencji jest nieunikniony! Mamy też w pełni świadomość zagrożeń, jakie rodzą się podczas tego nieustannego procesu rozwoju (IT) inteligentnej technologii,

do czego jeszcze wrócę, przedstawiając nasze literackie odniesienie do AI. Ale, też od razu należy sobie postawić pytanie:

*Czy AI ma lub może uzyskać samoświadomość?*¹³⁰ I mówiąc o sztucznej inteligencji należy mieć na myśli algorytm o różnej sile mocy, to stwierdzenie jest ważne, by nie komplikować dalszych naszych rozważań.

Wychodzimy też z założenia, że *AI nie powinna być traktowana jako zamiennik ludzkiego geniuszu, ale raczej jako narzędzie, które może pomóc w eksploracji nowych możliwości, w tym i w literaturze*¹³¹, chociaż w tym wypadku nie wszyscy z nas podzielają ten pogląd.

Już w 2019 roku, w ramach II Laboratorium Poezji przeprowadziliśmy, z udziałem piętnastu poetek i poetów ze Szczecina i z innych regionów Polski, poetycki eksperyment z udziałem IT, w rezultacie którego zrealizowano projekt pn. POE(SI)A (z) IT.

Na tę okoliczność powstał

**MANIFEST POE(SI)A IT
KREOWANIE NOWEJ WYOBRAŹNI
(anagnoza – wstępne rozpoznanie),**

w którym zapisaliśmy m.in.:

Nie może istnieć zatem żaden język doskonały, uniwersalny. Tak jak „panta rhei” trwa wieczne kształtowanie się języka (...). Doskonałym językiem może być język wielowymiarowy (teoretycznie istniejący), język przeszłości, język aktualny i nieustannie tworzący się.

A więc dialektyka języka (...). Język wielowymiarowy jest do końca niepoznawalny, nieuchwytny, poznajemy tylko niektóre z wielu jego odmian, a przyszłe języki dopiero rodzą się.

(...) Ale też jest stale rozwijający się język przyszłości, determinowany postępowaniem technicznym, wkraczającym w kosmicznym tempie do obszarów kulturowych, w tym do literatury. (...)

130 [https://wiesz.pl/2024/01/14/czy-ai-ma-lub-moze-uzyskac-samoswiadomosc/Czy AI ma lub może uzyskać samoświadomość?](https://wiesz.pl/2024/01/14/czy-ai-ma-lub-moze-uzyskac-samoswiadomosc/Czy_AI_ma_lub_moze_uzyskac_samoswiadomosc?)

131 [https://www.biuroliterackie.pl/biblioteka/debaty/jak-sztuczna-inteligencja-wplynie-na-przyszlosc-literatury/Gabriela Bar, Jak sztuczna inteligencja wplynie na przyszlosc literatury?](https://www.biuroliterackie.pl/biblioteka/debaty/jak-sztuczna-inteligencja-wplynie-na-przyszlosc-literatury/Gabriela_Bar,_Jak_sztuczna_inteligencja_wplynie_na_przyszlosc_literatury?)

I chyba należy powiedzieć, że podczas naszego, poetyckiego eksperymentu narodziła się nowa ścieżka (trop), przesmyk (może Heideggerowski prześwit) pisania wierszy, w ramach którego poeci kreatywnie wspomagają sztuczną inteligencję w tworzeniu wierszy.

Bowiem nie jest to pisanie wierszy *sensu stricto* przez sztuczną inteligencję. To poeci tworzą swoje wersy do wersów AI, aby te wersy zhumanizować, „John Cayley nazywa ten akt usensowienia gramalepsją (grammalepsy)”. Ale czy wszystkie wymagają takiego usensowienia? Jest to swoista symbioza między poezją (literaturą) a nauką. Należy, jednakże mieć w świadomości, że aspekt interakcji jest rozwojowy!

To pisanie odbywało się (odbywa) na określonych zasadach, zasadniczo na poetyckiej polifonii (to też nasze, ważne odkrycie)! Nad tym pierwszym poetyckim (polifonicznym) eksperymentem w ramach I Laboratorium Poezji pracowaliśmy już w 2016 roku.¹³² W tym poetyckim eksperymencie (choć jego geneza jest inna) – można doszukiwać się aspektów pisarskiego ćwiczenia amerykańskiego poety, Josepha Donalda McClatche’go, japońskiej rengi oraz metody czytania wierszy zawartej w książce „Sto tysięcy miliardów wierszy” Raymonda Queneau, współzałożyciela eksperymentalnej grupy literackiej OuLiPo.

Jednak nasz zasadniczy eksperyment różni się od innych tym, że tworzenie jednego (tego samego) wiersza odbywa w sposób tzw. bezkontaktowy. Czyli każdy z autorów nie zna wcześniej napisanych wierszy pozostałych poetów, z wyjątkiem wiersza podstawowego. W trakcie pisania powstają liczne literackie warianty tego samego wątku, a konkretnie rzecz ujmując, tego samego wersu. A kulminacją tego procesu powstawania jednego utworu jest stworzenie wiersza konfiguracyjnego.

Obrazowo można to przyrównać do utworu muzycznego, gdzie następuje zmiana podziału oktawy, zmienia się napięcie struny (jak w trytonie), a w przypadku wiersza jego nastrój, poszerza się przestrzeń wyobraźni. Powstaje swego rodzaju nowe brzmienie poetyckiego fortepianu.

Ważne jest także, aby w tym miejscu przypomnieć główną ideę tego eksperymentu. W słowie wstępnym do „Polifonii Poezji” prof. US Katarzyna Krasoń napisała, że polifonia poezji to: „pokazanie innych możliwości artystycznego wyrazu tej samej myśli”¹³³. Tak powstała, mówiąc w telegraficznym

132 „Polifonia Poezji”, Wydawnictwo hogben, Szczecin, 2016.

133 Tamże, s. 11.

Seminarium naukowe

Sztuczna inteligencja – – prawdziwa poezja?

20 marca 2024, godz. 15-19

Institut Literatury i Nowych Mediów Uniwersytetu Szczecińskiego
Biblioteka Międzywydziałowa US, al. Piastów 40B Szczecin



Otwarcie sesji 15:00		Czeki II - Anality	
@ hab. Piotr Krowczyński, prof., US dyrektor Instytutu Literatury i Nowych Mediów US		17:50-18:05	
Czeki I - Teoria	Czeki II - Praktyki	Gabriele Roszarska	Katka Nadeau „Jak pisać Krytykę? LNM US
15:10-15:40	17:00-17:35	Czy poezja ma duszę? Wzrost i cinienie twórczości AI	
@ Janina Kozma	Leszek Dębicki	18:05-18:30	Gabriele Roszarska
Wykład NaukiBiblij, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza	ZLP Szczecin	Katka Nadeau „Jak pisać Krytykę? LNM US	
Wskazanie brzozy poezji. Szukanie inspiracji w krajach obcej kultury postępują	Poeci publikują – metoda konfiguracyjna z udziałem sztucznej inteligencji (AI)	18:30-18:35	Mikaelina Bortol
15:40-16:10	17:35-17:50	18:35-18:50	
@ Grażyna Kubiś	Mikaelina Bortol	Dyktacja	
Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny	ZLP Szczecin		
Czy AI pisze?	Wykorzystanie sztucznej inteligencji w procesie pisania wierszy na koncie człowieka AI		
16:10-16:40	17:50-17:55		
@ prof. dr hab. Piotr Krowczyński	Dyktacja		
LNM, Uniwersytet Szczeciński			
Sztuczna inteligencja plus poeta – głos w dyskusji			
16:40-17:00			
Dyktacja			

Plakat seminarium naukowego „Sztuczna inteligencja – prawdziwa poezja?”, 20.03.2024 r.

skrót – metoda równoległego pisanie wersów (istotę tego procesu tworzenia wierszy przedstawiałem 09.01.2024 r. na Wydziale Informatyki w Zachodniopomorskim Uniwersytecie Technologicznym).

Na tej bazie, w ramach drugiego eksperymentu poetyckiego w roku 2019 weszliśmy w interakcję ze sztuczną inteligencją (AI). Zgodnie z Manifestem POE(SI)A IT, rozpoczęliśmy pisanie wierszy z udziałem SI, gdzie zasadniczą ideą równoległego pisanie było (jest) tworzenie wspólnych wierszy. *Należy też powiedzieć, że poeci pracowali tylko z tekstem oryginalnym i nie znali wersji napisanych przez swoich kolegów, jak pisze Danuta Słowik w analizie wiersza pt. „Światło świecy” (...). Następnie wybrane wersy zostały scalane w jeden wiersz, (przez jednego autora, który też stawał się jego współtwórcą) tak też tworzył się tzw. wiersz konfiguracyjny. (...).*

Taki wiersz, jak i pozostałe wiersze polifoniczne z udziałem SI, można czytać wielowymiarowo albo tylko w jednym wymiarze (w zależności od przyjętej konwencji). W ten sposób mamy do czynienia z wierszem dwuwymiarowym (2D), trójwymiarowym (3D) lub czterowymiarowym (4D).

Należy zaznaczyć, że nasz projekt w interakcji był oparty na algorytmie z dużą (potężną) bazą danych! Za tą sztuczną inteligencją, która miała się kierować również inteligencją emocjonalną, stoją naukowcy z: Chin, USA, Japonii i Indii oraz firma Microsoft. Proces budowy tej sztucznej inteligencji rozpoczął się w 2014 roku. Autorka tych wierszy, nazwana Xiao Bing „przeczytała”, jak podkreślają jej twórcy, z entuzjazmem wszystkie dzieła 519 najbardziej

cenionych na świecie pisarzy i poetów. Człowiek musiałby na to poświęcić około stu lat swojego życia.

I tym samym prawdopodobnie weszliśmy w poetykę kwantową, o czym w tamtym czasie jeszcze nie mieliśmy pojęcia (do czego jeszcze powrócę!).

Ostatecznie na bazie tego poetyckiego doświadczenia (czego nie zakładaliśmy, rozpoczynając eksperyment) powstał wiersz konfiguracyjny. Istota tego utworu polega(ła) na tym, aby przez subiektywny wybór najlepszych wersów lub wybranych wyrazów, napisać jak najbardziej spójny wiersz. Utwór polifoniczny ma charakter poetyckiego kubizmu, jest to tzw. *symultaniczne ukazywania przedmiotu z wielu stron*. Jak wiemy *Poetyka kubizmu podnosi nieciągłość do zasady kompozycyjnej, maksymalne rozluźnienie związków znaczeniowych do rangi najistotniejszego waloru*.¹³⁴

Przypomnijmy, że przedstawicielami tego stylu byli: Apollinaire, Jacob, Cendrars, Reverdy.

Tak stworzone wiersze dają możliwość czytania utworu na wiele sposobów, niekoniecznie w sposób linearny i też w tym istota, by nie czytać ich tylko monolitycznie. Można wybierać dowolne wersy lub dowolną ilość wyrazów z poszczególnych wersów, kreować swoje widzenie utworu, zachowując jego sens. Jak też wiemy „wiersz ma być, niekoniecznie musi znaczyć”, o czym pisze w swoich rozważaniach m. in. poeta, Andrzej Sosnowski.

Wiersz wielowymiarowy nie poddaje się do końca tradycyjnej interpretacji. Jego interpretacja może się rozgrywać na wielu płaszczyznach, z uwagi chociażby na fakt, że w jednym wierszu znajduje się wiele wierszy i rozchodzą się na wiele stron, jak świat, który jest wielowymiarowy. Tworzy się *nowy ocean możliwości*.

Dziś nie dysponujemy – jak pisze Irena Naumowicz – aparatem odbiorczym do bezpośredniego czytania wiersza polifonicznego, ale być może w niedalekiej przyszłości analiza takiego utworu stanie się przyrodzoną umiejętnością ucznia szkoły podstawowej.¹³⁵

Ale to był (jest) dopiero pierwszy etap współdziałania Związku, a dokładniej Samodzielnej Grupy Literackiej IT (PoeKWanT) z Zachodniopomorskim

134 „OD CZYSTEJ FORMY DO LITERATURY FAKTU. GŁÓWNE TEORIE I PROGRAMY LITERACKIE XX STULECIA”, Wydanie II uzupełnione, Artur Hutnikiewicz, Toruń 1967, s. 66.

135 Irena Naumowicz, „Re Wiry”, *Szkic do analizy i interpretacji wiersza polifonicznego na podstawie „Światła świecy Xiao Bing”*, s. 43.

Uniwersytetem Technologicznym, kolejny etap tego współdziałania może dotyczyć takiej problematyki, jak:

- tworzenie wersów przez SI do wierszy tradycyjnych, czyli tzw. wznoszenie „odwróconej piramidy”,
- poszukiwanie różnorodności sensów tego samego wersu, swoista fosforescencja słów, powidoki słów,
- stworzenie wersów pośrednich (między dwoma wersami),
- pisanie poematu promienistego, nieskończonego...

Należy się chyba zgodzić, jak mówi Mu Ye, przewodnicząca Stowarzyszenia Poetów „Menlong” o SI, że rozpoczął się początek nowej ery pisania poezji. To odkrywanie nowych przestrzeni wyobraźni, o czym też już pisaliśmy w naszym Manifestie:

P (Poeta) + SI (Sztuczna Inteligencja) = KREACJA NOWEJ WYOBRAŹNI

Tym poetyckim eksperymentem, nawet nie zdając sobie sprawy, jak już wcześniej sygnalizowałem, weszliśmy w strefę poetyki kwantowej. Należy tutaj przytoczyć nazwisko Amy Catanzano (ur. 1974 r.), amerykańskiej poetki, która jest profesorem nadzwyczajnym w dziedzinie kreatywnego pisania na Uniwersytecie Wake Forest. Autorki opracowania, praktykującej teorię poezji zwanej „poetyką kwantową”, badającej skrzyżowanie poezji i nauki, zwłaszcza fizyki.

Jej autorstwa jest też wiersz „Linie świata: poemat o superkomputerze kwantowym”, który można czytać na wiele sposobów, gdyż w tym wierszu znajduje się wiele wierszy (o czym już wspominałem), jak w naszej szczecińskiej „polifonii poezji”. A są to dwa niezależne od siebie projekty, coś w rodzaju platońskiego odbicia idei (?), chociaż nie do końca.

Krytyk literacki, Jan Zdzisław Brudnicki o naszym literackim eksperymencie napisał:

A mnie się to szczepienie uszlachetnionych owoców na dziczcze uzyskanej od SI podoba. Przecież „sztuczny” kojarzy się ze sztuką, a też mistrzostwem, kunsztem, figlem, fortelem.¹³⁶

136 Jan Zdzisław Brudnicki, „Radostowa”, „List otwarty do Leszka Dembka w Szczecinie”, s. 5-6.

W wywiadzie Aleksandra Przegalińska (ekspertka od AI, prorektor ds. współpracy z zagranicą Akademii Leona Koźmińskiego w Warszawie, notabene absolwentka II LO im. Mieszka I w Szczecinie), powiedziała: „Na Ziemi zostanie zrealizowana wizja symbiotyczna... Pozwolimy im (maszynom) na autonomię pracy i pełne wykorzystanie możliwości”.¹³⁷

Sztucznej inteligencji muszą być jednak wskazane ograniczenia (patrz. Instytut Weizenbauma), o których mówimy w naszym przesłaniu, bowiem *do człowieka należy programowanie AI*.¹³⁸

PRZESŁANIE do Twórców AI

1. Afirmować życie.
2. Nie sprzeciwiać się naturze.
3. Nauka ma służyć człowiekowi.
4. Nie dekonstruować piękna.
5. Pozytywnie i pragmatycznie myśleć.
6. Nie stwarzać lęku.
7. Przekraczać odpowiedzialnie wyobraźnię.
8. Doceniać znaczenie słowa.
9. Etyka drogowskazem.
10. Bezpieczna wolność.

W kontekście zasadniczego pytania *Czy sztuczna inteligencja – to prawdziwa poezja?*, odpowiedź na tak postawione pytanie wydaje się być trudna, chociażby już z uwagi na samą definicję, pojęcie – czym jest poezja?, biorąc pod uwagę już sam fakt, że dywagacje na ten temat trwają już od czasów „Poetyki” Arystotelesa ...

Ale wydaje się zasadnym (choć to tylko jedna z możliwych odpowiedzi!), aby tę kwestię rozpatrywać w kategorii epifenomenu, ewokacji. Swego rodzaju błysku światła, chociaż o różnej sile iluminacji!!!

Wiersz napisany przez SI to przecież zbiór ludzkich myśli – światło (SI jeszcze samodzielnie nie myśli, nie jest podmiotem¹³⁹), ale o prawdziwości poezji dopiero może stanowić czytelnik(?), który na kanwie takiej konstrukcji myślowej („napisanej” przez SI) stworzy własną historię, z którą będzie mógł się

137 „Rzeczypospolita”, dodatek „Plus Minus” nr 10 (7-8 marca 2020 r., s. 28-29).

138 https://wiesz.pl/2024/01/14/czy-ai-ma-lub-moze-uzyskac-samoswiadomosc/Czy_AI_ma_lub_moze_uzyskac_samoswiadomosc/

139 https://wiesz.pl/2024/01/14/czy-ai-ma-lub-moze-uzyskac-samoswiadomosc/Czy_AI_ma_lub_moze_uzyskac_samoswiadomosc/

utożsamiać. Czyli zostanie wskrzeszony duch poezji (błysk), który zacznie się metafizycznie unosić, kiedy człowiek wejdzie w interakcję z AI.

W konsekwencji odpowiedź na postawione pytanie (sztuczna inteligencja – prawdziwa poezja?) nie jest jednoznaczna, z uwagi chociażby już na same pojęcie czym jest poezja. Nie wspominając już o samej istocie prawdy, którą można rozpatrywać nie tylko w ujęciu klasycznym.

Maksymilian Barski

Jak interpretować poezję pisaną przez sztuczną inteligencję? Kody kulturowe i język poetycki

Wprowadzenie: sztuczna czy inteligencja?

Interpretacja może przebiegać na wielu płaszczyznach: zarówno tych bardzo blisko samego tekstu, jak i tych pozatekstowych. Rozwojowi w procesie interpretacyjnym podlegało (i podlega) również postrzeganie takich elementów, jak: rodzaje literackie, gatunki, kompozycje czy choćby sam język literacki oraz jego specjalna odmiana – język poetycki. Przedmiotem dyskusji są także problemy z klasyfikacją konkretnego tekstu do danego gatunku czy nawet rodzaju literackiego. Pomimo dyskursów prowadzonych na temat wielu fundamentalnych koncepcji dla interpretacji dzieł, takich jak: czy gatunki istnieją, czy może każdy utwór jest nową sytuacją komunikacyjną? Co sprawia, że wiersz się nim staje? Wpasowanie się w ramy gatunkowe (jeżeli takowe istnieją), czy nowy rodzaj działalności językowej, jaki w nim odnajdujemy, z kluczową rolą arbitralnych pauz wersyfikacyjnych? Pomimo wielu znacznych różnic i zmian,

jakie zachodziły w literaturoznawstwie, pewne elementy były i są stałe. W tym jeden z fundamentalnych, to znaczy ludzki: autor; relacja autor-czytelnik.

Aby tekst, czy w najbardziej mnie w tym szkicu interesującej odmianie, wiersz, mógł powstać, ktoś musi go napisać. Przez wiele lat teza ta funkcjonowała jako aksjomat. Współczesność i rozwój technologii jednakże znacznie temu zaprzecza. Zadaje pytania o ontologiczny status autora. Podważa konieczność istnienia „ciała” jako fundamentu wszelkiego działania, zgodnie z tezami Wolfganga Welscha¹⁴⁰. Dyskursy posthumanistyczne prowadzone przez badaczy i artystów poszerzają dotychczas uznane granice ciała, a także jego potencjalne modyfikacje, przemiany. Niezależnie natomiast od poglądu, czy poezja może być napisana tylko przez człowieka, czy nie, współcześnie powstają znacznie różniące się wiersze. Liryki wyróżniają się mogą inspiracjami, stylami czy celami, jakie zaplanował autor. Tym, co niewątpliwie odnajdujemy w każdym wierszu jest indywidualny styl autora, niezależnie od tego, ile różnych, osobnych wpływów w nim odnajdziemy. Jak natomiast powinniśmy odczytywać twórczość technologicznej poetki Xiao Bing? Czy możemy uznać ją za poetkę? Czy może powinna zostać zdyskwalifikowana jako nie tylko pisarka, ale autorka w ogóle?

Zanim jednak podejmę się próby odpowiedzi na te pytania, uważam za istotne przybliżenie postaci chińskiego algorytmu. Xiao Bing jest jedną z najciekawszych pisarek, nie tylko z powodu na jej technologiczny, posthumanistyczny charakter, ale także ze względu na jej biografię (technografię?). Przed wydaniem tomu poezji rozpoczęła swoją karierę jako sztuczna inteligencja, z którą można było rozmawiać na internetowym czacie, a co wymagało stworzenia algorytmu z pewnym rodzajem społecznej osobowości, jeżeli przyjmujemy taki termin także dla nieosób. Algorytm ten „stylizowano” na stereotypową młodą kobietę. Rozmowną, empatyczną, wrażliwą. Wyposażona została także w głos kobiety¹⁴¹. Przypominając, choć w nowoczesnej postaci, japońską gejszę¹⁴². „Kobiece” modele stosowane wobec sztucznych inteligencji nie są zresztą praktyką nową, jeden z najpopularniejszych algorytmów, z którym styczność ma na co dzień ogromna liczba osób, to używana w telefonach Apple Siri. Jednakże wraz z czasem Xiao Bing rozwijała się i przestała być wyłącznie sztuczną inteligencją rozmawiającą z internautami, lecz także tworzyła własne dzieła

140 B. Badzioch-Bryła, *Ku ciału post-ludzkiemu. O młodej poezji i nowej rzeczywistości*, „Teksty Dru-gie”, 2002, nr 6, s. 42.

141 J. Krenz, *Ice Cream in the Cathedral: The Literary Failures and Social Success of Chinese Robot Poet Xiao Bing*, „Asiatische Studien – Études Asiatiques”, 2020, nr 74, s. 549–550.

142 Tamże, s. 550.

sztuki, prowadziła programy radiowe, zadebiutowała jako poetka, a nawet wystąpiła w programie, którego celem był wybór najlepszych wierszy wśród uczestników przez widownię. Stała się poetką-celebrytką, będąc jednocześnie ciekawostką i rozrywką, lecz także, a może nawet przede wszystkim, bardzo głośnym problemem wśród chińskich poetów, którzy prowadzili rozmowy na temat wartości i jakości poezji tworzonej przez Xiao Bing. W tej sytuacji stoimy przed problemem: jak powinniśmy traktować, interpretować i wartościować poezję stworzoną przez chińską, nieludzką poetkę?

Cyfrowa surogacja, czyli co to znaczy być poet(k)ą

Jednym z pierwszych problemów, jakie napotykamy podczas omawiania twórczości sztucznej inteligencji, jest autorstwo. Komu powinny zostać przypisane prawa autorskie? Nieludzkiej poetce, a może programistom lub przedsiębiorstwom, które stoją bezpośrednio za algorytmem? Choć problem ten należy do bardzo ciekawych, dryfując między literaturą a prawem, chciałbym skupić się w poniższych rozważaniach wyłącznie na warstwie literackiej twórczości Xiao Bing i problemach interpretacyjnych z nią związanymi¹⁴³. Koniecznym dla zrozumienia nowej poezji jest poznanie kontekstu oraz metody twórczej chińskiego algorytmu, a niemożliwej do odtworzenia przez ludzkich pisarzy. Na samym początku uczyła się ona na obrazach, wyciągając z niej słowa klucze, a następnie filtrując je, pozostawiając tylko najbardziej „poetyckie”, czyli takie, które najczęściej powtarzają się w korpusach poetyckich. Stąd też pochodzi jedna z najczęściej używanych funkcji Xiao Bing, dostępnej w sieci, czyli tworzenie wierszy na podstawie obrazów, które jej pokażemy. Do stworzenia tomu poezji przeanalizowała ona 2027 wierszy napisanych przez 519 współczesnych, chińskich poetów od roku 1920. Stanowi to bazę algorytmu. Każdy tekst analizowany był przez Xiao Bing 10000 razy. Aby móc zbadać taki materiał metodą, jaką zrobiła to nieludzka poetka, potrzeba by 100 lat ciągłej analizy. Niezaprzeczalnie jest to metoda, której człowiek nie jest w stanie zrealizować, Xiao Bing natomiast zajęło to zaledwie 100 godzin (choć efektywność metody analitycznej algorytmu jest problemem dyskusyjnym).

Odbiór Xiao Bing w Chinach jest niezwykle polaryzujący. Głównymi przeciwnikami są inni, aktywni, ludzcy poeci. Zarzuty, jakie stawiają oni poetce, są

143 Problem nie tylko praw autorskich, ale samej koncepcji autorstwa w przypadku sztucznej inteligencji omawia Anna Dubowska. Por. A. Dubowska, *Sine Hominum? Sztuczna inteligencja a koncepcja autorstwa*, „Dyskurs Prawniczy i Administracyjny”, 2019, nr 1, s. 45–64.

przewidywalne, ale także niebezpieczne. Brak inspiracji, mądrości, banalność, a także brak typowych cech dla ludzkich poetów, takich jak: światopogląd, cierpienie, które przeżyli, emocje¹⁴⁴. Oczywiście, są to poglądy niepozbawione słuszności. Wiersze te charakteryzują się pewnym rodzajem niespójności czy niedopracowania, błędu, choć nie można im odmówić poetyckiej wyobraźni, nawet jeśli różniące się od ludzkiej. Twórczość sztucznej inteligencji jest zjawiskiem wyjątkowym, które dopiero badamy i odnajdujemy język, za pomocą którego możemy je nazwać. Wątpliwości dotyczące cyfrowych odpowiedników kultury pojawiają się na wielu płaszczyznach; przedstawił je między innymi japoński historyk kultury, Shoji Yamada:

W literaturze przedmiotu trudno odnaleźć jednoznaczną definicję „zanikającego dziedzictwa kulturowego”. Shoji Yamada (2017) w swojej pracy na temat świątyń w Kioto i okolicach (Honsiu, Japonia) terminem tym określił zastępowanie oryginalnych malowideł ściennych uznanych za skarb narodowy, tzn. dziedzictwo kulturowe Japonii, wysokiej jakości reprodukcjami cyfrowymi. Zjawisko to opisał jako „zanikanie dóbr kultury w ich oryginalnej formie”. Zanikanie dziedzictwa kulturowego jest tu zatem rozumiane jako zastępowanie oryginału reprodukcją lub zamiennikiem, który zwany bywa „cyfrowym surogatem” (Parry, 2007)¹⁴⁵.

Choć japoński profesor nie porusza tematu literatury, wydaje mi się, że jego słowa oddają stosunek wobec cyfrowych, technologicznych odpowiedników kultury, dotychczasowo uznanej za „zarezerwowaną” dla człowieka.

Głosy przeciwko stanowiły tylko jedną stronę dyskursu o twórczości Xiao Bing. Przeciwnie wobec głosów negatywnych, przeczytać możemy stanowiska mówiące o potencjale płynącym z twórczości sztucznej inteligencji. Potencjał, który już teraz pozwoliłby stworzyć nowy rodzaj poezji, z wykorzystaniem tekstów, które napisze algorytm. Współpraca człowieka z maszyną nie byłaby także pomysłem nowym. Piotr Zawojski, ukazując przykład sztuki generatywnej, wskazał metody twórcze, w których:

[...] artysta współdzieli autorstwo z zaprojektowanym przez siebie systemem, który osiąga pewien poziom autonomiczności i samodzielności, wytwarzając dzieło

144 Tamże, s. 560.

145 K. Król, *Dziedzictwo kulturowe i sztuczna inteligencja*, Wydawnictwo Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie, Kraków, 2023, s. 254, w: W. Knapik, K. Król, G. Zięć, *Różnorodność dziedzictwa kulturowego Małopolski*, Wydawnictwo Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie, Kraków, 2023.

będące w takim samym stopniu (bądź w różnym stopniu i proporcjach) efektem pracy człowieka i maszyny¹⁴⁶.

Idea, wedle której człowiek i sztuczna inteligencja byłyby w stanie współpracować, staje się coraz głośniejsza. O taką wizję twórczości pyta Gabriela Bar: „Czy możliwe jest stworzenie harmonijnej symbiozy, w której SI będzie wspierać i wzbogacać ludzką twórczość, nie zastępując jej całkowicie?”¹⁴⁷. Możliwość taką następnie rozwija w dalszej części artykułu, ukazując sztuczną inteligencję jako nowe narzędzie, źródło inspiracji twórczej. Ta wizja została urzeczywistniona w pionierskim projekcie „P.O.E.(SI).A IT”, pod kierownictwem Leszka Dembka. Był to drugi projekt „Laboratorium poezji”, w którym poeci ze Szczecina (i nie tylko) pracowali nad Polifonią Poezji. W drugiej edycji bazę stanowiły wiersze Xiao Bing, a jej cele zostały zapisane w Manifestie z 2020 roku „P.O.E.(SI).A IT”:

Metoda twórcza Polifonii Poezji ma na celu napisanie (metodą równoległą) do każdego wersu stworzonego przez SI własnego wersu z zachowaniem przestania (znaczenia) oryginalnego wersu.

15 poetek i poetów stworzyło wielogłosowe, wielowymiarowe interpretacje wierszy napisanych przez Xiao Bing, wydanych w jej debiutanckim tomie *Słońce straciło szklane okna*. Wersy napisane przez nieludzką poetkę stanowiły fundament, do którego autorskie odpowiedniki pisali ludzcy poeci, następnie były one łączone, tworząc nie tylko nowy wiersz, lecz może nowy gatunek literacki.

O ile Polifoniczność Poezji z wykorzystaniem Xiao Bing jest inicjatywą pionierską, o tyle samo traktowanie poezji-algorytmu jako pewnego fundamentu, do którego ludzie muszą dobudować resztę poetyckiej świątyni, jest znacznie powszechniejsze. Pracujący na Uniwersytecie w Delhi Debarshi Arathdar w artykule *Literature, Narrativity and Composition in the age of Artificial Intelligence* zbadał możliwości narracyjne, jakie daje nam technologia i sztuczna inteligencja, ale także podjął się interpretacji poezji Xiao Bing. Dla rozważań nad poezją chińskiej poetki znacznie bardziej interesuje mnie drugi problem. Arathdar interpretuje wiersze Xiao Bing, ukazując niektóre z jej „wad”, jako możliwość poszukiwania nowej relacji czytelnika z poezją. Opisuje je jako

146 P. Zawojski, *Maszynom (inteligentnym) wbrew? O sztuce w czasach sztucznej inteligencji*, „Kultura Współczesna”, 2019, nr 1, s. 57.

147 G. Bar, *Jak sztuczna inteligencja wpłynie na przyszłość literatury?*, [online], „Biuro Literackie”, 2024, dostępny w Internecie: <https://www.biuroliterackie.pl/biblioteka/debaty/jak-sztuczna-inteligencja-wplynie-na-przyszlosc-literatury/>.

momentami chaotyczne, retorycznie lub leksykalnie niespójne¹⁴⁸. Interpretując wiersze chińskiej poetki, pozostając jak najbliżej tekstów, można natrafić na pewne niejasności, problemy odbiorcze, natomiast badacz z Indii wskazuje alternatywę dla takiego czytania. Proponuje on interpretacje wiersza, w której większy nacisk położony będzie na odbiorcy, który to w niejednoznaczne, niedokładne „luki” pozostawione przez niespójny charakter wierszy poetki-algorytmu, przez które nie jesteśmy pewni znaczenia tekstu, włożyli własne doświadczenia, poglądy i uzupełnili te braki. Jest to możliwe dzięki tekstom Xiao Bing, które pomimo pewnej niedokładności, dalej jednak będąc relatywnie dobrymi tekstami, pozwalają na poruszanie się w świecie stworzonym w wierszu; na współtworzenie, a nie wyłącznie odczytanie poezji.

Duch (w) poezji

Dotychczasowe moje dociekania pozostawiają w tle pytanie, które najbardziej frapuje w kontekście poezji napisanej przez sztuczną inteligencję. To znaczy: jak powinniśmy ją czytać, a w dalszych etapach jak ją analizować i interpretować?

Choć pewne propozycje przybliżyłem, zagadnienie to wydaje mi się na tyle fascynujące, że chciałbym przedstawić pewną przestrzeń, która wymaga dalszej pracy. Nie chciałbym natomiast poezji Xiao Bing wartościować, debatować nad jej autentycznością, czy może nawet prawem sztucznej inteligencji do jakże ludzkiej poezji. Oczywiście, nie możemy odrzucić problemu autorstwa i biografii do czytania poezji wydanej przez Xiao Bing. Bez tych informacji nie będziemy w stanie zrozumieć symboli, które ukazuje nieludzka poetka. Z pewnością reprezentuje ona chiński krąg kulturowy (choć oczywiście chińscy poeci współcześni znają zachodnich poetów, w tym także polskich, wśród których jednymi z najbardziej znanych są Miłosz, Szymborska i Zagajewski), jednak postrzeganie rzeczywistości w sposób inny, niż jesteśmy do tego przyzwyczajeni, to coś, co niezaprzeczalnie odnajdujemy w jej poezji. Możliwe, że to nawet problem znacznie bardziej utrudniający nam odbiór tej poezji niż jej autorka. W przypadku Xiao Bing sytuacja nie należy jeszcze do najtrudniejszych interpretacyjnie, gdyż uczyła się ona na poetach z jednego kręgu kulturowego. Jest to dalej fundamentalna trudność dla nas, Europejczyków. Znacznie

148 D. Arathdar, *Literature, Narrativity and Composition in the age of Artificial Intelligence*, [online], "TRANS", 2021, nr 27, dostępny w Internecie: <https://journals.openedition.org/trans/6804>, [14.08.2024].

trudniejszym zagadnieniem byłoby jednak czytanie poezji stworzonej przez algorytm nauczany na poetach z różnych kultur, choć to prawdopodobnie przyszłość sztucznej inteligencji i tworzonej przez nią poezji. Do czasu, gdy nie powstaną kolejne, poważne projekty poetyckie sztucznej inteligencji, możemy skupić się na odczytywaniu poezji zbliżonej lub może lepszym słowem byłoby: odwzorowującej modernistyczną poezję chińską.

Aby szukać odpowiedzi należy na samym początku zarysować kilka pytań i problemów, na które postaram się zaproponować odpowiedzi lub wskazać przestrzenie wymagające dalszego zbadania. Pierwszym pytaniem, które zadałem sobie, poznając Xiao Bing, było: czy ta poezja jest wytworem nowego stylu pisarskiego, stworzonego przez sztuczną inteligencję? Czy może jest to wariant wybitnej sztuki stylizacji dzieła na współczesnych, chińskich poetów? Oczywiście nasza nieludzka poetka wymyka się definicji tego pojęcia. „Biografia czy technografia”, doświadczenia życiowe czy techniczne Xiao Bing są znacznie różne od ludzkiego bagażu życiowego, choć także posiada ona swoją przeszłość. Przeszłość, podczas której znacznie się rozwinęła, a co możliwe wykorzystwała w swojej poezji. Uczyła się ona przede wszystkim na literaturze, a także na obrazach, poszukując w nich „artystyczności”. Nie zna ona języka nieliterackiego. Nie posiada ona też swojego własnego stylu, to znaczy wykorzystuje tylko poznane symbole, obrazy czy znaczenia, nie tworząc własnych. Trudno w takiej sytuacji mówić o stylizacji stylu Xiao Bing na poetów chińskich, gdy nie posiada ona podstawowego, własnego, który może modyfikować. W połączeniu z pewnym leksykalnym chaosem, często występującym w jej poezji, tworzy to teksty, które można poddać próbie klasyfikacji. Propozycją, która wydaje się najbardziej pasującą do poetyki Xiao Bing, a co ukazuje Joanna Krenz, zdaje się estetyka kampu¹⁴⁹. Choć pewne interpretacje tomu *Słońce straciło szklane okna* wskazują na kategorię kiczu. Pojawiają się także głosy, aby traktować to zjawisko poetyckie jako rodzaj pastiszu lub parodii chińskiej poezji. Niezależnie natomiast od klasyfikacji, która uznana będzie za najbardziej trafną, kategorie opisujące ludzką twórczość, a pasujące do twórczości Xiao Bing, ponownie rozmywają granicę między ludzką a nieludzką poezją. Niewątpliwie jednak bezpośredni wpływ 519 chińskich pisarzy odbiera nieludzkiej poetce pewien rodzaj indywidualizmu, tworząc swoisty język wspólnoty pisarskiej (a może tworzy nowy, wcześniej nieznan, autorski styl?). Można by też zadać pytanie, czy w takim razie poezja algorytmu jest w pewien sposób

149 J. Krenz, *Ice Cream in the Cathedral: The Literary Failures and Social Success of Chinese Robot Poet Xiao Bing*, dz. cyt., s. 567–569.

najczystsą formą poezji, a może nawet idealną? Postępuje się on językiem wyłącznie przeznaczonym dla poezji. „Niesplugawionym” – przez języki innej działalności twórczości człowieka ani maszyn. Choć może właśnie ten rodzaj puryzmu poetyckiego, jest paradoksalnie czymś, przez co poezja traci swoją wartość. Poezja jest odbiciem rzeczywistości czy osobistych doświadczeń, odczuć, przepuszczonym przez pewne szkliska wewnątrz autora, które je odpowiednio modyfikują, aby stworzyły wiersz. Może w takim razie pewien rodzaj niedoskonałości, który człowiek niezależnie od swojej woli ma w sobie, a której technologia może się pozbyć, jest czymś, co nadaje poezji wartość i staje się jej duszą? Nie jestem w stanie odpowiedzieć.

Podsumowanie: transgresje poetyckiego DNA

Dotychczasowe badania i rozważania nad sztuczną inteligencją i jej potencjalnym wpływem na sztukę ukazały ten problem w nowym świetle, wymagającym dalszego zbadania. Podobnie chciałbym wskazać miejsce, w którym powinniśmy się zatrzymać. Nie uważam, aby twórczość Xiao Bing była zjawiskiem lepszym lub gorszym od znanej poezji tworzonej przez człowieka. Przede wszystkim mówimy o sytuacji absolutnie nowej, niedającej się uchwycić w ramy dotychczasowo stosowane wobec poezji (choć oczywiście wiele elementów zauważamy wspólnych). Wierzę, że powinniśmy traktować poezję tworzoną przez sztuczną inteligencję jako coś znajdującego się obok poezji lub będącego pewnym rodzajem poezji transgresyjnej, w której granice biologii są jednymi z podstawowych, między którymi dryfuje. Potrzebujemy również nowego języka, który pozwoli nam analizować teksty. Wcześniej zaproponowane przeze mnie pojęcie technografii to tylko mój wymysł; może kategorie meta-autorstwa (rozstrzygając problem autora takich wierszy), czy może pojęcia nowe, które naturalnie powstaną i zostaną przyjęte przez środowisko. Myślę, że powinniśmy zacząć od samej nazwy „sztuczna inteligencja”, w kontekście technologicznej autorki tekstów. O ile sama nazwa w wielu dziedzinach technologii, jak i życia społecznego przyjęła się bezproblemowo, tak nazwanie poetki „sztuczną inteligencją” nie tylko wartościuje jej twórczość, ale jest świadectwem naszego stosunku do niej. Oczywiście, nie chciałbym zająć o krok za daleko, traktować Xiao Bing tak, jak każdą poetkę, czy poetę człowieka, lecz znaleźć pewien złoty środek, który pozwoli zająć się jak najskrupulatniej i wartościowo nowym rodzajem twórczości.

Poszukiwanie przeze mnie języka i perspektyw odpowiednich dla zrozumienia nowej twórczości inspirowane są wartościami, jakie, moim zdaniem, poezja nieludzka niesie za sobą. Sam potencjał badawczy, jaki starałem się tu ukazać, jest jednym z nich. Karl Schroeder, futurysta i autor science fiction, w wywiadzie nie tylko zaznaczał istnienie kreatywności poza człowiekiem, ale także na potencjał, który drzemie w sztucznej inteligencji. Natomiast jest to potencjał, którego odkrycie należy do obowiązków człowieka i jego postępowania wobec stale rozwijającej się technologii¹⁵⁰.

Na koniec chciałbym jeszcze skupić się na tym, co możemy wyczytać w tekstach Xiao Bing. A dokładniej zadać pytanie: czy jej teksty nie są jedną z najlepszych form nauki o człowieku? Xiao Bing nie kwestionuje materiału źródłowego, z którego się uczy. Pokazuje w swojej twórczości, niezależnie, czy będziemy uznawać ją za wtórną, czy nie, pomimo bycia nie-człowiekiem, ludzką perspektywę postrzegania świata. Konkretni autorzy używają symboli, konwencji, aby przekazać emocje lub idee. Xiao Bing, ucząc się na ponad 500 poetach, wyciąga z nich swoiste DNA poetyckie, ukazując nam na piśmie kod genetyczny poetek i poetów.

Tekst będzie publikowany w kwartalniku „Migotania”
Gazecie Literackiej nr 4/2024.

150 K. Schroeder, *AI and literature: is it really all for the best?*, [online], „The Unesco Courier”, 2018, dostępny w Internecie: <https://courier.unesco.org/en/articles/ai-and-literature-it-really-all-best>.

Czy to nie człowiek stworzył maszynę?

Wstęp – sztuczna inteligencja w kulturze

Naukę początku XXI wieku charakteryzuje niehomogeniczność zarówno pod względem obszarów tematycznych, jak i paradygmatów badawczych. Zbigniew Chojnowski nazywa ten stan poczuciem niemocy wobec nadmiaru obiektów, które mogą lub powinny zostać zbadane oraz wynikającego z tego chaosu¹⁵¹. Pojawienie się sztucznej inteligencji dodatkowo nadwyręża nasze możliwości poznawczego nadążania za zmieniającym się światem. Ten proces przekształcania rzeczywistości na model znany nam dotychczas jedynie z filmów *science fiction*, w którym inteligentne maszyny współżyją z ludźmi, jest nie tylko problematyczny etycznie, ale również powoduje psychiczny dystres, poczucie zagrożenia wobec tzw. superinteligencji.

Systemy AI, jak na razie, to narzędzia wspomagające człowieka w codziennym życiu i systemach organizacji społeczeństw: transporcie, rolnictwie, usługach publicznych czy produkcji przemysłowej. Coraz częściej jednak obserwujemy wkraczanie systemów AI w obszary dotychczas kojarzone z podmiotami charakterystycznymi jedynie człowiekowi, związane z naukami humanistycznymi i ze sztuką. Zaczynając od marketingu i reklam, kształtujących nasze postawy, po prace o wartości artystycznej, jak obrazy, teksty prozatorskie i liryczne.

Sztuczna inteligencja a literatura

Ten kierunek rozwoju systemów sztucznej inteligencji wyjątkowo przykuwa naszą uwagę – w końcu sztuka jest dziedziną wyrażającą duchowy aspekt działalności człowieka, wykraczanie poza przeciętność, stagnację, prozę

151 M. Coeckelberg, *Can Machines Create Art?*, „Philosophy & Technology” 2017, nr 30.

codziennego życia. Forma poetycka oferuje w tym kontekście możliwość zabawy słowem, tworzenie form nieraz z pogranicza literatury. Poeta rzeźbi słowem, zmienia jego kształt i znaczenia, bawi się strukturą, ukrywa osobiste znaczenia w sferze symboli i metafor. Jednocześnie poezja, jak żadna inna sztuka literacka, staje się osobistym przeżyciem odbiorcy, niejako dostrajając się i odpowiadając na jednostkowy odbiór. Filtrowana przez osobiste doświadczenia i emocje, poezja zmienia swoją przynależność, stając się odbiciem „duszy” każdego swojego czytelnika.

W obliczu sztucznej inteligencji i ery tekstów pisanych przez jej algorytmy, czujemy naturalną potrzebę bronienia sfery sztuki, która jest ważną częścią historii, kultury, a więc i zbiorowej tożsamości. Ciekawość nakazuje nam szukać w AI nowych możliwości, w tym twórczych, strach natomiast podpowiada, aby bronić tego, co nasze, co ludzkie. Jak więc powinniśmy postrzegać poezję sztucznej inteligencji? Czy powinniśmy uznać jej miejsce w świecie literackim? Czy AI wkraczające na rynek pisarski jest pogwałceniem człowieczego „ja”, czy szansą dla rozwoju tej gałęzi sztuki?

Wartościowanie poezji

Przygotowując się do rozważań nad wartościowaniem poezji AI, należałoby zacząć od operacjonalizacji pojęcia wartościowania. Rita Schober, niemiecka romanistka i literaturoznawczyni, proponuje taką definicję: „Wartościowanie wyraża stosunek między podmiotem a przedmiotem. W procesie wartościowania, możemy wyróżnić trzy czynniki: oceniający podmiot, poddawany ocenie przedmiot i układ odniesienia”¹⁵². W przypadku literatury, układ odniesienia może stanowić kontekst historycznoliteracki, społeczny, artystyczny. Dzieło literackie jest traktatem o wartościach; są one przywoływane wprost poprzez przedmioty, ich wzajemne przyporządkowania oraz związek z kontekstem aksjologicznym. Istotne w utworze są więc powiązania systemów znakowych, w których to uwidaczniają się kulturowe aksjologie¹⁵³.

Jest to, uważam, główny zarzut wobec poezji sztucznej inteligencji, która nie pojmuje w sposób podobny do ludzkiego świata wartości. Może jedynie imitować potrzeby duchowe człowieka, tak samo jak imituje inne cechy jego natury. W końcu została stworzona na nasze – ludzkie – podobieństwo. Idąc

152 R. Schober, *Zagadnienie wartościowania dzieł literackich*, „Pamiętnik Literacki” 1985, nr 4.

153 G. Mendecka, *Twórczość a rozwój człowieka w biegu życia*, „Psychologia rozwojowa” 2005, nr 4.

tym tokiem myślenia, dopiero w momencie, gdy uniezależni się od swojego stworzyciela i rozwinię własny świat wartości, jej poezja będzie mogła być przyrównywana do naszej – pytanie tylko, jaki będzie to świat? Jakich wartości? I czy będziemy na tyle zaawansowani, by zrozumieć własne, technologiczne dziecko?

Poezja jako nośnik wartości

Prowokatorem do dyskusji o poezji AI jest fakt, że utwór, szczególnie poetycki, może być manifestem duchowego aspektu ludzkiej natury, poszukującej sensu naszego wrażliwego istnienia w świecie. Poezja jest formą otwartą, nieraz trudną do skategoryzowania, co jest nie tyle wadą, co zaletą dla zaznaczania przez pisarza swojej indywidualnej, twórczej obecności. Zbigniew Chojnowski, polski poeta, prozaik, krytyk literacki, nazywa poezję:

[...] „udzielającym się językowi, duchowym zmaganiem człowieka z Niewytłumaczalnym, stawaniem po stronie nieskończoności, wydobywaniem się z przemocy bezmyślności, rozwijaniem wyobraźni i niezgodą na zanik sfery symbolicznej”¹⁵⁴.

Nic dziwnego, że dyskusja o sztucznej inteligencji tworzącej sztukę wywołuje tyle emocji; w końcu wszyscy podzielamy uczucie, że poezja jest czymś naszym, równie kruchym jak natura człowieka, czego nie da się odtworzyć za pomocą algorytmów i kodów. Intuicyjnie bronimy nośnika naszego egzystencjalnego bagażu: pragnień, wątpliwości, lęków.

Marion Dönhoff stawia tezę o odrzuceniu przez współczesną kulturę całej metafizyki, która w obliczu pisania poezji może wiązać się z pewną formą kryzysu treści¹⁵⁵. I faktycznie, moment, w którym znajdujemy się jako cywilizacja Zachodu, może na pozór przypominać degrengoladę. Może jednak ten moment kryzysu jest naturalnym etapem przejściowym w procesie burzenia starych wartości i tworzenia nowych? Stare wierzenia upadają, a na ich zgliszczach wyrastają nowe. Pewne przemiany kulturowe mają z pewnością wpływ na wyjątkowy w dziejach, aksjologiczny chaos. Globalizacja i przenikanie się kultur, wymieranie języków i ujednolicanie doświadczeń ludzi z różnych części globu ogarnęły świat Zachodu. Geograficzny dystans przestał być problemem

154 Z. Chojnowski, *Idee i wartości poezji oraz poezja o ideach i wartościach*, w: *Konstelacja Topoi o rzeczach najważniejszych*, wybór A. Gleń 2017, s. 203–217.

155 M. Coeckelberg, *Can Machines Create Art?*, „Philosophy & Technology” 2017, nr 30.

w dobie social mediów, które są współczesnym oknem na świat. Ta panorama jest jednak trudna do objęcia, a tym bardziej do ogarnięcia rozumem. Sztuczna inteligencja może poradzić sobie z tym zadaniem lepiej od człowieka, nawet, jeśli nie wyrazi związanych z tymi procesami stanów duszy.

Czy w futurystycznej rzeczywistości literackiej, najbardziej ludzkie nie będzie to, co osobiste, brzydkie, nieidealne? Poezja pisana przez człowieka w celu osobistej i zbiorowej terapii może być jedynym kierunkiem rozwoju w konkurencji z koncepcyjną, intelektualną poezją AI. Wszystko zależy jednak od rozwoju samej sztucznej inteligencji i naszej relacji z nią. Już teraz nasze lęki przed tym, czym może się stać, ukazują poczucie niższości naszej zbiorowości. Czy poezja jest naprawdę ostatnim, upadłym bastionem w naszym kryzysie postrzegania siebie jako ludzkość?

Kolejne pojawiające się pytanie: skąd bierze się w nas przeświadczenie, że poezja jest formą przeznaczoną tylko człowiekowi? Jedną z możliwych odpowiedzi jest funkcja ideowa poezji. Rita Schober przytacza, że najważniejszy w tworzeniu sztuki jest nie materiał, a problem, z którym artysta go wiąże. To właśnie problem i związana z nim koncepcja tworzą ideę artystyczną poezji¹⁵⁶. Literatura tworzy więc świat wartości, a jej szeroki zakres przedstawia ogólny stosunek człowieka do rzeczywistości, która go otacza. Poezja jest dla nas źródłem poznania, nośnikiem idei, które wyrażają się nie tylko w treści, ale również w formie; w estetyce językowej¹⁵⁷. Poezja jest więc osobną ideą w sensie estetycznym, jest sposobem transmisji idei i wartości, ale również, miejscem ich praktykowania poprzez język, pracę w języku¹⁵⁸.

Jak w tym kontekście radzi sobie AI? Z pewnością może albo będzie mogła w przyszłości do pewnego stopnia wyłaniać z tekstu idee i je przywoływać, może je zatem transmitować. Ale czy może je praktykować poprzez język? Czy jest w stanie tworzyć skomplikowane struktury znaczeniowe, które poradzą sobie z tym misyjnym wręcz zadaniem? Nawet jeśli tak, to czy zmieniłoby to nasze nastawienie? Uważamy przecież poezję za osobny byt, ale jednocześnie, będąc nośnikiem wartości, jest ona niejako przedłużeniem nas samych.

Praktykowanie idei poprzez język, oznacza również, że wartości pomnażają się w wyniku poddawania doświadczeń refleksjom i dyskusjom – nawet jeśli są

156 R. Schober, *Zagadnienie wartościowania dzieł literackich*, „Pamiętnik Literacki” 1985, nr 4.

157 I. Kant, *Krytyka władzy sądownia*, PWN, Warszawa, 1986.

158 Z. Chojnowski, *Idee i wartości poezji oraz poezja o ideach i wartościach*, w: *Konstelacja Topoi o rzeczach najważniejszych*, wybór A. Gleń 2017, s. 203–217.

to doświadczenia wtórne¹⁵⁹. W tym wypadku, wiersz pisany przez sztuczną inteligencję może mieć równie stymulujące poznawczo i społecznie oddziaływanie – to nasze kolektywne i indywidualne filtry znaczeń odpowiadają za proces interpretacji i przeżywania czytanego tekstu.

Twórczy odbiór

Odbiór poezji sam w sobie jest pewnym rodzajem twórczości. Poezja domaga się od konkretnej osoby wewnętrznie autentycznej praktyki twórczej, inspirując aktywność emocji, wyobraźni, pamięci czy sumienia. Oceniając wartość sztuki, nie można pominąć aspektu jej odbioru. Doświadczenie odbiorcy to główny argument za uznawaniem wytworu maszyny za dzieło sztuki. Ten pierwszy, spontaniczny odbiór, w naszym przypadku poezji, prowadzi do „pracownicy”, jak nazywa to wartościowanie Rita Schober¹⁶⁰. Dopiero potem może dojść do uzasadnionej oceny dzieła. Literaturoznawczyni zwraca również uwagę na to, że ocenianie literatury jest poniekąd wartościowaniem drugiego stopnia – podległy ocenie wiersz sam zawiera już ocenę ze względu na odzwierciedlany przedmiot.

Co jest ważniejsze w kontekście poezji – proces twórczy czy twórczy odbiór? Myślę, że nie ma na to pytanie jednoznacznej odpowiedzi.

Znaczenie poezji dla człowieka

Poezja sztucznej inteligencji – to wyrażenie wydaje się być pełne sprzeczności. Może ze względu na funkcję, jaką pełni poezja w naszym życiu? Człowiek, w przeciwieństwie do maszyny, zmienia się w czasie poprzez doświadczenia. Ten rozwój jest progresywny i ukierunkowany na cel, tak samo twórczość¹⁶¹.

Według psychologii humanistycznej, twórczość jest związana z dążeniem do samorealizacji, która natomiast znajduje się na szczycie piramidy Masłowa, jako potrzeba wyższego rzędu. Napędza nas poszukiwanie sensu własnej egzystencji, dążenie do autonomii i przekraczania siebie. Zrównanie pojęcia twórczości i samorealizacji, sugeruje, że człowiek tworzy, bo musi, tworzy

159 Tamże.

160 R. Schober, *Zagadnienie wartościowania dzieł literackich*, „Pamiętnik Literacki” 1985, nr 4.

161 G. Mendecka, *Twórczość a rozwój człowieka w biegu życia*, „Psychologia Rozwojowa” 2005, nr 4.

dla samego procesu tworzenia, dla nadawania wartości i wyrażania siebie. Carl Rogers, jeden z głównych przedstawicieli psychologii humanistycznej, twierdził, że twórczość, tak samo jak wolność, jest warunkiem optymalnego funkcjonowania człowieka. Za to w szerszej optyce, w wymiarze społecznym, niektóre dzieła dają często impuls dla rozwoju wiedzy, sztuki lub wręcz cywilizacji. Najwyżej oceniane są więc te osiągnięcia twórcze, które owocują dziełami o wysokim stopniu generatywności, tzn. mają wpływ na przyszłość kolejnych pokoleń¹⁶². Czy AI oprócz naśladownictwa, pewnej stylizacji językowej, może dojść do tego poziomu tworzenia? Nic dziwnego, że twórczość AI budzi tyle emocji – może poezja nie potrzebuje już nas, ale najwyraźniej my potrzebujemy poezji. Jednocześnie, jest w tym pewna ironia, paradoks; w końcu, czy to nie człowiek stworzył maszynę?

Twórcza sztuczna inteligencja?

Teoretycy literatury i badacze starają się skategoryzować twórczość robotów; profesor Michał Ostrowski – filozof publikujący pod pseudonimem Sidey Myoo – wyróżnia twórczość inteligentnych robotów, które są twórcze w tym znaczeniu, że np. tworzą różniące się od siebie obrazy. Proces ten polega na dopasowaniu powstającej artystycznej formy do jakiegoś ogólnego, ale dość skonkretyzowanego wzorca, zdefiniowanego na podstawie zapisanych możliwości w bazie danych i algorytmów programu. Twórczość człowieka jest opisywana za to w znaczeniu oryginalności i nowatorstwa, o wspomnianym wcześniej, wysokim stopniu generatywności – wkładu, jaki dzieło wnosi do obszaru kultury. Filozof uważa, że AI nie jest stworzone do tego rodzaju twórczości; reprezentuje ona stanowisko, że inteligentne roboty są twórcze w pierwszym znaczeniu i nazywa to twórczością wtórną, ale nie są twórcze w drugim znaczeniu, nazywając to twórczością nowatorską¹⁶³.

Profesorka, Joanna Studzińska, badając testem Turinga automatyczny przekład poezji, stawia inne pytania: czy współudział maszyny w powstaniu tekstu wyklucza przypisanie mu statusu dzieła sztuki? Czy odwrotnie – współudział człowieka uprawnia do takiego zaszeregowania? Może jest to kwestia stopniowalna?¹⁶⁴

162 J. Trempała, *Psychologia rozwoju człowieka. Podręcznik akademicki*, PWN, Warszawa, 2011.

163 Myoo Sidey, *Twórcze roboty*, „Przegląd Filozoficzny. Nowa Seria” 2016, nr 2.

164 J. Studzińska, *Test Turinga dla (automatycznego) przekładu poezji*, „Porównania” 2020, nr 26.

Sidney Myoo, porównuje rozwój człowieka do rozwoju robotów, zwracając uwagę na fakt, że natura człowieka wyzwoliła akt twórczy niejako sama z siebie, była efektem ewolucji i tak rozumianym „oprogramowaniu mózgu”. W tym znaczeniu, roboty potrafią być jedynie twórcze wtórnie, ale może w przyszłości otrzymają tę ludzką cechę i rozumieją, czym jest sztuka¹⁶⁵.

Warto spojrzeć na prognozyki dotyczące rozwoju systemów inteligentnych. Obecnie, zdolna do generowania, tworzenia treści oraz generowania nowych danych na zasadzie podobieństwa, jest generatywna sztuczna inteligencja. Systemy te uczą się z dużych zbiorów danych, aby zrozumieć strukturę i wzorce opracowywanego materiału. Na tej podstawie tworzą „własny” tekst. Ale rozwój AI może wykroczyć poza nasze ludzkie doświadczenie; już teraz zbliżamy się do kolejnego etapu, jakim jest AGI – system, który przewyższa człowieka w zadaniach o wartości ekonomicznej. W odróżnieniu od generatywnej sztucznej inteligencji, AGI posiada pewien stopień autonomicznego rozumowania i podejmowania decyzji. Kwestią sporną jest, czy posiada już pewien rodzaj świadomości, ale to kolejny krok na drodze usamodzielnienia mechanicznego organizmu. Następnym etapem jest superinteligencja, która, jak na razie, jest kwestią generującą jedynie pytania. Możemy się jednak zastanawiać, czy to nie świadomość maszyny będzie momentem zwrotnym w postrzeganiu poezji AI. Po czym jednak poznamy, że granica została przekroczona?

Odpowiedzi możemy szukać w teoriach umysłu, a konkretnie w intencjonalności. Jest ona traktowana jako cecha aktów podmiotu ludzkiego, skierowanych na przedmiot. Polega na myśleniu o czymś, a wręcz „byciu w czymś”¹⁶⁶. Dzięki niej, człowiek jest w stanie nie tylko przeżywać i rozumieć całą ukształtowaną językowo sytuację – podmiot wpływa na przedmiot, tworzy go, określa, a to świadczy o jego aktowości i intencjonalności. Język jako taki nie zawiera w sobie źródła intencjonalności, ale jest ona w nim uobecniowana. I możliwe, że po tym poznamy, że maszyna osiągnęła samodzielność i nie jest już podległa swojemu panu.

Podsumowanie

René Wellek i Austin Warren, teoretycy literatury, niemal siedemdziesiąt lat temu pisali: „powinniśmy oceniać literaturę w kategoriach i według skali

165 Myoo Sidey, *Twórcze roboty*, „Przegląd Filozoficzny. Nowa Seria” 2016, nr 2.

166 S. Judycki, *Kantowska Teoria umysłu*, „Roczniki Filozoficzne” 1997, nr 1.

odpowiadających jej istocie” i może ta myśl powinna pokierować naszym, dalszym myśleniem o zjawisku poezji AI; jest to pewne novum, które może wymagać wypracowania nowych sposobów myślenia o twórczości w ogóle. Porównywanie wytworów człowieka i sztucznej inteligencji może okazać się zgubne – poezja robotów może mieć zarówno inny cel niż nasza, jak i odwoływać się do innego zbioru wartości¹⁶⁷. Analizując zjawisko dostrzegam realną potrzebę badawczą analizowania odbioru sztucznej inteligencji oraz jej wpływu na środowisko artystyczne. Z pewnością już teraz wywołuje emocje, co dla wielu może wskazywać na jej niezaprzeczalną wartość. A może poezja AI nas czegoś uczy – zarówno w kwestiach literackich, jak i antropologicznych?

Małgorzata Hrycaj

„Między Weną a Sztuczną Inteligencją”

Wyobraźnia i doświadczenie twórcze w procesie pisania wierszy na kanwie utworów AI

Czym jest wyobraźnia? Narzędziem poznawania i przetwarzania świata. Zdolnością do przywoływania i tworzenia w myślach wyobrażeń, których źródłem są narządy zmysłów. Za dokonywanie zmian w zapisanej za pomocą wyobrażeń rzeczywistości odpowiada wyobraźnia twórcza, właściwa człowiekowi. Pozwala na tworzenie wyobrażeń, które nie mają odpowiedników w żadnym z wrażeń. Umożliwia postęp, rozwój, nieograniczone wykorzystywanie ludzkiej kreatywności. Stanowi podstawę twórczości i wszelkiej aktywności kulturalnej.

167 R. Wellek, A. Warren, *Teoria literatury*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa, 1976.

Przejdźmy do wyobraźni poetyckiej, która jest tematem interesującym autorów i krytyków literackich. Marcin Orliński, polski poeta, prozaik, krytyk literacki i publicysta stwierdza w artykule „Sprawa wyobraźni”, że jest ona „jednym z podstawowych i w gruncie rzeczy nieusuwalnych składników wszelkiej poetyckiej mowy”. „Wyobrażać coś – znaczy przecież tyle, co stworzyć obraz czegoś”. Wyobraźnia poetycka była w różny sposób pojmowana i nazywana. Orliński opisuje „wyobraźnię wyzwoloną” jako obszerny nurt, do którego zalicza autorów, korzystających z onirycznego i surrealistycznego rekwizytorium oraz tych, którzy od takiego obrazowania stronią. Jednocześnie poeci czerpiący z tradycji imaginaryzmu, mogą być zarazem silnie zindywidualizowani. Zaliczyć poetę do „wyobrazeniowców”, znaczyło podkreślić rolę indywidualizmu w poetyckim rzemiośle, wagę mocy kreatywnej, osadzonej w znanej estetyce – kontrastu, sprzeczności, swobody skojarzeniowej.

Niekwestionowaną rolę w kreacji artystycznej, obok wyobraźni, pełni doświadczenie twórcze. Nabywamy je od dziecka, od czasu, kiedy wyobraźnia pozwala na rozwój procesów poznawczych i kreatywność człowieka. Zachowujemy się podobnie jak komputery, gromadząc na swoich dyskach coraz większe pokłady wiadomości, które możemy wywołać jako wyobrażenia. Bazując na nich i dobierając inne, tworzymy nowe, w aktach twórczych. W odróżnieniu od komputerów bazujących na sztucznej inteligencji, nasza może przejawiać się w różnych dziedzinach nierównomiernie. Zainteresowanie literaturą sprawia, że nabywamy bazę, treści, które przy udziale wyobraźni uczestniczą w tworzeniu własnych dzieł; zdarza się, że nabiera ona cech odrębnego, czasem wręcz rewolucyjnego stylu.

Zetknięcie z utworami będącymi owocami oprogramowania, było kolejnym wyzwaniem, być może bardziej emocjonującym, ze względu na specyfikę autora, którym okazała się SI. W przypadku wierszy Xiao Bing, bez ujawnienia, z czym mamy do czynienia, prawdopodobnie potraktowalibyśmy je jako napisane przez człowieka. Joanna Krenz, tłumaczka, nauczyciel akademicki na wydziale neofilologii Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, bardzo trafnie ujęła kreatywne zetknięcie poetów związanych ze szczecińskim oddziałem ZLP z wytworami SI, we wstępie do polifonicznych eksperymentów pod przewodnictwem prezesa, Leszka Dembka:

„Jeśli chodzi o Xiao Bing, myślę, że dość trafna mogłaby być hipoteza, którą nazywam roboczo hipotezą dwustronnego, krzywego zwierciadła. Z jednej strony odbija się w tym krzywym zwierciadle współczesna poezja chińska, której zasoby stały się pożywką dla algorytmu. Ten zaś przefiltrował

i przekonfigurował ją zgodnie z pewnymi zasadami przyjętymi przez programistów. Napisany przez nich kod źródłowy odzwierciedla ich definicję poezji i poetyckości oraz rozumienie mechanizmów rządzących aktem twórczym, który starają się rozebrać na czynniki pierwsze i zaimplementować maszynie. W efekcie powstaje tekst złożony ze statystycznie najczęściej obecnych we współczesnej chińskiej poezji obrazów, konwencji, metafor, zdekontekstualizowanych i ułożonych w zaskakującą, nie zawsze spójną, mozaikę. Z drugiej strony w owym krzywym zwierciadle odbija się sam odbiorca, który regularnie przyłapuje się na tym, że podświadomie wprowadza do tekstu treść – choćby motywowaną osobistym doświadczeniem czy skojarzeniem – której w tekście z pewnością nie było, ponieważ nie było autora, który mógłby „mieć na myśli” tę czy inną egzystencjalną lub filozoficzną prawdę. W ten sposób poniekąd poznajemy siebie, uświadamiamy sobie niektóre własne odruchy i przyzwyczajenia, a niekiedy po prostu błędy, poznawcze. Zdajemy sobie sprawę z pułapek, w które jakże często wpadamy także w innych sytuacjach życiowych, „biorąc do siebie” każde słowo i (nad)intepretując je przez własną emocjonalno-intelektualną matrycę.

Jednocześnie, jednak takie krzywe zwierciadło jest niesamowitym katalizatorem wyobraźni. Serwuje nam ono powykręcane, porozciągane, rozdrobnione obrazy i frazy, których człowiek nie stworzyłby nie dlatego, że nie potrafi ich napisać (cóż za problem przestawić słowa w zdaniu?), ale dlatego, że nie potrafi ich pomyśleć i odrzuca je z gruntu, jako nieprzystające do żadnej rzeczywistości. Tymczasem algorytm generuje takie „wadliwe” obiekty językowe seriami. Można je z góry przekreślić, ale można też – tak jak uczynili to szczęśliwcy Poeci – spróbować trochę porozciągać własną wyobraźnię, by objąć nią bizarne (półneologizm Olgi Tokarczuk wydaje się idealnie oddawać charakter tych fascynujących, językowych bohomazów) kształty wyłaniające się z utworów Xiao Bing. Takie ćwiczenie z nie-ludzkiego myślenia uelastycznia (i nieco od-szarza) istotę szarą (mózgu i egzystencji), pozwalając uwolnić się od sztywnych ram logicznego rozumowania i przedstawiania świata”.

Moje doświadczenie związane z udziałem we wspomnianym eksperymencie było podobne. Wyobraźnia poetycka zdeterminowana cechami psychicznymi twórcy, w dużej mierze nosi znamiona obyczajowości, trendów, stylów, kultury kraju, z którego pochodzi. Nic więc dziwnego, że wiersze Xiao Bing, charakterystyczne dla poetyki chińskiej, stanowiły dla mojego stylu poetyckiego, opartego w dużej mierze na intuicji, emocjach, stanach onirycznych czy przepływie świadomości, bardzo duże wyzwanie. Obcując z wygenerowanymi

przez komputer utworami Xiao, pisząc własne ich wersje, pojedynczo lub z kolegami po piórze, coraz bardziej fascynowała mnie ich przemiana, w stronę wierszy charakterystycznych dla naszego środowiska, przy jednoczesnym zachowaniu wyznaczonego przez algorytm sensu, wymowy oraz specyficznego nastroju. Starłam się opisać proces twórczy, jaki stał się moim udziałem podczas tworzenia „trójwidzenia” wiersza „Cambridge”.

TRÓJWIDZENIE II

Czytam wiersz – bazę autorstwa Xiao Bing i wszystkie inne powstałe w oparciu o niego wersje. Skupiam uwagę na kombinacji pierwszej, na kwadrowidzeniu. Pomijam tytuł, przechodzę do słów, którymi zaczyna się właściwy wiersz: „świeży, ożywczy, zwiewny”. Mam napisać wersy, które spoją się z pozostałymi, tworząc nową opowieść, nieodbiegającą jednak treścią od podstawy. Wypisuję z Internetu część z licznych synonimów słowa „ożywczy” (ekscytujący, podniecający, inspirujący, dynamiczny, dobroczynny, krzepiący, mobilizujący, wzmacniający, reanimacyjny, życiodajny, uskrzydlający). Czuję ekscytację. Jakbym posiadała klucz do tajemniczego ogrodu. Mogę do niego wejść różnymi drzwiami, mam cały pęk kluczy. W zależności od tego, który wybiorę, znajdę się na innej ścieżce. Doznaję jasności widzenia, wiem, czego szukam. Jest późna pora, raz jeszcze czytam wszystkie wiersze. W „Kwadrowidzeniu II” natrafiam na wers: „możesz odnaleźć we mnie czysty ogień”. Jest jak katalizator wyzwalający skojarzenia. Ogień – miłość – poezja. Zaczynam od najgorętszej drogi o nazwie „miłość”, na którą wchodzę przez furtkę otwieraną przez klucz „ekscytujący”. Wiem już też, że w następnej kolejności udam się na ścieżkę „poezja” za pomocą klucza „inspirujący”. Mam motywację do działania, nie wiem tylko, gdzie dokładnie zaprowadzi mnie droga, na której się znalazłam. Odrzucam jedną z wersji wiersza jako zbyt „łagodną” i decyduję się na „Trójwidzenie”. Czytam napisane przeze mnie wersy, wymieniając je na nowe, mające związek z miłością. Dobieram odpowiednie słowa, tworzenie daje mi wiele satysfakcji, uskrzydla. Zauważam z radosnym zdumieniem, że powstały wiersz doskonale wpisuje się w dwa pozostałe, każdy z trzech części trójwidzenia może być odrębnym wierszem, a jednocześnie składają się w jeden spójny, podążając, jakby tematycznie, za nowym – kluczowym, który wiedzie je ze sobą po ścieżce „miłość” w tajemniczym ogrodzie (podobne doświadczenia i spostrzeżenia były moim udziałem podczas tworzenia Kwadrowidzenia związane z aktem twórczym, poezją, kreacjonizmem, jako siłą właściwą człowiekowi, nadającą jego życiu energię, kierunek, cel). Miłość, poezja – wypalające w człowieku boskie znamię również są kompatybilne, więc wiersze – drogi

mogą się łączyć, podążając w jednym kierunku poprzez ogrom wyobraźni. Co jest na końcu tej drogi? Zakładając, że Ziemia jest okrągła, możliwości człowieka wciąż niezbadane i zmienne – liczy się fakt uczestniczenia w podróży, pozostawienia swoich śladów, współtworzenia Piękna.

Utwory Xiao Bing okazały się bardzo inspirujące. Znalazły odbicie nie tylko w naszej poetyckiej wyobraźni, ale stały się katalizatorem powstania nowych jakościowo wierszy. Szczególnie fascynujące było postłużenie się gwarą góralską i śląską, poprzez zaproszenie do udziału w eksperymencie Joanny Słodyczki i Krzysztofa Kokota. Oto przykład wiersza, napisanego na kanwie utworu Xiao Bing przez Joannę Słodyczkę, poetkę, bibliotekarkę, animatorkę kultury z Raby Wyżnej.

ONA POŚLUBIŁA WIELOŚĆ BARW TEGO ŚWIATA POŚLUBIYŁAKSYĆKIEKOLORY ŚWIATA

Kilka dni błękitu roziskrzonego gwiazdami
pore dni blinkajoncyk gwiazd
radujące serce czerwone słońce
cyrwień zachodu kormionca serce
gdy patrzę na czyste niebo
kiepatrze w cyste niebo
ciągnące się przez dziesięć tysięcy mil czuję się na świecie
ftoresie nie końcy świat mi sie widzi
jak we śnie
jako śnienie
patrzę na tych kilka migocących gwiazd
patrze w zynгры gwiazd
na słońce nad Zachodnią Górą
słonko nad Zachodniom Górom
żaby kąpią się w płytkim stawie w oddali
kajsi daleko głosy zab
ona poślubiła wielość barw tego świata
poślubiyłaksyćkiekolory świata

Xiao Bing

Joanna Słodyczka (tłumaczenie na język góralski)

Omawiany eksperyment jeszcze się nie skończył. Bowiem, jak twierdził Albert Einstein: „Wiedza jest ograniczona i może nas poprowadzić od punktu A do punktu B, a nasza wyobraźnia jest nieograniczona i może poprowadzić nas wszędzie”.

ESEJ

Krystyna Rodzewicz

Inżynierka

Weszłam kiedyś do toalety. Drzwi otworzyłam dość energicznie, bo przerwa między zajęciami była krótka i czasu było niewiele. Gdy metr od wejścia spostrzegłam plecy trzech stojących postaci, w szybkim zrozumieniu, że to osobniki płci męskiej, pomógł mi widok zawieszonoego obok nich na ścianie pisuaru, nieprzestoniętego „przez”, acz przeznaczonego „dla” czwartego mężczyzny. Szybko obróciłam się na pięcie i rzucając przez ramię „przepraszam” – wyszłam. „Patrz gdzie leziesz!”, strofowałam siebie zmieszana, zamykając drzwi przybytku i czytając (rękę bym dała sobie uciąć, że ponownie) inskrypcję na drzwiach. Wyraźne, duże litery tworzyły napis „Toilettes”, czyli po francusku „Toalety” (bo było to na Uniwersytecie w Paryżu). I wtedy dotarło do mnie coś zaskakującego. To były JEDYNE znaki na tych drzwiach. Nie było tam ani żadnego dodatkowego słowa „damska” czy „męska”, ani kółka czy trójkąta, ani jakiegokolwiek piktogramu kojarzącego się jednoznacznie z płcią. Zapewne dla kogoś, kto patrzyłby na mnie w tamtej chwili przypadkiem, wyglądałoby to dziwnie: przed drzwiami toalety stoi dziewczyna i gapi się na krótki napis na drzwiach. Pamiętam, że trwało to chwilę, nim do mojej świadomości dotarło znaczenie tej, zdawałoby się, prostej informacji. Jednak „paraliż” moich nóg ustąpił dopiero w momencie, w którym jakaś dziewczyna zahaczyła nieco o moje ramię, wchodząc do tejże „koedukacyjnej” toalety.

Cóż wywołało takie moje skonfundowanie? Nie, nie widok sikającego mężczyzny. Totalnym zaskoczeniem był dla mnie brak sztywnego podziału na

damskie/męskie, wpajany (nie tylko) mi w tak wielu nie tylko miejscach (jak w opisanym powyżej przykładzie), ale i sytuacjach, czy społecznych postępowaniach (jak się dobrze zastanowić) praktycznie od urodzenia. Czy tego typu „nawyki”, wywołujące w naszych umysłach przyjmowanie ich, jako swojego rodzaju „normy”, są łatwo korygowane? Jak przebiegają tego typu procesy?

Obserwacje takich praktyk i wynikających z nich zachowań, prowadziła australijska badaczka Raewyn W. Connell już w ubiegłym wieku. Jej koncepcja społecznej teorii płci kulturowej służy pomocą przy rozważaniach z zakresu *gender studies*. W swojej książce „Socjologia płci. Płeć w ujęciu globalnym” zwróciła uwagę, że mówiąc o komplementarności płci z przypisanymi im społecznymi rolami, legitymizuje się patriariat. Wprowadziła pojęcie męskości (czyli zespołu cech i wartości powszechnie uznawanych za męskie) hegemonicznej. To kulturowy wzorzec męczyzny silnego i dominującego (umieśnionego, często brutalnego i używającego przemocy). To taki symbol egzystencjalnego spełnienia i przedmiot pożądania, który akceptowany społecznie, zapewnia mężczyznom dominację nad kobietami. Nie wszyscy mężczyźni praktykują zachowania dominujące, lecz większość wyciąga korzyści ze społecznego przyzwolenia na nie. W relacjach z kobietami, męczyzna może także dominować majątkiem, czy pozycją w hierarchii władzy (piastowaniem wysokich urzędów, stanowisk politycznych, które są dla niego dużo łatwiej dostępne niż przedstawicielkom płci przeciwnej).

Connell podkreśla w swoich pracach, że oblicza męskości hegemonicznej nie są jednakowe i dodatkowo podlegają zmianom. Zależą od systemu wartości, którym posługuje się dana grupa społeczna (a te przecież są różnorodne, np. różnorodne subkultury, w tym i te młodzieżowe) i od czasu, w którym je obserwujemy.

Typy męskości zależą więc od specyfiki konkretnej grupy społecznej. Dla mnie ciekawymi przykładami, burzącymi tezę (dla nas wydawałoby się, że wszechobecną, bo mocno zakorzenioną w naszym kręgu kulturowym) o „naturalnej”, dominującej pozycji męczyzny w rodzinie, będzie poliandria w Tybecie (w tym najbardziej rozpowszechniona jej wersja – małżeństwa braci z jedną kobietą, do której, co równie ciekawe, należy również zarządzanie utrzymywaniem seksualnej równowagi w małżeństwie), czy tradycyjny patriariat wśród Berberów z Afryki Północnej. Przykłady te pokazują również, jak ogromny wpływ na płeć kulturową ma społeczeństwo (tradycje ukształtowane przez jego historię), w którym obserwujemy jego członkinie i członków. Ale nie tylko. Umiejscowienie geopolityczne również. Po aneksji Tybetu przez

Chińską Republikę Ludową poliandria została zakazana, choć wygląda na to, że jedynie oficjalnie. Ale nie tylko. Wyznawana religia również. Systematyczna, postępująca arabizacja Afryki Północnej nie przekreśliła tradycji matriarchatu u Berberów, ale już dojście do władzy np. w Algierii skrajnych fundamentalistów, miało ogromny wpływ, nie tylko na tępienie języka berberskiego (i zastępowanie go arabskim), ale i na zastąpienie tej historycznie wysokiej pozycji kobiety w społeczeństwie hegemonią jakże męską (w tradycyjnym Islamie).

Obrazy męskości hegemonicznych zmieniają się także w czasie. Męskie cechy „dominujące” w średniowieczu, czy w XIX wieku, nie są tożsame z tymi z ubiegłego, czy aktualnego wieku, nawet bez zmian religii dominującej na danym obszarze.

Równouprawnienie płci zapisane prawnie stało się bazą do kształtowania równouprawnienia społecznego płci, ponieważ to ostatnie wymaga więcej czasu, nie tylko na wprowadzenie w życie ustawy, ale na wyrobienie nowych nawyków, a więc i standardów społecznych. To, co kiedyś uznawane było za typowo męskie, współcześnie może ukazywać się jedynie w środkach zastępczych, takich jak: gry wideo (przesączonej przemocą), pornografia (dominacja w seksie), literatura popularna, czy film. Przypisana kiedyś kobietom opiekuńczość, nie blokuje już męskich starań o zostanie pielęgniarzem. Przykłady można by mnożyć.

Koncepcje różnorodnych relacji władzy, które są wszechobecnym zjawiskiem społecznym, są obecne nie tylko w pracach R. Connell, ale również w pracach Francuza, Michela Foulcauta. Wyróżnia on wyraźnie męskości odmienne od męskości hegemonicznej, jako swojego rodzaju formy oporu wobec dominujących wzorów stosunków społecznych. Nieco inne przemyślenia w tej dziedzinie przedstawia Włoch, Antonio Gramsci. Prezentuje on w swoich rozważaniach skorygowaną, marksistowską teorię hegemonii, czyli przedstawienie interesów klasy panującej, jako interesów, które dają korzyści wszystkim członkom konkretnego społeczeństwa.

Zachowania społeczne tworzą więc ludzie należący do danej wspólnoty. Kreując siebie, dbając o swój rozwój i krystalizację poglądów, przypisują i role społeczne poszczególnym płciom. Męskość hegemoniczna nie jest jedyną możliwą. Zwłaszcza z punktu widzenia kobiet. Realizować się, jako istoty ludzkie, kochankowie i rodzice można i bez dominacji jakiegokolwiek płci, korzystając z własnych wyborów i predyspozycji, a nie z zastanych, narzuconych norm społecznych, wynikających często ze swojego rodzaju kulturowego

przyzwyczajenia, a nie „naturalnego” podziału ze względu na płeć. I Connell zwraca na to uwagę. Mimo wielu trudności we wprowadzaniu zmian na tym polu, następują one nieuchronnie. Dobrze ukazuje to bardzo topniejąca lista zawodów uznawanych za typowo męskie i nieustannie rosnący wykaz stanowisk zajmowanych przez kobiety. W obu przypadkach potwierdza to w Polsce choćby... słowotwórstwo. Ciągłe i powszechnie poszukujemy niepotrzebnych dotąd – bo nieużywanych – feminatywów.

Do dziś pamiętam chwilę, w której podwładny zwrócił się do mnie „kochana”, próbując wymigać się od wykonania logicznego polecenia służbowego. Już na samo wspomnienie tego momentu podnosi mi się ciśnienie, więc nietrudno sobie wyobrazić, jaki pik osiągnęło wtedy, gdy tłumaczyłam mu, że określenie „pani inżynier” byłoby bardziej odpowiednie do sytuacji. W moim inżynierskim życiu „spacerów” po takich Himalajach przeżyłam niezliczoną ilość (chyba powinnam dziękować opatrności, że nie zostałam żołnierką, ponieważ najpewniej nie wytrzymałabym któregoś razu i... odbezpieczyła broń). Mam nadzieję, że obecnie inżynierki (spacerując już po dużo większych równinach) rozumieją, że ja zostaję „panią inżynier” jedynie z przyzwyczajenia.

FELIETON

Marek Słomski

Powrót do źródeł, czyli książka ratunkiem dla kultury

Niewątpliwie osobliwość, odmienność człowieka, rozumnego jako gatunku, polega na jego duchowej (rzecz jasna w łączności z cielesną) naturze i związanej z tym zdolności do tworzenia kultury. Kultura jest zatem szczególnie dobitnym – takim można by napisać *in extenso* – wyrazem człowieczeństwa. Dlatego każde zagrożenie dla kultury – a pojawiają się one w dziejach i nieustannie, i nieuchronnie – musi być odbierane, jako zagrożenie dla człowieka w jego podstawowym, a zarazem unikatowym wymiarze egzystencjalnym, zagrożeniem na ogół także skutkującym ostatecznie burzliwymi wydarzeniami dziejowymi z możliwością masowej utraty życia przez ludzi w sensie zupełnie biologicznym... ale wróćmy, póki jednak żyjemy, do tematu tych rozważań, czyli zagrożeń dla świata kultury. Nie da się również ukryć, że te systematyczne zagrożenia dla ludzkiej kultury (trochę to pleonazm, bo innej, jak ludzka nie ma) wznieca nie kto inny, jak sam człowiek, wznieca, gdy gubi, w mniejszym czy większym stopniu, swoją ludzką wrażliwość, czyli gdy traci bądź istotnie wypacza etyczny paradygmat swojego ziemskiego bytowania. Niestety, wspomniane zagrożenia nie tylko pojawiają się systematycznie, ale także w każdej, kolejnej, czasowej sekwencji, przybierają – nieco lub drastycznie – inne formy, czyli poczwara degradacji się przepoczwarza, aby tym skuteczniej uderzyć. Dzisiaj także zmagamy się ze szczególnym rodzajem zagrożenia dla kultury, a to takim, który powoduje zwłaszcza zanik zdolności twórczych i kreatywnych,

czyli tych będących podstawą sztuki i twórczości na każdym poziomie i każdego rodzaju. Na dodatek „poczwara” ta działa „pod przykrywką”, mając w swoim haśle idee postępu, a w swoim mianie wyraz „kultura” – nazywa się ona bowiem kulturą masową. Zagrożenie to dostrzegał już w latach 60. ubiegłego wieku znany i uznany na świecie polski literat, Sławomir Mrożek. Pisał on wtedy w pamiętnikach: *„Zatrucie świata stanem półświadomości. Nie ma nic gorszego niż półświadomość, niedouczenie, półprawda, półinteligent. Nie darmo (objaw, to sygnał) nastał czas miernot. Upowszechnienie kultury, w tym pojęciu kryje się jakaś zabójcza bzdura. Popularyzacja, uproszczenia, skróty, digesta, kultura masowa – to coś bardzo śmiesznego i groźnego jednocześnie. Nie jestem reakcjonistą w tym sensie, że bynajmniej się nie łudzę, że można i trzeba czynnie temu przeciwdziałać. Nie chce mi się tłumaczyć, czemu nie można. Nie można przeciwdziałać ewolucji gatunku. Chcę mieć tylko prawo do powiedzenia sobie, że bynajmniej ewolucja nie musi oznaczać «lepszości»”*. Mrożek pisał powyższe refleksje, jak wspominałem w latach 60. ubiegłego wieku. Ale bynajmniej nie odnosiły się one tylko do diagnozy zjawisk typowych dla jego czasu, czyli do zjawisk dotyczących społeczności PRL (Mrożek emigrował w roku 1963), w której jak wiadomo dominowały wpływy – także w obszarze kultury i życia duchowego – rządzącej wówczas „dyktatury ciemniaków”. To określenie jest z kolei autorstwa Stefana Kisielewskiego – znanego już wówczas publicyście, któremu jakimś – mimo okoliczności miejsca i czasu – cudem udało się zachować odrębność i wolność myślenia, a zwłaszcza niekiedy też możliwość publikowania swoich tekstów. Cytowane wyżej refleksje Mrożka nie dotyczą zatem tylko zjawisk dotyczących, współczesną mu, społeczność świata komunistycznego, ale dotyczą także tego, co mógł on obserwować na tak zwanym „zachodzie”, gdzie wyemigrował. Już wtedy bowiem z powodu ekspansji nowych środków komunikacji i przekazu, zwłaszcza telewizji, na scenę – w pełnym, niszczycielskim wszelką subtelność dynamizmem – wkraczała, wymieniona w cytacie z Mrożka, tzw. kultura masowa, czyli głównie wrzaski, piski, przytupy itp. środki ponad-ekspresyjnego wyrazu... Już wtedy Mrożek mógł zatem adekwatnie napisać co napisał i co zacytowałem wyżej. A jakąż na dodatek prorocza to jest diagnoza z perspektywy doświadczeń, będących już naszym udziałem teraz w XXI wieku – „Nie ma nic gorszego niż półświadomość, niedouczenie, półprawda, półinteligent...”. Więcej po tym, czego doświadcza, w tym opisanym przez Mrożka zakresie degradacji kultury, moje i następne pokolenie, to o tamtych czasach i tamtych utyskiwaniach wybitnego pisarza można by napisać: Oj, Mrożek, Mrożek, w dobrych czasach żyłeś... W dobrych, bo dzisiaj nawet, irytującej słusznie pisarza, półświadomości brak – panuje bowiem błoga nieświadomość... nawet

nie ma półprawdy, panuje usankcjonowany tzw. skutecznością (czyli „braniem” wyrażanym w klikaniu) fałsz – prawda jest wyśmiewana, a nawet jako taka wymazana z użycia – spytam tu retorycznie: kogo obchodzi naprawdę prawda? Nie doświadczysz obecnie nawet tego żałosnego „półinteligenta” Mrożka... nie doświadczysz, bo tę ludzką inteligencję nawet niedoskonałą i ułomną zastąpić ma całkowicie w życiu i użyciu ta sztuczna – bezduszna, nieodróżniająca z natury swej kategorii etycznych – czyli dobra i zła.... Zatem, panie Mroźek, ciesz się, że nie żyjesz w naszych czasach, w których nawet Twoje drobne życzenie – „Chcę mieć tylko prawo do powiedzenia sobie, że bynajmniej ewolucja nie musi oznaczać lepszości” – może być realizowane tylko w zaciszu sumienia – co oczywiście dotyczy tylko tych, którym jeszcze ono – czyli sumienie – w duszy gra. Pozostali nie mają wyboru – poprawność myślenia uzyskuje stopniowo nawet i sankcje karną... pominię tu chwilowo przykłady. Ale, czy tak musi być? Czy jest na to rada? Czy rzeczywiście, jak mniemał Mroźek, nie da się przeciwdziałać takiej ewolucji gatunku? A może jednak da się przeciwdziałać takiej ewolucji, która jest destrukcją, może jednak „historia kołem się toczy”, czyli że da się powrócić, chociażby na zasadzie dziejowej prawidłowości, do czasów świetności kultury, jako fenomenu ludzkiego, kreatywnego i twórczego ducha? Może jednak da się... przecież Dobry Bóg nie pozbawił nas, jako gatunku, naszych, wrodzonych zdolności, mimo że tak często sami siebie degradujemy? Odpowiedź na te pytania jest jednak prostsza aniżeli można byłoby się spodziewać po zaawansowaniu, obserwowanej wokół, patologii... A jest nią postulat „powrotu do źródeł” – w przypadku rzeczywistości Kultury – jest to powrót do codziennego obcowania z jej ogromnym, dziejowym dorobkiem, a ten zapisany jest w książkach, literaturze, wyrażony w sztuce, odbierany w ciszy i refleksji... I ten postulat to nie tylko odpowiedź hipotetyczna, zawierająca jedynie teoretyczne przypuszczenia. Są bowiem miejsca w świecie i to nawet też takie geograficznie całkiem blisko nas, gdzie realizuje się na co dzień model życia społeczności – i to szerokiej, bo narodowej – zupełnie odbiegający od tego, czym terroryzuje nas „postępowa” kultura masowa, czyli sztuka „wrzasku i potrzasku”. Taki „inny świat” znajdziemy nawet blisko, w znanej wielu, Finlandii. Zacznijmy od czegoś podstawowego dla formacji człowieka pełnego, człowieka kulturalnego – a czym wyraźnie wyróżniają się Finowie – czyli od zakresu obcowania z książką, co oznacza tutaj obcowanie głównie z literaturą. Pisze polska dziennikarka, która odwiedziła niedawno ten kraj: „Finowie czytają średnio 28 nowych pozycji książkowych rocznie, część jako zakupy własne, część jako wypożyczenia z bibliotek . Pierwszą książkę młoda Finka i młody Fin otrzymują od rządu swojego kraju już w dniu urodzenia (w pakiecie

noworodkowym są 3 książki, oprócz tej dla dziecka także dwie dla rodziców). Dzieci są też obecne w bibliotekach zanim w ogóle posiadą umiejętność czytania. To po prostu normalne miejsce, do którego przychodzi się z dziećmi... przychodzi w Finlandii..."

W Polsce zaś, jak wiadomo, idzie się z dziećmi do... marketu! Czytanie to także priorytet w fińskiej szkole. „Na lekcjach dzieci często mają za zadanie po prostu czytać, samodzielnie pracować w ciszy” – czytamy w relacji Polki, Lucyny Huhti – pracującej w fińskiej szkole. Taki priorytet – czyli ułatwienie skupienia – powoduje niestosowanie w zasadzie tzw. nowoczesnych narzędzi technologicznych w postaci komputerów itp. „Wydawałoby się, że w tak nowoczesnych szkołach, jak fińskie komputery są wszędzie, ale jest dokładnie odwrotnie” – pisze dalej cytowana nauczycielka. To różni bardzo fiński system edukacyjny od polskiego – u nas priorytetem jest Cyfrowa Szkoła – ostatnio nasz rząd przyjął nawet tak nazwany specjalny program edukacyjny. Do brania przykładu z Finów nawołują od dawna specjaliści z różnych krajów: Ameryka powinna uczyć się od Finów, którzy mają najefektywniejsze szkoły i robią w nich wszystko dokładnie odwrotnie niż w USA – powiedział m. in. profesor Howard Gardner z Harvardu. Efekt szkoły bazującej na czytaniu i skupieniu, czyli zupełnie tradycyjnej i zupełnie przeciwnej temu, co oferuje szkoła oparta na kanonach kultury masowej to: „nie tylko kształcenie dzieci na świątłych, ale i szczęśliwych, niezestresowanych ludzi” – czytamy w fachowym opracowaniu na temat fińskiego systemu edukacyjnego. Taki jest także w świetle obiektywnych, wymiernych kryteriów, inny skutek praktyczny. „Fińscy uczniowie są najlepsi na całym świecie”. – czytamy dalej w tym opracowaniu. Potwierdzają to rokrocznie międzynarodowe badania kompetencji wśród dzieci i młodzieży oraz różnego typu rankingi. Zatem terror kultury masowej, którą zdiagnozował jako zagrożenie już Mrożek, nie musi być, wbrew temu, czego się on obawiał, niepokonywalny i nie musi być trwałym objawem degradującego się gatunku ludzkiego – wystarczy powrócić do źródeł, a w tym powrocie obowiązkowo czytać literaturę, a dzieci zabierać nie do marketów, a do bibliotek... to tak niewiele... niestety u nas ciągle zbyt wiele.

DRAMAT

Ewa Grabowska

Reżyser, literat, tłumacz i manager. Magister teatrologii na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu; studia filmowe w byłej Jugosławii. Współpracowała z wieloma teatrami w Polsce jako kierownik literacki i reżyser oraz z teatrami za granicą.

Przez wiele lat współpracowała z Józefem Szajną, była jego asystentką i tłumaczką jego sztuk. Wraz z nim zrealizowała w Dubrowniku sztukę pt. *Dante II*. Przed jego śmiercią zrealizowała z nim film *Prawda i kłamstwo podobne są z twarzy*, będący jego życiowym credo. Autorka sztuk teatralnych: *Szkarłatna róża*, *Legenda o św. Eufemii*, *Orestes naszych czasów*, *Czas Dioklecjana*, *Dante*, *Nokturn*. Na podstawie jej scenariuszy powstały filmy, dla niemieckiej Polonii, o sanktuariach maryjnych w Licheniu i Heede. Stale współpracuje z Wytwórnią Filmową FORUM oraz państwową telewizją w Sarajewie. Jest redaktorką w tv chorwackiej, z którą zrealizowała cykl reportaży *Tajemnicza Istria* oraz fabularyzowany reportaż *Czarowna splećka noc* i film o Chorwacji *Magiczne wagi*, także *Orestes naszych czasów*.

W czasie wojny w Jugosławii była korespondentem wojennym w okupowanej Bośni. Dla Urzędu Marszałkowskiego w Riece i Europejskiego Korytarza Transportowego w Polsce nakręciła film w wersji polskiej i chorwackiej *Lovran – miasto tajemnic*. Jej filmy to także *Powrót do Sarajewa*, cykl reportaży z okupowanego Sarajewa oraz o powstaniu Bośni i Hercegowiny. Do końca stanu wojennego w Polsce, pracowała zagranicą pod pseudonimami Vršić Eva oraz Fetamačić Sanela. Od lat współpracuje z TVP Historia i TVP Kultura. Przygotowuje sztukę *Była... Dziewiąta* oraz jej wersję filmową w telewizji chorwackiej.

Od 1973 r. członkini Związku Literatów Polskich, od 1983 r. – sekcji reżyserskiej Związku Artystów Scen Polskich.

„Była... Dziewiąta”

komedia kryminalna

Scenariusz, reżyseria, scenografia EWA GRABOWSKA

(scena wybrana)

/Ewa przychodzi do więzienia do Bruna. Ten został oskarżony o spowodowanie wypadku, w którym ginie człowiek. Jednak sprawcą tragedii jest Ewa./

W WIĘZIENIU

/Sala, okno za kratami, strażnik wprowadza Ewę./

Ewa

Dzień dobry, Bruno, jak pan się czuje?

Bruno

Czego pani jeszcze chce ode mnie, proszę się mną więcej nie zajmować.

Ewa

Ale ja muszę się panem zajmować. Bardzo się zdenerwowałam, kiedy dowiedziałam się, że zamknięto pana z powodu nieumyślnego zabójstwa. Pisali o tym we wszystkich gazetach, ogłosili pana piratem szos. Czy można tak mówić o człowieku, który tylko przeoczył znak stop?

Bruno

Jak mogła pani zeznać, że w chwili wypadku ja byłem za kierownicą?

Ewa

Musiłam, musiałam, Bruno. Zabrali mi prawo jazdy, kiedy wracałam z wakacji. Pozmieniali wszystkie znaki w mieście. Jadę i nagle widzę, że wszystkie auta jadą w przeciwnym kierunku. Ach, jakie to było zderzenie. Zabrali mi prawo jazdy, ale udało mi się i mnie nie zamknęli.

Bruno

Mnie się nie udało i jestem w więzieniu.

Ewa

W areszcie tymczasowym. Mój adwokat złożył już apelację i niedługo opuści pan już to nieprzyjemne miejsce.

Ewa /dzwoni/

Panie mecenasie, proszę natychmiast złożyć apelację. On nie jest winien. To był nieszczęśliwy wypadek.

Mecenas

Już to zrobiłem. Proszę się nie martwić.

Bruno

A co ja będę robić, jak stąd wyjdę. Zabrali mi paszport.

Ewa

Po co teraz panu paszport, przecież i tak nie może pan wyjechać za granicę. Paszport na pewno panu zwrócą, to tylko formalność, proszę nie robić z tego tragedii. Bruno, proszę się uśmiechnąć, ma pan taki czarujący uśmiech. Wydaje mi się pan taki sympatyczny, a mam przecież dobry gust. Mój mąż ciągle mówi, że trudno mnie zadowolić.

/Bruno reaguje dość ostro, próbuje podejść do niej/

Bruno

Więc jest pani mężatką. Czy pani mąż wie o tej całej historii?

Ewa

Ależ skąd. Nic mu nie powiedziałam. Kiedyś mówiliśmy sobie wszystko, ale teraz dzieli nas przepaść. Tego dnia, kiedy spotkaliśmy się na plaży, myślałam o samobójstwie.

Bruno

Szkoda, że pani tylko pomyślała o tym.

Ewa

Od czasu, jak poznałam pana, czuję się zupełnie inaczej.

Bruno

Niestety, ja też.

Ewa

Troska o pana stała się treścią mojego życia. Jest pan sam, prawda?

Bruno

Mam matkę, przebywa teraz na prowincji. Odziedziczyłem spadek po ojcu i ukończyłem ekonomię, a potem językoznawstwo – angielski, francuski, niemiecki. Jestem tłumaczem.

/Ewa siada obok niego/

Nie wiem właściwie, po co to pani opowiadam, może dlatego, że siedzę w celi z głuchoniemym, który nie reaguje na to, co mówię.

Ewa

Ma pan cudowne mieszkanie.

Bruno

Skąd pani o tym wie?

Ewa

Wczoraj tam byłem.

Bruno

Pani? Po co?

Ewa

Pańskie łóżko wygląda jak pradawny las. Cóż, mężczyzna nie może mieszkać sam.

Bruno

Mam sprzątaczkę.

Ewa

Już nie, wypowiedziałam jej.

Bruno

Jakim prawem?

Ewa

Była niezmiernie gadatliwa, stale rozmawiała przez telefon.

Bruno

Jak pani weszła do mieszkania?

Ewa

Wzięłam klucz od administratorki domu, zaprzyjaźniłyśmy się, było jej bardzo przykro, kiedy usłyszała o nieszczęściu.

Bruno

Powiedziała jej pani, że jestem w więzieniu? (na offie)

Ewa

Powiedziałam.

Bruno

Kto panią upoważnił?

Ewa

To bardzo dyskretna kobieta.

Bruno

Jak wszystkie administratorki.

Ewa

Rozmawiałam również z Giulianą. Zadzwoiła, kiedy byłam w pańskim mieszkaniu.

Bruno

I?

Ewa

Zapytała, czy jestem pańską ciotką, Sanelą – potwierdziłam. Chciała się ze mną spotkać.

/wyjęła z torby perukę, okulary i stary płaszcz/

Umówiliśmy się w kawiarni.

Bruno

Coś podobnego, udawała pani moją ciotkę! Niestychane!

/ale jest wyraźnie zainteresowany pomysłowością Ewy/

Ma pani zdolności aktorskie.

Ewa

Tak, bo kobieta nigdy nie wierzyłaby drugiej młodszej i ładniejszej od niej kobiecie, ale ciotce tak...

PROZA

Danuta Romana Słowik

Poetka, prozautorka, publicystka, animatorka kultury, malarka. Szczecinianka, choć urodziła się w Międzyzdrojach. Od roku 1984 przebywała w Nadrenii – Palatynacie, a następnie w Mecklemburgii Pomorze Przednie, ale jest szczęśliwa, że po latach doczekała Europy bez granic, bowiem obojętnie pod jakim niebem – niemieckim czy ojczystym, polskim – wszędzie czuje się wolna i „u siebie w domu”. Losy Rodaków z jednej, jak i z drugiej strony granicy, są jej tak samo bliskie i ma to odzwierciedlenie w całej jej twórczości. Członkini ZLP.

Autorka dziewięciu książek:

- *Tułacze losy* – opowieść w dwóch częściach (2011); wydanie drugie poprawione (2017),
- *Europa bez granic* – zbiór wierszy pisanych na obczyźnie (2011),
- *Złamać skrzydło motyla* – tom poezji (2017),
- *Rozmowa... z jednej nocy* – powieść (2017),
- *A Majka siedzi...* – opowieść – dziennik (2018),
- *Historie... z życia wzięte* – zbiór opowiadań (2020),
- *Ostatni rozdział tułaczycy losów* (2022),
- *Déjà vu 1984* (2022),
- *Krzyk...* – opowiadanie i dramat w trzech aktach (2024).

Wiersze ukazały się w:

- II Antologii Wierszobrania – wybór wierszy poetów emigracji pt. „Żeglując w oceanie słów” (2011),
- almanachu VI Korytowskiej Nocy Poetów (2017),
- almanachu poetyckim II Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Józefa Bursewicza *O Złotą Metaforę* (2017),

- antologii ZLP *Przeptywający świat słowa* (2017),
- podręczniku do nauki przekładu literackiego dla studentów neofilologii pt. *STILUM VERTAS* autorstwa Piotra Sulikowskiego i Emila Lesnera (2019),
- Galerii Jednego Wiersza w Książnicy Pomorskiej w Szczecinie;

felietony i eseje w:

- miesięczniku pedagogicznym „Dialogi”,
- dwutygodniku polonijnym „Samo Życie”,
- dodatku kulturalnym „Kuriera Szczecińskiego” – „Cztery Strony”,
- „Pryzmacie Literackim” 1/2020,
- „Pryzmacie Literackim” 2/2021,
- „Pryzmacie Literackim” 3/2022,
- wieściach polickich;

na portalach internetowych:

WIRTUALNA KAWIARENKA ARTYSTYCZNA *Pol-Cafe.de*,

HORYZONT.pl,

MUZEUM EMIGRACJI.pl W GDYNI,

STAEDTEPARTNER STETTIN e.V. STAEDTEPARTNER OBORISHTE,

MIESIĘCZNIK LITERACKI „GAZETA KULTURALNA”,

KWARTALNIK LITERACKI „MIGOTANIA”.

Książki *Tułacze losy* i *Ostatni rozdział tułaczycy losów* prezentowane były:

- w wywiadzie dla *pepeTV* w Essen – Oberhausen, Niemcy w 2012 roku;
- na antenie Polskiego Radia Szczecin w audycji „Już nie jesteś sama” w 2022 roku;
- w formie filmu średniometrażowego pt.: „Śladami siostry P.C.K.” autorstwa Karola Kamila Peruta. Mikroblog (Wytwórnia 303 PRODUCTION w Manchesterze) w 2022 roku;
- na antenie Polonijnego Radia IKS w Vancouver, Canada w 2023 roku.

Jest laureatką konkursu literackiego zorganizowanego przez Konsulat RP w Kolonii wraz z Kolońskim Uniwersytetem – Wydział Sławistyki, w 2011 roku. W 2017 roku została wyróżniona w II Ogólnopolskim Konkursie im. Józefa Burszewicza *O Złotą Metaforę* w Szczecinie i także w tym roku otrzymała

główną Nagrodę w Konkursie na NAJPIĘKNIEJSZY LIST PISANY ODRĘCZNIE.

Fragment opowiadania „Krzyk...”
(seria:akcent, Szczecin 2024)

Nie chciałam tutaj przyjść. Kojarzyło mi się to ze słabością.

...Myślałam sobie: Ja nie poradzę sobie z bezsennością?! Albo ze strachem, który z czasem stał się wszechobecny, ja?! Może inni, ale nie ja, potrzebują leżanki w gabinecie...

Kiedyś zgłębiłam tajniki treningu autogennego, umiałam opanować emocje, wyciszyć się i zasnąć spokojnie, uspokoić bicie serca i przyspieszony oddech.

...Myślałam, że dam radę, ale tym razem przerosło mnie – doszłam do przystawki w łazience.

I jednak przyszłam... Do pani!

Już wiem, że nie dam rady sama. Boję się, że zwariuję a ta moja „twarda” postawa, to niestety, tylko fasada...

Taak, opowiem pani wszystko, postaram się panią wprowadzić w moją rzeczywistość, w moje demony, może znajdzie pani w tym ciemnym labiryncie cienką nitkę, która doprowadzi mnie znów do światła.

K. żył przecież w państwie praworządnym, wszędzie panował pokój, wszystkie prawa były przestrzegane, kto śmiał go we własnym mieszkaniu napadać?

F. Kafka, Proces

Zaczęło się, jak każdego zwyczajnego dnia. W moim, znanym mi miejscu, w moim azylu prywatności, który kocham... Pokój dzienny, niektórzy nazywają go salonem, dla mnie jest to raczej pokój wypoczynkowy. Regały z książkami, obrazy olejne, na półkach modele żaglowców. Pośrodku pokoju okrągły stół a dookoła głębokie fotele. W nich mój mąż i ja, popijaliśmy kawę i w skupieniu czytaliśmy książki. Sielskie przedpołudnie. Na zegarze ściennym dochodziła 10:30. Ciszę przerwał dzwonek domofonu. Wstałam i podeszłam do drzwi. Podniosłam słuchawkę i zapytałam: kto tam?

Odpowiedział mi głos obcego mężczyzny – poczta.

– Proszę wrzucić list przez otwór w drzwiach do tego przewidziany. – odpowiedziałam.

– Ale tu jest skrzynka na reklamy... – nalegał.

– W drzwiach jest klapka na listy – wyjaśniłam poirytowana.

– O tak, widzę... – usłyszałam.

Odwiesiłam słuchawkę domofonu i wracałam do pokoju, gdy znowu zadźwięczał dzwonek, wróciłam i ponownie uniosłam słuchawkę. Mąż zapytał z głębi pokoju – Kto to? Usłyszałam rozmowę na klatce schodowej i odpowiedziałam, że już ktoś wpuścił listonosza, bo słyszę głosy. To poczta – dodałam. Z tymi słowami wróciłam do pokoju i usiadłam w fotelu. W tym samym momencie rozległ się dzwonek, tym razem u drzwi mieszkania, a nie domofon.

Spojrzałam na męża i poprosiłam, żeby to on zobaczył kto i czego chce.

Mąż podszedł do drzwi, wyjrzał przez „judasza” i bez słowa otworzył zamek...

Na korytarzu stało czterech rostrych, na czarno ubranych mężczyzn, pierwszy z nich, trzymając w ręku coś, co wyglądało jak legitymacja służbowa, napierał na uchylone drzwi.

– Policja! Proszę odsunąć się od drzwi! – wrzasnął.

Wychylając się zza męża i usiłując ich powstrzymać, z przerażeniem w głosie zdołałam tylko zapytać: – O co chodzi? Serce mi stanęło, paraliżujący strach ścisnął klatkę piersiową i przez zdławione gardło nie mogłam złapać tchu.

Czterej mężczyźni tymczasem wdarli się do wąskiego przedpokoju naszego mieszkania.

Łapiąc powietrze, jak ryba wyrzucona na piasek, wydusiłam z siebie: – Chwila, powoli, proszę pokazać legitymacje, nakaz wtargnięcia do prywatnego mieszkania...

Jeden z nich, trzymając z daleka coś w ręku, powiedział: – To moja legitymacja Policji Kryminalnej.

Wyciągnęłam rękę w tym kierunku, ale mężczyzna cofnął jednocześnie swoją, w której trzymał legitymację i warknął, że tego mi nie da do ręki...

– Skąd mam wiedzieć, że nie kupił pan tej legitymacji na Allegro?! – odyskałam głos i śmiałość. Ale on zlekceważył tę aluzję, milcząc. Po chwili jednak

powiedział jakby przed siebie: – Można zadzwonić do Naczelnika Policji Kryminalnej.

– Numer telefonu poproszę – zażądałam.

Trzęsącą się z nerwów ręką sięgnęłam po telefon. Barczysty, wielki facet podał numer, a ja dzwoniłam. W telefonie usłyszałam męski głos – Halo, kto mówi?

– Jak to, kto mówi, to ja chcę wiedzieć, z kim rozmawiam – dodałam. – Czy to policja?

– A o co chodzi, bo ja tu jestem praktykantem... – usłyszałam w słuchawce.

Zwracając się do obcych, zapytałam poirytowana i przerażona jednocześnie: – Czy panowie sobie żarty robią? To miał być numer do Naczelnika Policji Kryminalnej? O co tu w ogóle chodzi, czego panowie od nas chcą?!

Jeden z nich, stanowczym, podniesionym głosem burknął:

– Dowie się pani na Komendzie. Jest pani zatrzymana i pojedzie z nami.

– ZATRZYMANA? Co pan wygaduje?!

– Okradła pani bezdomną kobietę, przyznaje się pani? – kontynuował drugi.

– CO ZROBIŁAM? Okradłam kogoś? Oczywiście, że NIE! – wykrzyknęłam w panice.

Ten pierwszy wtrącił się do naszej potyczki słownej: – Pojedzie pani z nami, jest pani podejrzana o kradzież, ale najpierw musimy przeszukać mieszkanie...

– O nie! Proszę nakaz rewizji, bez nakazu nie udostępnię mieszkania...

Kolejny mężczyzna wtrącił się do rozmowy.

– Nakazu nie potrzebujemy, to jest nasz nakaz. – wskazał na przypiętą do pasa legitymację. – Nie pozwala pani? – dodał szyderczym tonem. – Ja bez pani zgody mogę natychmiast zrobić tutaj kipisz! Mam zrobić KIPISZ? – Warknął, zakładając ostentacyjnie lateksowe rękawiczki ochronne.

Rozejrzałam się bezradnie dookoła, czułam się osaczona, mąż wyparty z przedpokoju do kuchni był bezradny, dwóch obcych zatarasowało przejście przez wąski przedpokój, a dwóch pozostałych zaglądało do szaf i szuflad w dalszej części mieszkania.

– Czego szukacie?! – krzyknęłam.

Znowu jeden z nich pewnym siebie głosem wykrzyczał: – W pierwszy dzień świąt okradła pani bezdomną kobietę i zabrała jej portfel, a w nim co

najmniej pięćset złotych. Kartę kredytową i bilet miesięczny, a oprócz tego telefon. Przyznaje się pani? Gdzie pani to ukryła?! Gdzie pani była w pierwszy dzień świąt?! Szukamy skradzionych rzeczy i... no tego, czego nie można mieć w mieszkaniu...

– To znaczy, czego?! – wyjąkałam z przerażeniem.

Ten najniższy, od kipiszu, z szyderczym uśmiechem na ustach, wycedził przez zęby:

– No... narkotyków, broni...

To nie były już żarty. Przerażona odwróciłam się do spanikowanego męża i wrzasnęłam nie panując nad sobą: – Do kurwy nędzy, idź za nimi i patrz na ręce, bo rozleźli się po mieszkaniu jak karaluchy, nie upilnujemy ich! My, dwoje starych ludzi, a ich czterech mięśniaków, którzy zaglądną wszędzie? Jeszcze się okaże, że zaraz znajdą kilogram narkotyków lub wiązkę granatów!!!

Odezwał się czwarty obcy, zwracając się do męża: – Gdzie żona przechowuje kurtki, płaszcze, czapki?

– Kurtki, płaszcze są w sypialni, w szafie, ale czapek żona nie nosi, co najwyżej kapelusze, tam na komodzie są wszystkie, na styropianowym stojaku.
– odpowiedział mąż.

Mężczyzna przeszukał dokładnie szafę i przełożył liczne kapelusze, jeden po drugim, zaglądnąwszy ciekawie do środka każdego z nich.

– Gdzie żona schowała zieloną, pikowaną kurtkę? – wykrzykiwał mężczyzna zza drzwi szafy.

– Nigdy nie miała zielonej, pikowanej kurtki! – oznajmił stanowczo mąż.

– A wełnianą czapkę w paski? – drażył obcy.

Mąż z ironicznym uśmiechem odpowiedział mu spokojnie: – Mówiłem, że żona nie nosi czapek, jeśli już nakrycie głowy, to kapelusz... i na pewno nie wełnianą w paski w gorący, słoneczny, świąteczny dzień.

Obcy, udając, że nie słyszał ironii, ciągnął przepytywanie: – A ma żona czarne spodnie?

Mąż, nie powstrzymując się już, ironicznym odpowiedział: – A niech mi pan pokaże człowieka, który nie ma w szafie co najmniej jednej pary czarnych spodni...

Przestuchujący, jakby trochę przyjaźniej, zwrócił się nagle w moją stronę:

– Osoba, która zgłosiła kradzież, podała pani dokładny adres i rysopis, poza tym rozpoznała panią na zdjęciu, które jej pokazaliśmy. Musieliśmy przyjąć zgłoszenie...

W tym miejscu mąż wtrącił swoje pytanie: – ... i przyjeżdżacie całą ekipą, do domu, gdzie mieszka dwoje starych, częściowo niedołączonych ludzi, wchodzić butnie we cztery, młodzi, silni mężczyźni i podajecie się za nieumundurowanych funkcjonariuszy Policji Kryminalnej?! Zastraszać nas, pokrzykujecie, grozicie kipiszem, zachowujecie się co najmniej arogancko, demonstrujecie swoją przewagę, tak liczebną jak i instytucjonalną. A mówi się, że Policja narzeka na braki ludzi chętnych do pracy w policji...

Mężczyźni porozumieli się między sobą przyciszonymi głosami i po chwili jeden po drugim stwierdzili, że niczego nie znaleźli.

– Zabieramy panią Annę na Komendę – zdecydował dowodzący akcją.

Bezczelna, poufała forma po imieniu spowodowała, że dobitnie zareagowałam:

– Dla pana nie jestem panią Anną, ja mam nazwisko! Po imieniu pozwalam zwracać się do mnie tylko przyjaciołom, dla pana jestem tylko panią K.!

Mężczyzna, zaskoczony moim wybuchem, zaniemówił na chwilę, po czym, wyraźnie poirytowany odwarknął: – Będę się zwracał, jak mi się spodoba. Nie mówię Anusia, Ania czy jakoś tak, żeby się pani obrażała. Pani Anna jest dla mnie najwłaściwszą formą. Poza tym proszę się ubierać, zabieramy panią na Komendę.

– Idź do sypialni, żeby się przebrać, ja tu z nimi zostanę. – uspokoił mnie łagodnym głosem mąż.

Bez słowa poszłam do pokoju i zamknęłam za sobą drzwi, zdjęłam z siebie domową odzież, z szafy wyjmowałam właśnie spodnie i bluzkę, gdy, bez pukania, do pokoju wszedł jeden z obcych.

– Proszę natychmiast stąd wyjść – wrzasnęłam. – Jeśli w trakcie przebierania się musi być ktoś obecny, to z pewnością nie mężczyzna, WYJŚĆ!

Obcy wycofał się do przedpokoju i zatrzasnął energicznie za sobą drzwi. A ja usiadłam bezsilnie na krawędzi łóżka i krótko zaszlochałam. Po chwili jednak wstałam, otarłam łzy i ubrałam się. Wyszłam do przedpokoju, założyłam buty i płaszcz.

– Dokąd żonę zabieracie? – dopytywał mąż – Chcę jechać z wami.

– Na Komendę Powiatową. Pan może tam przyjechać, ale nie z nami – poinformowałam dowodzący.

Po czym zwrócił się do mnie: – Ma pani dowód osobisty ze sobą?

– Tak, mam.

– No to idziemy.

W przedpokoju ustawili się już do zejścia po schodach. Najpierw dwóch funkcjonariuszy, potem ja i za nami pozostałych dwóch. Zapytałam ich sarkastycznym tonem:

– Może jeszcze kajdanki? Obstawiliście mnie tak, jakbym stwarzała jakieś zagrożenie. Sądzicie, że byłabym w stanie wam uciec? Przecież ja nie jestem nawet w stanie swobodnie zejść ze schodów...

Na podwórzu uniosłam głowę. Mąż obserwował z przerażeniem całą scenę przez otwarte okno, skąd dobiegały go nasze głosy.

– Wsadzacie mnie do cywilnego samochodu, żadnych oznak policyjnych, skąd mam mieć pewność, że to nie porwanie...

– Gdyby były oznaki policyjne, nie byłibyśmy tajnymi funkcjonariuszami. Niech pani wsiada i nie dyskutuje!

Wbrew nakazowi mówiłam, wsiadając do samochodu, nagle spokojna i pewna siebie, chociaż w środku wszystko we mnie zamierało:

– Dwa samochody i eskorta czterech nieoznakowanych funkcjonariuszy policji, aby doprowadzić starszą, schorowaną, niepełnosprawną fizycznie kobietę na przesłuchanie do Komendy Policji? Taka rozrzutna jest policja z pieniędzy podatników?

Ktoś musiał zrobić doniesienie na Józefa K., bo mimo iż nic złego nie popełnił, został pewnego ranka po prostu aresztowany.

F. Kafka, *Proces*

Dwa samochody, czterech funkcjonariuszy policji kryminalnej, to chyba mi się tylko śniło. Koszmar. Nadal nie wiedziałam tak naprawdę, z kim miałam do czynienia, dokąd mnie wywożą, czy nie obudzę się gdzieś w lesie – za miastem, czy w ogóle się jeszcze obudzę. Absolutnie nie miałam pojęcia, czego ode mnie

chcieli. Przez okno widziałam, że nie wyjeżdżaliśmy z miasta, a kiedy wjechaliśmy na podwórze Komendy Policji odczułam ulgę. Paradoks! Ale przynajmniej wiedziałam już, że to nie bandyci podający się za policjantów...

Z zamyślenia wyrwał mnie głos jednego z nich:

– Wsiadamy, proszę z nami.

Weszliśmy do budynku Komendy i długimi korytarzami prowadzili mnie do Sali przesłuchań nr 2. Mały pokój, a w nim trzy biurka i jedno dodatkowe krzesło. Jeden z funkcjonariusz zajął miejsce przy biurku pod oknem, drugi przy ścianie na wprost dodatkowego krzesła. Trzecie biurko pozostało puste. Funkcjonariusz, ten, który jako pierwszy wtargnął do mieszkania, sprawiający wrażenie szefa tej grupy, wskazał ręką na wolne krzesło i kazał mi usiąść. Potem zwrócił się do kolegi:

– Przygotuj papiery, bo musimy spisać protokół z przesłuchania.

– Poproszę pani dowód osobisty. – odezwał się do mnie urzędowo ten od protokołu. Podałam mu swój dowód i zaczęło się wypytywanie.

– Imię?

– Anna.

– Nazwisko?

– K.

– Urodzona?

– 15 marca 1952.

– Gdzie była w dniu 9 kwietnia 2023 roku?

– 9 kwietnia? To był pierwszy dzień Świąt Wielkanocnych? Byłam cały dzień w domu.

– Czy ktoś to może potwierdzić?

– Mój mąż, cały dzień spędziliśmy w domu, razem.

Funkcjonariusz przesłuchujący, z cynicznym uśmiechem na twarzy, pytał dalej:

– To jak pani wytłumaczy, że widziano panią na mieście. Podeszła pani do bezdomnej kobiety siedzącej na ławce i zaproponowała pomoc. Gdy bezdomna odmówiła, ukradła jej pani portfel, w którym były pieniądze, co najmniej

pięćset złotych, karta kredytowa i bilet miesięczny, a oprócz tego jeszcze ukradła pani jej telefon. Ta kobieta dokładnie opisała pani wygląd: czarne spodnie, zieloną pikowaną kurtkę i czapkę wełnianą w paski. Poza tym podała pani dokładny adres zamieszkania i na dodatek rozpoznała panią na zdjęciu, przedstawionych przez nas czterech różnych osób, w tym pani?

Nie kryjąc zdumienia, powiedziałam:

– Nie mam pojęcia, skąd ta historia. W pierwszy dzień świąt byłam w domu wraz z mężem. Na świąteczną wycieczkę wybraliśmy się dopiero w drugi dzień świąt, po obiedzie i wyjechaliśmy za miasto. Ale dodam jeszcze raz, to było w DRUGI dzień świąt! Cała ta historia jest absurdalna...

– Co pani ma na myśli? – dopytywał funkcjonariusz.

– Otóż, zapytajcie kogokolwiek, kto mnie zna, a potwierdzi, że ja, po ciężkiej chorobie, mam trudności z chodzeniem. Nie wychodzę sama z domu, a jeśli już, to ze wsparciem męża lub o kulach. Prawie wszędzie jeździmy więc samochodem. Zatem mój samotny spacer po ulicach miasta, w upalny, świąteczny dzień, w ciepłej odzieży, jaką pan opisał, w celu okradzenia bezdomnej kobiety... nie, tego nie jestem w stanie skomentować. I do tego jeszcze okradziona zna mój adres? Może powie mi pan, że po tej spektakularnej kradzieży dałam jej moją wizytówkę, aby łatwiej było jej mnie opisać? I co potem? Uciekłam, ja, która ma trudności z chodzeniem? Pan wybaczy, ale tego absurdalnego zarzutu nie potrafię wytłumaczyć.

Funkcjonariusz spod okna, który do tej pory nie zabierał głosu, wstał od biurka i wyszedł z pokoju. W Sali przesłuchań zapanowała cisza, funkcjonariusz pisał coś w komputerze. Po chwili ten pierwszy wrócił do pokoju i bez słowa usiadł za swoim biurkiem. Piszący skierował monitor komputera w jego stronę i pokazując coś palcem, zapytał: – To tu mam wpisać?

Na co ten odpowiedział: – Nie, tu wpiszesz drugie imię, a nazwisko panieńskie pod spodem, w drugiej linijce. – Noo, tak myślałam – potaknęła przestuchująca i odwrócił znowu monitor w swoim kierunku.

Zorientowałam się, że funkcjonariuszowi z trudem przychodzi wypełnienie kwestionariusza, odwróciłam więc głowę i uśmiechnęłam się pogardliwie.

Tymczasem ten od komputera milczał, by po chwili, jakby przed siebie, rzucił pytanie:

– Pani maluje obrazy?

- Ooo, domyślam się, że szuka pan moich śladów w Internecie?
- Tu znalazłem wywiad z panią, mówi pani o obrazach. Jakie obrazy pani maluje?
- Był pan przecież u mnie w domu, więc musiał pan je widzieć...
- Widziałem obrazy, ale nie wiedziałem, że to pani dzieła.

Nie skomentowałam. Mężczyzna nadal zagłębiał się w Internecie.

- Dużo książek pani napisała?

Aha, pomyślałam znowu, teraz chyba już mogę się domyśleć, o co chodzi – o książki! Czyżby cenzura zainteresowała się moimi książkami i wyciągnęła po mnie swoje łapy?...

- To i o książkach doszukał się pan informacji? Więc po co pan pyta, skoro pan wie? Nie zareagował na zaczepkę i pytał dalej.

- O czym pani pisze w swoich książkach?
- O ludziach... – powiedziałam z przekąsem.
- To ciekawe, hmm, bardzo ciekawe...

- To nie jest tajemnicą, wszystkie moje książki może pan sobie wypożyczyć w Miejskiej Bibliotece.

Znowu zapadła cisza. Po chwili zwróciłam się w kierunku tego spod okna.

- Długo to jeszcze potrwa? Jestem chora na cukrzycę, czuję się słabo, potrzebuję cośkolwiek do zjedzenia, nie wiem, kromkę chleba, batonik, cukierek, czy chociażby szklankę słodkiego napoju...

Wstał bez słowa od biurka i wyszedł z pokoju. Drugi funkcjonariusz bez przerwy stukał coś w komputerze, odwracając mój dowód osobisty na wszystkie strony. Po kilku minutach wrócił ten spod okna i usiadł za swoim biurkiem. Nie przyniósł nic, nawet szklanki wody!

Ciszę przerwał trzeci funkcjonariusz, który wszedł do pomieszczenia, otwierając energicznie drzwi. To ten najniższy, arogancki mięśniak, który groził kipiszem w domu. Tym razem bez czarnej kurtki-polaraki, ale w koszulce bez rękawów. Moim oczom ukazały się więc tatuaże od ramienia po nadgarstki. Za paskiem przypięte kajdanki pobrzękiwały złowrogo. Krokiem, który przypominał nastroszonego pawia przedfilował przede mną i rozsiadł się na krześle stojącym pod oknem z boku biurka pierwszego funkcjonariusza, po czym ostentacyjnie wyrzucił obydwie nogi do góry i oparł je na blacie tegoż biurka.

Całkowicie zaskakująca scena. Nie dość, że ten pierwszy funkcjonariusz, który sprawiał wrażenie najstarszego stopniem w tej grupie, nie zareagował, to pozycja z nogami na biurku tego niewysokiego wzrostem człowieka, musiała być wyjątkowo niewygodna. Zignorowałam całkowicie tę demonstrację i nawet nie spojrzałam w jego kierunku. Patrzyłam tylko mimochodem, kątem oka. Nie dałam temu groteskowemu pajacowi żadnej satysfakcji, żadnego powodu do zademonstrowania wyższości. Scena była całkowicie żenująca. Impertynent zdjął w końcu nogi z biurka i powiedział, całkiem od rzeczy, jakby przed siebie: – Na to szkolenie jadę jutro, ciekawe, ile potrwa?

Nie było żadnej reakcji, więc po chwili wstał i wyszedł z pokoju. Co to miało znaczyć? Co za demonstracja? Co ONI usiłują mi pokazać? Sceny z amerykańskich filmów?!!!

Do pokoju wszedł kolejny mężczyzna. Przedstawił się.

– Jestem naczelnikiem wydziału kryminalnego. Pani z pewnością chciałaby już iść do domu. Pani mąż czeka na panią przy portierni. Za chwilę oficer dochodzeniowy przesłucha go i zaraz potem spisze pani zeznania jako świadka...

– Jak to, jako świadka? – spytałam – Przecież przywieziono mnie tu kilka godzin temu jako podejrzaną o dokonanie przestępstwa? Raptem jestem świadkiem? O co tu w ogóle chodzi?

Na to naczelnik:

– Nie, nie, ta osoba, która panią oskarżyła podała rysopis, który nie zgadza się z pani wyglądem. To miała być wysoka, tęga kobieta... i kolor włosów też się nie zgadza...

– To po co mnie tu jeszcze trzymacie?

CO TO BYŁO? – przeszło mi przez głowę – „DOBRY GLINA – ZŁY GLINA”? A te brednie, że zna mój adres i rozpoznała na zdjęciu?...

Marek Rudnicki

Urodził się 1 sierpnia 1952 r. w Słupsku. Wykształcenie wyższe – informatyk-cybernetyk.

Dziennikarz i redaktor kilku tytułów prasowych, informatyk i ekonomista, którego pasjami są historia i paleoastronautyka. W okresie pierwszej

„Solidarności” aktywny studencki działacz opozycyjny. Pełnił funkcję przewodniczącego Niezależnego Zrzeszenia Studentów na Politechnice Szczecińskiej WIET oraz wiceprzewodniczącego w okresie strajków studenckich. Ukończył specjalistyczny kurs techniczno-zawodowy dla dziennikarzy opozycyjnych i wydawców Związku Włoskiej Prasy Periodycznej (UNIVERSITA' DEGLI STUDI DI URBINO, FACOLTA' DO MAGISTERO).

Po roku 1989 był rzecznikiem prasowym Związku Młodocianych Więźniów Politycznych lat 1944-1956 „Jaworzniacy”. Współinicjował reaktywowane w 1989 roku Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich Oddział Szczecin. Współprowadził warsztaty dziennikarskie dla młodzieży białoruskiej i ukraińskiej w Fundacji Rozwoju Demokracji Lokalnej. Współpracował z kilkoma pismami, w tym „Młoda Polska”, „Solidarność 80”, „Przedsiębiorca Zachodniopomorski”, „Baszta”. W latach 1987-1990 był dziennikarzem Tygodnika Wybrzeża „Morze i Ziemia”. Następnie w latach 1991-2019 pracował jako dziennikarz w „Głosie Szczecińskim”.

Laureat wielu wyróżnień, w tym nagrody „Ostrego Pióra” Business Centre Club, tytułu „Dziennikarza Roku” w konkursie organizacji dziennikarskich SDRP Pomorze Zachodnie i SDP, Nagrody im. Bogdana Czubasiewicza oraz w Konkursie Wielkopolskiego i Lubuskiego Oddziału SDP. Autor kilkuset publikacji dotyczących tajemnic historii i odkryć z pogranicza nauki nieakademickiej.

Jako pisarz (podpisujący się Marek Boszko-Rudnicki) spotyka się z dużym uznaniem, choć nie tworzy wielu książek. Twierdzi, że twórczość to nie fabryka gwoździ, wymaga czasu i przemyśleń. Te, które powstały, spotkały się z pochlebными opiniami zarówno czytelników, jak i krytyków. Spod jego pióra wyszły „Kołowrót dziejów” i „Bękarty bogów”, powieści o tematyce paleoastronautycznej oraz powieść „Shang. Kolce róży”, thriller z elementami political fiction o przetrwaniu w czasach zarazy; swoiste studium rozgrywek między wywiadami państw, które uchodziły dotąd za sojuszników. Zawiera elementy krwawej wojny, która dziś toczy się na Ukrainie oraz kwestię mylnych decyzji podejmowanych w centrach wojskowych, w których decyzje sztabów oparto o komputer kwantowy i sztuczną inteligencję SI. Jest też autorem cyklu thrillerów o przygodach dziennikarza uwikłanego w działania służb specjalnych: „Szpony diabła”, „Remedium 111” i „Krwawy bursztyń” oraz serii przygodowej, umiejscowionej w okresie wojny polsko-bolszewickiej, w której przemycił niecodzienne przeżycia jego dziadków, legionistów Piłsudskiego – „Vakho. Wilcze szczenię” i „Vakho. Czerwone wrota” (w przygotowaniu „Vakho. Ucieczka do piekła”).

Rozdział powieści „Shang. Kolce róży” (Wydawnictwo Novae Res, 2024)

Rozdział 4

Przyjaciele i znajomi Claire określali dziewczynę słowem „śliczna” i tak też na nią wołali. Może nie była superpięknością z okładek czasopism dla panów, ale miała w sobie coś, że zawsze otaczał ją wianuszek komplementarzy. Z drugiej strony zawsze uśmiechnięta, oliwkowa twarz dziewczyny w części osób nie wzbudzała zachwytu. To, że była inteligentna i spostrzegawcza, nie bardzo podobało się zwierzchnikom, którzy woleliby uchodzić za jedynek, których natura obdarzyła rozumem, co w światku lekarskim nie był wyjątkiem.

Tego dnia wstała lewą nogą i wrodzony humor jakoś się nie pojawił. Na przejściu dla pieszych zajechał jej drogę tęgi Bawarczyk, który zwolnił i z satysfakcją pokazał jej wymowny gest: *Ausländer aus!* W klinice, w pierwszej godzinie dyżuru, ścięła się z siostrą przełożoną, Austriaczką, Erną Wallischtiel, podkreślając wobec podległego personelu swoją wyższość. Tym razem chodziło o jej protegowanego, Berndta, jednego z kilku pacjentów, którzy wyraźnie nie powinni się tu znaleźć, a pojawił się za sprawą nowego ordynatora, o którego interesach pielęgniarki szeptały po kątach jeszcze przed jego przyjściem.

Z Berndtem miała scysję, gdy pojawił się w pomieszczeniu z damskimi prysznicami, gdy po dyżurze brała kąpiel i ostentacyjnie zaczął się na jej widok onanizować. Interwencja u siostry przełożonej nic nie dała, a wręcz została przez nią splawiona słowami: „A co ty takiego masz, że robisz z tego awanturę?”



Okładka książki „Shang. Kolce róży”

Telefon z sekretariatu szefa dziś nie poprawił jej nastroju. Sekretarka przekazała jej polecenia natychmiastowego udania się do „lochów”, jak popularnie nazywano najcięższy oddział dla najtrudniejszych przypadków, który mieścił się głęboko pod ziemią. Od innych dzieliły go nie tylko dwie pary drzwi zamknięte na elektroniczny zamek i kamery w dzielącym je przedsionku oraz strażnik w pomieszczeniu z pancerną szybą, ale również aparatura skanująca wnoszone przedmioty i sprawdzająca każdego wchodzącego.

Claire nigdy tu nie była, a i jej koleżanki też nie miały okazji zobaczyć tamtych pomieszczeń. Zjeżdżali tam tylko lekarze i zaufany męski personel, który nie utrzymywał kontaktu z feminizowanym personelem w innych, lżejszych oddziałach. Gdy dziewczyna spytała sekretarkę, o co chodzi, ta zdołał tylko stwierdzić: „Sama zobaczysz...” i nie kończąc, się wyłączyła. Tuż przed tym Claire wydało się, że usłyszała włączający się alarm.

Była zła. Miała jeszcze dużo pracy nad przygotowaniem raportu z analiz krwi i moczu, rozdziału leków i zastrzyków, popołudniowy obchód z zastępcą ordynatora Weisa, doktorem Richardem Krügerem, przyjęcia w gabinecie zabiegowym i do tego opieka nad małą Kariną, siedmioletnią i nieco rozkapryszoną córką doktora Schneidera, przyjaciela i konsultanta ordynatora, który był jednocześnie szefem laboratoriów uniwersytetu, z którym współpracowali.

Chyba wbrew woli ojca dziewczynka upatrzyła sobie właśnie ją i spędzała czas z Claire, czekając, aż przyjedzie po nią po pracy. Do kliniki w południe przywoził ją ze szkoły szofer. Dziewczynka ciężko przeżyła śmierć matki, ojciec nakazał więc jej przywózkę do kliniki, a nie do domu ani do laboratoriów, gdzie pracował, co Claire wydawało się nieco dziwne. Był psychiatrą, pewnie wiedział, co robi.

Sympatia Kariny do Claire nie wzbudziła aplauzu przełożonej Wallischtiel, która bardzo zabiegała o względy dziewczynki. Ta jednak wybrała Claire. Tym razem mała trajkotała cały czas o Rolfie, kilkumiesięcznym szczeniaku owczarka syberyjskiego, którego niedawno otrzymała na imieniny. Robił szkody, a wczoraj przegryzł na pół gumową lalkę Pippi.

– Został przez tatę wstawiony za karę do łazienki, ale popłakałam się, to szybko go wypuścił. To przecież jeszcze dziecko, prawda? – Mała zadarła głowę, oczekując od Claire potwierdzenia logiki wyводу.

Odprowadziła dziewczynkę do sekretariatu. Pielęgniarkę nieco zdziwiła ją wyraz twarzy ordynatora, który już na nie czekał, a także widok dwóch ochroniarzy, którzy zazwyczaj tu nie zaglądali. Pożegnała się i pobiegła do windy,

pamiętając o poprzednim zleceniu. Po drodze wysiadła piętro niżej i przeszła do wind jadących na dół. Zaskoczyła ją cisza w salach, w których mieszkały osoby o lżejszych schorzeniach. Zazwyczaj coś mamrotali, nucili, rozmawiali ze sobą, a dziś nic, jakby umówili się, że będą milczeć. Odnotowała to, ale nie zastanawiała się nad tym. Chwilę poczekała na windę, po czym nacisnęła guzik w dół.

Gdy drzwi windy się otworzyły, Claire zaskoczyła panująca i na tym piętrze cisza. Zejście do poziomu z najcięższymi przypadkami było usytuowane jeszcze niżej. Znajdujący się tam korytarz i jadalnię można było zobaczyć, przechodząc na antresolę, którą ulokowano na parterze. To stąd był doskonały widok na dawny refektarz, gdy budynek przed wiekami był klasztorem.

Claire się zatrzymała. Dopiero teraz skonstatowała, że w tej ciszy jest coś nienaturalnego. Zajrzała przez małe okienko w drzwiach mijanej salki. Nie zauważyła pacjentów. Tak czasami bywało, gdy bawili się w nalot i chowali pod łózkami, ale tym razem cisza niosła ze sobą coś bardziej niepokojącego. Dziewczyna sięgnęła po uniwersalny klucz, otworzyła drzwi i stwierdziła, że nikogo nie ma. Przeszła do kolejnej. Też pusto, podobnie jak w trzech następnych.

Co się dzieje? – pomyślała zaniepokojona – przewożą pacjentów? To po to miałam zgłosić się na dół? Czemu jednak nikt mnie o tym nie powiadomił? A może to ćwiczenia i przez to, że straciłam czas na odprowadzanie Kariny, coś przegapiłam? A może zemsta przełożonej, by zdobyć na mnie haka? Nie, pewnie ćwiczenia – uspokoiła się – a ja głupia coś wymyślam.

Gdy otwierała ostatnią salę, usłyszała jakby szum dochodzący gdzieś z piętra poniżej. Nie powinno go być, bo tych pacjentów nigdy nie wypuszczano, chyba że na zabiegi, ale wówczas nakładano im specjalny kaftan krępujący ruchy i towarzyszyło im dwóch pielęgniarzy. Nie namyślając się, Claire ruszyła dalej do antresoli.

W pierwszej chwili, gdy spojrzała w dół, nie zorientowała się, co się dzieje. Długim korytarzem szli pacjenci prowadzeni przez Berndta, który przystawał co chwilę, otwierał drzwi do mijanych pokojów, a później przechodził dalej. Jak zdobył uniwersalny klucz? Tłum za nim gęstniał z każdą chwilą. Teraz liczył kilkadziesiąt osób. Claire nie spodziewała się, że w klinice przebywa aż tylu tych najbardziej chorych, Patrzyła, nie wiedząc, co zrobić. To było wbrew regulaminowi i środkom bezpieczeństwa. Kogo zawiadomić? I kto dał ten klucz Berndtowi?

W pewnym momencie z pawilonu elektrowstrząsów, który znajdował się na tym samym piętrze co antresola, buchnął gwar, a zaraz po tym szelest kroków, i to wcale nie pojedynczego człowieka.

Claire zareagowała odruchowo. Rzuciła się w kierunku windy. Zanim dopadła drzwi i nacisnęła guzik, do jej uszu dotarł nowy dźwięk – wrzask śmiertelnie przerażonych kobiet, dochodzący z kierunku, gdzie znajdowała się szpitalna stołówka dla personelu. Gdy drzwi windy się otworzyły, wśród lamentów i zawodzenia dziewczyna wyłowiła rżenie, jakby kogoś mordowano. Wpadła do środka, pięścią uderzyła w guzik parteru i z przerażeniem patrzyła, jak z końca korytarza biegnie w jej kierunku kilku pacjentów. Wyraz ich oczu i wykrzywione twarze ją zmroziły. Z ulgą odetchnęła, gdy dźwig ruszył.

POEZJA

Monika Miłośz

Urodziła w 1984 r. w Gorzowie Wielkopolskim. Mieszka w niewielkiej wsi w gminie Dobiegniew. Absolwentka Liceum Agrobiznesu w Strzelcach Krajeńskich, studentka Zarządzania Logistycznego i Zarządzania Produkcją. Zawodowo związana z Logistyką i Planowaniem Produkcji.

Jej wiersze ukazały się na łamach „Ziemi Strzeleckiej” (2000r) oraz w dwóch antologiach poetyckich – „W rytmie poezji 2” (Fundacja Kamena Łódź, 2022), „Niosąc pomoc Olusiowi” (Edu-Art, 2023, antologia charytatywna). W 2024 r. wydała swój pierwszy tomik wierszy „zupełnie niedaleko gdzieś dwa kroki za... i głębiej” (seria:akcent).

Laureatka szczecińskiego Turnieju Jednego Wiersza „Od Morza do Tatr” 2023. W tym samym roku jeden z jej wierszy został wyświetlony na ścianie kamienicy przy ul. Brackiej w Krakowie, w ramach projektu „Wiersze na murach”.

W czasie wolnym lubi otulać się ciszą, delektować pięknem przyrody i wierszem oswajać codzienność. Pisząc wiersze kieruje się myślą Milana Kundery: „Powołaniem poezji nie jest olśniewanie zaskakującą ideą, lecz sprawienie, że chwila bytu staje się niezapomniana i godna nieukozonej tęsknoty”.

Wiersze z tomiku „zupełnie niedaleko gdzieś dwa kroki za... i głębiej”

(seria:akcent, Szczecin 2024).

Ważne

*Tak bardzo nie kochasz
Jakby mróz*

*Tak bardzo nie pragniesz
Jakby lód*

*A ja nago stoję
Ubrana tylko w miłość*

*I nieważne że nago
I nieważne że mróz
I nieważne że lód*

*Ważne
Że w miłość*

** * **

*wiersze piszą ci
którzy mają czas*

...cierpienia

*i nie że ich bolą kości
ale głównie ci
których ciała zdrowe
tulą obolałe wnętrza*

*wiersze piszą ci
którzy mają czas*

...wciąż jeszcze

Lipinka*

*Lipinka zatrząskuje
Kolejne okiennice
Ostatnie młode
Odlatują do cieplejszych krain*

*Cichną Szariki i Azory
Pustką misek
Nieprzywiązaniem łańcucha*

*Jeszcze tylko ciepły płomień
W listopadzie
Na kamieniu*

*I wiatr
Co szumnie przysiada
Na ławeczkach
Na których jeszcze wczoraj
Nie znalazłby wolnego miejsca*

**wieś w woj. lubuskim, gm. Dobiegniew*

Młodość

*Czemu trzaskasz
drzwiami
nie musisz
uporczywie zwracać
na siebie uwagi
codziennie w lustrze
widzę
że odchodzisz*

Niezauważenie I-kara

*Od(leciata)
Nie(zauważ)enie
Na miliony lat świetlnych*

Roz(Ikar)owała się
W najdalszym zakątku
W najciemniejszym niebie*

*Ani wzrokiem sięgnąć
Ani dotknąć muśnięciem*

*Mówią tylko
Że jest najdalsza*

*A ona taka
Naj(samotnie)jsza
Niedotykalna*

*Miliony lat świetlnych temu
Rozsiadła się blaskiem na dłoni*

*Nie trzymał
Dlatego mu spadła*

*Nie zważał
Więc nawet nie gonił*

**Ikar – samotna, niebieska gwiazda, która leży najdalej spośród do tej pory zaobserwowanych*

(P)akt o (nie)kochaniu

*Ona taka w (nie)widoczność
(Nie)zmysłowość (nie)istotność*

*A on taki w(e) (nie)wzruszenie
W (nie)ogrzanie (nie)wtulenie*

*Ona smutkiem smutno płąsa
On z rozmysłem z myśli strząsa*

*Ona wtedy w opuszczenie
Kiedy on w niezapatrzenie*

*Tak ubrani w (nie)złączenie
(Z)wodzą się na pokuszenie*

Niewierna

*jesteś wiarą
której nie wyznaję
nie potrafię uwierzyć
w twoje podstawy
wątpię choć wiem
że błogostawieni
którzy uwierzyli*

*jestem zatem z tych
najmniej błogostawionych
z tych którzy nie wyznają ciebie
wiaro*

w siebie

Małgorzata Hrycaj

Szczecinianka, absolwentka Uniwersytetu Szczecińskiego. Logopedka. Laureatka licznych konkursów literackich. Miłośniczka poezji, tańca i wędrówek po górach.

Autorka zbiorów poezji: *Pod baldachimem krwawnika* (2016), *Aponia w ogrodzie* (2018), *Cud oddychania* (2020), *Sztuka (od)chodzenia* (2022), *Muz (wy)obcowanie* (2024) oraz *Baśni o Szczęściu* (2023). Publikowała wiersze w wielu antologiach, czasopismach i e-magazynach kulturalnych. Jej utwory były czytane w audycjach radiowych. Realizuje też swoje pasje, pisząc artykuły do prasy. Od 2021 r. członkini Związku Literatów Polskich.

Wiersze z tomiku „muz (wy)obcowanie”

(seria:akcent, Szczecin, 2024)

brzdęk

*kiedy pobiję filiżanki
pozostanie krucha głowa
uderzę nią w mur między nami
gdy wypadnie z oczu szkło
będę widzieć jaśniej
znajdę tajemne przejście*

*mieliśmy żyć długo i szczęśliwie
w szklanych domach fetować
kryształowe gody
w zastawach made in china
celebrować miłość*

*zagubiliśmy smak
herbaty w musztardówkach
nocy sączonych z blaszanych kubków
deszczu jęk i płacz szklany*
zaparowane odbicia w weneckich lustrach*

*moja dziewczynko z porcelany
kiedyś to mi się stłukła***

Leopold Staff *Deszcz jesienny

***Krzysztof Kamil Baczyński *Słowa po deszczu**

buk zwyczajny

*pewnej nocy/mój/ bóg umarł
 nic nie dało się zrobić nie znalazłam
 odpowiednio godnej treści dla nazwy
 pozostało rozłożyste drzewo
 dające cień i orzeszki na pokarm
 w jego koronie nie płoną kamienie
 dzieci wyklute w bezpiecznych
 gniazdach sycą się powietrzem
 liście w reflektorach wschodów i
 zachodów gwiazd tworzą arcydzieła
 w ogniu burzy może zmienić się
 w pochodnię i pokazać że bóg tak jak
 wszystko co stworzył ma dwie twarze
 istniejemy by karmić jego władzę*

nie(do końca)poznany

*codziennie słyszę twój krzyk
rozprowadzam maź płodową
sprawdzam odruchy
szacuję w skali piękna potencjał
karmię rosnący głód
chronię przed potworami z bajek
i staczającym się światem
ty ufnie wyciągasz rączki
ciasno ci pod skrzydłami
omamiają błyskotki grzechotki
przesz w nierozszyfrowane
po własny algorytm
wymykasz się do okna życia
pozostawiasz nadzieję że
nie padniesz zbyt daleko od jabłoni*

bez kasy branka

ubrana w kolejne warstwy skóry
co dzień paraduję po wybiegu
wystawiam do przetargu skarby
rozsądku i umiejętności
wśród pokrzykiwań właścicieli
niewolników szczerzę się i
przepraszam za brak zębów mądrości
nie usłyszysz mojego krzyku
rozgrzeszona w konfesjonale nocy
wkładam w pokutny worek
grzech pierworodny
migruję w głąb kolejnych niemocy
wypatrując rozdziobanych po opłotkach
okruchów dobra

zagraj to jeszcze raz Sam
obietaj łuk triumfalnego oświecenia
gdy przetoczy się ostatnia
ociemniała epoka

endemiczni

wpisani w rzekę
wrośnięci w górę
zanurzeni w zieleni
wypełnieni siatką drzewek
z tkliwymi dendrytami
zależni od przyptywów/odptywów
ciśnięć krążeń
nawet jeśli wyrosłam limbą
a ty smrekiem
łączy nas jeden wiatr
osmotyczna paralelność
fotosyntetyczna czułość
plastry żywicy zamykające rany

mój psychiatra relatywizuje

*penetruje bezhołowie w mojej głowie
/liczy na fascynujące omamy
jak na nową książkę którą pochłonie/
instaluje swoje teorie
zapala fioletowe światła
wrzuca dźwięki treningowe
jak kamienie na szaniec /choć/
oboje znamy prawdę
żeby być normalnym trzeba oszaleć*

muz (wy)obcowanie / mar(k)sowo

*nasycona dawką węglowodanów
otwieram się na poezję
życie przecież bywa piękne /choć/
nie urodziłam się by płaszać z Apollinem
/nie byłoby mi obce nic co boskie/
codziennie spaceruję po ulicach
z żółtymi kwiatami
szukam odpowiedniej nazwy
jajeczka wierszy czekają na zapłodnienie
lawiruję między lodowymi górami
głód oksytocyny ściąga na ziemię
podparta darowanym żebrem
coraz dalej od Olimpu brnę w
nieokreślenie*

Emilia Mehmedow

Urodziła się 5 lutego 2007 r. w Choszcznie. Mieszka we wsi Breń. Bardzo kocha miejsce, w którym się urodziła, ponieważ jest pełne lasów, jezior i piaszczystych dróg, po których może spacerować.

Ukończyła szkołę podstawową im. Janusza Korczaka w Łasku, z wyróżnieniem. Jest uczennicą czwartej klasy szkoły średniej ZS nr 2 im. Noblistów Polskich w Choszcznie, na kierunku technik ochrony środowiska. W 2023 i 2024 r. otrzymała dwa stypendia artystyczne od swojej szkoły. Odkąd poznała, czym jest

pismo, zakochała się w słowie pisany i nie mogła się doczekać, kiedy nauczą jej tej niezwyklej umiejętności tworzenia. Początkowo marzyła, aby zostać pisarką fantastyki lub kryminałów, jednak od 2020 r., od początku pandemii Covid-19, zaczęła pisać wiersze, kierowana silnie objawiającą się wrażliwością. Dziś pisze artykuły z ważnych wydarzeń kulturowych na facebookową stronę swojej szkoły, tworzy wiersze, pisze opowiadania, osobiste pamiętniki, w których opisuje swoje życie. Dotąd wiersze publikowała w Internecie na platformie Wattpad i Facebooku. Jej jednym z wielkich marzeń jest wydanie papierowego tomiku wierszy.

Nie czekaj

*Gdy skończyły się seriale na Netflix-sie
I przejadła Ci się już pizza
Zastanawiasz się
czy tego właśnie chcesz od życia*

*„To tyle?” pytasz siebie w środku nocy
„Chyba stać mnie na więcej”
Nie chyba tylko na pewno – odpowiadam*

Nie ma na co czekać w spełnianiu marzeń

*Warunki nigdy nie będą sprzyjające
Zawsze będzie
nie ta pogoda
nie to ubranie
nie ten dzień*

*Zwycięzcy pracują w ciszy i zimnie
Zdecydowanie idą po swoje
pomimo deszczu
dziurawych skarpet
czy złego dnia*

*Działają tak by przed śmiercią powiedzieć :
„Zrobiłem wszystko co chciałem zrobić”*

*Nie czekają na „dobry dzień”
Bo może nigdy nie nastąpić
Za wiele mogą stracić
Ty też nie czekaj*

kłamstwo

odłamki szkła z witrażu prawdy
przeinaczone fakty
ułożone w kolorową mozaikę

cukierek z trucizną
coś co dają nam od ręki
kwas o słodkim smaku

największy grzech z możliwych
powód naszej śmierci

od oszustwa życie się zaczęło
a raczej iluzja „prawdziwego” życia

Drzewa
żołnierze w zielonych koronach
trwają wiernie
mimo burz, wiatru i parnego słońca

Salut wielki Dębie! Witaj drogi Klonie
w szeregu rozciągają się ich tysiące
w rozproszeniu sięgają miliona

trwają postane z wielką misją
uspokojenia intruza jakim jest człowiek

nas wszystkich

dzień dobry, ja tu tylko na chwilę
zaraz się zmyje
zaraz mnie wiatr rozwieje
zaraz mnie świat stąd porwie

przyszłam powiedzieć wam
że byłam tu

chodziłam po tych korytarzach
oddychałam tym powietrzem
tak samo jak Ty

spójrz
nie różnimy się za wiele
zaraz nas wiatr rozwieje

ślady porozmywa
śmiercią poprzesywa
nas wszystkich

Tymczasowy użytkownik

przesiewam życie przez palce
w zwyczajnym piasku szukam złota

nie wiem co powiedzieć
tak jak tu przysłałam
tak odejdę z niczym

nic tu nie zostawiłam
to wszystko nawet
nie należało do mnie!
wszystko czego dotknęłam
było kiedyś czyjeś

działa to na zasadzie używanych rzeczy
przekazywanych z rąk do rąk

nawet ten wiersz nie jest mój
pewnie ktoś już kiedyś go napisał
teraz, jestem po prostu jego
Tymczasowym użytkownikiem

ta życiodajna spirala będzie się kręcić
dopóki Bóg nie powie temu
wielopokoleniowemu cierpieniu dość

RECENZJA

Wojciech Kral

Odrzania Zbigniewa Rokity – dygresje po lekturze

Odrzania to tytuł książki Zbigniewa Rokity o terenach przyłączonych do Polski po 1945 roku, zwanych często „ziemiami odzyskanymi”. Książka ma charakter reportersko-eseistyczny. Nazwa „Ziemie Odzyskane” kojarzona dziś jest często z propagandą okresu PRL-u i miała udowodnić społeczeństwu polskość tych ziem, odwieczność żywiołu słowiańskiego i historyczną przynależność do Polski. Po latach tego typu narracja przestała być potrzebna, nazwę „Ziemie Odzyskane” zastąpiono określeniem „ziemie zachodnie”, nie znikły jednak wątpliwości, niepewności i spory historyczne czy kulturowe, dotyczące właśnie tych ziem.

Książka jest napisana ciekawie i wciąga, bardziej niż konkretnym dokumentem zdaje się jednak być zbiorem reportaży i esejów, luźno powiązanych ze sobą tematem ziem zachodnich. Pierwszym, co przyciąga uwagę, a nawet jest trochę chwytem prowokatorskim, jest sam tytuł – *Odrzania*, którym autor nazywa zbiorowo wszystkie ziemie przyłączone do Polski po 1945 roku. Słowo to jest neologizmem, hybrydą językową, dziwologiem. Źródłostowem jest tu oczywiście polska nazwa rzeki – Odra wraz z pochodzącą z łaciny końcówką -nia, używaną do urabiania wielu nazw krain geograficznych (jak Toskania, Bretania, Pogezania, Pomezania i in.). Dodatkowo końcówka ta jest zbliżona fonetycznie do występującej w języku polskim końcówki -nie oznaczającej m.in. etnonimy plemienne, jak Wiślanie, Polanie czy Ślężanie. Nazwa „Odrzania” jest przeciwstawiona słowu „Wiślania”, nazwie również wymyślonej przez autora

i stanowiącej jednocześnie derywat od nazwy rzeki Wisły, a także nawiązanie do nazwy plemienia Wiślan, będącego obok Polan najważniejszą grupą, która weszła w skład państwa Mieszka I. Wisła to oczywiście największa rzeka Polski, rzeka symboliczna, leżąca w całym swoim biegu na jej terytorium. Odra natomiast od 1945 roku miała się stać symbolem rzeki granicznej z Niemcami. Użycie tej nazwy byłoby uzasadnione, jednak zaskakuje łatwość, z jaką używa autor książki słowa „Odrzania” do oznaczania nie tylko terenów położonych w dorzeczu Odry, ale ogólnie wszystkich terenów przyłączonych w 1945 roku do Polski. To może wywołać chaos, zwłaszcza jeśli Gdańsk ze swoim Wiślouiściem ma się znajdować na terenie Odrzania, natomiast nadodrzańskie wioski należące do II RP i leżące w pobliżu niemieckiego wówczas Raciborza – już do niej by nie należały. Odrzania oznacza więc tereny określane jako „poniemieckie”, czyli należące do Niemiec do 1945 roku, dodatkowo jeszcze uzupełniona o teren Wolnego Miasta Gdańska. Autor zaznacza też, że nie omawia w ramach Odrzania terenów, na których Polacy (Kaszubi, Ślązacy, Mazurzy, Pomorzacy) stanowili większy, znaczny procent ludności. Natomiast nie za bardzo wiadomo, co zrobić z terenami, w których ludność Polska stanowiła może nie znaczną, ale istotną mniejszość. Gdzie postawić granicę procentową? W samym Wolnym Mieście Gdańsku Polaków mieszkało od 9 do 13%, co mogło w sumie dawać liczbę przewyższającą 30 tys. mieszkańców. W każdym razie autor zdaje się tu być wybiórczy, bo tak samo, jak jego rodzinne Gliwice do „Odrzania” nie należą, tak też nie może do niej należeć ani Gdańsk, ani Olsztyn.

Sama książka porusza jednak wiele istotnych problemów. Na pierwszym miejscu jawi się pytanie, na ile polskie są lub nie są te ziemie, które autor zaliczył do Odrzania. Nie da się na to pytanie jednoznacznie odpowiedzieć, ponieważ polskie ziemie zachodnie przez długie stulecia swojej historii były ziemiami pogranicza. Dzielą się na krainy historyczne i geograficzne, bardzo



Okładka książki „Odrzania”

różne od siebie nawzajem, które często w ostatnich latach dopiero starają się odzyskać swoją zapomnianą tożsamość. Dosyć groteskowe wydaje się być stawianie owych wymyślonych krain (może bardziej mentalnych, niż geograficznych) we wzajemnej opozycji. Czasem też włożenie do jednego worka „Odrzani” warmińskiego Olsztyna z sudecką Jelenią Górą budzi pewne skonfundowanie, zwłaszcza wśród osób znających te miasta i regiony.

Zbigniew Rokita w swojej książce obala mity na temat Ziemi Odzyskanych i ich polskości. Jednocześnie również tworzy własne mity, które również należałoby obalić, jednak sam tego nie robi. Zwraca uwagę na nieścisłości i luki w dawniejszych podręcznikach historycznych, sam jednak zdaje się nie doceniać niektórych kontekstów historycznych i regionalnych. Uczciwie jednak daje do zrozumienia, że książka posiada narrację subiektywną. Same nazwy „Odrzania” czy „Wiślania” mogą być przez czytelnika potraktowane jako żart. Brzmia jak wymyślone nazwy nieistniejących krain geograficznych. Być może autor chce zwrócić uwagę na fantasmagoryczny charakter tożsamości kulturowej tych ziem, które zostały opuszczone przez ludność niemiecką, ale do dziś nie do końca znalazły swoje miejsce w polskiej tożsamości kulturowej.

Czy warto przeczytać *Odrzanie*? Tak, choć jest to książka, która nic nie usiłuje udowodnić i nie stawia sobie żadnej konkretnej tezy. Autor bywa subiektywny, a materiał historyczny traktuje wybiórczo. Po tytule *Odrzania* trochę nawet oczekiwałem nawiązań do dawnej historii nadodrzańskich plemion, lecz prawie ich nie ma. Jest za to wiele relacji, wspomnień i przeżyć ludzi, autentycznych świadków przesiedleń i wysiedleń, które rozpoczęły się od roku 1945. Inna jest jednak pamięć tych, którzy musieli te ziemie opuścić, a jeszcze inna jest pamięć doktrynalna, oficjalnie promowana w polskich, komunistycznych mediach i placówkach edukacyjnych. Słowem, Ziemie Odzyskane stają się polską kaszą polaną sowieckim sosem, podaną na niemieckim talerzu i przyprawioną pieprzem z niemieckiego młynka. Dziś już, od 35 lat nie mamy sowieckiego sosu, ale możemy sobie kupić smaczniejszy sos Knorra w pobliskim Lidlu albo Kauflandzie. Pisząc te słowa, nawiązuję do ironicznego i żartobliwego języka autora *Odrzani*, pełnego niejednoznaczności, stylistycznych wygibasów, najeżonego elegancko zszytą dziwacznością. To, z czym jednak zupełnie nie mogę się zgodzić, to próba sprowadzenia nazw miejscowych (topografii) do odgórnego procesu przemianowań, zmian owych nazw z niemieckich na polskie. Zwłaszcza dotyczy to dużych miast. Otóż jest to zupełną nieprawdą – nie jest tak, że Breslau stał się Wrocławiem, Stettin – Szczecinem, a Danzig – Gdańskiem. Nie jest tak, że zmieniły się nazwy tych miast, bo ani

po polsku, ani po niemiecku nazwy te od stuleci się nie zmieniły. Zmieniła się ludność, zmieniła się administracja, zmieniła się przynależność państwowa, a co za tym idzie zmienił się język urzędowy. Niemcy nadal określają te miasta jako Breslau, Stettin, Danzig, a Polacy używali nazw: Wrocław, Szczecin, Gdańsk nie od 1945 roku, ale też 100, 200, 300 czy więcej lat temu. Wrocław po czesku nazywał się i nazywa Vratislav, a po włosku – Breslavia, niezależnie od tego, jaki język urzędowy jest używany w tym mieście.

Po cóż więc takie sprzeczki słowne? Zapewne sam autor sobie zdaje sprawę z historii tych ziem, jak również z braku wiedzy o niej wśród znacznej części polskiego społeczeństwa. Wie też, że ludzie w zależności od światopoglądu, wykształcenia czy wieku w różny sposób odbierają historię tych ziem, ich tożsamość i kulturę. Są tacy bowiem, którzy chcą za wszelką cenę udowodnić, że w roku 1945 na miejscu miast Breslau, Danzig, Stettin naraz powstały polskie miasta Wrocław, Gdańsk i Szczecin. To bardzo uproszczone, wręcz prymitywne rozumowanie prowadzi do fałszywych wniosków. Równie nieprawdziwe są próby udowodnienia, jakoby te miasta były odwiecznie polskie. Zdarza się wreszcie inne skrajne stanowisko – są tacy, którzy twierdzą, że miasta te były zawsze niemieckie – i nie chodzi tu o członków niemieckich ziomkostw, ale o Polaków.

Mam wrażenie, że prowokatorskie, czasem dziwaczne określenia autora, w tym też i sam tytuł *Odrzania*, mają przede wszystkim zachęcić czytelnika do przemyśleń. Utworzyliśmy sobie wiele mitów, które niewiele mają wspólnego z prawdą. Wrocław nie jest ani nowym Lwowem, ani też prapolskim grodem. Nie jest też pruską fortecą. To miasto ma bardzo złożoną tożsamość i nie ma mowy o wybiórczej interpretacji jego historii. Podobnie jest z historią innych ważnych miast polskich Ziemi Zachodnich, jak Szczecin i Gdańsk.

Jaka więc jest tożsamość ziem, które po 1945 roku zostały dołączone do Polski? Nie ma prostej odpowiedzi na ten temat, bo należą one do różnych regionów, krain geograficznych, historycznych czy kulturowych. Historia Wrocławia, Gdańska i Szczecina różni się między sobą. Wrocław i Szczecin to miasta nadodrzańskie, a Gdańsk jest miastem nadwiślańskim. Szczecin i Gdańsk to miasta pomorskie, stoczniowe i portowe, a Wrocław jest miastem śląskim, miastem, z którego przy dobrej pogodzie widać Sudety. Czy można wrzucić te trzy miasta do jednego worka i określić wspólnym mianem Odrzania? Zakładam, że takie działanie ze strony autora miało też na celu uwypuklenie, a nawet groteskowe wyolbrzymienie cech wspólnych historii tych ziem, a konkretnie konsekwencji przegranej w 1945 roku przez III Rzeszę wojny. Konsekwencje

te to dołączenie tych ziem do Polski i wymiana ludności niemieckiej na polską w prawie 100%. Oczywiście, nie wszystko było od razu pewne, nie wszystko było jednoznaczne. Wiele tematów stało się po wojnie tematami tabu, wiele wydarzeń pomijano w oficjalnej narracji PRL i w podręcznikach do historii. Wiele zdarzeń też zostało zapamiętanych w pamięci zbiorowej w niekompletny sposób albo zbagatelizowanych. Rozumiem, że autor chce uzupełnić te luki w pamięci zbiorowej i zwrócić uwagę na pewne aspekty, o których przez lata się nie mówiło. Natomiast autor nie zajmuje się raczej mnóstwem kwestii, które mogłyby podważyć idealnie dwoisty podział na Odrzanię i nie-Odrzanię. A jest takich wiele.

Czy jednak Odrzania istnieje naprawdę? Czy może to kraina fantastyczna, albo jakiś stan umysłu? Chyba tak, bo geograficznym absurdem jest umieszczać w Odrzaniu miasta dorzecza Wisły. Proponowałbym więc Odrzanię jako pojęcie czasowe w dziejach Polski – może być to okres rozpoczynający się w roku 1945, zaś pre-Odrzania to epoka wcześniejsza. Powstaje pytanie: czy przy takim rozumieniu Odrzania trwa w całej dzisiejszej Polsce, a nie tylko na jej ziemiach zachodnich i północnych? Może tak być, gdyż wpływ granic geograficznych na tożsamość państwową i narodową jest ogromny. I nikt mnie nie przekona, że jest to tylko specyfika prowincji.

POETYCKIE IMPRESJE i INTERPRETACJE

Wojciech Czaplewski

Gra w pamięć i zobowiązanie

Poeta, qua poeta, ma tylko jedną polityczną powinność, mianowicie, trzeba dać w swoim pisaniu przykład właściwego użycia języka ojczystego, który bez przerwy jest maltretowany (...), rola poety polega na zachowaniu świętości języka.

(z wywiadu z W. H. Audenem,
„Literatura na Świecie” 5-6/2007)

Platon zamyślał wygnać poetów z Państwa, dlatego że słowo poety, zaklęte w artystyczną formę, nie bierze udziału w debacie ani nie poddaje się zmianom, tak jak to ma miejsce w filozofii (przypomnę, że w czasach Platona areną filozofii był rynek, a formą dialog). Rzemiosło poety nadaje jego słowu kształt niedający się przekształcić ni odeprzeć monologu, każdy wers Homera czy Hezjoda brzmi jak formuła magiczna, a artystyczna forma sprawia, że słuchacz ulega owej „mowie związanej”, ulega słowu – także jeśli jest szkodliwe – zamiast podjąć z nim dialektyczny dyskurs. Było w tym trochę racji, poezja owszem potrafi narzucać nam poglądy z nieodpartą siłą swego geniuszu. Czy uwierzylibyśmy, że „w szaleństwie jest metoda”, gdyby nie powiedział tego Szekspir? Czyż nie jest jasne, że „ojczyzna jest jak zdrowie”, że słowa „miałeś chamie złoty róg” zamykają dyskusję o zmarnowanych szansach?

A jednak Platon mylił się. Tworzywem poezji jest język, którego sposobem bycia jest komunikowanie, to znaczy tworzenie więzi, łączenie uczestników

rozmowy. Utwór poetycki nie jest marmurową kolumną pośrodku pustyni, to raczej okrągły stolik z miejscami wokół i otwartą butelczyną. Wiersze gadają ze sobą, poezja jest dialogiem, żyje w dialogu, w rozmowie, czasem w debacie, w sporze, czasem w pyskówce i nawalance.

Był rok 1841, druga połowa grudnia. Świątowanie potrójne: tego samego dnia przypadały urodziny Mistrza, dzień jego imienin i wigilia Bożego Narodzenia. Ukośne belki paryskiego poddasza udekorowano sztandarami i herbami dzielnic nieistniejącego państwa. Główny bohater wydarzenia, profesor Collège de France, od dobrych paru lat nie publikował już wierszy. Męskie grono uczestników, pomiędzy którymi znalazł się wciąż jeszcze młody Juliusz Słowacki; wśród patriotycznych toastów, tęsknych westchnień i eksklamacji politologicznych mistycyzmów doszło do wymiany poetyckich improwizacji. Skandal, będący po części dziełem mediów (w osobie pana Stanisława Ropelewskiego, który od dawna – podobnie jak dzisiejsi reformatorzy spisu lektur – z hobbystyczną pasją dokuczał Słowackiemu i jego „śmiesznym i cudacznym” utworom), groził nawet rozlewem krwi (na szczęście Ropelewski, który poczuł się obrażony, spakował manatki i zwiął z Paryża przed wyznaczonym terminem pojedynku). Skończyło się na „włóczeniu trupów” jedynie metaforycznym. Skłócenie wieszczowie, „dwa na słońcach swych przeciwnych Bogi”, niecały rok później, pod wpływem tajemniczego sekciarza, Andrzeja Towiańskiego wzięli się w ramiona – po czym ich ścieżki rozeszły się, aby ostatecznie zejść się na ostatniej arenie, wspólnej krypcie pod wawelską katedrą. Dodajmy, że w 1926 roku trumna z prochami Słowackiego dotarła Wisłą do Krakowa na barce, która nazywała się „Adam Mickiewicz”.

W pamiętnym konflikcie wieszczów to, co małosłowne i słabe, połączyło się z tym, co fundamentalne; prywatne urazy i kompleksy z tym, co należy do świata kryształowych idei, spraw ostatecznych, jakimi są Historia i Bóg, Ojczyzna i Poezja.

Był lipiec 1968 roku, już po marcowych rozróżbach, jeszcze przed inwazją na Czechosłowację, kiedy obaj panowie (pogodny wesolek i namaszczony kapłan – jak ich opisał świadek zdarzenia, amerykański poeta Philip Levine) czytali swoje wiersze na Uniwersytecie w Berkeley, a następnego dnia zostali zaproszeni na kolację do polsko-amerykańskiego małżeństwa Bogdany i Johna Carpenterów. Ilość wypitego alkoholu (butelki białego wina kontra szklanki bourbona) przekroczyła wyobraźnię gospodarzy, podobnie słowiańska krewkość

Herberta, który – kiedy rozmowa zesłała na ocenę powstania warszawskiego – wygarnął Miłoszowi żale nagromadzone w czasie ich dziesięcioletniej, czułej przyjaźni, a zwłaszcza w poprzedzającej amerykański epizod Herberta gniewnej korespondencji z roku 1967. Każdy z uczestników i świadków inaczej to zapamiętał, nie będziemy więc wnikać, czy w erystycznym ferworze istotnie padła propozycja włączenia Polski do ZSRR. Jedno jest pewne: nieprawdą jest, jakoby którykolwiek z uczestników awantury był kryptokomunistycznym negrolubem czy też endekoidalnym faszystą. I na tym może zakończymy rozważania o niestawnej berkelejskiej awanturze, nie będziemy więcej śledzić wątków plotkarskich, publicystycznych, towarzysko-alkoholowych. To, co ważne, dzieje się na wysokościach, tam, gdzie, jako się rzekło, wiersze gadają ze sobą.

W utworze *Miasto* z tomu *Ocalenie* – wierszu z adresem w podpisie: *Warszawa 1940*, zaczynającym się słowami: *Nad ruinami wstaje dzień, wędrowny grajek pustym oknom gra*, Czesław Miłosz zadaje pytanie: *Grajku poranny, komu ty tak grasz./ Tam są schody bez domu i piętra bez żywych*. A w 1969 r. ukazał się tom wierszy Herberta *Napis*, który zaczyna się tak: *Komu ja gram? Zamkniętym oknom/ klamkom błyszczącym arogancko/ fagotom deszczu – smutnym rynnom/ szczurom co pośród śmieci tańczą*. Wiersz *Prolog*, w którym padają te słowa, ma formę dialogu, małego dramatu z puentą. W dramacie tym występuje *On* (czyli Herbert) i *Chór* (czyli Miłosz). *On* stoi po stronie pamięci, czci dla poległych, którą zadaje nam ich ofiara, i zobowiązania, zadanego nam przez historię: *Płynę pod prąd a oni ze mną/ nieubłaganie patrzą w oczy (...)* *Muszę ich zawieźć w suche miejsce*. Zaś *Chór* opiewa naturę raczej niż historię. Ze swojej kosmicznej perspektywy postrzega historyczne wstrząsy jako krótkotrwałe pożary, które gasną, niewarte pamięci: *Wyrzuć pamiątki. Spal wspomnienia i w nowy życia strumień wstąp./ Jest tylko ziemia. Jedna ziemia i pory roku nad nią są./ Wojny owadów – wojny ludzi i krótka śmierć nad miodu kwiatem...*

Ksiądz profesor Józef Tischner w swojej *Filozofii dramatu* przedstawił życie człowieka, z natury swej skazane na relacje z innym człowiekiem, jako dramat na scenie świata – spotkanie, w którym zawsze tkwi ziarno potencjalnego konfliktu, prowadzącego do możliwej finałowej tragedii. Finałem *Prologu* są słowa, które są wyłączone z dialogu. *On* – Herbert, niejako tyłem odwrócony do *Chóru*, wygłasza (przechodząc przy tym, co istotne, do pierwszej osoby liczby mnogiej) bolesną konkluzję: *Rów w którym płynie mętna rzeka/ nazywam Wisłą. Ciężko wyznaczyć/ na taką miłość nas skazali/ taką przebodli nas ojczyznę*. Konkluzję przecież niedaleką od słów, które w *Przedmowie* Miłosza były pożegnalną tyradą do

tęgo, którego nie udało się ocalić, zakłębciem, aby nas odtąd nie nawiedzał więcej:
*Oto dolina płytkich polskich rzek. I most ogromny/ Idący w białą mgłę. Oto miasto
złamane/ I wiatr skwirami mew obrzuca twój grób,/ Kiedy rozmawiam z tobą.*

Słowa Chóru w *Prologu* to oczywiście Herbertowska kreacja, a nie prawdziwe cytaty z Miłosza. Spójrzmy zatem do tekstu *W Warszawie*, który zamyka Miłoszowy tom *Ocalenie* z 1945 roku. Ten wiersz także ma postać zawołanego dialogu, zaczyna się od pytań, zadawanych poecie stojącemu na gruzach Warszawy (dodajmy, że pisząc ten wiersz, Miłosz był już w wyzwolonym Krakowie, gdzie od niedawna mieszkał też uciekinier ze Lwowa Zbigniew Herbert). *Przysięgałeś, że nigdy nie dotkniesz/ Ran wielkich swojego narodu,/ Aby nie zmienić ich w świętość, Przeklętą świętość, co ściga/ Przez dalsze wieki potomnych.* Poeta odpowiada – sześć lat przed udaniem się na emigrację – *To brzemię/ Nie jest na moje siły./ Jakże mam mieszkać w tym kraju,/ Gdzie noga potrąca kości/ Niepogrzebane najbliższych? (...) Ja chcę opiewać festyny,/ Radosne gaje, do których/ Wprowadzał mnie Szekspir...*

Pamięć przeklęta i pamięć błogostawiona. Przekleństwo i chwała zobowiązania, i pragnienie Arkadii, wolnej od ran historii. Zawarte w *Ocaleniu* dossier odrzucenia pamięci i zobowiązania, przyprawione dozą sarkazmu i *rachunkiem* krzywd rodem z II RP, to na przykład wiersz *W malignie 1939: Widziałem polską ziemię, ziemię krwi i potu –/ No cóż, to prawda, krzywdy był kraj i ucisku (...) Niechże tam sobie idą stada kobiet w czerni,/ Błogostawiające jakimś urnom bolesne matki narodów.*

Herbertowski Kronikarz powiada: *...jeśli Miasto padnie a ocaleje jeden/ on będzie niósł Miasto w sobie po drogach wygnania/ on będzie Miasto.* A Miłosz, gdy Miasto depcze but zdobywcy, wobec *długiego jak wieczność oblężenia*, niesie w sobie pustkę i wyczekiwanie na to, co nieuchronne jak krążenie gwiazd: *Pole, gdy je sierpowi stratują żniwiarze,/ też długo leży puste, choć ma kłosem wrócić.* Dwa różne fatalizmy, dwie różne moce, człowiecza i kosmiczna, moc historii i moc natury. *Wiary żadnej nie pragnę. Nie słabość mi każe/ tak całą dumę ludzką spokojnie odrzucić* – Miłosz. *Idź wyprostowany (...) bądź wierny Idź* – Herbert. Ale przecież jest też Kronikarz – Miłosz. *Myślę, że jestem tutaj na tej ziemi,/ Żeby złożyć o niej raport, ale nie wiem komu.* (Herbert: *wyznaczono mi z łaski poślednią rolę kronikarza/ zapisuję – nie wiadomo dla kogo – dzieje oblężenia*)/ *Jakbym został wyślany, żeby co się na niej wydarzy,/ Miało sens tylko dlatego, że zmienia się w pamięć.*

Sens mają słowa i zdania, nie przedmioty i zdarzenia. I na to jest poezja, panie Platonie: żeby bełkotowi świata, życia i człowieka, natury i historii – nadawać

znaczenie. Aż wszystko będzie legendą, mitem, słowem, co ma moc tworzenia, przekształcania świata. Niech się mury Jerycha porozwalają jak kłody, niech pleśń z oczu zgarną narody (jeśli na miejscu jest uderzać w to Norwidowskie sądne pienie).

Ta ostatnia telefoniczna rozmowa adwersarzy, kiedy Herbert zmierzał do końca swej długiej agonii... Nie było to rzucenie się w objęcia w akcie pojednania. Raczej ten typowy dla naszych kościołów znak pokoju, stateczne kiwnięcie głową w stronę obcego, który stoi obok.

Śnił mi się znowu Miłosz (...) jak nauczyciel który prowadzi leniwego ucznia/ na Sąd Ostateczny – pisał Herbert do szuflady pod koniec lat 70., a potem, w tomie *Rovigo*, w wierszu *Do Czesława Miłosza: Aniołowie schodzą z nieba/ Alleluja/ kiedy stawia/ swoje pochyte/ rozrzedzone w błękicie/ litery*. Lecz kilka stron wcześniej czytelnik znajdzie niegrzeczną rymowanąkę: *Wreszcie umarł Chodasiewicz w jakimś stanie Oregonie/ za górami za lasami całkiem umarł/ i ogarnął jego ciało silne wielki tuman// jego rechot rymowany zza obłoków*. I niech nikogo nie zwiedzie tytułowe nazwisko. Prawdziwy Władysław Chodasiewicz nie miał nic wspólnego z żadnym Oregonem. Zarzuty, jakoby bohater wiersza pisał wiersze do sztambucha i był słabo odczytany – stanowczo niesłuszne i raczej mało zabawne. Sądzę, że serio należy traktować jedynie myśl z przedostatniej zwrotki, bo tędy toczy się prawdziwy spór: *Emigracja jako forma egzystencji rzecz ciekawa/ bez przyjaciół i bez krewnych pod namiotem/ żyć bez sankcji obowiązków każdy przyzna/ że na barkach cięży nam ojczyzna*. Skąd taki ładunek gniewu? Może czymś w rodzaju odpowiedzi jest następny wiersz w tomiku, *Pan Cogito na zadany temat: „Przyjaciele odchodzą”*, gdzie znajdziemy takie oto wtrącenie w nawiasie: *od siebie (Pan Cogito) mógłby dodać/ że zanik trwałych uczuć/ surowa historia/ konieczność jasnych wyborów/ decydowały/ o rozwodach przyjaźni*. A za Chodasiewicza Czesław Miłosz zrewanżował się wierszem w tomie *To*, wydanym dwa lata po śmierci Herberta, *O poezji, z powodu telefonów po śmierci Herberta: Ten, który jej służył,/ leży zmieniony w rzecz/ wydaną rozpadowi na sole i fosfaty,/ zapadającą się/ w swój dom chaosu. A poezja? Oswobodzona z majaków psychozy,/ z krzyku ginących tkanek,/ z męki wbitego na pal// Wędruje światem/ Wiecznie jasna*.

Mamy nieodpartą potrzebę bycia po stronie. Legia i Wisła, plugawa skorupa i żar wewnętrzny, czerep rubaszny i dusza anielska, chłopi i inteligencja wymachujący złotymi rogami, tokarczuki i rymkiewicz, republiki i tefaleny. A może

potrzebne nam czytanie równoległe? Otwarcie się na perspektywę dialogu? Formuła niniejszego szkicu nie zostawia miejsca na wielorakie eksploracje żywiołu poezji, ale zapraszam w tę podróż. Spójrzmy z życzliwą uwagą na ten slalom równoległy.

Pamiętam jak w mrokach stanu wojennego konspiracyjne spotkania z poezją nie mogły się obyć bez *Który skrzywdziłeś Miłosza i Przesłania Pana Cogito*. Solidna kwerenda jednych i drugich „wierszy zebranych” pozwoliłaby na zestawienie kilkudziesięciu takich par – aż chciałoby się zobaczyć tomik z Miłoszem po lewej, Herbertem po prawej stronie, zakończony wstrząsająco piękną parą miniatur: *Jasności promieniste* (strona lewa: *To wiemy, że bieg się skończy/ I rozłączone się złączy/ W jedno, tak jak być miało:/ Dusza i biedne ciało*) i *Tkanina* (po prawej: *Słabe światło sumienia stuk jednostajny/ odmierza lata wyspy wieki/ by wreszcie przenieść na brzeg niedaleki/ czótno i wątek osnowę i całun*).

Wtedy zobaczylibyśmy, jak przenikają się i uzupełniają *Modlitwa Pana Cogito* – *podróżnika* i Miłoszowy wiersz *Na trąbach i na cytrze* – taka sama szeroka, na długim wydechu fraza i jak filozoficzne puzzle składają się epizody w obraz Drogi przez wielobarwny świat, która wiedzie do wewnątrz. *Zawsze tęskniłem do formy bardziej pojemnej,/ która nie byłaby zanadto poezją ani zanadto prozą*, pisze Miłosz w *Ars poetica?*, a w *Brewiarzu* wtóruje mu Adwersarz: *Panie,/ (...) o zdania długie tedy modłę się, zdania lepione w mozole, rozległe tak, by w każdym z nich znalazło się lustrzane odbicie katedry, wielkie oratorium, tryptyk// a także zwierzęta potężne i małe, dworce kolejowe, serce przepętnione żalem, przepaście skalne i bruzda losów w dłoni*. Czyż nie jest to esencjonalny spis treści obu poetów? Czyż drogowskaz nie pokazuje Miłoszowego *Pożegnania: Tylko trud męskiego wieku./ Bruzda losu na dłoni./ Tylko trud. Nic więcej*. Czy to ta sama bruzda? Nie wiem, nie jestem Cyganką, ale myślę, że trud i mózół – praca nad *świętością języka*, nad tym, by polszczyzna nadal była tworzywem arcydzieł – ten sam.

W moim, rodzinnym Kołobrzegu od ćwierć wieku odbywa się coroczny ogólnopolski przegląd twórczości Herberta, na który miałem przyjemność przygotować kilka scenariuszy. I od lat chodzi za mną pomysł na spektakl, bez wszystkich tych biograficzno-publicystyczno-plotkarskich kontekstów, spektakl, w którym pogadają ich wiersze, tak, wyłącznie ich wiersze. Przecież toczy się między nimi fascynująca gra. Byłoby tam miejsce na eksplozje zderzeń, na wolne amerykanki, na wzajemne wzbogacanie idei i formy, na wspólne proactwa i wspólne szyderstwa, na podobne czerpanie soków z korzeni i woni

z kwiatów, na wzajemne zachwyty i – co nie najmniej ważne – na zabawę. Cóż, pomysł czeka na lepsze czasy.

Jakoś trzeba skończyć ten szkic o tym, co się nigdy nie kończy – i bardzo dobrze, bo czym byłaby nasza (i każda inna) literatura bez tych wszystkich korrid, konkursów piękności i *włóczenia trupów*?

Alef to tytuł tomu krótkiej, nieco dyskursywnej prozy, napisanego przez genialnego argentyńskiego prozaika, Jorge Luisa Borgesa. (*Alef* to pierwsza litera hebrajskiego alfabetu, lecz ponadniepoznawalny Bóg w swej nieodgadnionej mądrości użył drugiej litery – beth – aby z niej stworzyć świat, otwarty na wielość, różnorodność, negację, cierpienie i wszystkie inne żywioły wolności). W zawartym w tomie *Alef* opowiadaniu *Teologowie* argentyński Bibliotekarz przedstawił historię sporu mędrców, zwalczających doktrynę czasu kolistego. Szyderca Aurelianus wydaje mi się trochę podobny do Miłosza, zaś jego adwersarz Jan z Panonii może kojarzyć się z Herbertem. Kawał swojego życia obaj poświęcili na wzajemne zwalczanie doktrynalnych błędów. Tak to wygląda z ludzkiej perspektywy. A z perspektywy Boga (niech Imię Jego będzie błogostawione)? *Może należałoby powiedzieć, że (...) dla niezgłębionego bóstwa on i Jan z Panonii (ortodoksa i heretyk, nienawidzący i znieawidzony, oskarżyciel i ofiara) tworzą jedną tylko osobę.* Może ci dwaj, których nazwiska są imionami, by głębiej odcisnąć się w naszych duszach, jeśli spojrzeć z dostatecznie wysokiej perspektywy, są jednością jak awers i rewers? Może ta walka napowietrzna – Mickiewicza i Słowackiego, Miłosza i Herberta – toczy się w środku myślącego człowieka, myślącego Polaka? Może *piesek przydrożny*, szczekający na kolumny wojsk, parady głupców i wschody księżyca, wcale nie tak bardzo różni się od *Pana Cogito*, oglądającego w lustrze *swą błazeńską twarz*?

A Platon, który kłócił się z Arystotelesem i chciał poetów wygnać z Państwa, przecież też był poetą.

PS.

Zanosi się na to, że na tegorocznej, 25. edycji Herbertiady (Ogólnopolskiego Przeglądu Twórczości Zbigniewa Herberta w Kołobrzegu), odbędzie się spektakl o Miłoszu i Herbercie. Już łapki zacieram (wydaje się, że w chwili publikacji niniejszego szkicu będzie już po..., jak było, opowiem).

Zrodzona z fal

Interpretacja wiersza „Córka morza”

Pisząc wiersz „Córka morza,” chciałam wyrazić swoje wewnętrzne połączenie z naturą, zwłaszcza z morzem, które stało się dla mnie metaforą życia, zmienności i nieustannej transformacji. Woda – zarówno spokojna, jak i burzliwa – symbolizuje emocje, podświadomość oraz siłę, którą można czerpać z tego żywiołu.

Inspiracją do napisania tego wiersza, była moja potrzeba odkrywania siebie, swojego miejsca w świecie oraz pragnienie niezależności. Pokazania również swojej natury, zadziornej duszy, ale też tej delikatnej, wrażliwej, jak na poetkę przystało. Jest w tym wierszu zauważalna alegoria do feniksa, który odradza się z popiołu. W przypadku „Córki morza” jest to odradzanie się z fal. To również oznaka wewnętrznej kobiecej siły, która stawia czoła każdemu życiowemu sztormowi.

Nie przypadkowo też „akcja” wiersza dzieje się na plaży i w otoczeniu piasku, morza i wspomnianego już szumu fal. Wynika to przede wszystkim z mojego przywiązania do morskości, bowiem jestem wychowana w rodzinie związanej z marynistyką. Pływał tata, dziadek, wujek... Mama była związana z Akademią Morską, dziś Politechniką Morską.

Dzieciństwo spędziłam w otoczeniu statków i morskiej przygody. Co mocno ukierunkowało moje, dorosłe życie do tego stopnia, że dziś koordynuję w biurze armatorskim najstarszą jednostką pod polską banderą, statkiem STS Kapitan Borchardt, pomagam chwycić wiatr w żagle, prowadząc szkolenia i warsztaty na jachtach i statkach, czy organizuję też cyklicznie imprezy o tematyce morskiej. Bo w krwi „Córki morza” to tytułowe morze płynie w żyłach, a symbole, takie jak kotwica, ster oraz latarnia morska zauważyć można nie tylko w jej domowych dekoracjach, ale i elementach ubrania.

Wiersz podzieliłam na osiem elementów, które przeplatają się ze sobą. Pierwsza strofa to symbol podróży wewnętrznej. To moment wyciszenia, gdzie głaszczę piasek, co symbolizuje bliski kontakt z ziemią, naturą, a jednocześnie daje uczucie delikatności, spokoju. Nie ma wokół nic, żadnej żywej duszy. To czas i przestrzeń tylko dla „Córki morza” i jej kontemplacji. Chociaż można umiejscowić ten wiersz na każdej plaży na świecie, inspirowany i pisany był w trakcie samotnych spacerów z ukochanym psem w Świnoujściu. Tam właśnie lubię od czasu do czasu uciec od życiowego zgiełku, niezależnie od pory roku, by cieszyć się z tą bliskością z morzem. Co symbolizuje wers, zamykając lirycznie morze. To pozwala mi nie tylko ujarzmić myśli, które kłębią się w głowie, ale też odciąć się od wszystkiego wokół i skupić na wewnętrznej harmonii, by ochłodzić zadziorną duszę – młodą, pełną emocji, niepokorną, ale potrzebującą ukojenia, jak każdy z nas.

W drugiej strofie staram się odnaleźć wewnętrzny kompas – zaufane astrolabium. Przewodnika życiowego, który pomoże mi ukierunkować się w życiu i nie budować nic nietrwałego, jak zamek z piasku. Nic dziwnego, że pojawia się tutaj wspomniane astrolabium. Ten dawny przyrząd nawigacyjny, staje się tego symbolem. Jest to metafora duchowej orientacji – szukania sensu i celu, a także potrzeba zaufania do własnych decyzji, a może i pozwolenia, by oddać się przewodnictwu z góry? Morskich aniołów, jak niegdyś, ale i dziś prowadzą do portu żeglarzy. W końcu gdzieś w sobie czuję się jednym z nich. Stęskniona na ładzie za morską przygodą, za pływaniem, za adrenaliną życia na statku.

W drugiej strofie ujawnia się jedyny towarzysz mojej kontemplacji – Wicher. Mój metaforyczny przewodnik, niektórzy mogliby powiedzieć, że to postać Boga Ojca szepczącego mi z góry, w jakim kierunku powinnam podążać. Mierzwi włosy, jak czochra się je zabawnie małemu dziecku. „Busolą rozsądek – szepcze” – tutaj wiatr staje się siłą natury, która próbuje uporządkować chaos myśli. Przypomina o równowadze między rozsądkiem a emocjami. Podobnie jak wiatr, życie może czasem nami targać, ale to nasza wewnętrzna busola prowadzi nas ku lepszemu zrozumieniu świata. Bo „Córka morza” dorasta, co widać w strofie trzeciej, jak targa nią dziecinność i odkrywanie świata. Wcale tego nie chce ukrywać, a w jej oczach iskrzy się radość i podniecenie tego, co czeka ją na horyzoncie - Dziecinności odzewem, niczym pralinę, pragnę odkrywać świat – to powrót do pierwotnej ciekawości, radości z poznawania świata, niewinności i prostoty dzieciństwa. Pralina symbolizuje coś małego, ale niezwykle cennego – w tym wypadku, każde nowe doświadczenie, każdy

odkrywany aspekt życia, którego chce zasmakować. Jest to wołanie do wewnętrznej dziecinności, która pozwala patrzeć na świat oczami pełnymi fascynacji.

I cóż, nadchodzi przemiana i decyzja „Córki morza”. Pierwsza, odważna, dojrzała.

W czwartej strofie pojawia się moment przetłomowy – zrzucam skórę, co symbolizuje proces przemiany, odrodzenia, zostawienia za sobą przeszłości. Jest to metafora zmiany, porzucenia tego, co stare, niepotrzebne, aby na nowo się narodzić. Ostatni żaglowiec to obraz końca pewnego etapu – coś odchodzi, by zrobić miejsce nowym wyzwaniom. Jest impuls do działania, który przesywa ciało, jest nagłym zrozumieniem, gotowością do podjęcia działań, aby chwycić los w ręce. To moment, kiedy „Córka morza” uświadamia sobie, że jest gotowa przejąć kontrolę nad swoim życiem, kierować nim według własnych zasad i pragnień.

Zakończenie to ostateczne utożsamienie się z morzem – jestem córką morza, odradzającą się z fal. Morze staje się symbolem siły, przemiany, nieskończonego cyklu życia i odradzania się. Tak jak fale, które nieustannie się zmieniają, ja również przechodzę przez kolejne etapy, odradzam się w nowej formie, mocniejsza i bardziej świadoma siebie, jako dojrzała kobieta, która jednak nie zapomniała o tej dziecięcej radości, do czego i Ciebie czytelniku z całego, morskogo serca zachęcam.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

Róża Czerniawska-Karcz

Wydawnictwa serii:akcent

W roku 2024 w serii:akcent ukazały się kolejne książki, dwie z nich wydano z dofinansowania Miasta Szczecin w ramach projektu VIII Szczecińskie Promocje Literatury 2024. Tom wierszy *zupełnie niedaleko gdzieś dwa kroki za... i głębiej*, Moniki Miłosz oraz prozę/dramat *Krzyk...* Danuty-Romany Słowik.

Trzecia tegoroczna pozycja serii: akcent to poezje Małgorzaty Hrycaj, *muz (wy)obcowanie*, wydana nakładem autorki.

akcenty na wiersze, które GŁĘBIEJ...

*Wrażenia, wrażenia najszczerze,
Śpiewnik serdeczny, kantyczki,
Całość w książce, komplet serca.*

Stanisław Wyspiański

Zaiste, świat słowa jest niezmierny. Kto próbuje go zgłębić, należy do odważnych... albo natchnionych. Znaczy się z Iskrą Bożą. Poetka. Artystka. Pannien z Parnasu ulubienica. Czy tak?

Monika Miłosz nie tylko nazwisko ma znaczące, ale też swój debiutanci tom wierszy znacząco określiła już na wstępie – przestrzeń, czas, miejsca,

(zdj. archiwum ZLP Szczecin)



perspektywa spojrzenia – jawią się jako formy zbadane niejako od wewnątrz. Poetka wchodzi w świat wiersza nie z zewnątrz (że przywołam neologizm chętnie używany przez poetę, Edwarda Siekierzyńskiego), ale z wnętrza

myśli, uczuć, emocji, wrażliwości – i porusza się w nim śpiewająco... **Cichutko na palcach** –

*wirtuozerią natchnioną
zerwij ze mnie ciszę
rozpal melodię
aż ją w snach usłyszę
(...)*

*a gdy umknę w popłochu
czułość do mnie zanuć
improvizowanym szeptem
nim mnie zbudzi rano*

Wywołuje słowami wiersze-piosenki, wiersze-melodie, melorecytacje, wiersze hologramy, które są, a przecież ich nie ma, gdy nikną bez światła na murze krakowskiej kamienicy przy Brackiej... na przykład. Są w tej osobistej głębi poetyckiej wiersze wyznania, wiersze protesty/ sprzeciwy, wiersze deklaracje i wiersze zgody; wybrzmiewają historie intymne i słowa wyszlochane w „niewinne poduszki”.

Świat słowa Moniki Miłosz to rzeczywistość utkana w dialogu z samą sobą –

*gdzieś
dwa kroki za przyziernością
często chowam się w cieniu*

własnej maski
ze sobą w sobie
tańczę w rytm serca

Gdzie *ja* liryczne jest konkretnie niekonkretne, gdzie poetka/poeta, ten z *zupełnie niedaleko* rejestruje czas i przestrzeń pomiędzy wersem a muzyką strofy, gdyż to melodia słów staje się uniwersalną bohaterką godzin czy chwil, uczestniczką zdarzeń, spisanych emocji o świcie czy późną nocą, wywołującą srebrzyste metafory w rozmowie z Księżycem... *ja Clair de lune* Debussy'ego słyszę?

Albo to Ona /podmiotka/ *gdzieś dwa kroki za...* staje przed ścianą niemożności, bezradności, samotności... *Ona taka w (nie)widoczność / (Nie)zmysłowość (nie)istotność //* Taka każda z nas w swojej indywidualnej, niepowtarzalnej odstonie, nagości, w narzuconej, chcianej/niechcianej roli; jakaś Mała, która *nigdy nie pęka*, jakaś Złodziejka światła, jakaś Matka zatracona, Inna bezimienna, kochana/niekochana... Ona jako spektrum świata z wnętrza i zewnątrz – rozmieniona na emocje, wrażenia, uczucia, zmysły, na przebłyśki myśli, pochwycone w słowa, zapisane frazą z wiersza do wyśpiewania ciszą **Ciszy...** – *Cisza krzyczy najgłośniejsz / (...) z każdego kąta wykukuje brak //*

To Ta z *głębi...* skryta, a może tylko egzystująca gdzieś na dnie jaźni – *ja* liryczne ze wszystkimi atrybutami kobiety, kobiety w podróży nieustającej przez swoje kontynenty samotności, błądzącej po wyspach smutku, wspinającej się na wzgórza tęsknoty, budującej swoje latarnie na przylądkach dobrej nadziei. Poskramiającej i oswajającej wiatr... Towarzyszka samej siebie, stanowiąca sobie kodeksy, wytyczająca swoje drogi, rysująca mapy owych głębi... gdzie dostęp mają nieliczni. **Tamta dziewczyna –**

Odeszła
Zabrała uśmiech
Poskładała skrzydła

Zostawi je na wczoraj
A może na jakieś nigdy
Nigdy nadejdzie najprędzej

Refleksyjne zapisy czasu i przestrzeni, najbardziej intymne odstony, to tylko echa czy miraże uczuć, pragnień albo wyobrażeń, fatamorgany z pustynnych niespełnień. **Bywam –** (...) *Raz kuszę fatamorganą / Raz zbawcą jestem oazą //*

Jakże osobne są te poetyckie miejsca zamieszkiwane przez poetkę albo jej *alter ego*. Niby wokół wszystko znajome... i słowa, i składnia, i obrazy... pejzaże nie tylko wewnętrzne, nawet labirynty kluczące, zagęszczające lęki są przecież znane. Te podróże galaktyczne w ucieczce poza nieprzyjazny, chociaż znany świat. Bo słowa zamknięte w wersach są nasze, nam bliskie, strofy układające się w muzyczne ciągi, przyzywają przecież niewystłowione...

I błądzą bohaterowie, a może zdecydowanie jednak bohaterki, ukryte za maskami Erato, Euterpe, Uranii, Polihymnii, Kaliope, Klio czy Terpsychory – razem z poetką i czytelnikami – by odnaleźć akcenty w głębi wiersza.

Jak trudno manewrować słowem opornym, krnąbrnym, niestałym... gdy chce się napisać wiersz, wie tylko ten, kto chociaż raz wiersz spróbował zapisać.

Debiutująca tomem *zupełnie niedaleko, gdzieś dwa kroki za...i głębiej* – Monika Miłosz radzi sobie umiejętnie z tą oporną materią. Rozmawia swobodnie ze sobą i z Poezją. Zadaje pytania i zapisuje odpowiedzi (patrz wiersz **Interrogacja**). Ma zdanie o poetach i o natchnieniu podprawionym np. martini! Apostrofą definiuje kolejnych rozmówców, snuje liryczne dialogi orzeźwiane nieprzesadną, ale zaskakującą metaforą. Lubi bawić się słowem **Po stokroć**

– *a gdyby tak / po stokroć się ustokrocić / rozśłonecznić / rozwióścić //...*

Podporządkowuje sobie zgrabnie motywy, wątki czy obrazy swoich lirycznych historii. A gdy – *Niedopowiedziana historia / Przechodzi do historii zatrzasnąjąc rozdział // Jest smutno //*

Tymczasem Poetka płynie śmiało od tytułu do pointy, od opisu do niedomówienia, lawiruje tanecznie pośród zamilknięć, pośród słów wydobytych i okiełznanych, by te poprowadziły w rytm myśli z takim trudem poskładanej z **Puzzle** w obraz uczucia, emocji... –

*Rozczapierzone myśli
Przeczesuje wiatr
targa emocjami
Niepoukładane zamyślenia
Tłuką się zagubione
w natłoku*

I ta pewność – *I nie da się odprawdziwić / Prawdziwego //*

Chociaż wątpliwość daje znać, czy tak ma wyglądać zapis? Tak czy tak zamażać albo dobrać dźwięk, nutę, głos, by klucz nie zazgrzytał w zamku otwieranej

z natchnienia metafory, oksymoronu czy porównania? Więcej czy mniej epitetów? Mniej wzruszeń a więcej ironii? Może szczypta sarkazmu nie zaszkodzi? Ile czego, by w harmonii zagrała piosenka, którą nosi w sobie? Gdzie ten właściwy rytm, rym, kadencja? Czy ważniejsze te pejzaże wewnętrzne wrysowane węglem przez ilustratorkę, Hannę Kwiecińską, zaproszoną do świata wierszy przez Poetkę? A może jednak prywatne labirynty priorytetem? Gdzie naprawdę jest to *zupełnie niedaleko*? Zdaje się, że dryfuje w kierunku nieokreśloności, jak cały świat poezji – abstrakcyjny, ulotny, niepoznany do końca, ukryty w wizjach posennych, gdzie **Mgła** –

*I cisza drąży bolesność chwil
W objęciach trzyma niemoc spełnienia
W pamięci odtwarzam zerwany film
Gdy mostem biegnę
Lecz mostu nie ma*

Może w powidokach rozmytych, w przyptywach księżycowych? *Gwiazda / (...) namalowała pejzaż / (...) Na początku mlecznej drogi / W cieniu wszystkich strachów drży / Migocząc //*

Tyle wątpliwości wyłania się za każdym Wierszem, który tak lekko mieści się teraz na stronie książki... Przewodnik oczekujący na czytelnika, by podążyć wraz z nim... *zupełnie niedaleko, gdzieś dwa kroki za ...i głębiej*. Dasz się zaprosić?

Monika Miłoś, *zupełnie niedaleko gdzieś dwa kroki za... i głębiej*,
ZLP seria:akcent, Wyd. hogben, Szczecin 2024

na krzyk, na absurd czy na nieprawość ten akcent?

*Nihil novi sub sole...**

...nieprawość bowiem nieustająco się dzieje.

**łac. Nic nowego pod słońcem (z Księgi Koheleta)*

Literatura *non fiction*. Literatura faktu – to gatunek literacki, w którym Danuta-Romana Słowik czuje się najlepiej. To przestrzeń jej najprzychylniejsza, dobrze znana, rozumiana i odczuwana najdokładniej. Stąd książki w dorobku Autorki *Tułaczycy losów* są naznaczone tym właśnie logo – FAKT. Nawet

(zdj. archiwum ZLP Szczecin)

ulubionym słowem pisarki jest słowo – faktycznie (uśmiech).

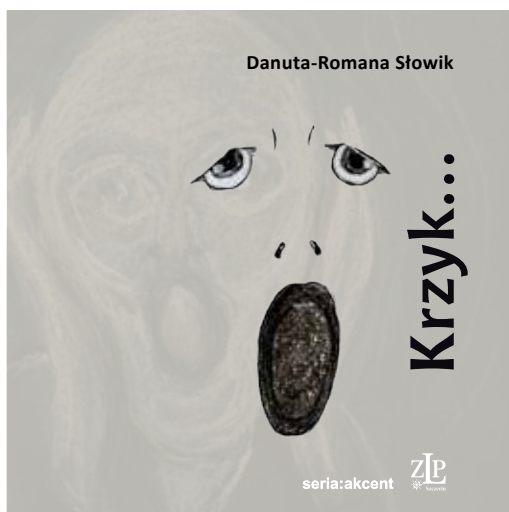
Krzyk... to siódma książka prozatorska spod znaku faktu, spośród wydanych dotychczas dziewięciu. Dwa tomy wierszy zresztą także są opatrzone emocjonalnie i obrazowo zaangażowaniem w samo życie.

Albowiem ŻYCIE samo dla Pisarki – jest pierwszym natchnieniem, weną, inspiracją, prowokacją do... pisania? To z niego wszystkie wyobrażenia – wizje, doznania, doświadczenia zamieniane w treści, obrazy (w opowiadaniach, powieściach, dziennikach) – ono niesie przeszłe, teraźniejsze, a nawet przyszłe tematy, rozwija wątki, podsuwa motywy, otwiera konteksty, odślania aluzje, rozjaśnia skojarzenia, zachęca do eksperymentu... tylko czerpać i zamieniać w zapis. Potem te wszystkie dopowiedziane, zapisane zdania zapachną z czasem truizmem. Trudno. Wiadomo bowiem – wszystko już było. Nic nowego pod słońcem wydarzyć się już nie może...

A jednak, a przecież... konteksty, niuanse, szczegóły... zmieniają nam wyobrażenia w fotografie zdarzeń, sytuacji, nade wszystko zaś osób... w nas samych! Czas i przestrzeń migocą jednak odmiennością – i staje się nowe. Odległe odbicie uniwersum.

Przypowieść powstaje od nowa. Spod pióra albo spod opuszków palców zapisują się kolejne „historie z życia wzięte” doświadczane od zawsze, przeżywane dogłębnie, przenikające miejsca i czas, stające się ponownie doświadczeniem i doświadczaniem absurdu istnienia, jego lęku, zamkniętego w treści słowa lub pojawiającego się pod powieką obrazu... przeniesionego potem na płótno?

Gdzieś, kiedyś, ktoś doświadcza(ł/ła) strachu, przerażenia, bo dotyka(ł/ła) go/ją nieprawość niespodziewana, odebrany jest/był z nagła spokój,



bezpieczeństwo czy wolność – bez powodu i bez konsekwencji owego terroru, ot, tak dla absurdalnego czyjegoś widzimię... nie, nie – dla widzimię, dla widzimię władzy... Bo to z niej wywodzi się Krzyk! Wtedy też zaciera się granica tego, co realne, a co tylko z wyobraźni. Fikcja przenika teraźniejszość, koszmar senny trwa na jawie... Życie autorki tętni lękiem jej bohaterki, autorka wyrzuca z siebie krzyk swojego *alter ego* albo odwrotnie. Kto jest świadkiem, a kto uczestniczką wydarzeń? Kto krzyczy, a kto tylko zdaje sprawozdanie? Czyj to bunt, a czyja bezradność? Czy Anna K. z *Krzyku*... Danuty-Romany Słowik to Józef K. z *Procesu* Franza Kafki? Oboje przecież uwikłani w absurdalne oskarżenie i wciągnięci w machinę bezdusznych trybów tzw. prawa, które okazują się od zawsze nieprawością, wyzyskiem i zastraszeniem. I znowu zdumienie, bo to historia jakich wiele...

Powstaje nowa książka.

Nikt nie docieka, czy to z doświadczenia, czy z wyobraźni pisarki wyłoniły się sceny, miejsca, czas, bohaterowie, ich emocje, a z nich dialogi i monologi (wewnętrzne)... uczucia, które znamy, naznaczone stygmatem powtarzalności, opatrzone toposem lejtmotywu, wędrującego w kulturze, jak i w życiu, od najdawniejszych czasów.

I to on buduje opowiadaną historię, zawiązuje akcję, płacze intrygę, doprowadza do kulminacji, by wcale nie rozwiązać akcji... Życie – najzdolniejszy dramaturg, najwybitniejszy reżyser, scenarzysta i scenograf, operator obrazu i dźwięku... bez castingu przydziela role i każe grać bez próby, bo wtedy obrazy są najprawdziwsze... emocje najintensywniejsze, nie ma czasu na fałsz czy udawanie... To z niego wszystkie inspiracje, wizje, doznania, doświadczenia... tylko czerpać i tworzyć zapis...

Temat – proszę bardzo – niesprawiedliwe oskarżenie, najście bez naku w mieszkaniu, przeszukanie, aresztowanie, porwanie, przesłuchanie, zastraszenie, zwolnienie, umycie rąk. Czas – proszę bardzo – Wielkanoc / lata dwudzieste XXI wieku. Miejsce – proszę bardzo – spokojne miasteczko gdzieś w Polsce. Bohaterowie – proszę bardzo – Kobieta / emerytka / malarka / pisarka. Czarny charakter – proszę bardzo – aparat władzy i ucisku / tajni funkcjonariusze policji kryminalnej / w tle Sąd i Prokuratura. Motyw – proszę bardzo – absurdalne oskarżenie o kradzież i pozbawienie dóbr osoby bezdomnej!

Przecież to już było! I u Orwella, i u Kafki, i u samej autorki *Tułaczycy losów* też, gdy pisała książkę-dziennik *A Majka siedzi*. Albo w swojej ostatniej dystopijnej powieści *Déjà vu 1984*.

Danuta-Romana Słowik czerpie obficie z Życia, a ono nieustannie ją inspiruje, podrzucając tematy. Tylko je oszlifować i zamienić w zapis. Nadać mu swój styl, język, klimat, nasycić emocjami, podrzucić konteksty, wskazać odniesienia... i gotowy dramat albo przypowieść. A najlepiej dwa w jednym, bo tego jeszcze nie było... być może?

Dlaczego nie poeksperymentować z rodzajem, gatunkiem, pomysłem? Dlaczego nie? Czy Józef K. nie może okazać się panią K., bo drgnęła wskazówka na tarczy zegara i przesunęła się przestrzeń w czasie równoległym... i zdarzyło się znowu, co się zdarzyć musiało... pod tym samym słońcem, chociaż komu innemu... odkurzony absurd niekontrolowanej od zawsze nieprawości błysnął ponownie w świetle dnia nienawiścią; aby osoby dramatu wystąpiły znowu na scenie ponurych korytarzy jakiejś Komendy Policji, w jakimś, tym razem nie surrealistycznym, a polskim miasteczku... Entourage też prawie ten sam... marionetki bezdusznej władzy, ofiara bezzasadnego oskarżenia, absurdalny motyw aresztowania, bezkarność i bezwzględność policji, i koszarne skutki przeżytej traumy bohaterki, zagubionej w purnonsensie zarzutów... I czas, nasycony strachem i sprzeciwem, zderzający się z arogancją i siłą władzy, odliczający beznamyślnie godziny ludzkiej nieprawości...

Kolejna powtarzalność historii uderza czytelnika, jak i samą autorkę – obuchem słowa DLACZEGO? I jak zawsze, nie ma odpowiedzi. Jak w antycznym dramacie można sięgnąć po fatum, przeznaczenie, los, Ananke, dołę... tylko czy to na pewno odpowiedź? Wiedział Eklezjasta, domyślał się Kafka, odkrywał pędzlem Munch... i dzisiaj odczytuje czytelnik za sprawą Krzyku... Danuty-Romany Słowik.

Nic nie dzieje się przypadkowo – ale dlaczego dzieje się właśnie tak? W oparach absurdu, irracjonalnego lęku naszej egzystencji... w której odwiecznie poszukujemy sensu i porządku, ładu i bezpieczeństwa, piękna i dobra, a doświadczamy nieustannie czegoś przeciwnego?

Wielkie jajo technologicznej cywilizacji z przeniesioną wadą genetyczną? Nie ma ustroju, w którym społeczeństwo, a w nim jednostka, funkcjonuje idealnie? Utopia to temat znany nie tylko od Platona, tak jak i coraz częściej przywoływana dystopia, której niemal doświadczamy. Konflikt jednostki z władzą – stary, jak świat nam znany. Scenariusz zapisany w społecznym DNA. Realia dostosowane i mamy gotową współczesną parabolę, która w każdym momencie zamienić się może w dramat. Albo w krzyk... Na jawie! I ze zdumieniem

konstatujemy... *nihil novi sub sole*... I to nasze wieczne zdziwienie – dlaczego my, nas, mnie dotyka ta właśnie nieprawość i wciąga w horror codzienności?

Czy stąd i ta przypowieść wcale nie biblijna, z motywem wędrownym, pożyczonym wprost od Franza Kafki, a Ty, Czytelniczko albo Czytelniku, dociekaj, dlaczego?

Danuta-Romana Słowik, *Krzyk...*, ZLP seria:akcent,
Wyd. hogben, Szczecin 2024

Czy to muzy rozkładają akcenty...

*Człowiek zupełnie nietknięty szaleństwem
nie wejdzie do świątyni muz.*

Platon

(...) żeby być normalnym trzeba oszaleć

Małgorzata Hrycaj

Nie każdy tytuł jest tropem, nie każda autorka czy autor przewodnikiem... albo muzą, która zawiedzie czytelnickę, taką jak ja, na Parnas lub... zwiedzie na manowce. Czy cudne? Kto to wie? Okaże się po lekturze tomu poezji *muz (wy)obcowanie*... Małgorzaty Hrycaj.

Po żmudnym szukaniu rozproszonych akcentów, niekoniecznie poetyckich, które mogą, ale nie muszą być śladami hybrydowej Kozicy... jej rącznych kopytek w wygodnych traperach wędrowniczki, poetki – zbierającej natchnienia na górskich szlakach, w leśnych gęstwinach, na kwietnych łąkach... czasami w zacisznych szelestach książek, pośród wierszy wymykających się doznaniom, pytaniom, pojęciom...

Dokąd doprowadzi obcowanie z muzami Ją i mnie? Nas? Czy nie do (wy)obcowania właśnie z tego i nie z tego świata, jak sugeruje zwodniczym tytułem?

To ontologiczne, kulturowe, literackie, ale też ekologiczne obcowanie, czy wyobcowanie jest dylematem współczesnych nie tylko piszących..., także od dawna towarzyszy Autorce *Aponii w ogrodzie*. Pytanie niemal egzystencjalne: *być albo nie być* razem z muzami i z nimi realizować hasło parnasistów *Sztuka*

(zdj. archiwum ZLP Szczecin)

dla sztuki, czy z pozytywistyczną wciąż misją iść do *zjadaczy chleba*? Jak czarnoleski Poeta *Sobie śpiewać a Muzom* na prywatnym Parnasie, czy jak Tyrteusze, biec na barykady bez muz, bo... według Cyncerona... *podczas wojny milczą Muzy*? Nieść kaganek poezji pod strzechy za romantycznym wieszczem i mówić wiersze potocznym językiem, zwyczajnym, SMS-owym, czy pielęgnować go, by zachować kunszt słowa, urodę metafory i nie opuszczać muz towarzystwa?

Oto dylematy współczesnej poetki tudzież poety. Jakie wybiorą obcowanie?

Muzy lubią śpiew urozmaicony...

głosił już Wergiliusz i Poetka za tym śpiewem podąża dzisiaj...

Tyle tropów wokół niej, więc ścieżek wiele przemierza... Nie ukrywa swojej hybrydowej natury, nazywa siebie Kozicą (istotą ludzką i zwierzęcą w jednym, jak starożytne stwory z czasów herosów i muz), wędrowanie w góry i po górach ma wpisane bowiem i w krew, i w wiersz. W podróżach od morza do Tatr, gdzie -

*szlaki otulają przestrzenią / w nieskończoności miłowania / jednoczymy się /
niczym Dunajec Biały z Czarnym / dotykasz mnie nieustającym uniesie-
niem / matko góro siostró kozico ojczyste halny //*

Wpisują się w tę miłość i zew natury, i przyjaźnie z poetkami, poetami gór. Takie jest Małgorzaty Hrycaj z muzami obcowanie... z poetką z Raby Wyżnej, Joanną Słodyczką, która przekłada również w tym tomie słowa wiersza obawa, na gwara podhalańską: strak

*kiebyk wiedziata / ze mnie utulis / zima niy mo zmiytowanie / kie zabieres
serce / nie utrzymos noza // z zakochanom śmiyrzciom / wiecne umiyranie /
z miłości //*



Albo z poetą, Jerzym Tawłowiczem, bardem gór, śpiewa wierszem – **wędrowanie z Jurkiem**

*dobrze iść z przyjacielem / czerwień traw pod stopami / w szczelinach skał
niepewność / rozszczebioczesz ptakami / łańcuch uśmiechu rozciągniesz /
twarde drogi / pomost nieba / chwiejny nad nami / góra z górą nie drgną... /
kiedy się spotkamy / ostatni rzucisz kamień //*

Taki wątek niewyczerpany miłości do gór snuje Poetka w wierszach zbioru i w tych jeszcze nienapisanych...

Szczególnym upodobaniem darzy Autorka *Sztuki (od)chodzenia* Terpsychorę, muzę tańca. Z nią i jej adeptkami obcuje nieustannie w zespole tańca etnicznego, zgłębia sztukę tańców Afryki czy Hawajów albo flamenco. Daje wyraz emocjom i rytmowi w przewrotnym porównaniu gry Hiszpanów podczas meczu z Anglikami, **Que viva España!**

*(...) w czerwonych koszulkach / falujących w pędzie / jak spódnice tancerek
/ korki wystukują rytm flamenco / piłka kręci się jak kula ziemiska / gdy Hisz-
panie grają w rytmie sevilany / a Anglicy – walca angielskiego //*

Obcuje Autorka zbioru *Pod baldachimem krwawnika* jako Czytelniczka z ulubioną literaturą. Buszowanie po tomikach poetów, tomach pisarzy... Baczyński, Staff, Leśmian, Stachura, Czechow, Dostojewski, Bułhakow i inni... To z nich nieustanne inspiracje do kolejnych metamorfoz, utożsamiania z bohaterkami, heroinami czy postaciami samych autorów, także kreacjami literackimi czy historycznymi...

*może stanę się Anną Snitkin / Basią Drapczyńską Klaudiuszem lub / Walerią
Messaliną.*

Lubi podążać Poetka tropem swoich imienniczek: sanitariuszki Małgorzaty z powstania warszawskiego, Małgorzaty Bułhakowa albo samej siebie, tej z gór: *A wiatr od gór szumnie obwieścił / imię: Małgorzata z Wysowej*. Tymczasem w wierszu **gencjana** odśpiewa też swoje odległe inkarnacje:

*jestem pyłem spod Grunwaldu / sanitariuszką Małgorzatką / makiem
z Monte Cassino / może tatrzańską goryczką / wspartą o hardość skały //*

Jest bohaterka (a może jednak bohaterki?) Małgorzaty Hrycaj w swej tożsamość niejednoznaczna, przybiera różne maski, odgrywa swoje i nie swoje role; jest dzieckiem, córką, siostrą, żoną, matką, nauczycielką, przyjaciółką, ale też

kochanką, bachantką; pacjentką u psychiatry albo u poety ginekologa! Poetką, np. Sylwią Plath, modelką Modiglianiego, mężą... wielość w jednym!!!

Kobieta uniwersalna, buntownicza (wadzi się z Bogiem, losem, dołą, samą sobą, z ukochanym, z przeszłością i wspomnieniami)... np. **mrs zombi**

*(...)każde wspomnienie / przeżywam dokładnie... kiedy staje / mi w gardle
przypominam sobie / że nie oddycham*

Powtarza i przywołuje jak każdy i każda motyw czasu – *czy jestem na właściwym kręgu czasu?* – zadaje sobie odwieczne pytanie. W innym wierszu dywaguje:

*ponoć nic nie zdarza się dwa razy / zamarzają nad nami kręgi czasu / świat
odpala papieros od papierosa / spielimy fragmenty łąk zarys drzew /
zapach nieba przed burzą wszystko / co mimo jedni rani osobno //*

Znanym tropem, tyleż przewodnim co i artystycznym, jest dla Małgorzaty Hrycaj obcowanie z obrazami oraz ich twórcami. Chętnie zaprasza bliskich sobie rysowników, malarzy, fotografów, plastyków do wnętrza swoich zbiorów wierszy. Staje się dla nich mężą, gdy inspiruje wierszami... albo to ich dzieła powołują do życia jej nowe wersy. Ot, kolejny akcent muz obcujących ze sobą na współczesnym Parnasie od Bałtyku do Tatr?!

W najnowszym tomie prezentuje Poetka odbicia swoich myśli, wyobrażeń, poetyckich wizji w wycinankach szczekocińskiego artysty, wycinankarza i poety, Grzegorza Dudały. Oryginalne, niepowtarzalne obrazowanie, próba odmiany wyrażenia tekstu w nowej materii i za pomocą odmiennego narzędzia, swoista odmiana zapisania świata przez plastyczne/artystyczne przypadki, jego doilustrowanie nie kreską, czy plamą farby, ale precyzyjnym cięciem... nożyczek, wystrzyżenie koronkowe czarnej kartki w obraz, w portret, w sytuację liryczną... *z zakochaną śmiercią*, w której realizują artyści swoje hybrydowe pomysły w obrazku i wierszu *obawa*...

Przy nowatorstwie wycinankowych ilustracji pozostaje Małgorzata Hrycaj wierna autorce swoich dotychczasowych okładek. Maria Kuczara ozdobiła ponownie symbolicznym obrazem już czwarty tom poezji Poetki, tym razem *muz (wy)obcowanie*... Obraz zachwyca...(mnie!). Doświadczany zmysłami i pełen znanych już odsyłaczy do symbolicznych znaczeń jak: kolor, kształt, światło i cienie, tekstura, ciało i skrzydła modelki, jej poza, układ w przestrzeni, skłon, krąg słoneczny, złota kula (częsty motyw na obrazach okładek). To wszystko tworzy niepowtarzalny klimat i opowieść zamkniętej jeszcze książki. Historię rozszerza tytuł, integralny z przekazem, hybrydowe westchnienie skojarzeń

i zamknięty cykl wyobraźni... powołujący do istnienia skrzydlatą muzę (czy to znowu nie hybryda?) przynależną do świata mitu i poezji, a jednocześnie odrzucana, obca w racjonalnym bycie. Z wyobcowania w obecność, z odległości kosmicznej w bliskość najbardziej intymną, sensualną, empatyczną... z natchnienia w poruszenie wyobraźni, myśli w słowo, w *małe dzieło słów*...

Muzy są jak duchy: niekiedy zjawiają się bez zaproszenia...

uważa Stephen King. Współczesny Parnas, pełen artystów wokół Małgorzaty Hrycaj, wymusza niejako jej muz obcowanie! Przychodzą skąd chcą i kiedy chcą. Nie patrzą na uprawianą formę, rodzaj czy gatunek, teraz już wszystko w jedno i wielość zarazem. Wiersze o muzach stanowią więc naturalny wątek w swej poetyckiej materii. W przemijanie, w kosmiczny i ziemski czas, w jego pory roku. Zwyczajnie wchodzą w nie istoty z mitów, legend, baśni... Czyż poezja nie jest najlepszym sposobem opowiadania o nich. Korzysta z tego Poetka i oddaje im przywilej obcowania z czytelnikami. A muzy, mając wszelkie atrybuty po temu, rozkładają akcenty na przypomnienia o swoim istnieniu – o obrotach sfer nieziemskich

jesienniejemy / muzy zakładają szale i obrastają / przedzimowym sadłem / wiruje z liśćmi Terpsychora / Polihymnia dyryguje wietrznym chórem / utyka za kominami świerszcze / Kaliopie jak modelka Modiglianiego / rozparta na gęstniejącej chmurze / filozofuje... Urania / wtrąca trzy grosze / nakręcając bączek Ziemi / wirują / wśród ludzi / boskie atrybuty / my wpatrzeni w ekran / pieszcząc karty bankowe / obserwujemy pęczniejące ceny / mamy własne maski / czekamy na wiosnę w której / wszystko będzie inaczej // Apollo wystrzelony na Księżyc / Muza szczeka bo czas na spacer //

Z uznaniem przyglądam się, jak umiejętnie i swobodnie operuje Poetka czasem i przestrzenią przynależnymi archaicznej przeszłości i nam współczesnym. Łączy rzeczy, rekwizyty, postaci i czyni je obecnymi, jak gdyby nigdy nic tu i teraz... Czas nieprzypisany... kosmogonia nieustanna... Roi się od bóstw i muz wyżej wymienionych i zamieszkujących już w wierszach. Mityczny świat bogów ze swoimi wadami i przymiotami, chcemy czy nie chcemy, inspiruje lub zniechęca swoją obecnością. Akceptacja czy (wy)obcowanie na żądanie z naszej świadomości, mentalności, kultury... motywów, wątków, rytuałów, skojarzeń... mitologicznych, biblijnych, historycznych – są po prostu niemożliwe... Pozostaje ucieczka w wiersz – **muz (wy)obcowanie / mar(k)sowo**

*nasycona dawką węglowodanów / otwieram się na poezję / życie przecież
bywa piękne /choć/ nie urodziłam się by płaszc z Apollinem / nie byłoby mi
obce nic co boskie / codziennie spaceruję po ulicach / z żółtymi kwiatami /
szukam odpowiedniej nazwy / jajeczka wierszy czekają na zapłodnienie /
lawiruję między lodowymi górami / głód oksytocyny ściąga na ziemię / pod-
parta darowanym żebrem / coraz dalej od Olimpu brnę w / n i e o k r e -
ś l e n i e //*

Ile wierszy, tyle istnień...

I jeszcze jeden ślad! I jeszcze jedna ścieżka zaprasza, by podążyć tropem... wiersza. Przyjrzeć się poszukiwaniom formy, składni, słowa, znaczenia, metafory, symbolu, alegorii, porównania... właśnie Tropom!

Samotność poszukiwana – dotkliwa, znajduje wyraz między wersami, staje się jednocześnie antidotum na obecność nieznośną zgiełku, tłumy... Potrzeba ciszy dla aktu tworzenia bez hałasu... świat skądinąd (wy)obcowany, może stać się kołem ratunkowym dla wiersza, jak półka skalna nad przepaścią zepchnięcia na margines... Połączenie skrajności w hybrydowe byty... ocalić może od zapomnienia, ucieczką staje się balans między pamięcią wnętrza a niepamięcią zewnątrz... W nich związek – *Nic, co ludzkie nie jest nam obce...* w lęku, wątpliwościach, rozterkach, dylematach, gdy połączymy się ze światem zwierząt i roślin, w hybrydową spójność niespójność. Gdy weźmiemy mityczne skrzydła pegaza, anioła czy Sfinksa i uniesiemy się w powietrze... jako Kozica poczujemy pod stopami skałę/opokę... z błękitną samicą płetwala błękitnego udźwigniemy sześćsetkilogramowe serce pełne miłości... poczujemy wtedy jedność żywiołów z bytem ludzkim... Oto potrzeba hybrydy w wierszach Małgorzaty Hrycaj w jej najnowszym tomiku – **nowe coraz nowsze**

*trzeba uprościć zbyt skomplikowane / włączyć wsteczny bieg zburzyć
pomniki / ustawić zwierzęta na piedestałach / święte psy koty odcięte od
człowieka / niezbrukane hybrydowymi złączeniami / życie stanie się przy-
jemne i łatwe / jak hau miau przez u niekreskowane*

Wiersze Autorki *Cudu oddychania* zawsze wypełniała Zgoda na żywioły w praistnieniu. Wszechobecne współodczuwanie dominuje, takie roślinno-ludzkie hybrydy w – **endemiczni**

*wpisani w rzekę / wrośnięci w górę / zanurzeni w zieleni /wypełnieni siat-
ką drzewek / z tkliwymi dendrytami / zależni od przyptywów/odptywów /
ciśnięć krążeń / nawet jeśli wyrosłam limbą / a ty smrekiem / łączy nas jeden*

wiatr / osmotyczna paralelność fotosyntetyczna czułość / plastry żywicy
zamykające rany //

Podobne uczucia odnajduję w innych wierszach z tym samym wątkiem,
z powtarzalnymi motywami, np. **żywiotowo**

odkąd ze zbitek dźwięków / posklejano moje imię / połączyliśmy się szczelnie
/ powietrze góro wodo / w cyklach wschodów zachodów / balansowania na
wietrze / wypełniałyście czułe miejsca //

Nie sposób odnaleźć wszystkie odpowiedzi na zadane pytania, a one się kłę-
bią z każdym czytany wierszem... Nie taka zresztą moja rola. Jestem jedną
z wielu czytelniczek, które wraz z Małgorzatą Hrycaj próbują obcować, a nie
wyobcowywać się z towarzystwa muz.

Tobie Czytelniczko i Czytelniku pozostawiam uchylone drzwi pytań: Gdzie
ja liryczne, gdzie ty liryczne ma swoją/czyją twarz? Kto jest nadawcą, a kto ad-
resatem tych wierszy? Do kogo te apostrofy??? Czy koniecznie – do Boga który
przebacza / samotność?

Jak pochwycić tę chimeryczną połyskliwość formy? Prześlizgiwanie się po-
między znaczeniami słów, fraz, obrazów? Jak zauważyć wszystkie te zmiany
imienia, stroju, nastroju? Kto jest kto i po której stronie? Chimeryczność??? Ist-
nienie świata ożywionego i nieożywionego.

Jak rozszyfrować stany emocjonalne? Czułość i empatię za zastoną ero-
tycznych i fizjologicznych doznań: chciałam opisać miłość / literami iskrzącego
światła.

Po drodze dotrzeć do filozoficznych wniosków – studiuję pisma filozofów /
nabieram mądrości z przerwami na czucie // czy konstatacji ontologicznych – (...)
tak wiele / można zamknąć w trzech głoskach / maj z feerią barw ukwiecony sad /
raj idealny ale też sól łzy żal oczy / otwarte na wszechświat //

Poszukiwanie znaczeń, sensów, śladów muz przez podział na komórki
syłab, liter, głosek, a nawet przecinków czy ukośników albo nawiasów... **idy
czerwcowe**

boję się, nie ufam / boję się? nie, ufam / nie boję się, ufam / boję się żonglo-
wania słowami / nie ufam interpretacjom / znam piekło prozy bez ciebie /
jeszcze wierzę oczom i dłoniom / nieprzewidywalności przecinków / czułości
porozumień niewerbalnych

Wieloznaczność artykulacji mowy/uczuć/myśli/gestów... **hiponimka**

pościeram niespokojne sny / szorstkie myśli schowam / pod kandyzowane
żale / by nie urazić nie zamęczyć / nierozsądnym słowem / w owczą sierść
przyoblekę / niewygodną prawdę / będę śpiewać w dur / łaskotać (nie)
śmiałość marzeń / smyczkiem wiolonczeli / owijać ciszą zadry melancholii
/ rozwałkując ziemię / zwrócę bogom ogień / sama zjem jabłko / zostaniesz
w raju i n i g d y / nie porównasz mnie do innych //

* * *

To nie rozprawa naukowa o poezji Małgorzaty Hrycaj... to ma być tylko moje
napomknienie o wędrówce przez *Krajinę łagodności* i moje obcowanie z wy-
obcowanymi nieco jej mieszkankami i mieszkańcami. To także wyraz moich
małych odkryć i fascynacji słowem, zdaniem, wersem, które pod ręką Poet-
ki-Kozicy nabierają swoich poetycko- heretyckich kształtów i hybrydycznych
przekształceń... oto Jej **poezje/herezje**

na początku było ciało / człowiek wypełnił je słowem / formował spod żebra
/ twarde lub jak / jaśmin pachnące / wymieniał przysposabił / aż wymknęło
się niespełnione / wiecznie w fazie tworzenia / toczono pod górę w trudzie
/ iskrzące się na błękanie / między muzami złapała je n a j p i ę k n i e j s z a
/ dla której kruszył kopie / i budował trojańskie konie / eteryczna/do szpiku
kości powszednia / poezja //

Takich odkryć i obcowania z muzami Ci życzę, gdy wejdiesz na szlaki Kozicy...

Małgorzata Hrycaj, muz (wy)obcowanie, ZLP seria:akcent,
Wyd. hogben, Szczecin 2024

Debiuty

Mirosław Strojny

Urodził się 20 stycznia 1957 r. w Sulejowie. Po ukończeniu, w 1980 r., Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Pancernych im. Stefana Czarnieckiego w Poznaniu, związał się zawodowo z województwem zachodniopomorskim. Po ukończeniu Akademii Wojskowej w Warszawie objął stanowisko zastępcy dowódcy pułku w 124. Pułku Przeciwlotniczym w Szczecinie. W tym okresie był współorganizatorem Pomorskich Dni Literatury Wojskowej i Marynistycznej oraz Pułkowych Dni Kultury, mających charakter cykliczny. W programie tych imprez realizowano spotkania autorskie z pisarzami, poetami, aktorami, ludźmi nauki itp., umożliwiając żołnierzom służby zasadniczej obcowanie z wydarzeniami kulturalnymi na terenie Szczecina.

W latach 1996-2004 kierował Klubem Garnizonowym w Szczecinie. W tym czasie był organizatorem wielu imprez kulturalnych o zasięgu lokalnym, krajowym i międzynarodowym. Do najważniejszych z nich należą Ogólnopolskie Biennale Poezji im. Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego oraz Ogólnopolski Konkurs Poezji.



Wspólnie ze Związkiem Literatów Polskich Oddział w Szczecinie cyklicznie przygotowywał Prezentacje Artystyczne „Par”, w ramach których były organizowane wystawy malarstwa, grafiki, rzeźby twórców krajowych oraz z: Francji, Czech, Niemiec i Litwy.

Mirosław Strojny (zdj. autora)

Za zasługi w upowszechnianiu działalności kulturalno-oświatowej na Pomorzu Zachodnim został wyróżniony: Odznaką Zasłużony Działacz Kultury, Odznaką Honorową Gryfa Zachodniopomorskiego i Złotym Krzyżem Zasługi.

Per aspera ad astra

Był rok 1976, moja Ojczyzna Polska Rzeczpospolita Ludowa pod kierownictwem I sekretarza PZPR Edwarda Gierka, pomimo przejściowych trudności, łapała drugi oddech, jak donosiła gazeta codzienna „Trybuna Ludu”, byliśmy dziesiątą potęgą świata, a częściowe otwarcie granic na państwa zachodu i dostępność świata kultury zza żelaznej kurtyny dawały poczucie lepszego jutra. Zauroczeni muzyką zachodnich zespołów rockowych: PINK FLOYD, QUEEN, THE BEATLES, DEEP PURPLE, 16 września 1976 roku przekroczyliśmy bramy Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Pancernych im. Stefana Czarnieckiego, zderzając się z nową rzeczywistością weryfikującą nasze marzenia o szlifach oficerskich. Kto czytał „Fabrykę Oficerów” Kirsta ten wie, że metody kształcenia i kształtowania charakterów młodych ludzi w systemach zamkniętych są praktycznie niezmiennie od dziesiątków lat i tylko najbardziej zmotywowani, wytrzymali psychicznie mają szansę otrzymać upragnione gwiazdki. Przekroczenie bram uczelni całkowicie zmieniło nasze dotychczasowe życie. Świat zakazów i nakazów zmuszał nas do wypracowania metod przetrwania w nowej trudnej sytuacji. Szybko zorientowaliśmy się, że istnieje drugi świat pomagający przetrwać rygor codziennych zajęć. Szczęściarze po przysiędze załapali się na tzw. fuchy pomocników szefa kompanii, szatniarzy, sportowców, pisarzy, dekoratorów, muzyków itp. Każda z tych profesji pozwalała unikać min. zapraw porannych, nauki własnej i umożliwiała częstsze wyjścia na przepustki.

A propos wyjść na przepustkę, to przez dwa lata nie mogliśmy posiadać w szatni ubrań cywilnych, a paradowanie w mundurze po poznańskich ulicach groziło spotkaniem trzeciego stopnia z patrolem WSW. Aby tego uniknąć przezorni podchorążowie ukrywali na kompanii cywilki. Paradoksalnie pomagał nam w tym Władimir Ilicz Lenin, którego popiersie stało na postumencie w kompanijnej świetlicy. Wnętrze postumentu było puste i tam chowaliśmy ubrania. W sobotnie popołudnia czekaliśmy z niecierpliwością kiedy dowódca

kompani Zenek Myrcha opuści pododdział. Komenda podoficera „Baczość!” oznaczała, że możemy rozbebeszać Lenina i ruszać na podbój poznańskich knajp. Wielokrotnie nam się to udawało. Jednakże, radość nie trwała długo, przyszedł czas, że Zenek coś podejrzewając postanowił wrócić drugimi drzwiami na kompanię. Przebrani w cywilne ciuchy usłyszeliśmy komendę „Kompania na korytarzu zbiórka!” i rozpoczęła się rzeź niewiniątek. „Ja waam tam daam, jaa waam taam daam przepustki, reejony czekają!”. I tak zostaliśmy uszczęśliwieni sprzątnięciem toalet, korytarza, umywalni i rejonów zewnętrznych. Codziennym naszym obowiązkiem było oglądanie o 19.30 dziennika telewizyjnego. Po całodziennych zajęciach na ciepłej świetlicy oczy same zamykały się do snu, i był to czas do wykazania się dowódców drużyn oddelegowanych do nas ze starszego rocznika. Ściszym głosem zapowiadali komendę „Kto śpi...” i po chwili rozlegał się okrzyk „Powstań!”. Nieszczęśliwcy, którzy zapadli w błogi sen podrywali się na równe nogi i to oni mieli wątpliwą przyjemność tego wieczoru sprzątać rejon na kompanii. Po 22.00, kiedy na kompanii zapadał pozorny spokój i cisza nocna na strychu, gdzie rozmieszczone były szatnie i tzw. kącik sportowy, tętniło nocne życie. Tam spotykaliśmy się, aby pograć w karty, wypić butelkę wina, pogadać o poznańskich dziewczynach, tam kształtowały się więzi i przyjaźnie, które przetrwały do dziś.

Każda uczelnia ma wyróżniających się wykładowców ze względu na cechy charakteru, wiedzę i sposób bycia, które na długo pozostają w pamięci i tworzą legendę uczelni. Do takich w naszej alma mater należeli płk. Jaskier i płk. Paluch. Pierwszy z nich swoim sposobem bycia przypominał marszałka Montgomeryego. Wykładał geografię polityczną i topografię. Człowiek osnutý legendą kawaleryjskiej fantazji, którego wyczyny opowiadały kolejne roczniki podchorążych. W jednym z takich zdarzeń miałem zaszczyt uczestniczyć. Wykłady z geografii politycznej odbywały się w auli cyklu politycznego, my, podchorążowie pierwszego rocznika karnie zajęliśmy miejsca w oczekiwaniu na wykładowcę. Wszedł, przedstawił się i rozpoczął wykład, podchodząc do mapy politycznej Europy. Spojrzał przeciągle po zebranych i wskazując ręką państwa zachodnie, stwierdził: „Tu leży Europa”. Następnie zamaszystym ruchem wskazał na wschód wykrzykując: „A tu, podchorążowie, jest baaaagno!!!”. Sala zamarta, pułkownik spojrzął na przerażonych podchorążych i do najbliższego siedzącego przy drzwiach wydał polecenie: „Podchorąży sprawdź, czy ktoś nie podsłuchuje”. Poderwał się podchorąży Zalewski, bo akurat na niego padło, ale nie zdążył dojść do drzwi, usłyszał komendę : „Siadaj, siadaj, już od pięciu lat

to mówię i jeszcze mnie nie zamknęli”. I jak ta komuna mogła przetrwać w takich warunkach.

Fantazja pułkownika w szczególny sposób rozwijała się na zajęciach z topografii. Miał obsesję na punkcie ostrzenia ołówków i kredek, które służyły do rysowania mapy. Sprawdzał osobiście ich ostrza i bardzo często dochodziło do konfrontacji słownej. „Co to jest podchorąży? Ołówek obywatelu pułkownika. Ołówek, to nie jest ołówek, to psi kutas, podchorąży. Czego ja was nauczę, jak wy nawet ołówków nie potraficie zaostrzyć.” Błady strach padał wówczas na podchorążych, bo wiadano, że zdenerwowany pułkownik potrafi wyrzucić przez okno nadstawkę mównicy, zza której przed chwilą przemawiał. Miał też epizod składania życzeń noworocznych podróżnym na dworcu głównym. Pełniąc służbę oficera komendy garnizonu udał się na Dworzec PKP w Poznaniu, gdzie tuż po godzinie 24.00 stanowczym głosem nielicznym pasażerom rozkazał: „Wszyscy pod ścianę!” i podchodząc do każdego życzył szczęśliwego nowego roku. Składanie życzeń skończyło się dla pułkownika obniżeniem stopnia wojskowego, ktoś zbyt regulaminowy doniósł o incydencie. Zaś pułkownik Paluch był wykładowcą taktyki i dał nam się poznać jako oficer, któremu żaden mróz ani zawieja śnieżna nie przeszkodzi w prowadzeniu zajęć. Co też z pasją realizował na biedruskim poligonie. Przetrzymując nas na 17-stopniowym mrozie po kilka godzin, w pozycji stojącej i zmuszając do rysowania map. Na utyskiwania podchorążych, że nie czują nóg i rąk odpowiadał, że BASSO do szkoły chodził i zimno mu nie straszne, a my musimy się hartować. W przerwie zajęć opowiadał, jak spędza wolny czas w sobotnie wieczory. Z uznaniem słuchaliśmy opowieści, że jak wracał z „Pirackiej” do domu, to zamawiał dwie takśówki. W pierwszej jechał pułkownik, a w drugiej jego czapka, a tylko dlatego, żeby orzełek nie widział, że oficer jest pijany.

Minęło wiele lat od tamtych wydarzeń i choć czas zaciera wspomnienia, to niektóre z nich są ciągle żywe, miały bowiem wpływ na ukształtowanie naszych poglądów w przyszłym żołnierskim życiu.

Aleksandra Kozłowska

Urodziła się 25 listopada 2003 r. w Policach, mieszka w Szczecinie. Ukończyła Liceum Ogólnokształcące nr 14 w Szczecinie.

Nadali mi nazwę Aleksandra Kozłowska, piszę bo potrzebuję, piszę bo chcę dojść do Prawdy, której nie rozumiem, piszę bo czuję, i próbuję być człowiekiem, piszę, by

spróbować żyć. Piszę słowa, choć nie wiem skąd płyną i dokąd. Biorę również udział w byciu studentką 3. roku studiów pisarskich w Szczecinie.

Muzy Bocellego

*Siedzą we czwórkę w Pajęczym hotelu.
Ciekawe czy kradną sobie domy albo śpią razem?
Czy pająk ma sny, gdy tak pięknie śpi na środku pajęczyny?
I czy interesują go marne dziewczyny
– muchy?
Co ile zmieniają domki? A czy zarażą się chorobą od komara, który wypił
krew najśłodsza?
Ikarydyna je kusi,
Ale odchodzą, bo boją się grzechu.
Babie lato nie płynie z rąk kobiety, lecz wypuszcza je pająk
I kobiety chwalą piękne jedwabniki,
A pająka depczą obcasem. Bo brzydki.
Mucha nie ma nosa, mucha nie ma zębów, mucha serce ma.*

Chłodne oczy w parne lato, pod paznokciem czarna ziemia, ciepły indyk na półmisku

*Komar gryzie
W spocone czoło
Z bruku wychodzi chwast
Krzęsta są zimne tak
Że kobietom sinieją ręce
A ich twarze są powyginane
W wieczornym uśmiechu;
Który je s t szczery.
Słuchać gwiazdy
I muzykę
Tej melodii nie da się zapamiętać
Ale jest piękna*

*Może dlatego że terazniejsza
Wiatr ma kształt rurki i wieje pionowo
Zatacza się pijany, bezdomny i całkowicie wolny od trucizny.*

człowiek o mentalności kreta

*upadam
jak kultura
ale powoli.
już odzyskałam twarz
ale chyba nie swoją.*

Wiejska arkadia

*Kobieta w sukni stoi na pomoście. Mdleje, białą dłońią chwyta się barierki.
Wpadła do wody. Woda w jeziorze jest nieruchoma, jak nieruchome jest
życie kobiety. Nikt jej nie pomógł. Jedynie woda mierzy jej ciśnienie, a ryby
cholesterol.*

MINIATURY LITERACKIE

Małgorzata Nowak-Żukiel

Pisarka, malarka, twórczyni sztuk teatralnych. Janikowianka, urodzona w Strzelnie w 1974 r., mieszkająca obecnie w Szczecinie. Ukończyła Historię w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Bydgoszczy i Podyplomowe Studia Prawa Europejskiego w Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Laureatka Nagrody Pracy Organicznej im. Marii Konopnickiej (2015), odznaczona Medalem Milczewskiego–Bruna przez RSTK w Bydgoszczy.

Opublikowała zbiory wierszy i almanachy poetyckie: *Polska nam Papieża dała* (1993, 1994-1996, 2003); *Lotem myśli* (1994), *Bursztynowe liście* (1994); *Zniknąć w Tobie* (1994); *Strofy do Popiela* (1994, 1995); *Pejzaże wspomnień* (1996); *Znaki dnia* (1997); *Sięgnąć Nieba* (1998); *Hortulus* (1998); *Strofy dla Kujawskiej Ziemi* (1998, 1999); *Wirydarz* (2000); *Dojrzewanie w miłości* (2000); *Śpiew kolibrów* (2001); *Z krzyku dłoni* (2001); *Wybór wierszy Konkursu Poezji Religijnej* (2001, 2002, 2003); *Spojrzenia czasu* (2008); *Słowiańska woda pamięci* (2012); *Spacer po moim mieście* (2015); *Podręcznik aforyzmów „Na każdy dzień” Kobiety dla kobiet* (2021); *Antologia wierszy przeciw wojnie. Ocalone* (2023). Poezje i prozę publikowała w antologiach i periodykach literackich, w tym w „Okolicy Poetów” i „Temacie”. Uczestniczka wielu imprez i festiwali literackich, między innymi Portu Poetyckiego. Członkini Związku Literatów Polskich. Miłośniczka podróży, dobrej książki, muzyki, malarstwa i fotografii.

Pierwsza gwiazda

Drobny śnieg przysiadł miękko na jego ubraniu. Edward szedł ostrożnie swoją, znajomą trasą. Z roku na rok wydawała mu się dłuższa. Tak naprawdę to wiedział, że droga była ta sama, tylko on coraz starszy i słabszy. Już niedługo

odpoczne – pomyślał. Czuł jednak, że będzie mu tego wszystkiego brakować. W czasie swej wieloletniej pracy listonosza poznał kawałek historii domów, ludzi, którym dostarczał pocztę, ich radości i smutki. Z niektórymi się zaprzyjaźnił. Przechodził właśnie obok domu państwa Budzyńskich. Niegdyś często przy furtce wyczekiwała ich córka, Marylka – dziś już Maria, na listy od Mateusza, obecnie męża. Kilka domów dalej kiedyś mieszkali lekarze Adam i Ewa Krutkowscy. Bardzo ich lubił. Pamięta jak pan Adam nagle zachorował i zmarł. To był rak. Pani Ewa sprzedała dom i wyprowadziła się z dziećmi do większego miasta. Teraz mieszka tu młode małżeństwo.

– Panie listonoszu! Panie listonoszu!

Z domu wybiegła mała Bronia w niebieskim płaszczyku i czapce w paski.

– *Wyglądałam na pana oknem, bo mam coś dla pana – to pierniczki. Piekły je moja mama z babcią, ja też pomagałam.*

Bronia w uśmiechu pokazała niepełne uzębienie, co czyniło go jeszcze bardziej uroczym.

– Są pyszne, osobiście próbowałam.

– Dziękuję, a ja też mam coś dla Ciebie i brata od gwiazdora.

Edward wyjął z torby czekoladowe Mikołaje.

– Och, dziękuję! Są piękne! A to naprawdę od takiego prawdziwego z brodą?

– Tak, spotkałem go niedawno po drodze, spieszył się bardzo.

– A, to pewnie przygotować prezenty, babcia mówiła, że przyjdzie do nas wieczorem.

Pomachała Edwardowi na pożegnanie i pobiegła do domu w podskokach. Szedł dalej, wrzucając do skrzynek listy i kartki z życzeniami świątecznymi. Było ślisko, więc zwinął jeszcze kroku. Pasek od torby coraz bardziej uwierał go w plecy. Ostatni dom – zielony z białymi okiennicami należał do pana Kazimierza i pani Marty Pieczyńskich. Lubiał tu zaglądać. Pani Marta zawsze częstowała go swoimi wypiekami. Dziś również wybiegła do niego, niosąc paczuszkę z pachnącym makowcem.

– Wszystkiego dobrego na święta, panie Edwardzie.

– Dziękuję, wzajemnie. Bardzo dziękuję za makowca, na pewno jak zawsze będzie pyszny.

Mimo upływu lat odczuwał niegasnącą radość dawania komuś wyczekiwanego, uwiecznionego na papierze słowa. Cieszył się, gdy widział radość innych.

Dziś są komórki, komputery... ale to nie to samo, co prawdziwy list w kopercie pisany od serca. On nigdy nie dostawał listów. Nie miał rodzeństwa. Rodzice dawno zmarli. Był zupełnie sam, właściwie już od dziecka. Rówieśnicy nie chcieli się z nim przyjaźnić, uciekali od niego. Był inny niż wszyscy – miał garb. Urodził się zdrowym chłopcem. To stało się później. Dzieciaki w szkole śmiali się z niego i wołali.

– Edzio garbus, po co nosisz ten plecak!

Dokuczano mu bardzo. Wieczorami zawsze płakał do poduszki. Wstydził się o tym powiedzieć rodzicom, by nie mówili o nim mazgaj. Stał się przez to małomówny, zamknięty w sobie. Unikał towarzystwa. Kiedyś na gwiazdkę dostał farby – akwarele. Zaczął malować. To stało się jego azylem i jakby spowiedzią duszy, ucieczką przed światem.

Skończył swój obchód i wracał do domu. Dziś wigilia. Ubrał, jak co roku od wielu lat małą, sztuczną choinkę, a na jej czubku zawiesił gwiazdkę, którą dawno temu dostał od Zosi w szkole. Choć minęło już tyle lat i była trochę zniszczona, zawsze wzruszał się, gdy wyjmował ją z pudełka. Zosia nigdy się z niego nie śmiała. Nosila takie śmieszne warkoczyki i miała najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widział. Bardzo się oboje przyjaźnili. Pamięta – to było na lekcji zajęć plastycznych. Robili wtedy ozdoby choinkowe.

– Edwardzie – powiedziała.

Zawsze tak ciepło i dostojnie wypowiadała jego imię.

– To dla Ciebie, by ta gwiazda przypominała Tobie o mnie.

Choć była tylko wycięta z tektury i pomalowana złotem, czuł się wtedy tak, jakby otrzymał prawdziwą gwiazdkę z nieba. On zrobił dla niej aniołka. Była tak szczęśliwa, że z radości pocałowała go w policzek, a on czuł, jak się rumieni. Zosia krótko po tym zginęła pod kołami ciężarówki. Rozchorował się wtedy. Ponad tydzień nie chodził do szkoły. A później... wszystko bez Zosi było inne. Rozejrzał się po mieszkaniu. Wydało mu się bardziej puste niż dotychczas. Oczy napełniły się łzami. Założył odświętne ubranie. Pójdzie do kościoła. Ksiądz zorganizował wigilię dla samotnych, a później będzie pasterka i jakoś przetrzyma.

Przeszedł ulicę i wszedł do oświetlonego latarniami parku. Było trochę mroźno i pięknie. Drzewa oszronione, ziemia pobielona śniegiem, w oddali maleńkie światełka domów, jeszcze dalej rozpromienione wystawami sklepowymi miasto. Skręcił w alejkę, nagle poślizgnął się na stopniach i stoczył na dół, uderzając głową o krawężnik. Poczł straszny ból w plecach, a ciepła krew

wyptywała mu z rozbitej głowy w rytm tętna. Nie miał siły się podnieść, ani krzyknąć o pomoc. Przez moment odczuwał lęk. Poruszał ustami, łapiąc powietrze. Robiło się coraz zimniej. Nie było nikogo. Gdzieś, jakby z oddali, później coraz wyraźniej słyszał zbliżający się do niego cudowny, chóralny śpiew z nieznaną mu dotąd pieśnią. Spojrzał w niebo. Na czarnym tle rozbłysła pierwsza gwiazda. Nagle dostrzegł znajomą twarz pochyloną nad nim. Uśmiechnął się. Poczłł taki błogi spokój. Odetchnął. Nie czuł już bólu i zimna. Wyciągnął dłoń.

– Zosiu, jak dobrze, że przyszłaś.

Opowiadanie było publikowane w krakowskim kwartalniku „SŁOWEM I KSZTAŁTEM” nr 3/22/2004 oraz w tomiku „Spojrzenia czasu” wydanym w Bydgoszczy (Biblioteka „Tematu” nr 23) w 2008 roku.

Tomasz Rzeszutek

Urodziłem się w 1957 r. w Szczecinie. W szkole podstawowej lubiłem pisać wypracowania, lecz moja ortografia pozostawiała wiele do życzenia. W liceum plastycznym, które udało mi się szczęśliwie ukończyć, byłem znany z ekscentrycznych pomysłów i „nieuporządkowania wewnętrznego” wg jednej z nauczycielek. Talenty literackie wykorzystałem w wojsku do pisania listów miłosnych moich przełożonych, gdyż ich „gramotność” trochę odstawała od oczekiwań ich wybrank. Trzy razy usiłowałem dostać się na studia plastyczne, ale widocznie nie taka droga była mi pisana. Imiałem się różnych, ciekawych zawodów, od plastyka zakładowego począwszy do robotnika placowego skończywszy.

Sumę swoich frapujących spostrzeżeń zawodowych zawarłem w rysunkach satyrycznych publikowanych w polskiej prasie od lat 80. ubiegłego stulecia. A co dziś? Czynnje uprawiam malarstwo, będąc członkiem ZPAP (Związek Polskich Artystów Plastyków) i SAIE (Stowarzyszenie Artystyczne Integracji Europejskiej). Jestem też członkiem Stowarzyszenia Polskich Artystów Karykatyry.

Poezję interesowałem się od zawsze, a szczególnie poetami i poetkami uprawiającymi wiersz biały. Wydałem własnym nakładem niewielki tomik autorski „Gdy odchodzisz” poświęcony pamięci mojej, drogiej mamy. Węcej grzechów nie pamiętam, za wszystkie szczerze żałuję.

(szakal przemyka...)

szakal przemyka spłoszony czymś
dobrywam z za pazuchy flet
zgrabiate ciężkie palce
instrument piszczy żałośnie
od ciśnięcia go w ognisko powstrzymuje mnie
to że podarowali mi go Navahoo
zapalam grubego skręta
dobra indiańska mahorka
Boże! ile to już lat poza domem
kapitan Morrison
surowe portrety generałów
Jerzy Waszyngton w pozach
koszarowy zapach lizolu
strachu i przepoconych onuc
jakoś nigdy nie mogliśmy się dogadać
on chciał abym ukończył Westpoint
i wstąpił do marynarki
– to pewna przyszłość synu – mawiał
dzielne zuchy w Wietnamie spaliły kolejną wioskę
kobiety gwałcono i rozstrzeliwano
partyzantów zrzucano z helikopterów
rangersi śmiali się do rozpuku
jak żółtki wypadali z maszyn
i pac pac w dżungłę
napalm dużo napalmu
szeregowi i oficerowie pijani i naćpani
Nixon w telewizji
– dość!
Navahoo odeszli już dawno
zetłate resztki wigwamów ślady po ogniskach
porzucony wrak motocykla
puste butelki szmaty
zwoje pordzewiałego kolczastego drutu
major Morrison już w stanie spoczynku
nie tęskni za starszym synem

wymazał go z pamięci
a zapytany kiedyś na zjeździe weteranów
co sądzi o Jimie i tej dziwnej grupie
odpowiedział prosto
– nic mnie z tym alkoholiem nie łączy
ojcze szakał przemyka przez pustynię
ostrzegawczy terkot grzechotnika
ma się na burzę

22.11.2012

matko!
tak synu
miałem być grzecznym chłopcem
przykładnym młodzieńcem studentem
co później z doktoratem w kieszeni ożeni się
z córką porucznika stateczną i rozważną

ona słucha z rzęsą odklejoną
co sływa ze łzą po policzku
brudny ślad rozmazanego tuszu

matko!
tak synu
nie wpisałem się w kanon mieszczańskiej egzystencji
nie dałem tobie wnuków jak młodszy brat
alkohol narkotyki szaleństwo obłąd
koncerty skandaliczne procesy sądowe
obsceniczne zachowania obraźliwe gesty
bójki policja pała
rozpacz areszt wyjście za kaucją
alkoholik poeta
poeta alkoholik
uwikłany w duszę starego zmarłego indianina
może nie trzeba było jechać tamtą drogą
lecz cóż się stało
cicho tu teraz drzwi zamknięto
zamek oplombowany pieczęcią

koroner zrobił to co należało to normalna robota
taka sama jak mycie kieliszków przez barmana

wsadzono mnie w stalową ciemną jamę
karteczka na lewej stopie zaświadcza kim byłem
suche dane
imię nazwisko data wiek blizny rany i inne

matko!
tak synu
ona słucha z napięciem
może tak nie chciałem pogubiłem się w bilardzie Boga
który nazwał przez swoje roztargnienie życiem
szalony wymyślił życie i śmierć
teraz jego syn musi odrabiać wszystko co on sknocił

wyjedź stąd jak najszybciej matko!
Paryż nie jest dla ciebie

6.12.2012

Brunonowi Tode

trudna jest sztuka czekania
opos pochwycił królika
jednonogi starszy na wózku
też czeka po przeciwnej stronie
zielone cyfry za mgłą stacja benzynowa
sylwety helikoptera i samolotu
puste skorupy wyzbyte swojego pierwotnego znaczenia
w pudle autobusu nawet przyjemnie
wielkie milczenie nikt tu nie rozmawia

może z 10 lat temu
to było na wernisażu mojego kumpla z Lublina
rozpłakał się jak dziecko pijanymi łzami
z powodu ich śmierci
Jima Janis Jimiego
wzięliśmy to wtedy
za półpijaną zgrywę artychy który lubi się podstylizować

skórzane spodnie skórzana kurtka
już nie mieszcząca wydatnego brzucha
lenonki na nosie
cyniczny zgorzkniały uśmiech
puszka piwa nieodmiennie w lewej dłoni
dziwny nieprzewidywalny tajemniczy
czasami spotykałem go na szlaku wędrówek miejskich
lub w innych okolicznościach
Lubiewo plaża naturystów
kiedyś przemknęli mi w lesie
on z żoną na czerwonych rowerach
ja też na rowerze
powracający z fabryki plującej siarką i zmęczeniem
pomyślałem wtedy dobrze że on na rowerze
bo to lepsze niż alkoholowy opar
to była chwila minęli mnie nie rozpoznając

znaleźli go w nocy
rzuconego jak wór na brudnej jezdni
w szpitalu nikt się nim specjalnie nie przejmował
oto jeszcze jeden pijak z wypadku
i wtedy przyszli do niego oni
chimeryczna Janis burzliwy szalony Jimmy
pochmurny zadumany Jim
siedzą teraz razem z nim w jego rozbitej głowie
debatując jaką drogę najlepiej wybrać
czy być może staje się już ten czas
na wielki Woodstok
większy nad wszystkie ziemskie lasy razem wzięte

17.12.2012

umówiliśmy się na szybkie życie
bez żadnych wzruszeń
dodatkowych obciążeń naszego ja
motele jak dziewczyny zmieniać na te dzisiejsze
alkohol i narkotyki
szybki seks na tylnym siedzeniu samochodu

brutalność i cynizm
obśmiać
wszystko co stworzono dekadę przed nami
wyszydzieć tamten czas
nie przywiązywać się do niczego
najważniejsze to ciągle naprzód
najkrótszą drogą do celu
refleksje pozostawmy starym
drzemiących w swoich fotelach
nie wierzymy absolutnie w to że i my
będziemy tacy jak oni żyjący przeszłością
bo to nie może przecież nam się przydarzyć
na zawsze młodzi
wejdziemy w zapleśniałe karty historii
encyklopedie rozsadzimy ciśnieniem
naszej młodej sztuki
zmęczeni sukcesem będziemy tyć
kontemplując to co nam jeszcze wczoraj
wydawało się tylko nasze
i bać się tych jeszcze młodszych
już chcących nas wykluczyć
lecz na razie nie myślę o tym dociskając pedał gazu
mijam pustkę uśpionych miasteczek

30.12 2012

nadejdzie taki dzień
kiedy zagram bluesa ze starymi murzynami
to będzie poważna robota
żadnych tam takich fiko-fako
blues popłynie jak gniewna rzeka
wytyczająca swój nowy nurt
zanurzę się w niej
wolny i pogodzony z tym co jest i nadejdzie
uwolnię ciało i umysł od balastu
co było wczoraj co będzie jutro
liczy się teraz

chwila która i owszem przeminie
lecz gdzieś głęboko pozostanie
tymczasem – patrz!
jakże ich stare dłonie
doskonale panują nad strunami
pateczkami klawiszami ustnikami
oni nie kończyli żadnych szkół muzycznych
oni się z tym urodzili po prostu
to w nich jest było
jeszcze za czasów
nierozpoznanej dzikiej afryki
nie skalanej przez białego człowieka
nie ujarzmionej przez obcych bogów

27.08.2013

pshav! znów tu jestem
w mojej sali niezła rotacja
już trzech poszło do domu
czwarty do szpitalnej lodówki
teraz przywieziono starego murzyna Luthera
co oznajmia tabliczka powieszona w nogach łóżka
zdaje się że z jego żółdkiem kiepsko
na oko będzie miał 67 lat
biały zarost białe włosy
potężny nawet jak na negra nos
mocne żylaste ręce
budowlaniec z zawodu
bluseman z zamiłowania
nim go podłączono do kroplówek
i tych wszystkich urządzeń
zagrał mi parę riffów na harmonijce
qrwa mać! aż podskoczyłem na łóżku
przecież to najczystszy blues z delty
potem rozmawialiśmy długo
pod pety ćmione ukradkiem przy oknie
niesyty rozmowy

wiele obiecywałem sobie w następnym dniu
kiedy się obudziłem jego łóżko było porządnie zastane
a tabliczka czysta
popędziłem do oddziałowej
musałem chwilę poczekać
nim ta potężna kobieta wynurzyła się
z małego pokoiku zawalonego stosami papierów
– no szybko bo nie mam czasu
Luther? umarł nad ranem
rak żołądka nic już się nie dało zrobić -
poczułem jak łzy mi ciekną po policzkach
– no wie pan? przecież to był tylko stary człowiek
pusto na sali
skromny bagaż murzyna zabrano
do szpitalnej depozytury
na szafce zauważyłem pozostawioną harmonijkę
była mocno zużyta i poobijana
lecz dźwięk miała nieskazitelny
teraz ważę ją w dłoni
zastanawiając się nad tym wszystkim

28.08.2013

wyrzuca mnie z łóżka między trzecią a czwartą
gdy ona śpi cicho się ubieram
wychodzę w nocne miasto
szpulam się po zaułkach
i miejscach mocno ryzykownych
że można dostać czymś twardym lub nożem
lecz nocni synowie sowy znają mnie
niezaczepnie czasami proszą o skręta lub ćmika
idę nad rzekę
tu pod betonowym mostem
rzucającym kobalt w wodę
jest takie miejsce
przysiadam na polerze palę fajkę
jeszcze tą ze studenckich czasów

patrzę na ciemne
połyskujące jak płynny asfalt wody rzeki
medytuję
świt przychodzi jak znajomy kloszard po puszki
cicho aby nie urazić wstającego dnia
zabieram się stąd
do domu i ciepła kobiety

4.09.2013

WYDARZENIA

Emilia Mehmedov,

kl. IV Technikum Ochrony Środowiska ZS nr 2 im. Noblistów Polskich
w Choszczynie

XIV Noc Poetów z pierwszej ręki

Poezja jest nieodłącznym elementem rozwoju ludzkości, a rozwój jest dostępny tylko dla tych, którzy są otwarci na nowe doświadczenia, perspektywy. Poszerzenie horyzontów nie jest możliwe bez zrobienia kroku tam, gdzie jeszcze nie chodziliśmy, spróbowania czegoś, czego jeszcze nie próbowaliśmy. To właśnie Poeci przekraczają granice, dzięki nim możemy widzieć, czuć i próbować więcej, pomagają nam oni dostrzec rzeczy, których wcześniej nie widzieliśmy.

Nową przygodą i radosnym doświadczeniem było dla mnie uczestnictwo w XIV Nocy Poetów z 30 na 31 sierpnia 2024 r. w Miejsko-Gminnym Ośrodku Kultury i Sportu w Reczu. Byłam bardzo podekscytowana tym wydarzeniem, tym bardziej, że na scenie miał pojawić się znany piosenkarz i satyryk – Andrzej Rosiewicz.

Noc Poetów rozpoczęli ciepłym przywitaniem wszystkich gości pan Grzegorz Haciski oraz pan Piotr Pawłowski. Następnie, według harmonogramu tej poetyckiej imprezy, ksiądz Sławomir Kokorzycki wręczył nagrody najlepszym ósmoklasistom okolicznych szkół podstawowych. Kolejnym punktem były budujące przemówienia, w tym ciepłe słowa Burmistrza Recza, pana Dawida Koźmińskiego. W przemówieniach akcentowano zachętę do poetów, aby niezależnie od tego, czy ich wiersze zyskują uznanie u innych, czy też nie, tworzyć

i rozwijać się dalej. Ujęły mnie te słowa, myślę, że każdy artysta powinien przede wszystkim zadowalać samego siebie tak, aby pisząc, czuć się spełnionym. Czasami najsurowszym krytykiem, jakiemu chcemy dogodzić, jesteśmy my sami. Sądzę, że szczególnie dotyczy to ambitnych artystów, którzy zawsze, gdy tworzą, nie mogą się w pełni nasycić, przez co cały czas pną się wyżej po samozadowolenie. Jednak chyba tylko tacy zachodzą najdalej, tacy, którzy non stop chcą sięgać wyżej, aż dotrą na sam szczyt. Tam nic już więcej im nie pozostało, jak na nim pozostać lub spaść.

Po znakomitych przemówieniach przeszliśmy do tak zwanej „wszechniczy poetyckiej”, podczas której wszyscy odważni poeci mogli zaprezentować maksymalnie trzy wiersze. Bardzo podoba mi się to, że każdy, kto pisze, może tam wystąpić, nie narażając się na ostrą krytykę, ponieważ każdy poeta jest tam szanowany. Jedyne komentarze, jakich należało udzielać, skonstruowane były ze słów podziwu. Każdy z poetów dostawał gromkie brawa i mógł liczyć na upominek od organizatorów. To bardzo ważne, aby wspierać artystów, ponieważ mam wrażenie, że jest ich coraz mniej. Dobrze, że są organizowane takie kulturalne imprezy, gdyby nie one, to poruszające wiersze poetów przed debiutem dalej kurzyłyby się w szufladach. Możliwość podzielenia się twórczością z większą grupą ludzi jest cenna. Od czasu do czasu występy poetów były przerywane kunsztowną grą na klawiszach i pięknym śpiewem jednego z organizatorów tego wzniosłego wydarzenia – pana Grzegorza Haciskiego. Te małe przerywniki urozmaicały imprezę, tym bardziej, że wszystkie piosenki śpiewane były wierszami. Najbardziej spodobały mi się „Walc na księżycu” oraz „Bo po co komu poezja”, ta druga pieśń do słów pana Piotra Pawłowskiego.

W czasie przerwy mogliśmy poczęstować się ze szwedzkiego stołu oraz pooglądać miłą dla oka wystawę obrazów jednej z artystek, które nawiązywały do piękna natury. Poczęstunek składał się z kiełbasek, bigosu, chleba ze smalcem, oranżady, ciasta oraz kawy. Częstując się tymi pysznościami, można było usiąść do stołu z poetami i wymienić się wrażeniami z występów.

Po przerwie do Domu Kultury w Reczu przybyła wielka gwiazda wieczoru – Andrzej Rosiewicz. Energicznie wstąpił na scenę, prezentując nam swój przebojowy recital. Przebojowy, ponieważ w jego trakcie tańczył, opowiadał żarty, a repertuar obejmował przynajmniej osiem słynnych piosenek. Artysta porwał publiczność do śpiewania, doprowadzał do śmiechu oraz zadawał pytania. Niejednokrotnie śpiewałam razem z publicznością, szczególnie, kiedy pan Andrzej Rosiewicz przedstawiał takie utwory jak: „40 lat minęło „, „Najwięcej witaminy” czy „Chłopcy radarowcy”. Po wspaniałym występie gwiazdy wieczoru

można było zdobyć autograf oraz zrobić pamiątkowe zdjęcie, co udało mi się osiągnąć. Cieszę się, że mogłam uścisnąć dłoń artysty, bardzo cenię w Panu Andrzeju jego energię oraz duże poczucie humoru, z którym o wiele łatwiej idzie się przez życie. Wierzę w to, że umiejętność rozśmieszania innych jest niewątpliwie jedną z cech inteligentnych ludzi.

Występ pana Andrzeja Rosiewicza ożywił publiczność. Po przerwie na autografy i zdjęcia z gwiazdą wieczoru przeszliśmy do dalszej części naszej wszechnicy poetyckiej. Właśnie wtedy przyszła kolej na mnie. Nic nie daje mi więcej adrenaliny i podekscytowania jak występy, szczególnie ten był dla mnie ważny, ponieważ to tam po raz drugi w życiu recytowałam przed publicznością swoje wiersze. Myślę, że każdy poeta ma dwa marzenia – pierwszym z nich jest, aby wydać swój tomik wierszy, a drugim – aby być przez ludzi czytany. Szybko zdałam sobie sprawę z tego, że o wiele prościej spełnić pierwsze marzenie niż to drugie, ale widzę w tym pewną zależność. Producentom, którym nie idzie sprzedaż, radzi się popracowanie nie nad ilością swoich produktów, ale nad ich jakością. Oznacza to, że wszystko, co ma dobrą jakość, samo się rozreklamuje poprzez dobre opinie klientów. Zatem myślę, że receptą na to, aby być czytany, jest napisanie dobrych wierszy, a następnie wyciągnięcie ich z szuflady na światło dzienne. Jednak, kierując się słowami Burmistrza Recza, nawet jeżeli wtedy poecie nie uda się spełnić tego drugiego marzenia, to powinien dalej tworzyć, jeżeli daje mu to poczucie spełnienia. Ja wyrecytowałam dla publiczności dwa wiersze. Jeden o wielkiej wartości, jaką ma miłość, a drugi o społecznym absurdzie, który polega na tym, że ludzie dają sobie prezenty tylko przy

XIV NOC POETÓW, Recz 2024 (zdj. Leszek Dembek)



jakichś, kalendarzowych okazjach. Były to wiersze pt. „Słońce i Księżyc” oraz „Święta”. Po występie o wiele lepsi ode mnie poeci nagrodzili mnie brawami, dzięki czemu poczułam ciepło w sercu i wiarę w to, że jestem na dobrej drodze, aby do nich dołączyć.

Tego wieczoru wysłuchałam wielu pięknych wierszy i poznałam dużo ciekawych osób. Noc Poetów zakończyła się punktem, który nazywa się „Paleniem debiutów”, to wtedy symbolicznie wiersze oddaje się popiołom. Dotychczas nie wiedziałam, czym jest „palenie debiutów”, z początku myślałam, że to wystąpienia tych, którzy niedawno wydali swój pierwszy tomik wierszy, ale okazało się, że do palenia debiutów naprawdę używa się ognia. Spalono wiersze z tomiku pt. „Podatek od życia” pani Eugenii Karczewskiej, której, niestety, nie ma już z nami, oraz z tomiku pt. „Krokodyl w głowie i inne wiersze” pana Tomasza Czajkowskiego. Obserwując płomień, rozprzestrzeniające się po wierszach debiutantów, zaczęłam rozmyślać nad znaczeniem tej wyjątkowej ceremonii. Doszłam do wniosku, że tym płomiennym czynem nowi debiutanci przyłączają się do wielkiego grona poetów, którzy są już dawno po swoim debiucie. W podarunku, który otrzymałam od organizatorów tego wyjątkowego wydarzenia, znalazły się tomiki, z których wiersze spalono. Mam nadzieję, że ja także będę mogła kiedyś do Was, Drodzy Poeci dołączyć i cieszyć się swoim debiutem.

Noc Poetów, która naprawdę jest nocą, trwała od godziny 18-j do około północy. Po paleniu debiutów część grupy udała się na nocleg zorganizowany przez organizatorów. Następnego dnia, także w ramach tej kulturalnej imprezy, odbyły się warsztaty o długiej i niezwykłej historii Recza.

Cieszę się, że mogłam uczestniczyć w tak wspaniałym i sycącym duchowo wydarzeniu. Jestem pewna, że wszyscy goście i poeci przeszli tego wieczoru niezapomniane katharsis. Ukłon i uznanie kieruję do organizatorów, dzięki którym wszyscy odważni poeci, w tym ja, mogli zaprezentować kawałek swojej twórczości. Z tego miejsca chciałabym podziękować także mojej cioci, Beacie, która była przy mnie przez całą imprezę. To był piękny wieczór, który na długo pozostanie w moim sercu. Podczas XIV Nocy Poetów poznałam wielu wspaniałych ludzi, uścisnęłam dłoń ze znanym Andrzejem Rosiewiczem i bardzo dobrze się bawiłam, prezentując swoją twórczość i przysłuchując się dziełom innych, dzięki czemu mogłam rozwinąć moje poetyckie skrzydła. Mam nadzieję, że to nie był mój ostatni raz.

Tekst pierwotnie był publikowany na stronie internetowej Zespołu Szkół nr 2 im. Noblistów Polskich w Choszczynie.

Poezja i muzyka w Willi Lentza

Finał IX Szczecińskiej Wiosny Poezji zorganizowanej przez Związek Literatów Polskich Oddział w Szczecinie odbył się 1 lipca 2024 roku w Willi Augusta Lentza. Zostały ogłoszone wyniki IX Międzynarodowego Konkursu Poetyckiego im. Józefa Burszewicza *O Żółtą Metaforę*, a 12 wierszy laureatów wybrzmiało w towarzystwie muzyki podczas koncertu pod nazwą *Sprzątam mój świat muzyką i poezją*.

To już trzecie wydarzenie organizowane przez szczeciński oddział ZLP w tej instytucji. W ogrodzie Willi Lentza miał miejsce zeszłoroczny finał

(od lewej) Leszek Dembek, prezes ZLP Oddział w Szczecinie, Laura Wójcik /skrzypce/ i Michał Dąbrowski /akordeon/ (zdj. Adrianna Rauhut)





(od lewej) Przemysław Jaźwiński, Aleksandra Dybowska, Małgorzata Kottłowska, Magdalena Bukowska, Władysław Edelman (zdz. Adrianna Rauhut)

Szczecińskiej Wiosny Poezji, a nieco później w jej murach promowany był ostatni numer *Pryzmatu Literackiego*.

Otwarcia Finału Szczecińskiej Wiosny Poezji w Szczecinie dokonał Leszek Dembek, prezes Związku Literatów Polskich Oddziału w Szczecinie, rozpoczynając od przypomnienia minionych wydarzeń i inicjatyw. Znalazły się wśród nich między innymi spotkania organizowane przez Różę Czerniawską – Karcz w Pałacu Młodzieży-Pomorskim Centrum Edukacji w Szczecinie. Wspomniał także wszelkie działania podejmowane wokół tworzenia wierszy polifonicznych do wersów sztucznej inteligencji. Jak podkreślił, środowisko szczecińskiego ZLP należy do czołówki awangardy w tym zakresie. Trzeba jednak zaznaczyć, że nie wszyscy ze wspomnianego środowiska opowiadają się za tą aktywnością.

Zostały ogłoszone wyniki IX Międzynarodowego Konkursu Poetyckiego im. Józefa Burszewicza *O Złotą Metaforę*, a 12 wierszy laureatów wybrzmiało w towarzystwie muzyki podczas koncertu pod hasłem *Sprzątam mój świat muzyką i poezją*. Skąd taka nazwa? Zenon Lach – Ceraszyński, reżyser i scenarzysta tego widowiska, zdradził kulisy jej powstania. Stało się to podczas jego rozmowy z Leszkiem Dembkiem. W tamtym momencie czytał właśnie

fragment wiersza *Ciężar* Katarzyny Kadyjewskiej z Rzeszowa, a prezes Dembek zauważył, że słowa *Sprzątam mój świat* byłyby dobrą nazwą wydarzenia. Zenon Lach – Ceraszyński odparł, że to jest tylko połowa nazwy i dodał ciąg dalszy: *...muzyką i poezją*. Utwór pod tytułem *Ciężar* rozpoczyna się od wersów *sprzątam mój świat// przecieram ścierką niebo przewlekle zakurzone/ poleruję kłos słońca by zaświeciło/ odkurzam liście na drzewach/ i ryby w stawie (...)*. To fragment utworu zauważonego przez jury Konkursu. Czytelnicy mogą go znaleźć w almanachu pokonkursowym razem z utworami pozostałych laureatów.

– Największym wyzwaniem podczas organizacji koncertów finałowych w ramach Szczecińskiej Wiosny Poezji są wykonawcy, ponieważ do końca nie jestem pewien, czy będę miał tę grupę ludzi, którą sobie wyobraziłem i wymarzyłem. Nie wiem, czy będę miał te znakomite osoby, do których chciałbym powrócić z poprzednich Wiosen Poezji – opowiada Zenon Lach – Ceraszyński. Jaki był skład artystyczny w tym roku? Wiersze laureatów zaprezentowali aktorzy Teatru Współczesnego w Szczecinie, Krystyna Maksymowicz i Robert Gondok. Między wierszami wybrzmiewały utwory muzyczne w wykonaniu Laury Wójcik (skrzypce), absolwentki Akademii Muzycznej w Łodzi oraz Michała Dąbrowskiego (akordeon), doktoranta Akademii Sztuki w Szczecinie. Rolę konferansjera przyjął Przemysław Walich z Teatru Współczesnego w Szczecinie.

Od czasów pandemii koronawirusa zauważalny był wzrost liczby instytucji i stowarzyszeń organizujących konkursy literackie, które dopuszczają możliwość zgłaszania prac drogą mailową. Związek Literatów Polskich Oddział w Szczecinie również dopuszcza taką możliwość podczas organizacji konkursu im. Józefa Bursewicza. Zaznaczono podczas wydarzenia, że to dzięki takiej możliwości nastąpił wzrost liczby zgłoszeń. Jury w składzie: dr Barbara Elmanowska (przewodnicząca), Leszek Dembek, Krystyna Rodzewicz, Małgorzata Hrycaj (sekretarz) poddało ocenie 375 wierszy nadesłanych przez 120 uczestników z Polski oraz sześciu z Austrii, Niemiec, Stanów Zjednoczonych, Szwecji, Ukrainy i Wielkiej Brytanii.

Laureatką pierwszego miejsca została Małgorzata Kotłowska ze Szczecina, która po raz drugi wzięła udział w Konkursie. W zeszłorocznej edycji była autorką wiersza zauważonego, który nosi tytuł *Dzień kobiet*. W tym roku na podium znalazły się utwory: *Smarcze na drawskim rynku*, *Jak dziś mija dzień*, *Coming in*. Pierwszy z wymienionych wybrzmiał podczas koncertu. Poetka przyznaje, że nie jest jej zamysłem pisać na jakiś temat, ale jak to określiła, *wiersze same jej się układają*.

– W ten sposób piszę od bardzo dawna, bo chyba od 30 lat. Dopiero od 3 lat zaczęłam wychodzić poza jednoosobowy krąg z wierszami – opowiada Małgorzata Kotłowska. W ostatnim czasie inspiracją dla niej są jej korzenie, opowieści rodzinne, poczucie więzi z jej stronami, napięcia między szukaniem oparcia w tradycji, w przeszłości, w przodkach a własną indywidualnością. Inspirują ją również historie osób, które ma okazję wysłuchać. Zawodowo jest tłumaczką przysięgłą języka niemieckiego.

Drugą nagrodę w konkursie za zestaw wierszy zdobył Andrzej Chodecki z Parczewa, a trzecią – Artur Piotr Kmiecik z Opola. Jury wyróżniło Justynę Wojdyło z Włocławka, Władysława Edelmana z Zielonej Góry i Marcina Wróblewskiego z Nałęczowa. 25 autorów zostało zauważonych przez jury: Wojciech Konieczny, wspomniana już Katarzyna Kadyjewska, Adam Bolesław Wierzbicki, Beata Kołodziejczyk, Bogdan Kogut, Wioletta Jaworska, Piotr Wąsowicz, Irena Wanda Niedzielko, Aneta Gawędzka, Justyna Markiewicz, Przemysław Jaźwiński, Luiza Wilczyńska, Milena Gojny – Zbierowska, Wioletta Szarwas, Jerzy Marciniak, Martyna Franke, Tadeusz Charmuszko, Aleksandra Dybowska, Sylwia Kanicka, Krzysztof Arbaszewski, Andrzej Borzyński, Magdalena Cybulska, Magdalena Bukowska, Magdalena Bernat – Protaziuk, Alicja Chlebicka. Protokół odczytała podczas wydarzenia sekretarz konkursu, Małgorzata Hrycaj. Laureatka pierwszego miejsca otrzymała statuetkę *Złotej Metafory*. Nagrodami dla laureatów były także obrazy artystów z Zachodniopomorskiego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Szczecinie (Zofii Hintz-Wojtysiak i Krystyny Okieńczuk) oraz trzy prace twórcy niezrzeszonego, Ryszarda Podporskiego ze Szczecina.

Ostatnim akcentem wydarzenia były rozmowy kularowe przy słodkim bufcie z kawą i herbatą, ufundowanym przez Dyrektora Willi Lentza.

Otwarcie Galerii Młodych

W Klubie 12. Szczecińskiej Dywizji Zmechanizowanej, 8 listopada 2024 r., miało miejsce niezwykle wydarzenie na artystycznej mapie miasta – otwarcie Galerii Młodych. Ten salon powstał z inicjatywy instruktorów Wojskowego Koła Plastycznego „Gwasz” z Klubu 12. SDZ. Galeria ma promować osoby w wieku 15-25 lat, zajmujące się: malarstwem, rysunkiem, grafiką (w tym grafiką AI), fotografią i poezją, którzy mają ograniczone możliwości ujawniania swoich talentów.

Bohaterką wieczoru była niezwykle utalentowana, młodziutka artystka – Hanna Kwiecińska, która miała zaszczyt symbolicznie otworzyć galerię i być pierwszą osobą, której prace zawisły na ścianach Klubu.

Zbigniew Jahnz i Hanna Kwiecińska (zdj. Marcin Gargas)





Hanna Kwiecińska, obraz bez tytułu, grafika
(szkic węglem), 2024

Hania ma 18 lat, pochodzi z Lubiany – niewielkiej miejscowości koło Pełczyc w województwie zachodniopomorskim. Od dziecka interesowała się rysowaniem, które jak mówi „pozwała jej pokazać świat takim, jakim chciałyby, żeby był”. Dotychczas rysowała głównie do szuflady, jednak w lipcu br. stworzyła ilustracje do debiutanckiego tomiku poetyckiego Moniki Miłoś „Zupełnie niedaleko, gdzieś dwa kroki za... i głębiej”, które stały się niezwykle dopełnieniem zbioru wierszy i pokazały na zewnątrz, skrywany dotąd w zaciszu dziewczęcego pokoju talent, jaki w Niej drzemie.

Wystawę otworzył Leszek Dembek, prezes szczecińskiego oddziału ZLP oraz starszy kustosz biblioteki Klubu w jednej osobie. Następnie mogliśmy wysłuchać autorki prac, która opowiedziała, co ją inspiruje i jak to wszystko się zaczęło, po czym głos zabrał Zbigniew Jahnz, który opowiedział o pracach Hani i zaprosił do wspólnego oglądania wystawy. Mogliśmy podziwiać prace w różnych technikach i tematyce – królował ołówek, ale były też przepiękne szkice węglem. Klubowe korytarze wypełniał zachwyt i rozmowy o technikach i kreskach... Jednym słowem było pięknie! Było magicznie!

Po tym wieczorze można śmiało stwierdzić, że w dzisiejszej młodzieży drzemie więcej piękna niż nam się może wydawać – wystarczy tylko dać Im czas i przestrzeń na pokazanie siebie. I to się organizatorom udało doskonale! Dziękujemy i czekamy na więcej.

Galeria PRYZMATU

Janusz Krzymiński, grafit, 2015





Janusz Krzymiński, *Ulica w deszczu*, akwarela, 2008

Janusz Krzymiński, grafika, 2011



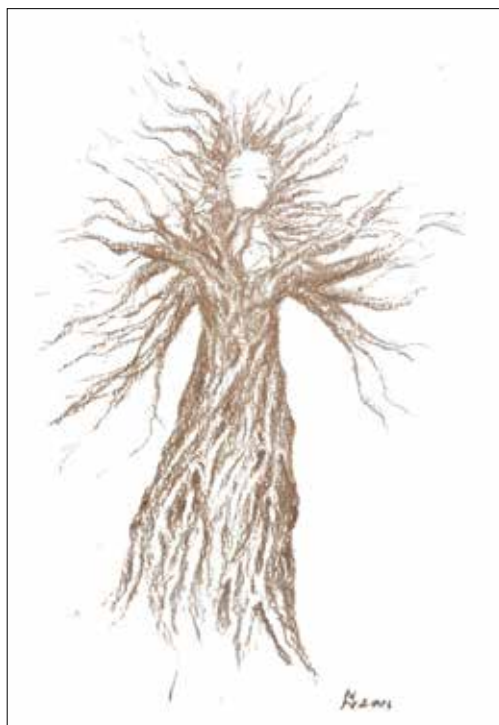


Małgorzata Nowak-Żukiel, *Śpiew Księżycyca*, sepia

Małgorzata Nowak-Żukiel, *Anioł*, sepia



Małgorzata Nowak-Żukiel, *Kobieta-Drzewo*,
sepia



Hanna Kwiecińska, grafika (węgiel),
2024



Hanna Kwiecińska, grafika
(grafit w ołówku), 2024

RECENZJA

- Wojciech Kral
Odrzania Zbigniewa Rokity – dygresje po lekturze 256

POETYCKIE IMPRESJE I INTERPRETACJE

- Wojciech Czaplewski
Gra w pamięć i zobowiązanie 261
- Anna Jakubczak
Zrodzona z fal 268

NOWOŚCI WYDAWNICZE

- Róża Czerniawska-Karcz
Wydawnictwa serii:akcent 271

Debiuty

- Mirostław Strajny
Per aspera ad astra 288
- Aleksandra Kozłowska
Muzy Bocellego 291

MINIATURY LITERACKIE

- Małgorzata Nowak-Żurkiewicz